

MARY E. PEARSON
FAŁSZYWY
POCAŁUNEK

KRONIKI OCALAŁYCH, TOM I



MARY E. PEARSON

FAŁSZYWY
POCAŁUNEK

KRONIKI OCALALYCH, TOM I



oniec podróży. Obietnica. Nadzieja.

Opowiedz mi raz jeszcze, Amo. O świetle.

Przeszukuję moje wspomnienia. Marzenie. Historia. Rozmyte wspomnienie.
Byłam mniejsza niż ty, moje dziecko.

Zaciera się granica między prawdą a wyobraźnią. Potrzeba. Nadzieja. Moja babka opowiadająca mi historie, które były jedynym, co mogła mi dać. Patrzę na to dziecko, chude jak szczapa, które nie odważyłoby się nawet śnić o pełnym żołądku. Pełne nadziei. Oczekujące. Obejmuję jej chude ramiona, sadzam ją sobie na kolanach.

Dawno, dawno temu, moje dziecko, była sobie księżniczka, nie większa od ciebie. Świat leżał u jej stóp. Dowodziła, a światło jej słuchało. Pod wpływem jej dotyku klękały i wstawały Słońce, księżyc i gwiazdy. Dawno, dawno temu...

Chuda istotka zniknęła. Teraz trzymam w ramionach dziecko o złotych oczach. Tylko to się liczy. I koniec podróży. Obietnica. Nadzieja.

Chodź, moje dziecko, musimy już iść.

Zanim nadejdą ścierwojady.

To, co trwa. To, co zostanie. To, o czym nie śmiem jej opowiadać.

Więcej opowiem ci po drodze. O tym, co było wcześniej.

Dawno, dawno temu...

– Ostatnie Testamenty Gaudrel



Rozdział 1

W końcu nadszedł dzień, w którym miało umrzeć tysiąc marzeń i narodzić się miał jeden sen.

Wiatr wiedział. Był pierwszy dzień czerwca, ale na szczycie cytadeli czuć było jego zimne porywy niczym w najmroźniejszej zimie. Potrząsały szybami okien i szalały po korytarzach pełnych przeciągów, wypowiadając ostrzegawcze szepty. Od tego, co miało nadejść, nie było ucieczki.

Godziny mijały – na dobre i na złe. Zamknęłam oczy na tę myśl, ze świadomością, że wkrótce dzień rozpadnie się na dwie części – na życie przed i po, wystarczył jeden krótki akt, którego nie mogłam zmienić, tak jak nie miałam wpływu na kolor mych oczu.

Odsunęłam się od okna, zamglonego od mojego oddechu, i pozostawiłam niekończące się wzgórza Morrighan ich własnym zmartwieniom. Nadszedł czas na spotkanie z dniem.

Liturgie były prowadzone zgodnie z ustalonym porządkiem, odbywały się również rytuały i obrządkie, a wszystko to było świadectwem wspaniałości Morrighan i Ocalałych, z których się zrodziłam. Nie protestowałam. W owym czasie było mi już wszystko jedno, ale w południe, gdy miałam przejść ostatnie ceremonie, poprzedzające oddzielenie „tutaj” od „tam”, moje serce znów zaczęło walić jak oszalałe.

Leżałam naga, twarzą w dół, na twardym jak kamień stole, skupiając się na podłodze pode mną, podczas gdy obce osoby wydrapywały na moich plecach wzory tępyimi nożami. Pozostawałam w bezruchu i zachowywałam spokój, ze świadomością, że noże, skrobiące po mojej skórze, są trzymane w bardzo ostrożnych dłoniach. Drapiący doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że ich życie zależy od ich umiejętności. Idealny spokój pomagał mi ukryć upokorzenie, które przeżywałam, gdy obce dłonie dotykały mojego nagiego ciała.

Pauline siedziała obok i obserwowała tę scenę, prawdopodobnie z wyrazem zmartwienia na twarzy. Nie widziałam jej, mogłam dostrzec jedynie kamienną posadzkę pode mną, długie czarne włosy opadały po bokach mojej głowy, blokując mi widok i kontakt ze światem – słyszałam tylko rytmiczne skrobanie nożami.

Ostatni z nich zjechał niżej i zaczął drapać miękką skórę w zagłębieniu na plecach, tuż nad pośladkami. Nagle zapragnęłam stamtąd uciec. Drgnęłam.

Wszyscy obecni w komnacie westchnęli jak jeden mąż.

– Leż spokojnie! – upomniała mnie ciotka Cloris.

Poczułam na głowie dłoń matki, delikatnie głaszczącą moje włosy.

– Jeszcze tylko kilka kresek, Arabello. I będzie koniec.

Chociaż te słowa miały mnie pocieszyć, najeżyłam się na dźwięk mojego oficjalnego imienia, na którego stosowanie upierała się moja matka – imienia należącego do tak wielu żyjących przede mną kobiet. Pragnęłam, by chociaż tego ostatniego dnia w Morrighan odsunęła na bok wszelkie formalności i używała uwielbianego przeze mnie pieszczotliwego imienia, nadanego mi przez braci, którzy skrócili do trzech ostatnich liter jedno z moich wielu imion. Lia. To proste imię o wiele bardziej do mnie pasowało.

Drapanie wreszcie ustało.

– Koniec – oznajmił Pierwszy Rękodzielnik. Pozostali rękodzielnicy przytaknęli.

Usłyszałam trzaśnięcie, gdy na stole obok mnie postawiono tacę. Poczułam zniewalający zapach olejku różanego. Zaszurało wiele stóp i wszyscy obecni – moje ciotki, matka, Pauline i pozostali, powołani na świadków ceremonii – otoczyli mnie kołem i zaczęli mamrotać i wyśpiewywać słowa modlitw. Zobaczyłam, jak mija mnie kapłan w czarnej szacie. Wylał na moje plecy odrobinę gorącego olejku. Jego głos wybijał się spośród innych. Rękodzielnicy zaczęli wcierać olejek w moją skórę, przypieczętowując wprawnymi palcami niezliczone tradycje Domu Morrighan, potwierdzając wypisane na moich plecach obietnice, głosząc swe oddanie dzisiaj i na wieki i zapewniając sobie jutro.

Mogą sobie pomarzyć, pomyślałam z rozgoryczeniem, gdy mój umysł na chwilę odpoczął, zmęczony układaniem po kolei wszystkich zadań, które nadal mnie czekały – tych zapisanych wyłącznie w moim sercu, a nie na kartce papieru. Ledwo słyszałam słowa kapłana, monotonne buczenie, opowiadające o wszystkich ich potrzebach i żadnej mojej.

Miałam tylko siedemnaście lat. Chyba mogłam mieć własne plany i marzenia?

– A dla Arabelli Celestiny Idris Jezelii, Pierwszej Córki Domu Morrighan, owoce jej ofiary i błogosławieństwa...

Gadał i gadał, wymieniał niekończące się błogosławieństwa i sakramenty. Jego mocny głos wypełnił całą komnatę, a potem, gdy już myślałam, że dłużej nie wytrzymam, kiedy niemal zaczynałam się dusić od jego słów, przerwał i przez jedną cudowną chwilę w moich uszach zadźwięczała cisza. Ponownie odetchnęłam. I wtedy nastąpiło ostatnie błogosławieństwo.

– Gdyż Królestwa powstały z ludzkich prochów i zostały wzniesione na kościach utraconych, i z tego względu winniśmy powrócić, jeśli taka będzie wola Niebios.

Jedną dłonią podniósł moją brodę, a kciukiem drugiej rozmazał popiół na moim czole.

– Tak niech się stanie i Pierwszej Córce Domu Morrighan – dokończyła zgodnie z tradycją moja matka, po czym chustką zamoczoną w olejku starła popiół z mojego czoła.

Zamknęłam oczy i pochyliłam głowę. Pierwsza Córka. Błogosławieństwo i przekleństwo. A jeśli prawda wyjdzie na jaw – także i hańba.

Matka położyła dłoń na moim ramieniu. Pod wpływem jej dotyku zaczęła mnie palić skóra. Pocieszenie z jej strony przybyło zbyt późno. Kapłan wypowiedział ostatnią modlitwę w ojczystym języku mojej matki, modlił się o opiekę, co – o dziwo – nie należało do tradycji, i matka zabrała dłoń.

Polano mnie większą ilością olejku, w chłodnej kamiennej komnacie rozległy się niesamowite, śpiewne modlitwy, ciężki zapach róż wdarł się do mych płuc. Odetchnęłam głęboko. Wbrew sobie czerpałam przyjemność z tej części rytuału, gorące olejki i ciepłe dłonie rozgniatające pokorę, która narastała we mnie od tygodni. Jedwabiste ciepło łagodziło pieczenie skóry, polanej sokiem z cytryny wymieszanym z barwnikiem, a kwiatowy zapach na chwilę zabrał mnie do ukrytego ogrodu, w którym nikt nie mógł mnie znaleźć. Gdyby to było takie proste...

Kolejny etap się zakończył, rękodzielnicy ponownie ode mnie odstępili. Na widok wzoru na moich plecach wszyscy westchnęli z zachwytem.

Usłyszałam szuranie, ktoś przysunął się bliżej.

– Śmiem twierdzić, że kiedy będzie mógł patrzeć na resztę, nie zwróci nawet uwagi na jej plecy.

W komnacie rozległy się chichoty. Ciotka Bernette nigdy się nie patyczkowała, także w obecności kapłana i nawet, jeśli jej słowa miałyby zagrozić protokołowi. Ojciec twierdził, że mam cięty język właśnie po niej. Ostrzeżono mnie, że dziś muszę się kontrolować.

Pauline wzięła mnie za rękę i pomogła mi wstać.

– Wasza Wysokość – rzekła i podała mi miękkie prześcieradło, bym mogła się nim owinąć i zachować resztki godności. Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo, co bardzo podniosło mnie na duchu, a potem zaprowadziła mnie do wielkiego lustra i podała mi małe lustro w srebrnej oprawie, żebym sama mogła zobaczyć efekt pracy rękodzielników. Odrzuciłam długie włosy na bok i spuściłam na dół prześcieradło, by popatrzeć na plecy.

Reszta obecnych czekała w milczeniu na moją reakcję. Powstrzymałam się przed westchnięciem z zachwytem. Nie dałabym tej satysfakcji mojej matce – nie mogłam jednak zaprzeczyć, że moje ślubne kavah było wspaniałe. Wywołało u mnie zachwytem. Brzydki herb Królestwa Dalbreck został przedstawiony zaskakująco pięknie, ryczący lew na mych plecach był oswojony i potulny, pod

jego łapami znajdowały się misterne wzory, winorośle Morrighan, wijące się tu i tam z lekką elegancją na kształt litery „V”, której wierzchołek tworzyły coraz cieńsze pędy, kończące się w zagłębieniu w dolnej części mojego kręgosłupa. Lew został wyróżniony, ale jednocześnie poskromiony.

Poczułam ścisk w gardle i szczypanie w oczach. Mogłabym pokochać to kavah... mogłabym je nosić z dumą. Przełknęłam ślinę i wyobraziłam sobie księcia, gapiącego się na nie z zachwytem po zakończeniu składania przysięg, gdy opadnie ślubna peleryna. Lubieżny obrzydliwiec. Musiałam jednak oddać sprawiedliwość rękodzielnikom.

– Jest cudowne. Dziękuję wam. Od tego dnia w Królestwie Dalbreck z pewnością będzie się darzyć rękodzielników z Morrighan najwyższym szacunkiem.

Matka uśmiechnęła się na dźwięk mych słów, wiedząc, że z trudem się na nie zdobyłam.

Po tym wszyscy wyszli na zewnątrz. Pozostałymi przygotowaniami mieli się zająć wyłącznie moi rodzice i Pauline. Matka przyniosła z szafy białą jedwabną halkę, wykonaną z tak cienkiego i śliskiego materiału, że niemal ześlizgiwał się z jej rąk. Traktowałam to jako zbędną formalność, ponieważ halka prawie nic nie zakrywała, co czyniło ją tak przezroczystą i pomocną jak niekończące się warstwy tradycji. Następnie założyłam szatę – dekolt na plecach układał się w takie samo „V”, by zaakcentować kavah, wyróżnić królestwo księcia i podkreślić poddaństwo jego małżonki.

Matka ściągała ukryte w szacie taśmy do sznurowania i dopasowywała je tak, by gorset nie odstawał mimo odkrytych pleców. Był to nie lada wyczyn, tak niezwykle jak wielki most w Golgacie, a może nawet jeszcze wspanialszy, i zaczęłam się zastanawiać, czy krawcowe nie zaczarowały materiału i wiązań. Wolałam myśleć o tym niż o wydarzeniach, które miały nastąpić w ciągu najbliższej godziny. Matka zrobiła uroczystą minę i odwróciła mnie do lustra.

Mimo mojej niechęci stałam jak zahipnotyzowana. To była najpiękniejsza szata, jaką kiedykolwiek widziałam. Elegancka, gęsta koronka Quiassé, wykonana przez lokalnych koronkarzy, była jedyną ozdobą wokół głębokiego dekoltu. *Prostota*. Dekolt z przodu miał kształt litery „V”, tak jak wycięcie na plecach. W tej szacie wyglądałam jak inna, starsza i mądrzejsza wersja siebie. Jak ktoś o czystym sercu, nieskrywającym żadnej tajemnicy. Jak ktoś... zupełnie do mnie niepodobny.

Bez słowa odeszłam od lustra i wyrzesałam przez okno. Usłyszałam za sobą westchnienie matki. W oddali dostrzegłam samotny czerwonawy szczyt Golgaty, rozpadająca się ruina była wszystkim, co pozostało z czasów świetności ogromnego niegdyś mostu nad rozległą zatoką. Wkrótce, tak jak i reszta mostu, znikną owe ruiny. Nawet tajemna magia Starożytnych nie mogła zapobiec temu, co

nieuniknione. Dlaczego mnie miałyby się to udać?

Poczułam ucisk w żołądku i spojrzałam bliżej, na podnóże wzniesienia nisko pod cytadelą, po którym powoli jechały wozy, kierujące się na plac miejski. Pewnie były załadowane owocami, kwiatami czy beczułkami wina z winnic Morrighan.

Zobaczyłam również wspaniałe powozy, ciągnięte przez rumaki z grzywami zdobionymi wstążkami.

Być może w jednym z tych powozów jechali mój najstarszy brat, Walther, i jego młoda żona. W drodze na mój ślub zapewne trzymali się za ręce i patrzyli sobie głęboko w oczy, nie mogąc oderwać od siebie wzroku. I być może reszta moich braci stała już na placu, uśmiechając się do młodych dziewcząt, które im się podobały. Przypomniałam sobie Regana, który zaledwie kilka dni wcześniej w ciemnym korytarzu szeptał z rozmarzoną miną do córki stangreta, i Bryna, flirtującego co tydzień z nową panną, nieumiejącego się zdecydować na jedną. Uwielbiałam moich trzech starszych braci, którzy mogli się zakochać i ożenić, z kim tylko chcieli. Dziewczęta również mogły wybierać sobie adoratorów. Tak jak wszyscy, łącznie z Pauline, której ukochany miał wrócić do niej pod koniec miesiąca.

– Mamo, jak ty tego dokonałaś? – spytałam, wpatrując się w przejeżdżające pod cytadelą powozy. – Jak zmusiłaś się, by przyjechać tu aż z Gastineux, by wyjść za obrzydliwca, którego wcale nie kochałaś?

– Twój ojciec nie jest obrzydliwcem – odparła surowo.

Odwróciłam się gwałtownie w jej stronę.

– Może jest królem, ale z pewnością jest też obrzydliwcem. Czy chcesz mi powiedzieć, że gdy wychodziłaś za dwa razy od siebie starszego, obcego mężczyznę, nie uważałaś go za obrzydliwca?

Spojrzała na mnie spokojnie swoimi szarymi oczami.

– Nie. To było moje przeznaczenie i mój obowiązek.

Z mojej piersi wyrwało się znużone westchnienie.

– Bo byłaś Pierwszą Córką.

Matka zawsze zręcznie unikała tego tematu. Jednak dziś, gdy byliśmy sam na sam i nic nie rozpraszało naszej uwagi, nie mogła od tego uciec. Zesztywniała i po królewsku uniosła podbródek.

– Arabello, to zaszczyt.

– Ale przecież ja nie mam daru Pierwszej Cóрки. Nie jestem Siarrah. Wkrótce w Dalbreck odkryją, że nie jestem tak cenna, jak się spodziewali. Ten ślub to oszustwo.

– Dar może przyjść z czasem – odparła słabo. Nie kłóciłam się z tym. Wiadomo było, że większość Pierwszych Córek otrzymała swoje dary wraz z nadejściem kobiecości, a ja byłam kobietą już od czterech lat. I nie widziałam u siebie żadnego daru. Matka żywiła się fałszywymi nadziejami. Odwróciłam się

i ponownie wyjrzałam przez okno. – A nawet jeśli nie przyjdzie – ciągnęła dalej – to ślub i tak nie będzie oszustwem. Związek to coś o wiele więcej niż jedna zaleta. Zaszczyt i przywilej bycia Pierwszą Córką w królewskim rodzie jest darem samym w sobie. Niesie ze sobą historię i tradycję. Tylko to się liczy.

– Ale dlaczego Pierwsza Córka? Masz pewność, że dar nie zostanie przekazany żadnemu z synów? Albo Drugiej Córce?

– Zdarzało się tak, ale... Nie należy się tego spodziewać. No i nie jest to tradycją.

A czy utrata daru również stanowi część tradycji? Te niewypowiedziane słowa zawisły między nami, ostre niczym brzytwa, ale nawet ja nie mogłabym zranić nimi matki. Ojciec przestał konsultować z nią sprawy królestwa już na początku ich małżeństwa, słyszałam jednak opowieści o wcześniejszych czasach, gdy miała silny dar, a z jej słowami wszyscy się liczyli. O ile oczywiście którakolwiek z tych historii była prawdziwa. Niczego już nie byłam pewna.

Nie miałam cierpliwości do takich bzdur. Lubiłam proste słowa i jasny tok rozumowania. Byłam już tak zmęczona wysłuchiwaniami o tradycji, że nabrałam pewności, iż jeśli jeszcze raz ktoś wypowie przy mnie na głos to słowo, moja głowa wybuchnie. Matka pochodziła z innych czasów.

Usłyszałam, jak do mnie podchodzi. Otoczyła mnie swoimi ciepłymi ramionami. Poczulałam kluczę w gardle.

– Moja urocza córko – szepnęła mi do ucha – nieważne, czy dar przyjdzie czy nie. Nie martw się tak. To dzień twojego ślubu.

Z obrzydliwcem. Udało mi się zobaczyć Króla Dalbreck, gdy przyjechał, by podpisać umowę – tak jakbym była koniem, którego sprzedaje się jego synowi. Był zniedołężniały i pokrzywiony niczym paluch u stopy staruszki cierpiącej na artretyzm – tak stary, że mógłby być ojcem mojego ojca. Przygarbiony, o ślimaczych ruchach, potrzebował pomocy, by wejść po schodach Wielkiej Sali. Nawet jeśli książę miał o wiele mniej lat, nadal musiał być przywiedłym, bezzębnym gogusiem. Na myśl o tym, że miałby mnie dotknąć, a już zwłaszcza...

Zadrzałam, gdy wyobraźnia podsunęła mi obraz, na którym stare kościste dłonie gładzą mój policzek, a pomarszczone, suche usta dotykają moich. Cały czas wyglądałam przez okno, ale widziałam wyłącznie szybę.

– Dlaczego nie mogłam najpierw go ocenić?

Ręce matki opadły.

– Chciałaś oceniać księcia? Nasze stosunki z Dalbreck i tak są już dostatecznie napięte. Mielibyśmy obrazić ich królestwo takim żądaniem? Przecież Morrighan ma nadzieję na najważniejszy sojusz od lat!

– Nie jestem wojownikiem w armii ojca.

Matka przysunęła się bliżej, pogładziła mnie po policzku i odrzekła:

– Owszem, kochanie, jesteś. – Po moim kręgosłupie przebiegł dreszcz.

Uścisnęła mnie po raz ostatni i cofnęła się. – Nadszedł czas. Idę do skarbcza po ślubną pelerynę – powiedziała i wyszła.

Przeszłam przez pokój do szafy, otworzyłam jej drzwi, wysunęłam dolną szufladę i wyjęłam z niej woreczek z zielonego aksamitu, w którym znajdował się cienki, inkrustowany klejnotami sztylet. Otrzymałam go od braci na szesnaste urodziny. Nie wolno mi było go używać – przynajmniej oficjalnie – ale na tyłach drzwi garderoby znajdowały się ślady, które wyryłam, ucząc się nim posługiwać. Wyjęłam jeszcze kilka rzeczy, owinęłam je w halkę i przewiązałam wstążką, by zabezpieczyć je przed wypadnięciem.

Wróciła do mnie Pauline, już odświętnie ubrana. Wręczyłam jej małe zawiniątko.

– Zajmę się tym – powiedziała, zdenerwowana przygotowaniami na ostatnią chwilę. Wyszła z komnaty w tym samym momencie, w którym matka wróciła z peleryną.

– Czym ma się zająć? – spytała.

– Dałam jej jeszcze kilka rzeczy, które chcę ze sobą zabrać.

– Przecież wszystko, czego możesz potrzebować, wysłano wczoraj w skrzyniach – odparła i przeszła przez pokój w stronę mojego łóżka.

– Zawsze się o czymś zapomni.

Pokręciła głową, przypominając mi, że w powozie było mało miejsca, a podróż do Dalbreck trwała bardzo długo.

– Poradzę sobie – odrzekłam.

Ostrożnie położyła pelerynę na moim łóżku. Została spryskana parą i powieszona w skarbcu, tak by żadna fałda czy zagięcie nie umniejszyło jej piękna. Pogładziłam palcami delikatny aksamit. Błękit był ciemny niczym o północy, brzegi peleryny wyszyto rubinami, turmalinami i szafirami, przypominającymi gwiazdy. Klejnoty mogły się okazać przydatne. Zgodnie z tradycją peleryna miała zostać zarzucona na ramiona panny młodej przez oboje rodziców, a jednak moja matka przyszła tu sama.

– A gdzie... – zaczęłam, potem jednak usłyszałam na korytarzu kroki kilku osób. Popadłam w jeszcze większe przygnębienie. Nie przyszedł sam, nawet na tak ważne wydarzenie.

Ojciec wszedł do komnaty z Lordem Wiceregentem z jednej strony, Sekretarzem i Królewskim Mędrcom z drugiej. Za nimi dreptało wielu sługusów z rządu. Wiedziałam, że Wiceregent jedynie wykonuje swoją pracę – na krótko po podpisaniu dokumentów odciągnął mnie na stronę i powiedział, że opowiadał się przeciwko temu małżeństwu – ale był człowiekiem reprezentującym sztywne zasady – tak jak oni wszyscy. Najbardziej nie lubiłam Uczonego i Sekretarza – doskonale zdawali sobie z tego sprawę – ale nie miałam z tego względu żadnych wyrzutów sumienia, ponieważ wiedziałam, że odwzajemniali moje uczucia.

Czułam dreszcze za każdym razem, gdy przebywałam w ich towarzystwie, tak jakbym kroczyła wśród robactwa pragnącego mej krwi. To właśnie oni najbardziej cieszyli się z tego, że udało im się mnie pozbyć.

Ojciec podszedł, pocałował mnie w oba policzki, cofnął się, spojrzał na mnie i westchnął głęboko.

– Jesteś tak piękna jak twoja matka w dniu naszego ślubu.

Zaczęłam się zastanawiać, czy ta niezwykła, jak na niego, czułość była pod publiczkę. Bardzo rzadko widziałam, by matka i ojciec w jakikolwiek sposób okazywali sobie uczucia, potem jednak zobaczyłam, jak na ułamek sekundy oderwał ode mnie wzrok i spojrzał na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie, a ja byłam ciekawa, co ich łączyło. Miłość? A może tęsknota za tym, co stracili, a co mogło między nimi zaistnieć? Poczułam niepewność, na moje usta cisnęły się setki pytań, nie chciałam jednak zadawać żadnego z nich w obecności Sekretarza, Mędrca i całej reszty. Być może właśnie o to chodziło mojemu ojcu.

Czasowy – pulchny mężczyzna o wytrzeszczonych oczach, wyciągnął kieszonkowy zegarek, który zawsze przy sobie nosił. Razem z pozostałymi zaczął poganiać mojego ojca, tak jakby to oni rządzą królestwem, a nie na odwrót.

– Wasza Wysokość, kończy nam się czas – przypomniał.

Wiceregent spojrzał na mnie ze współczuciem, ale pokiwał głową.

– Nie chcemy, by rodzina królewska z Dalbreck musiała czekać na tę doniosłą chwilę. Jak dobrze wiecie, Wasza Wysokość, zostałyby to źle odebrane.

Oderwali od siebie wzrok. Czar prysł. Matka i ojciec unieśli pelerynę i zarzucili mi ją na ramiona, zapięli klamrę na szyi, a potem ojciec założył kaptur na moją głowę i ponownie pocałował mnie w oba policzki, tym razem jednak z dystansem, tylko dla wypełnienia protokołu.

– Arabello, służ dziś dobrze Królestwu Morrighan.

Lio.

Nienawidził imienia Jezelia, ponieważ nigdy wcześniej nie występowało w królewskim rodzie *ani nigdzie indziej*, jednak moja matka uparła się na nie bez wyraźnej przyczyny. Pod tym względem okazała się nieugięta. To był prawdopodobnie ostatni czas, gdy mój ojciec jej ustąpił. Nigdy bym się o tym nie dowiedziała, gdyby nie ciotka Bernette, a nawet ona poruszała ten temat bardzo ostrożnie, ponieważ moi rodzice nadal różnili się w tym względzie.

Przyjrzałam mu się. Po ulotnej czułości nie było już śladu, wrócił myślami do spraw wagi państwowej, jednak w nadziei na więcej wytrzymałam jego spojrzenie. Nic nie znalazłam. Uniosłam podbródek, wyprostowałam się.

– Tak, Wasza Wysokość, będę służyć królestwu, czyniąc swoją powinność. Bądź co bądź jestem wojownikiem w twojej armii.

Zmarszczył czoło i spojrzał na matkę ze zdziwieniem. Pokręciła nieznacznie głową, w milczeniu kończąc całą sprawę. Ojciec, jak zawsze po pierwsze król,

a dopiero po drugie ojciec, ucieszył się z tego, że może puścić mój komentarz mimo uszu, ponieważ, jak zwykle, ważniejsze były inne sprawy. Odwrócił się i wyszedł ze swą świtą, rzuciwszy mi, że spotkamy się w opactwie. Jak na razie wypełnił swój obowiązek względem mnie. *Obowiązek*. Drugie – obok *tradycji* – znienawidzone przeze mnie słowo.

– Jesteś gotowa? – spytała matka, gdy pozostali opuścili komnatę.

Kiwnęłam głową.

– Przed wyjazdem muszę jeszcze pójść za potrzebą. Spotkamy się w dolnej sali.

– Mogę...

– Matko, proszę... – Mój głos załamał się po raz pierwszy. – Potrzebuję kilku minut dla siebie.

Matka uspokoiła się i po chwili usłyszałam na korytarzu jej samotne kroki.

– Pauline? – szepnęłam, klepiąc się po policzkach.

Pauline weszła do mojego pokoju z garderoby. Popatrzyłyśmy na siebie – słowa nie były potrzebne – doskonale rozumiejąc, co nas czeka, ponownie analizując szczegóły dnia, które ustaliłyśmy podczas długiej, bezsennej nocy.

– Jesteś pewna? Możesz jeszcze zmienić zdanie – powiedziała, dając mi ostatnią szansę na wycofanie się.

Pewna? Poczułam bolesny ucisk w klatce piersiowej, ból był tak silny i prawdziwy, że zaczęłam się zastanawiać, czy serce rzeczywiście może pęknąć. A może to był po prostu strach? Przycisnęłam dłoń do piersi, próbując złagodzić bolesne ukłucie. Może tak właśnie miało być.

– Nie ma już odwrotu. Dokonano za mnie wyboru. Od tej pory będę musiała żyć z tym przeznaczeniem, na dobre i na złe.

– Będę się modlić o to, żeby było tylko na dobre, ma przyjaciółko – odrzekła Pauline i pokiwała głową ze zrozumieniem. Po chwili biegłyśmy pustym korytarzem na tyły cytadeli, a potem w dół po ciemnych schodach dla służby. Nikogo nie spotkałyśmy – wszyscy albo byli zajęci przygotowaniami na ceremonię w opactwie, albo czekali przed cytadelą na królewską procesję na plac.

Wyszłyśmy przez niewielkie drewniane drzwi o grubych czarnych zawiasach na oślepiające słońce, wiatr targał naszymi sukniami i zrzucił mój kaptur. Dostrzegłam tylną bramę twierdzy, wykorzystywaną wyłącznie podczas polowań i dyskretnych wyjść z cytadeli, otwartą już tak, jak rozkazałam. Pauline powiodła mnie przez błotnisty padok do szopy na powóz, gdzie czekał na nas przerażony stajenny z dwoma osiodłanymi końmi. Na mój widok oczy chłopaka rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Wasza Wysokość, przygotowano powóz – powiedział, dławiąc się i krztusząc ze strachu. – Czeka przy schodach przed cytadelą. Jeśli...

– Plany się zmieniły – przerwałam mu stanowczo i zebrałam szatę, by móc

włożyć stopę w strzemień. Jasnowłosy chłopak rozdziawił usta na widok mojej nieskazitelnie dotąd czystej szaty, teraz już ubłoconej. Błoto pokrywało również moje rękawy, koronkowy gorset i, co najgorsze, wyszywaną klejnotami ślubną pelerynę Morrighan.

– Ale...

– Szybko! Podnieś rękę! – warknęłam, biorąc od niego lejce. Posłuchał mnie, a potem w ten sam sposób pomógł Pauline.

– Co mam powiedzieć...?

Nie słyszałam końca pytania – tętent galopujących kopyt zagłuszył wszystkie jego byłe i obecne argumenty. Z Pauline u mego boku, po wykonaniu ruchu, którego nigdy nie będę mogła cofnąć – ruchu, który zakończył tysiąc snów, ale dał początek jednemu nowemu, pognałam w stronę lasu. Ani razu się nie obejrzałam.



*byśmy nie powtarzali historii,
opowieści muszą być przekazywane
synowi przez ojca, córce przez matkę,
albowiem historia i prawda mogą zginąć
w ciągu jednego pokolenia.*

– Księga Świętych Tekstów Morrighan, tom III



Rozdział 2

Krzyczałyśmy. Wrzeszczałyśmy, ile sił w płucach, wiedząc, że wiatr, otaczające nas wzgórza i odległość zapewniają nam wolność i nikt nas nie usłyszy. Krzyczałyśmy z lekkomyślnym zapamiętaniem i z pierwotnej potrzeby uwierzenia w naszą ucieczkę. Gdybyśmy w nią nie wierzyły, strach przejąłby nad nami kontrolę. Ja już czułam go na swoich plecach.

Ruszyłyśmy na północ ze świadomością, że stajenny będzie na nas patrzeć tak długo, aż znikniemy w lesie. W gęstwinie dojechałyśmy do strumyka, który widziałam podczas polowań z braćmi, i przejechałyśmy przez płytką wodę, aż dotarłyśmy do kamienistego nasypu po drugiej stronie, umożliwiającego nam wyjechanie ze strumienia. Dzięki temu nie zostawiłyśmy śladów ani odcisków kopyt i inni nie mogli nas śledzić.

Gdy ponownie wyjechałyśmy na stały ląd, wbiłyśmy pięty w końskie boki i ruszyłyśmy przed siebie, jakby gonił nas jakiś potwór. Jechałyśmy i jechałyśmy rzadko uczęszczaną ścieżką, wijącą się wśród gęstych sosen, które w razie konieczności zapewniłyby nam schronienie. Czasami kręciło się nam w głowach od śmiechu, czasami po naszych policzkach płynęły łzy, wyciskane przez zawrotną prędkość, jednak przez większość czasu milczałyśmy, nie wierząc w to, na co się odważyłyśmy.

Po godzinie nie wiedziałam już, co boli mnie bardziej – uda, łydki, w których co jakiś czas czułam skurcze, czy poobijane plecy. Każda część mojego ciała była przyzwyczajona wyłącznie do sztywnego królewskiego kroku, ponieważ przez kilka ostatnich miesięcy ojciec nie chciał pozwolić mi na nic więcej. Od ściskania lejców grabiały mi palce, ale Pauline się nie zatrzymywała, jechałam więc za nią.

Suknia ciągnęła się za mną. Właśnie wzięłam w niej ślub z życiem pełnym niepewności, którego mimo wszystko bałam się mniej niż tego wcześniejszego, pewnego. W tym życiu sama mogłam decydować o swoich marzeniach, a ograniczać mnie miała wyłącznie moja wyobraźnia. Sama rządziłam moim życiem.

Straciłam poczucie czasu, liczył się tylko rytm wybijany przez końskie kopyta, każde uderzenie oznaczało coraz większą odległość. Wreszcie, niemalże jednomyślnie, nasze połyskujące od potu, kasztanowe Raviany prychnęły

i zwolniły, tak jakby potajemnie się ze sobą porozumiewały. Raviany były dumą stajni Morrighan, a te dwa dały nam wszystko, co miały najlepszego. Spojrzałam na zachodnie niebo, w większości zasłonięte wierzchołkami drzew. Przed nami były jeszcze co najmniej trzy godziny światła dziennego. Nie mogłyśmy się zatrzymać. Ruszyłyśmy wolniejszym tempem, aż wreszcie słońce zniknęło za Górami Andeluchi i zaczęłyśmy szukać bezpiecznego miejsca na rozbicie obozu.

Jadąc wśród drzew i szukając dobrego punktu na nocleg, uważnie nasłuchiwałam wszystkich odgłosów. Gdy nagle rozległ się odległy skrzek ptaków, który wzniósł się ponad lasem niczym ostrzeżenie, poczułam mrowienie na karku. Dotarłyśmy do rozpadających się ruin Starożytnych, ścian i filarów, które należały teraz bardziej do lasu niż do cywilizacji. Były pokryte grubym zielonym mchem i porośnięte roślinami, które prawdopodobnie były jedyną rzeczą, jaka trzymała te ruiny pionowo. Możliwe, że owe niewielkie ruiny były niegdyś częścią wspaniałej świątyni, teraz jednak paprocie i winorośle próbowały oddać wszystko ziemi. Pauline pocałowała grzbiet swej dłoni, zapewniając sobie błogosławieństwo i ochronę przed duchami, które mogły tam na nas czyhać, i ściągnęła lejce, by szybciej pojechać. Ja ani nie pocałowałam swej dłoni ani nie ruszyłam z kopyta, zaczęłam się za to przyglądać pozostałościom z innych czasów z ciekawością, jak zawsze, gdy widziałam coś nowego. Zastanawiałam się, jacy ludzie wznieśli te budowle.

Wreszcie dojechałyśmy do niewielkiej polany. Nad nami błyskały ostatnie promienie słoneczne tego dnia, obie ledwo siedziałyśmy już w siodłach i w milczeniu zgodziłyśmy się co do tego, że będzie to najlepsze miejsce do rozbicia obozu. Jedyne, czego pragnęłam, to paść na trawę i spać do rana, ale konie również były bardzo zmęczone i wymagały naszej uwagi, zwłaszcza że tylko dzięki nim mogłyśmy uciec.

Zrzuciłyśmy siodła, które spadły z hukiem na ziemię, ponieważ nie miałyśmy sił ich zdjąć, a potem wytrzepałyśmy wilgotne koce i rozwiesiłyśmy je na gałęzi, by wyschły. Następnie poklepałyśmy zwierzęta po zadach. Po chwili konie ruszyły w stronę strumienia, by się napić.

Pauline i ja opadłyśmy na ziemię, zbyt zmęczone, by jeść, chociaż żadna z nas nie jadła przez cały dzień. Tego ranka byłyśmy zbyt zdenerwowane naszymi potajemnymi planami, by myśleć o porządnym posiłku.

Wprawdzie od wielu tygodni rozważałam ucieczkę, ale była ona nie do pomyślenia nawet dla mnie, aż do czasu pożegnalnej wieczerzy, która miała miejsce poprzedniego wieczora w Sali Aldrida. To właśnie wtedy wszystko się zmieniło i to, co nie do pomyślenia, nagle stało się jedynym wyjściem. Gdy w komnacie rozlegały się toasty i wybuchy śmiechu, a ja poczułam się przytłoczona ciężarem hałaśliwej uczyty i pełnych satysfakcji uśmiechów ministrów ojca, spojrzałam na Pauline. Stała pod przeciwległą ścianą, razem z pozostałymi

sługami. Wystarczyło, że pokręciłam głową, i już wszystko wiedziała. Nie mogłam tego uczynić. Odwzajemniła kiwnięcie.

Nikt nie zauważył naszych gestów, ale późnym wieczorem, po wyjściu wszystkich gości, wróciła do mojej komnaty i zaczęłyśmy snuć plany. Miałyśmy tak mało czasu i tyle do załatwienia, i niemal wszystko zależało od tego, czy uda nam się zdobyć dwa osiodłane konie, tak by nikt się o tym nie dowiedział. O świcie Pauline udało się uniknąć Mistrza Stajni, zajętego przygotowywaniem koni na królewską procesję, i po cichu porozmawiała z najmłodszym stajennym, zbyt onieśmielonym, by odmówić spełnienia rozkazu pochodzącego bezpośrednio z dworu królowej. Jak na razie nasz pośpiesznie ułożony plan działał.

Chociaż byłyśmy zbyt zmęczone, by jeść, gdy słońce zaczęło zachodzić i zapadał zmrok, nasze zmęczenie ustąpiło miejsca strachowi. Zaczęłyśmy szukać drewna na opał, by odstraszyć stworzenia czyhające w lesie albo przynajmniej zobaczyć ich kły, zanim nas pożrą.

Ciemność zapadła szybko i zasłoniła cały świat poza niewielkim migającym okręgiem, grzejącym nasze stopy. Patrzyłam, jak płomienie liżą powietrze przed nami, słuchałam trzasków i syków ognia, szumu lasu. Były to jedyne dźwięki, my jednak starałyśmy się usłyszeć coś jeszcze.

– Myślisz, że są tu niedźwiedzie? – spytała Pauline.

– Oczywiście. – Ja myślałam już o tygrysach. Pewnego dnia stanęłam oko w oko z jednym z nich, byłam tak blisko, że czułam jego oddech, słyszałam warczenie, opryskał mnie śliną, chcąc mnie pożreć. Czekałam na śmierć. Nie miałam pojęcia, dlaczego ostatecznie nie zaatakował, ocalało mnie dalekie wołanie brata, który zaczął mnie szukać. Zwierzę zniknęło w gęstwinie tak szybko, jak się pojawiło. Nikt nie chciał mi w to uwierzyć. Zgłaszano przypadki występowania kilku tygrysów w Cam Lanteux, ale Morrighan nie było ich naturalnym środowiskiem. Szkliste żółte ślepie bestii nadal śniły mi się po nocach. Patrzyłam na znikające w ciemności płomienie, w stronę miejsca, w którym w sakwie przy siodle znajdował się mój sztylet, zaledwie kilka kroków od bezpiecznego kręgu światła. Myślenie o tym teraz było głupotą. – Jeszcze gorsi niż niedźwiedzie mogą być barbarzyńcy – powiedziałam z udawanym przerażeniem w głosie, próbując rozluźnić atmosferę.

Oczy Pauline rozszerzyły się z przerażenia, chociaż migotała w nich iskierka rozbawienia.

– Słyszałam, że mnożą się jak króliki – odparła – i odgryzają łby małym zwierzętom.

I rozmawiają ze sobą, prychnając i chrząkając. Ja też znałam te historie. Żołnierze, którzy wracali z patroli, opowiadali o brutalności barbarzyńców i o tym, że jest ich coraz więcej. To właśnie ze względu na nich odsunięto na bok wrogość królestw Morrighan i Dalbreck i zawarto niełatwy sojusz – moim kosztem.

Wielkie, dzikie królestwo po drugiej stronie kontynentu z rosnącą populacją i – jak mówiły plotki – zaczynające przesuwanie swych granic stanowiło większe zagrożenie dla trochę bardziej cywilizowanego sąsiedniego królestwa, najmniej zniszczonego z wybranych Ocalałych. Połączone siły Morrighan i Dalbreck mogłyby wiele zdziałać, jednak osobno królestwa te były bezbronne. Tylko Wielka Rzeka i Cam Lanteux mogły powstrzymać barbarzyńców.

Pauline wrzuciła do ogniska kolejną suchą gałąź.

– Masz talent do języków – powiedziałam. – Nie powinnaś mieć problemu ze zrozumieniem chrząknięć barbarzyńców. Ostatecznie przecież w taki sposób porozumiewa się pół królewskiego dworu.

Zaczęłyśmy chichotać i udawać głośne pohukiwania Sekretarza i wyniosłe prychnięcia Mędrca.

– A widziałas kiedyś jakiegoś? – spytała.

– Ja? Czy widziałam barbarzyńcę? W ciągu ostatnich lat trzymano mnie na tak krótkim łańcuchu, że niemal niczego nie widziałam.

Moje wolne dni, spędzane na włóczeniu się po wzgórzach i ganianiu za braćmi, skończyły się, gdy rodzice stwierdzili, że zaczynam wyglądać jak kobieta, więc powinnam się zachowywać jak kobieta. Zabrano mi swobodę, jaką cieszyłam się z Waltherem, Reganem i Brynem, nie mogłam już zwiedzać starych ruin w lasach, galopować konno po łąkach, polować na małe zwierzęta i figlować. W miarę, jak dorastaliśmy, psoty braci były lekceważone, ale moje nie – i od tego czasu wiedziałam, że mierzono mnie inną miarą niż ich.

Po tym, jak ograniczono moje działania, opanowałam umiejętność wymykania się po cichu – którą dziś wykorzystałam. Moi rodzice z pewnością by tego nie docenili, ja jednak byłam z tego dumna. Mędrzec podejrzewał, że potajemnie się włóczę, i zastawiał na mnie kiepskie pułapki, których z łatwością unikałam. Wiedział, że szperałam po komnacie ze starożytnymi tekstami, co było zakazane, ponieważ teksty były rzekomo zbyt delikatne, by dotykały ich nieostrożne dłonie, takie jak moje. Wtedy jednak, nawet gdy udało mi się wymknąć z zamkniętej cytadeli, nie miałam dokąd uciec. Znali mnie wszyscy w Civica i informacje o mnie mogły w prosty sposób trafić do rodziców. Skutkiem tego moje eskapady następowały głównie nocą i ograniczały się do okazjonalnych wypadów do tylnych komnat, gdzie grałam w karty czy kości z braćmi i ich zaufanymi przyjaciółmi, którzy potrafili trzymać język za zębami na temat młodszej siostry Walthera i być może nawet mi współczuli. Moi bracia bardzo lubili zaskakiwać przyjaciół moim widokiem. Nie zmieniano tematów ani sposobu wystawiania się ze względu na moją płęć czy tytuł, dzięki czemu podczas tych skandalicznych pogaduszek z chłopakami nauczyłam się rzeczy, których nigdy nie nauczyłyby mnie królewski guwernant.

Zasłoniłam oczy dłonią, jakbym szukała mych towarzyszy wśród drzew.

– Ucieszyłabym się teraz z widoku tych dzikusów. Barbarzyńcy, pokażcie się! – krzyknęłam. – Żadnej odpowiedzi. – Chyba się nas boją.

Pauline zaczęła się śmiać, ale w powietrzu między nami wisiało zdenerwowanie, wywołane naszą brawurą. Doskonale wiedziałyśmy, że od czasu do czasu można było spotkać niewielkie grupki barbarzyńców w lasach między Vendą a zakazanymi terenami Cam Lanteux. Czasami nawet zuchwale wybierali się do królestw Morrighan i Dalbreck, a gdy odkrywano ich obecność, znikali tak łatwo jak wilki. Na razie jednak znajdowałyśmy się zbyt blisko Morrighan, by się nimi martwić. Przynajmniej miałam taką nadzieję. Istniały o wiele większe szanse na spotkanie włóczęg, wędrownych nomadów, którzy niekiedy oddalali się od Cam Lanteux. Jeszcze nigdy nie widziałam żadnego z nich na własne oczy, ale słyszałam wiele przedziwnych opowieści na ich temat. Jeździli kolorowymi wozami i sprzedawali błyskotki, kupowali zapasy, sprzedawali tajemnicze mikstury, a czasami grali muzykę za monetę lub dwie, ale to nie nimi przejmowałam się najbardziej. Najbardziej martwiłam się ojcem i tym, że wciągnęłam w to Pauline. Poprzedniej nocy nie zdążyłyśmy poruszyć wielu ważnych tematów.

Wpatrywała się w ognisko nieobecny wzrokiem i od czasu do czasu dorzucała drewna. Cechowała ją zaradność, wiedziałam jednak, że nie jest nieustraszona, przez co jej dzisiejsza odwaga była o wiele większa niż moja. Wskutek tego, co uczyniła, mogła stracić wszystko. Ja mogłam wszystko zyskać.

– Pauline, przepraszam. Przeze mnie znalazłaś się w ogromnych tarapatach.

Wzruszyła ramionami.

– I tak miałam stamtąd wyjechać. Przecież ci o tym mówiłam.

– Tak, ale nie w taki sposób. Mogłabyś opuścić królestwo w o wiele bardziej sprzyjających okolicznościach.

Uśmiechnęła się. Nie mogła mi nie przytaknąć.

– Być może. – Jej uśmiech zaczął powoli blednąć. – Ale żadna z przyczyn mojego odejścia nie była tak poważna jak ta. Nie zawsze można czekać na odpowiednią chwilę.

Nie zasługiwałam na taką przyjaciółkę. Współczucie, jakie mi okazywała, sprawiało mi ból.

– Będą nas ścigać – powiedziałam. – Zostanie wyznaczona nagroda za moją głowę. Nie zdążyłyśmy omówić tego w nocy.

Odwróciła ode mnie wzrok i energicznie pokręciła głową.

– Nie, twój ojciec na pewno tego nie zrobi.

Westchnęłam, przyciągnęłam kolana pod brodę i zaczęłam się wpatrywać w rozżarzone węgielki u mych stóp.

– Będzie pierwszym, który to zrobi. Dokonałam aktu zdrady, takiej samej, jak żołnierz, który zdezerteruje z jego armii. I co gorsze, upokorzyłam go.

Sprawiłam, że wyszedł na słabego. Jego rząd nie da mu o tym zapomnieć. Będzie musiał działać.

Z tym również nie mogła się nie zgodzić. Odkąd skończyłam dwanaście lat, jako członek dworu królewskiego musiałam brać udział i być świadkiem egzekucji wykonywanych na zdrajcach. Zdarzało się to rzadko, ponieważ publiczne wieszanie winowajców było skutecznym sposobem na powstrzymanie przed popełnianiem tego typu przestępstw, ale obie znałyśmy historię rodzonej siostry mego ojca. Zginęła przed moimi narodzinami – rzuciła się ze Wschodniej Wieży. Jej syn uciekł z armii i miała świadomość, że król nie oszczędzi nawet swojego siostrzeńca. I nie zrobił tego. Chłopaka powieszono następnego dnia. Oboje, okryci hańbą, zostali pochowani we wspólnym nieoznakowanym grobie. Niektórych granic w Morrighan nie wolno było przekraczać. Jedną z nich była lojalność.

Pauline zmarszczyła brwi.

– Lio, ale przecież ty nie jesteś żołnierzem, tylko jego córką. Nie miałaś wyboru, a to oznaczało, że ja również nie miałam wyboru. Nikogo nie wolno zmuszać do poślubienia niekochanej osoby. – Położyła się, popatrzyła w gwiazdy i zmarszczyła nos. – A już zwłaszcza do wyjścia za jakiegoś starego wyniosłego i nadętego księcia.

Znowu zaczęłyśmy chichotać. Z każdym oddechem byłam coraz bardziej wdzięczna za Pauline. Patrzyłyśmy na konstelacje, opowiedziała mi o Mikaelu, o obietnicach, jakie sobie złożyli, o czułych słowach, które szeptał jej do ucha, i planach, jakie snuli, gdy wróci z ostatniego patrolu z Królewską Strażą pod koniec tego miesiąca. Widziałam w jej oczach miłość, gdy o nim opowiadała, nawet głos jej się zmienił.

Mówiła mi, jak bardzo za nim tęskni. Była przekonana, że on ją znajdzie, ponieważ znał ją najlepiej na świecie. Wiele godzin przegadali o Terravinie – o życiu, jakie będą tam wieść, i dzieciach, które wychowają. Im więcej mi opowiadała, tym większy odczuwałam ból. Ja miałam bardzo mgliste plany na przyszłość, większości z nich wcale nie chciałam realizować, natomiast plany Pauline dotyczyły prawdziwych ludzi, miała obmyślane wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Stworzyła sobie z kimś przyszłość.

Zastanawiałam się, jak to jest mieć kogoś, kto tak dobrze mnie zna, kogoś, kto potrafi spojrzeć w głąb mej duszy, czyj dotyk sprawi, że przestanę myśleć o czymkolwiek innym. Próbowałam wyobrazić sobie kogoś, kto pragnie tego samego, co ja, i chce spędzić ze mną resztę życia, nie tylko dlatego że w jego imieniu podpisano jakiś dokument o zawarciu małżeństwa bez miłości.

Pauline ścisnęła moją dłoń i usiadła, a następnie dorzuciła więcej gałęzi do ogniska.

– Prześpijmy się, żebyśmy mogły wyruszyć wcześniej rano.

Miała rację. Czekał nas co najmniej tydzień podróży, przy założeniu, że się

nie zgubimy. Pauline nie była w Terravinie od czasów dzieciństwa i nie znała dokładnie drogi, a ja w ogóle tam nie byłam, tak więc mogłyśmy jedynie słuchać jej instynktu i liczyć na pomoc obcych. Rozłożyłam dla nas koc na ziemi i wyjęłam z włosów igły drzew.

Spojrzała na mnie niepewnie.

– Będiesz mieć coś przeciwko, jeśli najpierw wypowiem święte upamiętnienia? Zrobię to po cichu.

– Oczywiście, że możesz to zrobić – szepnęłam, próbując wykazać dla niej odrobinę szacunku, i jednocześnie z poczuciem winy, że ja nie miałam ochoty ich wypowiedzieć. Pauline była bardzo wierząca, a ja nie ukrywałam swojej niechęci do tradycji, które dyktowały moją przeszłość.

Uklękła i zaczęła monotonicznie wypowiadać święte upamiętnienia. Jej głos przypominał łagodne akordy harfy, które rozbrzmiewały w całym opactwie. Obserwowałam przyjaciółkę i myślałam o tym, jak głupi jest los. Byłaby o wiele lepszą Pierwszą Córką Morrighan, córką, której z pewnością pragnęliby moi rodzice, cichą i dyskretną, cierpliwą, lojalną wobec tradycji, o czystym sercu, potrafiącą zauważyć to, co niewypowiedziane, o wiele bliższą posiadania daru, niż ja kiedykolwiek będę. Pod wszystkimi względami Pauline idealnie nadawała się na Pierwszą Córkę.

Położyłam się i słuchałam wyśpiewywanej przez nią historii o pierwotnej Pierwszej Córcie, która wykorzystywała dany jej przez bogów dar do wyprowadzenia Ocalałych w bezpieczne miejsce, do nowej krainy, by mogli zostawić spustoszony świat i zbudować nowy, pełen nadziei. Wyśpiewywane przez nią melodyjne słowa były piękne, służące zbawieniu, interesujące. Zatraciłam się w ich rytmie, w głębi otaczających nas lasów, w świecie, który gdzieś tam się znajdował, zatraciłam się w minionych czasach. W tych delikatnych dźwiękach historia sięgała początków wszechświata. Niemal ją czułam.

Patrzyłam w niebo wysoko nad sosnami – było niemożliwe do dotknięcia, lśniące, żywe – i rosło we mnie pragnienie wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego magii. Drzewa również wyglądały magicznie, drżały w harmonii niczym armia duchów – cały znany mi świat znalazł się poza moim zasięgiem.

Pomyślałam o wszystkich tych trzymanyh w tajemnicy chwilach, które przeżyłam jako dziecko, gdy w środku nocy wymykałam się do najspokojniejszej części cytadeli – na dach – do miejsca, w którym panowała idealna cisza, a ja stawałam się jednym z punkcików związanych z wszechświatem. Czułam się tam blisko czegoś, czego nie potrafiłam nazwać.

Gdybym tylko mogła wyciągnąć rękę i sięgnąć gwiazd, posiadałabym całą wiedzę. Zrozumiałabym.

Co byś zrozumiała, kochanie?

To, odparłabym, przyciskając dłoń do piersi. Brakowało mi słów, by opisać

ból, który czułam.

Drogie dziecko, tutaj nie ma co rozumieć. Tu jest tylko chłód nocy. Matka wzięła mnie w ramiona, a potem zaprowadziła mnie z powrotem do łóżka. Później, gdy moje nocne wędrówki się nie skończyły, kazała założyć zamek przy wyjściu na dach, tak żebym nie mogła tam wychodzić.

Pauline wreszcie skończyła. Uleciały jej ostatnie, pełne czci słowa. *Niechaj i tak będzie na wieki.*

– Na wieki – szepnęłam do siebie, zastanawiając się, ile to czasu.

Zwinęła się na kocu obok mnie, przykryłam nas obie ślubną peleryną. Cisza, która nagle zapadła, sprawiła, że las zrobił zuchwały krok naprzód, a nasz krąg światła zmalął.

Pauline szybko zasnęła, ja jednak nadal przeżywałam wydarzenia minionego dnia. Nieważne, że byłam wykończona, a w zmęczonych mięśniach wciąż czułam skurcze – w mojej głowie rozpoczęła się gonitwa myśli.

Jedynym pocieszeniem było patrzenie w migające gwiazdy i myśl, że książę Dalbreck prawdopodobnie też teraz nie śpi, tylko wściekły jedzie do domu porytą koleinami drogą, a od podróży zimnym, niewygodnym powozem bolą go wszystkie stare kości. Nie ma przy sobie młodej żony, która mogłaby go ogrzać.



Rozdział 3

KSIĄŻĘ

Zapiąłem klamrę w sakwie. Miałem zapasy na dwa tygodnie, a w torbie dodatkowe monety, które się przydadzą, jeśli zajmie mi to dłużej. Po drodze z pewnością wstąpię do jednego czy dwóch zajazdów. Prawdopodobnie znajduję się jakiś dzień drogi od cytadeli.

– Nie pozwolę ci tego zrobić.

Uśmiechnąłem się do Svena.

– Myślisz, że mam jakiś wybór?

Nie byłem już jego podopiecznym, którego miał chronić przed kłopotami. Byłem dorosłym mężczyzną, wyższym od niego o pięć centymetrów i cięższym o trzynaście kilogramów, i miałem w sobie tyle stłumionej wściekłości, że mogłem uchodzić za budzącego postrach przeciwnika.

– Nadal jesteś zły. A przecież minęło zaledwie kilka dni. Daj sobie trochę więcej czasu.

– Nie jestem zły. Raczej rozbawiony. Zaciekawiony.

Sven złapał lejce mojego konia, przez co zwierzę się szarpnęło.

– Jesteś zły, bo ona jako pierwsza wpadła na ten pomysł.

Czasami go nienawidziłem. Jak na okaleczonego w walce twardziela był za bardzo spostrzegawczy. Zabrałem mu lejce.

– Tylko rozbawiony. I zaciekawiony – zapewniłem.

– Już to mówiłeś.

– Tak. – Przykryłem grzbiet konia kocem i wygładziłem fałdy.

Sven nie widział nic zabawnego w mej wyprawie i gdy zakładałem siodło, cały czas próbował mnie powstrzymać. Prawie go nie słuchałem. Myślałem tylko o tym, jak dobrze będzie stąd wyjechać. Mój ojciec był bardziej wściekły niż ja; twierdził, że to celowy afront: *Bo jaki król nie potrafi zapanować nad swoją córką?* To była jedna z jego rozsądniejszych wypowiedzi.

On i jego rząd już rozmieszczali oddziały w oddalonych fortyfikacjach, by udowodnić Morrighan, na czym polega stanowczość. Zawarty z takim trudem sojusz został obalony, jednak o wiele gorsze niż dumne wypinanie piersi rządu i teorie konspiracyjne były pełne smutku spojrzenia mojej matki. Próbowwała już

znaleźć mi inną pannę młodą, tym razem w Królestwach Mniejszych, albo nawet spośród naszej arystokracji, ale przecież zupełnie nie o to chodziło.

Włożyłem stopę w strzemień i wspiąłem się na siodło. Koń prychnął i tupnął, tak jak i ja, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Poczekaj! – zawołał Sven i stanął mi na drodze, co było dość niemądrym zachowaniem jak na kogoś, kto miał sporą wiedzę o koniach – zwłaszcza moich. Zorientował się, co zrobił, i przesunął się na bok. – Nawet nie wiesz, dokąd uciekła. Jak chcesz ją znaleźć?

Uniosłem brwi.

– Sven, nie wierzysz w moje umiejętności. Uczyłem się od najlepszych.

Niemal widziałem, jak sam siebie przeklina. Zawsze nacierał mi twarz, gdy nie potrafiłem się skupić, walił mnie po uszach, gdy byłem od niego niższy o dwie głowy, i przypominał, że mam najlepszego nauczyciela i nie wolno mi zmarnować tego czasu. Oczywiście oboje byliśmy świadomi ironii losu. Miał rację. Miałem najlepszego nauczyciela. Nauczył mnie wszystkiego. W wieku ośmiu lat trafiłem do niego jako terminator, w wieku lat dwunastu zostałem kadetem, w wieku czternastu złożyłem śluby, a jako szesnastolatek oficjalnie stałem się żołnierzem. Pod jego opieką spędziłem więcej czasu niż z własnymi rodzicami. Byłem utalentowanym wojownikiem, w dużej mierze zawdzięczałem to właśnie jemu, wyróżniałem się podczas treningów, co czyniło tę sytuację jeszcze bardziej nieznośną. Prawdopodobnie byłem najmniej wypróbowanym w praktyce wojownikiem w historii.

Lekcje Svena obejmowały historię królewskiego wojska – czyli dokonania wielu przodków. Członkowie rodziny królewskiej, łącznie z moim ojcem, zawsze mieli wojskowe doświadczenie. Został generałem, gdy jego własny ojciec nadal siedział na tronie, ponieważ jednak byłem jedynym następcą jedyne następcy, moja aktywność wojownika została bardzo ograniczona. Nie miałem nawet kuzyna, który ewentualnie mógłby zająć moje miejsce. Zawsze jeździłem z towarzyszami, nigdy jednak nie puszczano mnie na front. Zanim mogłem wjechać na jakiegokolwiek pole bitwy, pilnowano, by już dawno było po wszystkim, a i tak nawet wtedy byłem otoczony najsilniejszymi wojownikami z oddziału, którzy chronili mnie przed flarami.

Aby mi to zrekompensować, Sven zawsze dawał mi dwa razy więcej najgorszej i najbrudniejszej roboty przeznaczonej dla naszego oddziału, by zdusić w zarodku wszelkie plotki o tym, że jestem faworyzowany – od czyszczenia pełnych nawozu stajni po ładowanie na wozy i wywożenie trupów po bitwie. Nigdy nie dostrzegłem gniewu na twarzach moich kompanów ani nie słyszałem od nich słowa skargi, jednak widziałem współczucie w ich oczach. Wojownik bez doświadczenia, niezależnie od tego, jak świetnie wyszkolony, nie jest wojownikiem.

Sven dosiadł swego konia i zaczął jechać obok mnie. Wiedziałem, że daleko nie zajędzie. Chociaż bardzo krytykował moje plany – to był jego obowiązek – przez wszystkie lata spędzone razem bardzo się ze sobą zżyliśmy.

– A jak się dowiem, gdzie jesteś?

– Nie dowiesz się. To dopiero, prawda?

– A co mam powiedzieć twoim rodzicom?

– Że miałem muchy w nosie i wyjechałem na lato do chaty myśliwskiej. Powinno im się to spodobać. To miłe, bezpieczne miejsce.

– Na całe lato?

– To się okaże.

– Coś może się wydarzyć.

– Owszem. Nawet mam nadzieję, że się wydarzy. Nie ułatwiasz sobie zadania, wiesz?

Obserwowałem go kątem oka. Widziałem, jak przygląda się mojemu ekwipunkowi, co oznaczało, że jest naprawdę zrezygnowany i pozwoli mi pójść w nieznane. Gdybym nie był następcą tronu, w ogóle by się nad tym nie zastanawiał, wiedział, że doskonale przygotował mnie na to, co najgorsze i najbardziej zaskakujące. Moje umiejętności – przynajmniej podczas treningów – zostały potwierdzone. Chrząknął, co oznaczało, że niechętnie zgadza się na tę wyprawę. Przed nami znajdował się jar, tak wąski, że nie mieściły się w nim dwa konie obok siebie. Wiedziałem, że w tym miejscu się rozstaniemy. Dzień powoli się kończył.

– Staniesz z nią twarzą w twarz?

– Nie. Prawdopodobnie nawet nie będę z nią rozmawiać.

– To dobrze. Lepiej, żebyś tego nie robił. A jeśli już do tego dojdzie, uważaj na to, jak wymawiasz „r” i „l”. Inaczej zdradzisz swoje pochodzenie.

– Już na to wpadłem – powiedziałem, by dać mu do zrozumienia, że pomyślałem o wszystkim. Jednak tak naprawdę ten szczegół mi umknął.

– Jeśli będziesz chciał wysłać mi jakąś wiadomość, napisz ją w starym języku, na wypadek gdyby została przechwycona.

– Nie będę wysyłać żadnych wiadomości.

– Niezależnie od tego, co będziesz robić, nie mów jej, kim jesteś. Głowa państwa Dalbreck, osobiście interweniująca na terenach Morrighan – to może zostać potraktowane jako wypowiedzenie wojny.

– Sven, mylisz mnie z moim ojcem. Nie jestem głową państwa.

– Jesteś następcą tronu i reprezentantem ojca. Żebyś tylko nie pogorszył sytuacji Dalbreck i swoich kompanów.

Zamilkliśmy.

Po co w ogóle tam jechałem? Jaki to miało cel, skoro mogło się okazać, że nie uda mi się sprowadzić jej z powrotem, a być może w ogóle z nią nie

porozmawiam? Wiedziałem, że takie właśnie myśli kłębiły się w głowie Svena, ale nie było tak, jak sądził. Nie byłem zły, bo jako pierwsza wpadła na pomysł ucieczki. Mnie przyszło to do głowy już dawno temu, gdy mój ojciec wysunął propozycję małżeństwa, jednocześnie przekonał mnie jednak, że ten sojusz jest bardzo korzystny dla Dalbreck i jeśli po ślubie postanowię wziąć sobie kochankę, to dwór będzie udawać, że tego nie widzi. Byłem zły, bo wykazała się odwagą, którą ja nie potrafiłem się wykazać. Kim była ta dziewczyna, która zagrała na nosie dwóm królestwom i robiła to, co chciała? Pragnąłem się tego dowiedzieć.

Gdy zbliżaliśmy się do jaru, Sven przerwał milczenie.

– Chodzi o ten liścik, prawda?

Na miesiąc przed ślubem Sven doręczył mi liścik od księżniczki. Potajemny liścik. Gdy mi go wręczał, pieczęć nadal znajdowała się na swoim miejscu. Nigdy nie poznał jego treści. Ja ją przeczytałem i zignorowałem, i to prawdopodobnie był mój błąd.

– Nie, nie jadę ze względu na liścik. – Pociągnąłem krótko za lejce i zatrzymałem konia, a następnie odwróciłem się do Svena. – Przecież wiesz, że nie chodzi o księżniczkę Arabelle.

Pokiwał głową. Nadchodził długi okres w moim życiu. Nauczyciel poklepał mnie po ramieniu, a następnie bez słowa zawrócił konia i odjechał w stronę Dalbreck. Ruszyłem jarem, jednak po kilku kilometrach wyjąłem liścik z wewnętrznej kieszeni kamizelki. Spojrzałem na pośpiesznie nabazgrane litery. Nie był to charakter pisma księżniczki.

W dzień naszego ślubu

chciałabym cię najpierw ocenić.

Wsunąłem liścik z powrotem do kieszeni. Niech się stanie wedle jej życzenia.



stnieje jedna prawdziwa historia

I jedna prawdziwa przyszłość.

Słuchajcie uważnie,

Albowiem dziecko, które wyrosło z cierpienia,

Będzie tym, które przyniesie nadzieję.

Od najsłabszych przybędzie siła.

Od prześladowanych przybędzie wolność.

– Pieśń Vendy



Rozdział 4

ZABÓJCA

Chętnie sam bym to załatwił, ale muszę wracać do obowiązków w Vendzie. Uwiniesz się w jeden dzień. Ostatecznie ona jest tylko członkiem rodziny królewskiej. Wiesz, jacy oni są. I do tego ma zaledwie siedemnaście lat. Znalezienie jej będzie bardzo proste!

Uśmiechnąłem się na wyobrażenie Komizara o rodzinach królewskich, ale nie musiałem mu odpowiadać. Obaj wiedzieliśmy, że to bardzo łatwe zadanie. Spanikowana zwierzyna nie zastanawia się nad zacieraniem śladów. Komizar wielokrotnie wykonywał takie zadania. To on mnie wytrenował.

Skoro ma być tak łatwo, to dlaczego ja nie mogę pojechać? Eben był niezadowolony.

To nie jest zadanie dla ciebie, powiedziałem mu. A on bardzo chciał udowodnić swe umiejętności. Świetnie znał ich język i sposoby walki, a ponieważ był mały i ledwo co skończył dwanaście lat, mógł uchodzić za dziecko, zwłaszcza z tymi smutnymi piwnymi oczami i twarzą cherubina, dzięki której rozwiewał wszelkie podejrzenia. Istniała jednak różnica między zabijaniem podczas bitwy a poderżnięciem gardła śpiącej dziewczynie. Nie był na to gotowy. Na widok zaskoczenia w jej oczach mógłby się zawahać. To najtrudniejszy moment, wtedy nie ma czasu do namysłu. Nie będzie drugiej szansy. Komizar wyraził się jasno.

Sojusz między Morrighan a Dalbreck może zniweczyć wszystkie nasze wysiłki. A najgorsze, że ta dziewczyna jest podobno Siarra. My może i nie wierzymy w takie bzdury, ale inni wierzą, co może dodać im odwagi lub sprawić, że spróbują przestraszyć naszych ludzi. Nie możemy ryzykować. Jej ucieczka oznacza dla nich pecha, a dla nas uśmiech losu. Masz się zakraść i uciec – to twoja specjalność. A jeśli uda ci się zrobić to tak, by wina spadła na Dalbreck, tym lepiej. Wiem, że wypełnisz ten obowiązek, zawsze tak robisz.

Tak, zawsze wypełniałem moje obowiązki. W oddali droga się rozwidła, Eben zrozumiał, że to jego ostatnia szansa na podjęcie walki.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego to ja nie mogę jechać. Przecież znam ich język tak dobrze jak ty.

– A znasz wszystkie dialekty Morrighan? – spytałem.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Griz wyciągnął rękę i trzepnął go w bok głowy. Eben zaskowytał, co wywołało głośny rechot pozostałych mężczyzn.

– Komizar chce, żeby to on się tym zajął, nie ty! – krzyknął. – Przestań się mazać!

Przez resztę drogi Eben siedział cicho.

Dotarliśmy do miejsca, w którym nasze drogi się rozchodziły. Griz i jego banda trzech byli obdarzeni wyjątkowymi umiejętnościami. Będą jeździć po najdalej wysuniętej na północ części Morrighan, gdzie król głupio zgromadził niemal wszystkie swoje siły. Banda Griza stworzyła własne sposoby na sianie zamętu i chaosu. Ich działania nie były tak krwawe jak moje, ale równie skuteczne. Ich praca trwała znacznie dłużej, co oznaczało, że będę mieć „odpoczynek”, jak to określił Griz. Po wykonaniu zadania poczekam na nich w pewnym obozie w Cam Lanteux, a potem razem wrócimy do Vendy. Obaj doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że odpoczynek w Cam Lanteux był niemożliwy.

Patrzyłem, jak ruszyli swoją drogą, Eben siedział nadąsany w siodle.

To nie zadanie dla ciebie.

Czy gdy byłem w wieku Ebena, też z całych sił pragnąłem zadowolić Komizara?

Tak.

Od tego czasu minęło zaledwie kilka lat, miałem jednak wrażenie, że to było wieki temu.

Komizar był starszy ode mnie zaledwie o jakieś dziesięć lat, gdy został władcą Vendy, sam ledwo stał się dorosłym mężczyzną.

To właśnie wtedy wziął mnie pod swoje skrzydła. Ocalił mnie przed śmiercią głodową. Ochronił przed wieloma rzeczami, o których starałem się zapomnieć. Dał mi to, czego nie otrzymałem od moich pobratymców. Szansę. Nigdy nie przestawałem mu się za to odwdzięczać. Niektórych długów nie da się spłacić.

Jednak po raz pierwszy miałem przed sobą takie zadanie. Nie żebym wcześniej nie podrzynał gardel pod osłoną nocy, jednak gardła te zawsze należały do wojskowych, zdrajców czy szpiegów i wiedziałem, że ich śmierć oznaczała życie dla moich kompanów. Nawet wtedy, za każdym razem, gdy moje ostrze rozcinało skórę, oczy patrzące na mnie z przerażeniem i zaskoczeniem kradły część mojej duszy.

Sam walnąłbym Ebena, gdyby po raz kolejny rozpoczął ten temat. Był za młody, by zacząć tracić samego siebie.

Zakraść się i uciec. A potem udać się na zasłużony odpoczynek.



ważali się za gorszych

jedynie od bogów,

byli dumni ze swej władzy nad niebem i ziemią.

Mieli coraz większą wiedzę,

ale coraz mniejszą mądrość,

łaknęli coraz więcej władzy,

ciemieżyli bezbronnych.

– Księga Świętych Tekstów Morrighan, tom IV



Rozdział 5

Terravin znajdował się tuż za kolejnym zakrętem – tak przynajmniej powiedziała Pauline. Kilkanaście razy. Gdy rozpoznawała punkty orientacyjne, udzieliły mi się jej ekscytacja i wyczekiwanie. Minęliśmy rozłożyste drzewo, na którego pniu zakochani wydrapywali swoje imiona, potem ustawione w półkolu niskie marmurowe ruiny, przypominające wybrakowane uzębienie starca, aż wreszcie, w oddali, dostrzegłyśmy na wzgórzu połyskującą niebieską taflę wody, otoczoną jałowcami. To oznaczało, że jesteśmy już blisko.

Dotarcie do tego miejsca zajęło nam dziesięć dni, ale z pewnością przyjechałybyśmy wcześniej, gdybyśmy nie straciły dwóch dni na zostawianie fałszywych śladów, na wypadek gdyby ścigali nas ludzie ojca.

Pauline była przerażona, gdy zdjęłam drogocenną suknię ślubną i wrzuciłam ją w gęstwinę jeżyn, ale potem była pozytywnie zaskoczona, kiedy użyłam sztyletu do odprucia klejnotów ze ślubnej peleryny, a resztki materiału przywiązałam do polana i wrzuciłam do rzeki. Wykonała w moim imieniu trzy znaki pokuty. Jeśli peleryna zostanie odnaleziona, miałam nadzieję, że wszyscy pomyślą, iż utonęłam. Za to, że chciałam, by moi rodzice otrzymali takie straszliwe wieści, sama powinnam odpokutować, po chwili jednak przypomniałam sobie, że oni nie tylko byli gotowi na wysłanie swej córki w nieznane, by poślubiła człowieka, którego nie kochała, lecz także na oddanie jej królestwu, któremu nie ufali. Przełknęłam gulę, która narastała w moim gardle, i nie odezwałam się ani słowem, patrząc, jak peleryna, którą nosiły moja matka, babka i ich matki, odpływa w nieznanym kierunku.

W Luiseveque, dużym mieście, oddalonym około dwie godziny drogi od naszej trasy, wymieniliśmy klejnoty na monety – i dorzuciłyśmy kupcowi trzy niebieskie szafiry, by zapomniał, skąd pochodziły wszystkie kosztowności. Ten rodzaj handlu sprawiał nam dziką przyjemność i napawał nas ekscytacją. Gdy tylko wyjechałyśmy z powrotem na drogę, zaczęłyśmy się śmiać z naszej zuchwałości. Kupiec patrzył na nas jak na złodziejki, ponieważ jednak transakcja była na jego korzyść, nie odezwał się ani słowem.

Od tego miejsca musiałyśmy cofnąć się kilka kilometrów, a potem pojechałyśmy dalej na Wschód. Na obrzeżach niewielkiej wsi zatrzymałyśmy się na pewnej farmie i sprzedałyśmy zaskoczonemu farmerowi nasze Raviany za trzy

osły. Dałyśmy mu również kilka monet, żeby zachował naszą wizytę dla siebie.

Dwie dziewczyny, które wjechały do Terravinu na wspaniałych rumakach, charakterystycznych dla stajni Morrighan, z pewnością przykułyby uwagę wszystkich, a przecież nie mogłyśmy sobie na to pozwolić. Nie potrzebowałyśmy trzech osłów, ale farmer upierał się, że bez pierwszych dwóch trzeci będzie zagubiony. Okazało się, że to prawda – szedł tuż za nimi, w ogóle nie musiałyśmy go ciągnąć. Farmer nazwał je Otto, Nove i Dieci. Ja jechałam na Ottonie, największym z całej trójki, potężnym brązowym zwierzęciu o białym pysku i długich włosach między uszami. Po przejechaniu setek kilometrów byłyśmy już tak brudne, a nasze buty z miękkiej skóry były tak ubłocone, że niemal nikt nie zwracał na nas uwagi. Nikt nie chciał patrzeć na nas dłużej niż to konieczne – i właśnie tego chciałam. Nie mogłam dopuścić do tego, by ktokolwiek zniszczył nasze marzenia o Terravinie.

Wiedziałam, że jesteśmy już blisko. Coś wisiało w powietrzu, jakieś światło, coś, czego nie potrafiłam określić, ale przepływało przeze mnie niczym ciepły głos. Do domu. Do domu. Wiedziałam, że to głupota. Terravin nigdy nie był moim domem, ale może mógłby nim zostać.

Na tym ostatnim odcinku drogi nagle mój żołądek skurczył się ze strachu na myśl o tym, że usłyszę tętent obcych kopyt. To, co ludzie ojca zrobią ze mną, to jedno. Najbardziej bałam się jednak tego, co mogą zrobić z Pauline. Zaplanowałam, że jeśli zostaniemy złapane, powiem im, że zmusiłam Pauline do pomocy wbrew jej woli. Musiałam jeszcze przekonać ją do tej wersji, co z pewnością będzie trudne, bo ona zawsze mówiła prawdę.

– Tam! Patrz! Między drzewami! – krzyknęła przyjaciółka, wskazując coś w oddali. – Błękitny pas! To Zatoka Terravin!

Wyciągnęłam szyję, jednak nie mogłam dostrzec nic poza grubymi pniami drzew, odrapanych dębów i trawiastych wzgórz między nimi. Popędziłam Ottona, tak jakby zwierzę, które poruszało się z jednostajną prędkością, w ogóle mogło przyspieszyć. Gdy jednak wyjechałyśmy z zakrętu, naszym oczom ukazała się nie tylko zatoka, lecz także cała wioska Terravin.

Była tak piękna, jak opisywała ją Pauline.

Ponownie poczułam ucisk w żołądku.

Po turkusowym półkolu pływały czerwone i żółte łódki, niektóre z białymi żaglami, inne z wielkimi, burzącymi wodę kołami łopatkowymi z tyłu. Jeszcze inne rozpryskiwały wodę w rytm uderzeń wiosł. Z miejsca, w którym stałyśmy, zdawały się tak małe, że równie dobrze mogłyby być dziecięcymi zabawkami. Wiedziałam jednak, że na ich pokładach znajdowali się ludzie, słyszałam nawoływania rybaków, cieszących się z połowów, wiatr niósł ich głosy, dzielił się z nami ich radością i zwycięstwem, powtarzał ich historie. Na brzegu, do którego płynęło wielu z nich, znajdowała się długa przystań z jeszcze większą liczbą łodzi

i ludźmi, przypominającymi mrówki, bez reszty zajęte swoją pracą. A potem, co było chyba najpiękniejsze, zobaczyłam domy i sklepy, wzniesione na zboczu wzgórza, każdy z nich w innym kolorze – jasnoniebieskim, wiśniowym, pomarańczowym, fioletowym, cytrynowym. Zatoka Terravin przypominała wielką misę z barwnymi owocami, otoczoną ciemnozielonymi palcami lasu, które trzymały tę wielokolorową obfitość.

Zrozumiałam już, dlaczego Pauline zawsze chciała wrócić do rodzinnej wsi, z której wyrwano ją po śmierci matki. Posłano ją do ciotki, mieszkającej daleko na północy kraju, a potem, gdy ciotka zachorowała, przekazano ją do kolejnej ciotki, której nawet nie znała. Owa ciotka była opiekunką mej matki. Życie Pauline składało się z ciągłych wędrówek, teraz jednak udało się jej wrócić do swego domu, do korzeni. Wystarczył jeden rzut oka i wiedziałam, że to miejsce może stać się również moim domem, w którym nieważne będzie to, kim jestem. Nagle mój entuzjazm opadł. *Jakże chciałabym, żeby zobaczył to mój brat, Bryn!* On tak bardzo kochał morze.

Moje rozmyślenia przerwał głos Pauline:

– Czy coś się stało? Nie odezwałaś się ani słowem. Co o tym sądzisz?

Spojrzałam na nią i poczułam, że w oczach zbierają mi się łzy.

– Myślę... że jeśli się pośpieszymy, to jeszcze przed kolacją uda nam się wykapać. – Klepnęłam Ottona w zad. – Pierwsza!

Pauline nie dała się tak łatwo prześcignąć – wrzasnęła dziko i walnęła swojego osła po żebrach, by ruszył za mną.

Nasza nieroztropność została powstrzymana na głównej drodze, wijącej się przez miasto. Wetknęliśmy włosy pod kaptury, a same kaptury zaciągnęliśmy na oczy. Terravin był niewielkim, położonym na uboczu miasteczkiem, ale przecież mogła się tu zatrzymać Królewska Straż lub tropiciele od ojca. Jednak nawet z brodą przyciśniętą do klatki piersiowej chłonęłam otaczający mnie świat. Takie wspaniałości! Takie dźwięki! Takie zapachy! Nawet stukot kopyt naszych osłów na wyłożonych czerwoną kostką ulicach brzmiał jak muzyka. Miejsce to różniło się od Civica pod każdym względem.

Minęliśmy plac, na który cień rzucało wielki figowiec. Pod jego rozłożystą koroną dzieci skakały na skakance, a muzycy grali na flecie i bandoneonie, wydobywając radosne dźwięki, cieszące uszy mieszkańców miasta, którzy rozmawiali przy niewielkich stolikach, ustawionych wzdłuż brzegu.

Jeszcze dalej kupcy polewali sąsiednie drogi wodą. Przed jednym ze stoisk na wietrze powiewała tęcza szali i apaszek, a przed innym wystawiono kolorowe rzędy świeżych błyszczących bakłażanów, kabaczków, kopru włoskiego i wielkich różowych rzep. Nawet sklep z siodłami został pomalowany na radosny turkusowy odcień. Nigdzie nie widziałam stonowanych kolorów Civica. Tutaj wszystko było pełne barw.

Nikt nie zwracał na nas uwagi. Wmieszałyśmy się w tłum. Byłyśmy dwiema zwykłymi pracownicami, wracającymi do domu po długim dniu, albo po prostu zmęczonymi nieznanymi, szukającymi przyjaznego miejsca na nocleg. W spodniach i kapturach prawdopodobnie wyglądałyśmy jak wychudzeni mężczyźni. Na widok miasteczka, które Pauline tyle razy mi opisywała, próbowałam powstrzymać uśmiech. Dojrzawszy jadącą w naszym kierunku Królewską Straż, zamarłam. Pauline również ich dostrzegła i pociągnęła za lejce, jednak szybko szepnęłam do niej:

– Jedź dalej. Spuść głowę.

Cały czas jechałyśmy przed siebie, tak przerażone, że nie odważyłyśmy się oddychać. Wojownicy rozmawiali ze sobą i co jakiś czas wybuchiali śmiechem, ich konie jechały spokojnie. Za nimi na wozie siedział trzeci wojownik.

Nawet nie spojrzeli w naszą stronę. Gdy nas minęli, Pauline odetchnęła z ulgą.

– Zapomniałam. Suszona i wędzona ryba. Raz w miesiącu przyjeżdżają tu ze wschodniej twierdzy po zapasy, głównie rybę.

– Raz w miesiącu? – szepnęłam.

– Chyba tak.

– W takim razie przyjechałyśmy tu w odpowiedniej chwili. Przez jakiś czas nie będziemy musiały się nimi martwić. Poza tym i tak mnie nie poznają.

Przyjrzała mi się, a potem zmarszczyła nos.

– Nikt by cię nie poznał, może poza świniami w domu.

Jakby na zawołanie Otto zaryczał. Roześmiałyśmy się i zaczęłyśmy się ścigać, która pierwsza weźmie ciepłą kąpiel.

Gdy Pauline zapukała do niewielkich drzwi z tyłu zajazdu, wstrzymałam oddech. Drzwi natychmiast się otworzyły, ale kobieta, która się w nich ukazała, tylko machnęła do nas ręką i krzyknęła:

– Połóżcie to tam! Na bloku rzeźniczym!

I już wracała do wielkiego kamiennego paleniska, by na wielkiej drewnianej łopacie wyjąć chleb z pieca. Pauline i ja nie ruszyłyśmy się z miejsca, co wreszcie zwróciło uwagę kobiety.

– Mówiłam, żebyście...

Odwróciła się do nas i zmarszczyła brwi.

– Hmm. Nie przywiozłyście mojej ryby, prawda? Czyli pewnie jesteście żebraczkami. – Wskazała stojący przy drzwiach kosz. – Weźcie sobie po jabłku i ciastku i idźcie stąd. Jeśli wrócicie pod koniec dnia, będę miała dla was trochę gorącej stawy.

Krzyknęła coś do kogoś, kto odkrzyknął do niej z przedniej części zajazdu. Przez drzwi wahadłowe wpadł wysoki chudy chłopak, niosący jutową szmatkę, spod której wystawał machający rybi ogon.

– Ty cymbale! Gdzie mój dorsz? Przecież na tym nie ugotuję zupy! – Wzięła od chłopaka niewielką rybę, rzuciła na blok rzeźniczy i jednym zdecydowanym ruchem odrąbała jej głowę. Chyba stwierdziła, że ta ryba jednak będzie musiała wystarczyć.

A więc to była Berdi. Amita Pauline. Jej ciotka. Nie krewna, ale kobieta, u której pracowała matka Pauline i która zapewniła jej dach nad głową po przedwczesnej śmierci męża, gdy kobieta została sama z niemowlęciem.

Berdi błyskawicznie wypatroszyła i wyfiletowała rybę, po czym wrzuciła ją do kotła z gotującą się strawą. Wytarła dłonie w fartuch, odwróciła się, spojrzała na nas i uniosła brew. Odgarnęła z czoła pasemko siwawych włosów.

– Jeszcze tu jesteście? Przecież kazałam wam...

Pauline zrobiła dwa kroki do przodu i zdjęła kaptur. Długie, kręcone włosy koloru miodu rozsypały się jej na plecach.

– Amita?

Na twarzy starszej kobiety pojawiło się oszołomienie. Podeszła bliżej i zmrużyła oczy.

– Pollypie?

Pauline pokiwała głową.

Berdi rozpostarła ramiona i przycisnęła moją przyjaciółkę do piersi. Po wielu uściskach i niedopowiedzianych zdaniach Pauline wreszcie oderwała się od ciotki i odwróciła w moją stronę.

– A to Lia, moja przyjaciółka. Obawiam się, że wpadłyśmy w tarapaty.

Berdi przewróciła oczami i uśmiechnęła się szeroko.

– Ciepła kąpiel i dobry gorący posiłek rozwiążą każdy problem.

Podbiegła do wahadłowych drzwi, otworzyła je i wrzasnęła:

– Gwyneth! Wychodzę na pięć minut! Enzo ci pomoże!

Odwróciła się w naszą stronę. Przyjrzałam się jej uważnie i zauważyłam, że jak na kobietę w jej wieku, noszącą przed sobą wielki brzuch – zapewne od smakowania gotowanych potraw – jest bardzo zwinna. Z przodu zajazdu dobiegły nas cichy jęk i trzask naczyń. Berdi zignorowała to i wyprowadziła nas przez tylne drzwi.

– Cymbał – czyli Enzo – ma potencjał, ale jest leniwy jak diabli. Ma to po swoim niezaradnym ojcu. Ja i Gwyneth cały czas nad tym pracujemy. Jeszcze będą z niego ludzie. A o dobrą pomoc bardzo trudno.

Poszłyśmy za nią po kamiennych schodach na wzgórze za zajazdem, a potem w dół, zasypaną liśćmi ścieżką, w stronę ciemnego domku, stojącego w pewnej odległości od pozostałych budynków. Tuż za nim rozpościerał się las. Berdi wskazała wielki żelazny zbiornik, stojący na wysokim ceglanym palenisku.

– Potrafi jednak utrzymać ogień, więc goście mogą wziąć gorącą kąpiel, a to jest coś, czego obie potrzebujecie w pierwszej kolejności.

Gdy podeszłyśmy bliżej, usłyszałam cichy szum strumienia gdzieś w lesie za wioską i przypomniałam sobie potok, o którym opowiadała Pauline, jego brzegi, na których dokazywała z matką i kamienie, po których skakała.

Berdi zaprowadziła nas do domku, przeprosiła za bałagan, uprzedziła, że dach przecieka i że domek jest wykorzystywany tylko w razie nadkompletu gości. Ponieważ teraz zajazd był przepełniony, jedyną alternatywę stanowiła obora. Zapaliła lampion i wyciągnęła z rogu na środek pokoju wielką miedzianą misę. Przystanąła, by rąbkami fartucha wytrzeć pot z czoła. Po raz pierwszy, odkąd ją zobaczyłam, okazała zmęczenie.

– No dobrze, w jakie tarapaty mogły wpaść takie dwie młode dziewczyny? – Rzuciła okiem na nasze brzuchy i dodała: – Chodzi o chłopców, tak?

Pauline oblała się rumieńcem.

– Nie, Amita, nic z tych rzeczy. To w sumie nawet nie są tarapaty. Przynajmniej nie muszą nimi być.

– Tak naprawdę to tylko ja mam problemy – odezwałam się po raz pierwszy, występując przed przyjaciółką. – Pauline tylko mi pomaga.

– Ach. Czyli jednak potrafisz mówić.

– Może powinna pani usiąść, żebyśmy mogła...

– Po prostu wyduś to z siebie, Lio. Masz na imię Lia, prawda? Nie ma nic, czego wcześniej bym nie słyszała.

Stała obok misy, trzymając w rękach wiadro, i czekała na wyjaśnienia. Postanowiłam spełnić jej życzenie.

– Tak. Lia. A dokładniej księżniczka Arabella Celestine Idris Jezelia, Pierwsza Córka Domu Morrighan.

– Jej Królewska Mość – dodała łagodnie Pauline.

– *Była* Królewska Mość – poprawiłam.

Berdi przechyliła głowę, tak jakby niedosłyszała, a potem pobladła. Pomacała ręką za sobą w poszukiwaniu filaru łóżka i opadła na materac.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Pauline i ja zaczęłyśmy jej na zmianę wszystko wyjaśniać. Nie odezwała się ani słowem, co, jak podejrzewałam, było do niej dość niepodobne. Widziałam, że Pauline czuje się coraz mniej pewnie.

Gdy powiedziałyśmy już wszystko, podeszłam bliżej.

– Jesteśmy pewne, że nikt za nami nie jechał. Znam się na gubieniu śladów. Mój brat jest tropicielem w Królewskiej Straży. Jeśli jednak moja obecność jest dla pani kłopotliwa, wyjadę stąd.

Przez chwilę Berdi siedziała bez słowa, tak jakby prawda dopiero zaczęła do niej docierać, a potem uniosła z zaciekawieniem jedną brew. Później wstała.

– Do licha ciężkiego, tak, twoja obecność jest dla mnie kłopotliwa! Czy jednak mówiłam coś o tym, że masz stąd wyjeżdżać? Zostajesz tutaj. Obie

zostajecie. Ale nie mogę zapewnić wam...

Przerwałam, czytając w jej myślach:

– Nie oczekuję ani nie chcę poświęcania mi szczególnej uwagi. Przyjechałam tu, ponieważ pragnęłam prawdziwego życia. I wiem, że w związku z tym muszę na siebie zarabiać. Niezależnie od tego, jaką pracę mi pani znajdzie, chętnie się jej podejmę.

Pokiwała głową.

– Później o tym pomyślimy. Na razie musicie się wykapać i najeść. – Zmarszczyła nos. – Koniecznie w tej kolejności.

– Jeszcze jedno. – Odpięłam koszulę, odwróciłam się i zsunęłam materiał do pasa. Gdy zobaczyła mój ślubny kavah, westchnęła głęboko. – Jak najszybciej muszę się tego pozbyć.

Usłyszałam, jak do mnie podchodzi, a potem poczułam dotyk jej palców na moich plecach.

– Większość kavah jest widoczna przez zaledwie kilka tygodni, jednak ten może być bardziej trwały – orzekła.

– Wykonywali go najzdolniejsi rękodzielnicy, którzy wykorzystali najlepsze barwniki.

– Na pewno pomoże codzienne moczenie się w wannie – odparła. – Przyniosę ci szczotkę do mycia pleców i dobre mydło.

Założyłam koszulę i podziękowałam kobiecie. Pauline uściśnęła ją, a potem, po wyjściu Berdi, podniosła wiadro z podłogi.

– Wasza Wysokość, ty pierwsza.

– Przestań! – Wyrwałam jej wiadro. – Od dziś nie ma żadnej Waszej Wysokości. Ta część mojego życia zakończyła się raz na zawsze. Teraz jestem tylko Lia. Rozumiesz, Pauline?

Spojrzała mi w oczy i to wystarczyło. Dotarło do nas, że oto nastąpił prawdziwy początek, tak jak planowałyśmy. Tak bardzo tego pragnęłyśmy, nie wiedziałyśmy jednak, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Ale doszło. Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– I kąpiesz się pierwsza – dodałam.

Zaczęła nas rozpakowywać, a ja poszłam po gorącą wodę. Umyłam plecy przyjaciółki, tak jak ona myła mnie wiele razy wcześniej, potem jednak, gdy leżała w wannie i ze zmęczenia zaczęły jej się zamykać oczy, postanowiłam, że pójdę się wykapać do strumienia, tak by mogła rozkoszować się tą chwilą jak najdłużej. Nigdy nie będę mogła spłacić długu, jaki wobec niej miałam. Chciałam jej dać chociaż tyle.

Najpierw zaczęła słabo protestować, potem jednak powiedziała mi, jak dotrzeć do strumienia, i ostrzegła, żebym nie wchodziła na głęboką wodę. Powiedziała, że wśród gęstych zarośli znajduje się niewielki, bezpieczny staw.

Dwa razy obiecałam, że będę na siebie uważać, chociaż po chwili przyznała, że jeszcze nigdy nikogo tam nie widziała. A o tej porze, gdy wszyscy jedli kolację, z pewnością będę tam sama.

Znalazłam strumień, szybko się rozebrałam i zostawiłam brudne ubrania i odzież na zmianę na porośniętym trawą brzegu. Weszłam do wody i zadrżałam z zimna, jednak nawet w połowie nie była ona tak zimna jak strumienie w Civica. Moje ramiona zaczęły się rozgrzewać, gdy ponownie wyszłam na brzeg. Nabrałam powietrza, nowego powietrza, takiego, jakim jeszcze nie oddychałam.

Teraz jestem tylko Lia. Od dzisiaj aż do końca.

Czułam się jak podczas chrztu. Jakbym została dogłębnie oczyszczona. Woda spływała po moich policzkach i kapała z brody. Terravinie był nie tylko nowym domem. Dalbreck też mógł się nim stać, ale tam byłabym jedynie ciekawostką w obcym kraju, bez żadnego prawa głosu w kwestii mojej przyszłości. W Terravin miałam nowe życie. Było to zarówno ekscytujące, jak i przerażające. A co, jeśli już nigdy nie zobaczę moich braci? A jeśli w tym życiu również sobie nie poradzę? Ale jak dotąd wszystko działało na mnie zachęcająco, nawet Berdi. Może jakimś cudem uda mi się w tym nowym życiu?

Strumień był szerszy, niż się spodziewałam, ale zostałam na płyciznach, tak jak obiecałam Pauline. Woda była czysta, w stawie sięgała mi do ramion. Na dnie czułam prąd strumienia. Położyłam się na plecach, wpatrując się w poprzetykany złotymi nićmi baldachim z dębów i sosen. Zapadał zmierzch, cienie zaczęły się pogłębiać. Pomiędzy pniami migotały złote światła, palone przez mieszkańców Terravinu, przygotowujących się na wieczór. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że wsłuchuję się w otoczenie, czekając na pieśni, które wieczorami rozbrzmiewały w Morrighan, tutaj jednak od czasu do czasu słyszałam tylko pojedyncze melodie.

Znajdę cię...

W najodleglejszym zakątku...

Przerwałam mycie i przechyliłam głowę, żeby lepiej słyszeć. Głos, który śpiewał te słowa, był zupełnie inny, ostrzejszy niż głosy, którymi w domu śpiewano święte wspomnienia. Wersów też nie znałam, ale Święty Tekst był bardzo długi.

Melodie zniknęły, zabrane przez chłodny wiatr. Teraz słyszałam tylko szuranie szczotki do pleców, którą dała mi Berdi. Czułam pieczenie na lewym ramieniu, w miejscu, w którym mydliny pokrywały mój ślubny kavah, tak jakby toczyła się na nim bitwa. Przy każdym ruchu szczotką wyobrażałam sobie, jak lew z Dalbreck kurczy się z przerażenia, aż wkrótce na zawsze zniknie z mojego życia.

Szybko splukałam mydliny, próbując dostrzec śmierć lwa, ale w ciemnym świetle nadal widziałam kavah – na mym ramieniu winorośl cały czas wiała się wokół lwiej łapy – wciąż tak samo piękny jak wcześniej. Dziesięć dni temu chwaliłam pracę rękodzielników. Teraz miałam ochotę ich przekląć.

Trzask!

Zanurzyłam się w wodzie i gwałtownie się odwróciłam, gotowa na stawienie czoła intruzowi.

– Kto tam jest? – krzyknęłam, próbując zasłonić swoją nagość.

Odpowiedziała mi tylko cisza pustego lasu. Może to łania? Ale gdzie by tak szybko uciekła? Przeszukałam wzrokiem cienie drzew, jednak nie zauważyłam żadnego ruchu.

– To był tylko trzask jakiejś gałęzi – zaczęłam przekonywać sama siebie. – Pewnie przebiegło po niej jakieś małe zwierzę.

A może któryś z gości zajazdu urządził sobie spacer i szybko odszedł, zaskoczony moją obecnością? Uśmiechnęłam się na myśl, że mogłam kogoś przestraszyć – miałam tylko nadzieję, że nie zdążył zobaczyć moich pleców. Kavań były symbolem statusu i bogactwa, a mój, jeśli mu się dobrze przyjrzeć, wyraźnie świadczył o królewskim pochodzeniu.

Wyszłam z wody, szybko założyłam świeże ubrania, a potem dostrzegłam małego szarego królika, który schował się za drzewem. Odetchnęłam z ulgą.

To tylko małe zwierzę. Tak jak myślałam.



Rozdział 6

Po trzech dniach trzymania nas w ukryciu Berdi wreszcie dała nam trochę swobody i uwierzyła, że mówimy prawdę. Nikt nas nie śledził. Przypomniała nam, że musi myśleć o zajeździe i nie może sobie pozwolić na problemy z władzą, chociaż nie wyobrażałam sobie, żeby w takiej wiosce, jak Terravin ktokolwiek zwrócił na nas uwagę. Pozwoliła nam wychodzić i załatwiać dla siebie drobne sprawy, kupowałyśmy więc cynamon na stoisku smakosza, nici u kupca i mydełka dla gości zajazdu u mydlarza.

Miałam jeszcze trochę klejnotów ze ślubnej peleryny i mogłam zapłacić za swój pobyt w charakterze gościa, ale już nie chciałam nim być. Pragnęłam się zaangażować, zapuścić korzenie w miejscu, w którym zamieszkałam, tak jak wszyscy wokół – i nie być intruzem, który wykorzystuje swoją przeszłość. Dlatego klejnoty pozostały ukryte w naszym domku.

Gdy szłam do centrum miasteczka, czułam się jak za dawnych lat, kiedy razem z braćmi biegałam po Civica, spisując i ciągle się śmiejąc. To były czasy, gdy rodzice jeszcze nie ograniczali mojej wolności. A teraz została mi tylko Pauline. Zbliżyłyśmy się do siebie, stała się siostrą, której nigdy nie miałam. Współdzieliliśmy to, czego wcześniej zabraniał nam protokół Civiki.

Opowiadała mi kolejne historie o Mikaelu, a we mnie narastała tęsknota. Pragnęłam tego, co miała moja przyjaciółka – nieprzemijającej miłości, która potrafi przetrwać wielokilometrową, wielotygodniową rozłąkę. Gdy powtarzała, że ukochany ją znajdzie, wierzyłam jej. Oddanie Pauline w pewien sposób odbijało się w jej oczach; nie miałam wątpliwości co do tego, że jest warta wszelkiego poświęcenia. A ja?

– Czy to pierwszy chłopiec, z którym kiedykolwiek się całowałaś? – spytałam.

– A kto mówił, że się z nim całowałam? – rzuciła figlarnie.

Zaczęłyśmy chichotać. Dziewczętom z królewskiej służby nie wolno było zachowywać się w tak swobodny sposób.

– No cóż, a gdybyś miała go pocałować, to jak myślisz, jak byś się wtedy czuła?

– Och, jego pocałunek z pewnością byłby słodszy niż miód... – Pauline zaczęła się wachlować, jakby samo wspomnienie przyprawiało ją o zawroty

głowy. – Tak, myślę, że gdybym go pocałowała, byłoby bardzo, bardzo przyjemnie. – Westchnęłam. – Dlaczego wdychasz? Liu, przecież wiesz wszystko na temat pocałunków. Całowałaś się z połową chłopców ze wsi.

Przewróciłam oczami.

– Pauline, miałam wtedy trzynaście lat! To się nie liczy. Poza tym to była zabawa. Gdy tylko uświadomili sobie niebezpieczeństwo płynące z całowania córki króla, już nigdy się do mnie nie zbliżyli. Od tego czasu zaczęła się u mnie posucha.

– A Charles? To było dopiero co, zeszłego lata, cały czas oglądał się za tobą. Nie mógł oderwać od ciebie wzroku.

Pokręciłam głową.

– On tylko wlepił we mnie cielece spojrzenie. Gdy przydybałam go podczas ostatniego świętowania z okazji żniw, zwiął niczym przerażony królik. Najwyraźniej on również został ostrzeżony przez swoich rodziców.

– No cóż, chyba zdajesz sobie sprawę, że jesteś niebezpieczna? – zaczęła się ze mną droczyć.

– Mogę być. – Poklepałam sztylet ukryty pod kamizelką.

Parsknęła śmiechem.

– Charles pewnie się bał, że wciągniesz go w kolejny bunt, tylko dlatego że skradł twój pocałunek.

Niemal zapomniałam już o moim krótkotrwałym zrywie – został błyskawicznie stłumiony. Gdy Sekretarz i Mędrzec postanowili, że wszyscy uczniowie w Civica będą musieli spędzić dodatkową godzinę dziennie na uczeniu się Świętego Tekstu, zastrajkowałam. I tak już dwa razy w tygodniu uczyliśmy się tych niekończących się i bezsensownych dla nas ustępów. Moim zdaniem dodatkowa godzina dziennie nie wchodziła w rachubę. W wieku lat czternastu miałam ciekawsze rzeczy do roboty i jak się okazało, wielu uczniów się ze mną zgodziło. Miałam swoich zwolenników! Poprowadziłam rewolucję i na jej czele wtargnęłam do Wielkiej Sali, przerwałam posiedzenie gabinetu, w którym brali udział lordowie wszystkich regionów. Zażądałam, żeby odwołali swoje postanowienie, inaczej wszyscy rzucimy naukę, a może nawet – zagroziłam – uczynimy coś o wiele gorszego.

Ojciec i Wiceregent byli rozbawieni przez całe dwie minuty, za to Sekretarz i Mędrzec wściekli się natychmiast. Patrzyłam, jak kipią ze złości. Ojciec posłał mnie do komnaty na miesiąc, pozostali moi zwolennicy otrzymali podobne, choć krótsze kary. Małe powstanie upadło, ale o moim zuchwałym czynie szeptano po kątach jeszcze przez wiele miesięcy. Niektórzy nazywali mnie nieustraszoną, inni – głupią. W każdym razie od owego dnia wiele osób w gabinecie mojego ojca patrzyło na mnie podejrzliwie i chociażby z tego powodu warto było odsiedzieć miesiąc kary. To właśnie wtedy jeszcze bardziej ograniczono moją swobodę. Matka spędziła wiele godzin na uczeniu mnie królewskich manier i protokołu.

– Biedny Charles – westchnęła Pauline. – Czy twój ojciec naprawdę wkroczyłby do akcji przez jeden pocałunek?

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam pojęcia. Ale ponieważ zachodziło takie prawdopodobieństwo, każdy chłopiec wolał się trzymać ode mnie z daleka. – Nie martw się. Kiedyś nadejdzie twój czas.

Owszem, nadejdzie. Uśmiechnęłam się. Teraz już kontrolowałam swój los – ja, a nie świstek papieru, który świadczył o moim królewskim pochodzeniu. Wreszcie byłam wolna od tego ciężaru. Przyśpieszyłam kroku, wymachując koszykiem z serem. Sapnęłam z zadowoleniem. Jeszcze nigdy nie byłam tak pewna słuszności swojej decyzji o ucieczce.

Do zajazdu wracałyśmy w milczeniu, każda pogrążona w myślach. Cisza zupełnie nam nie przeszkadzała, czułyśmy się tak swobodnie, jak podczas rozmowy. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że w oddali słyszę poranne święte wspomnienia, ale może w Terravinie tradycje wyglądały zupełnie inaczej. Pauline była tak zadumana, że chyba w ogóle ich nie słyszała.

Znajdę cię...

W najodleglejszym zakątku...

Znajdę cię.



Nalegałyśmy tak długo, aż w końcu Berdi powierzyła nam konkretne obowiązki. Pracowałam ciężko, nie chcąc się okazać bezużyteczną księżniczką bez praktycznych umiejętności, chociaż, szczerze mówiąc, nie miałam doświadczenia w kuchni. W cytadeli ledwo dopuszczano mnie w okolice spiżarni, nie mówiąc już o podniesieniu noża do warzyw. Nigdy w życiu nie siekałam cebuli, założyłam jednak, że ponieważ potrafię posługiwać się sztyletem, czego dowodem było zgrabne wyżłobienie w drzwiach mej komnaty, poradzę sobie i z tym zadaniem.

Jakże się myliłam.

Przynajmniej nikt ze mnie nie drwił, gdy śliska biała kula wystrzeliła spod moich palców, przeleciała przez kuchnię i trafiła Berdi w pupę. Gospodyni podniosła cebulę z podłogi, opłukała ją w pojemniku z wodą i odrzuciła do mnie. Złapałam ją jedną ręką, a Berdi nieznacznie kiwnęła głową z uznaniem, dzięki czemu poczułam ogromną satysfakcję, chociaż nikomu się do tego nie przyznałam.

Od siekania warzyw awansowałyśmy do doglądania pokoi gościnnych. W zajeździe było ich tylko sześć, nie licząc naszej chatki o przeciekającym dachu i łaźni dla gości.

Rano w pustych pokojach odwracałyśmy cienkie materace, zostawiałyśmy świeżą pościel na stolikach przy łózkach, a na koniec stawiałyśmy na parapetach i przy łózkach świeży wrotycz, by odstraszyć robactwo, które być może też

zapragnęłoby zamieszkać w zajeździe – zwłaszcza pasożyty przywiezione przez podróżnych. Pokoje były proste, ale radosne, wrotycz przyjemnie pachniał, ale ponieważ codziennie opuszczanych było zaledwie kilka kwater, nasza praca zajmowała raptem kilka minut.

Pewnego dnia Pauline zdumiała się, że tak ochoczo wypełniam swoje obowiązki.

– W cytadeli powinni cię zaangażować do jakiejś pracy. Było tam mnóstwo podłóg do szorowania.

Ogromnie żałowałam, że nie dostałam takiego wyboru. Pragnęłam, żeby uwierzyli, że jestem coś warta i mogę robić coś więcej, niż tylko siedzieć na niekończących się lekcjach, rzekomo odpowiednich dla królewskiej córki. Próbowałam dziergać koronkę, ale zawsze kończyło się na ogromnym suple, który nie nadawał się nawet na sieć rybacką. Oczywiście ciotka Cloris oskarżała mnie, że robię to umyślnie. Jeszcze bardziej irytował ją fakt, że nawet temu nie zaprzeczyłam. Tak naprawdę to mogłabym się tego nauczyć, gdyby mnie nie zmuszano. Miałam wrażenie, że nikt nie zwraca uwagi na moje mocne strony czy zainteresowania. Traktowano mnie jak kawał sera, który trzeba wepchnąć do formy.

Niewielkie kompromisy tylko mnie drażniły. Pamiętam, że matka zauważyła mój talent do nauki języków obcych i pozwoliła mi uczyć mych braci i kilku młodszych kadetów dialektów Morrighan; niektóre z nich były tak trudne, że zupełnie różniły się od języków, którymi mówiono w Civica. Ale nawet to niewielkie ustępstwo szybko zostało cofnięte przez Mędrca po tym, jak pewnego dnia go poprawiłam, bo popełnił błąd w czasie w dialekcie Sienese. Mędrzec powiedział mojej matce, że on i jego asystenci mają lepsze kwalifikacje do pełnienia takich obowiązków. Może więc chociaż tu, w gospodzie, Berdi doceni moje umiejętności i będę mogła rozmawiać z podróżnymi, którzy przybyli z daleka i mówią różnymi językami.

Zamiatanie podłogi opanowałam dość szybko, ale inne prace okazały się o wiele trudniejsze. W cytadeli widziałam, jak służące obracały bębny do prania jedną ręką. Myślałam, że to będzie proste, jednak gdy za pierwszym razem spróbowałam, zostałam oblana brudnymi mydlinami, bo zapomniałam zamknąć zasuwę bębna. Pauline lojalnie starała się powstrzymać śmiech. Rozwieszanie prania wcale nie było łatwiejsze. Po upięciu na sznurze całego kosza prześcieradeł cofnęłam się, żeby podziwiać swoje dzieło, i wtedy zerwał się silny wiatr. Spinacze do bielizny zaczęły odskakiwać w różnych kierunkach niczym szalone koniki polne.

Każdego dnia wysiłek fizyczny skutkował bólem w różnych miejscach na moim ciele – w ramionach, łydkach, a nawet dłoniach, nieprzyzwyczajonych do wyżymania, wykręcania i tłuczenia. Proste życie w małym miasteczku nie było tak

proste, jak myślałam, uparłam się jednak, by opanować jego zasady. Życie na królewskim dworze nauczyło mnie jednego – wytrwałości.

Najbardziej zajęte miałyśmy wieczory – wtedy gospoda była pełna miejscowych, rybaków i gości zajazdu, którzy pragnęli zakończyć dzień w towarzystwie przyjaciół. Przychodzili na piwo, śmiali się, a od czasu do czasu wzniewali awantury – wtedy do akcji wkraczała Berdi. Większość jednak chciała po prostu zjeść prosty, ale smaczny posiłek. W lecie było sporo podróżnych, a ponieważ zbliżał się doroczny Festiwal Wybawienia, można było się spodziewać jeszcze większej frekwencji.

Po namowach ze strony Gwyneth Berdi wreszcie przyznała, że w jadalni przydałaby się dodatkowa pomoc. Na początek Pauline i ja dostałyśmy do obsługi tylko po jednym stoliku, podczas gdy Gwyneth musiała obsługiwać ponad tuzin. Podziwiałymy ją. Zgadywałam, że była od nas zaledwie kilka lat starsza, ale dowodziła w jadalni niczym doświadczony weteran. Flirtowała z młodymi mężczyznami, mrugała zalotnie i śmiała się, a gdy tylko odwracała się do nas, przewracała oczami. Dobrze ubranym dżentelmenom, co do których statusu nie miała wątpliwości, poświęcała więcej uwagi, ale tak naprawdę nikogo nie traktowała poważnie. Była tam tylko po to, by wykonać swoją pracę, i robiła to bardzo dobrze.

Gwyneth potrafiła ocenić gościa, gdy ten tylko przekroczył próg gospody. Urządziła sobie z tego rozrywkę, a my z radością dołączyłyśmy do zabawy.

– Tamten – szeptała, gdy w drzwiach stanął krępy mężczyzna – wygląda mi na rzeźnika. Wiecie, że wszyscy rzeźnicy mają wąsy? I pokażne brzuszyska, bo lubią dobrze zjeść. Ale najlepiej widać to po dłoniach. Dłonie rzeźnika są jak golonki, jednak z równo przyciętymi, czystymi paznokciami. – A potem dodawała smutno: – To ludzie samotni, lecz hojni. – I chrząkała z satysfakcją, zadowolona, że w ciągu kilku sekund udało się jej dokonać tak trafnej oceny. – Pewnie jedzie kupić świnie. Zamówi tylko jasne pełne.

Gdy gość rzeczywiście zamawiał tylko jedno jasne piwo, Pauline i ja wybuchałyśmy śmiechem. Wiedziałam, że od Gwyneth można się dużo nauczyć. Dlatego uważnie ją obserwowałam – jak się rusza, jak rozmawia z gośćmi, jak się uśmiecha. I oczywiście – jak flirtuje.



tarzy mężczyźni winni śnić,

Młode dziewoje będą mieć wizje,

Bestyja z lasu się odwróci,

Zobaczą nadchodzące dziecię niedoli,

I oczyszczą drogę.

– Pieśń Vendy



Rozdział 7

ZABÓJCA

Nie wiedziałem, czy za zdradę królestwa powinienem ją podziwiać czy zaplanować jej powolną śmierć w męczarniach. Najlepsze byłoby chyba uduszenie jej gołymi rękami. A może jeszcze lepiej – pobawić się z nią, sprawiając, że będzie się wiła się z bólu. Nie miałem cierpliwości do skupionych na sobie pijawek, przekonanych, że należy się im specjalne traktowanie, tylko dlatego że w ich żyłach płynie błękitna krew – z mojej strony nie spotka jej najmniejsza życzliwość.

To przez nią musiałem zjeść więcej kurzu i błędzić tyle razy, że nigdy nie przyznałbym się do tego moim kompanom. Powinno mnie już tu nie być, powinienem dawno załatwić tę sprawę, ale się pomyliłem. Nie doceniłem jej.

Uciekając, udowodniła, że jest bardziej wyrachowana niż spanikowana, wyprowadziła w pole świadków, twierdzących, że ruszyła na północ zamiast na południe, a potem cały czas zostawiała fałszywe tropy. Na szczęście wieśniacy, którzy nie wylewają za kółkiem, są bardzo rozmowni i słyną z upodobania do przechwalania się korzystnymi transakcjami. Sprawdziłem ostatni trop – dwie osoby jadące główną ulicą Terravinu z trzema osłami, chociaż płęć owych osób była nieznana i zostały opisane jako brudni żebracy. Dla jej dobra miałem nadzieję, że już niczym nie handlowała.

– Witaj! – krzyknąłem do chłopaka o gęstych włosach, prowadzącego konia do stodoły. – Godziwe piwo tu leją?

Zatrzymał się, jakby musiał się zastanowić nad odpowiedzią. Powoli odgarnął włosy z czoła.

– Godziwe. Tak słyszałem.

Odwrócił się, by odejść.

– A co z jadłem?

Ponownie się zatrzymał, tak jakby każda odpowiedź wymagała od niego namysłu. A może po prostu nie miał ochoty na zdejmowanie siodła i czyszczenie konia.

– Najlepsza jest zupa rybna.

– Wielkie dzięki. – Zeskoczyłem na ziemię. – Zastanawiam się, czy gdzieś w mieście można wynająć muły albo osły. Potrzebowałbym kilka sztuk, żeby

zawiozły mi towar w góry.

Rozpromienił się.

– Mamy trzy. Należą do jednej z pracujących tu osób.

– Myślisz, że mógłby mi je wypożyczyć?

– To kobieta – poprawił mnie. – I nie widzę powodu, dla którego miałyby tego nie uczynić. Odkąd przyjechała tu kilka tygodni temu, jeździ na nich tylko na krótkie wycieczki do miasta. Możecie z nią porozmawiać. Obsługuje stoły w środku.

Uśmiechnąłem się. Wreszcie.

– Jeszcze raz dziękuję. Bardzo mi pomogłeś. – Rzuciłem mu monetę za fatygę i patrzyłem, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Zyskałem zaufanego przyjaciela. Nie będzie mnie o nic podejrzewać.

Chłopak poszedł swoją drogą, a ja ruszyłem na tyły zajazdu, gdzie znajdowały się słupki do przywiązywania koni. Mogłem się zastanowić nad dziewczyną, którą wreszcie miałem poznać. Jak wygląda? Wiedziałem tylko, ile ma lat i że ma długie ciemne włosy, podejrzewałem jednak, że księżniczkę będzie łatwo poznać.

Miała zaledwie siedemnaście lat. Była kilka lat młodsza ode mnie, lecz dzieliło nas tyle, że równie dobrze mogłaby być młodsza o całe życie. Ale księżniczka obsługująca stoliki? Ta dziewczyna potrafiła zaskoczyć. Miała tylko pecha, że wskutek swojego wysokiego urodzenia stanowiła zagrożenie dla Vendy. Najbardziej jednak zastanawiało mnie, czy rzeczywiście miała dar, czy potrafiła przewidzieć moje przybycie?

Przywiązałem konia do ostatniego słupka, z dala od pozostałych zwierząt, i nagle dostrzegłem jakiegoś mężczyznę. Zaczął pompować fontannę, a potem wsadził głowę pod strumień wody. Niegłupi pomysł, a jeśli pozwoli postawić sobie napitek, tym lepiej dla mnie. Samotni podróżni zawsze zwracają na siebie największą uwagę.



Rozdział 8

ZABÓJCA

Ślubny kavah... Wystarczyło trochę popytać, dać kilka monet – i parobek wszystko wyśpiewał. Był przebiegły, wiedział, że jej sekret może być dla niego bardzo cenny. Rzuciłem mu jeszcze kilka monet i wydusiłem przyrzeczenie, że nigdy nie sprzeda tej informacji komuś innemu. Tajemnica miała pozostać między nami. Dokładnie przyjrzał się mieczowi w pochwie, wiszącemu przy moim siodle, i był na tyle rozsądny, żeby ze mną nie zadzierać. Nie potrafił opisać kavah, ale widział, jak jakaś dziewczyna z wściekłością próbowała zeskrobać coś ze swoich pleców.

Wściekłość. Jak dobrze znałem to uczucie. Nie byłem już rozbawiony ani zaintrygowany. To skutek trzech tygodni spania na twardym, kamienistym podłożu. Całymi dniami zdawało mi się, że jestem tuż za nią, a potem traciłem trop – i tak wciąż od nowa. Niemal jakby w coś ze mną grała. Od włóczęgów, którzy znaleźli jej ślubną pelerynę i łatali sobie nią namiot, po kupców w mieście, którzy handlowali klejnotami, od wygasłego ogniska, z dala od rzadko uczęszczanych traktów, po podartą szatę z koronki, wyrabianą jedynie w Civica, od śladów końskich kopyt, pozostawionych na błotnistych brzegach – jechałem za tropami, jakie mi pozostawiała, ogarnięty obsesją, żeby nie wygrała tej gry. Przecież Sven poświęcił tyle lat, żebym nie przegrywał.

Nie podobało mi się, że siedemnastoletnia uciekinierka tak sobie ze mną pozwala. A może traktowałem to zbyt osobiście? Wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że chce przebywać jak najdalej ode mnie. Zastanawiałem się, czy gdybym był zdany na siebie, tak jak ona, to czy postępowałbym tak sprytnie i z taką determinacją. Pod kamizelką czułem jedyną wiadomość, jaką od niej dostałem. Wypełniała ją taka nienawiść, że nadal nie potrafiłem sobie wyobrazić dziewczyny, która to napisała. Chciała mnie ocenić. No cóż, zobaczymy, kto kogo będzie oceniać.

Ponownie wsadziłem głowę pod zimną wodę, próbując ostudzić swój zapach. Tak naprawdę potrzebowałem długiej gorącej kąpieli.

– Zostaw trochę dla mnie, przyjacielu.

Podniosłem głowę i strząsnąłem krople z włosów. Mężczyzna, mniej więcej

w moim wieku, był tak samo zmęczony długimi dniami spędzonymi w podróży, jak ja.

– Wystarczy dla wszystkich. Długa podróż?

– Dostatecznie długa. – Napompował wody i wsadził głowę pod strumień.

Następnie wytarł dłońmi twarz i szyję, wyprostował się i wyciągnął do mnie rękę. Spróbowałem go ocenić. Sprawiał wrażenie bardzo przyjaznego, ale coś w nim budziło moją czujność. A potem jego wzrok spoczął na moim pasie i broni u mego boku i wiedziałem, że on też mnie ocenia – jak to bywa u zaprawionych w bojach wojowników – ale z niezbędnym szacunkiem. Nie był zwykłym kupcem u kresu długiej podróży.

Uścisnąłem jego dłoń.

– Wejdźmy do środka, przyjacielu, i spłuczmy kurz również z naszych gardeł.



Rozdział 9

Najwyraźniej ja i Pauline okazałyśmy się dobre w tym, co robiłyśmy, bo dziś, bez zapowiedzi, Berdi awansowała nas do obsługi każdego stolika, przy którym będzie zapotrzebowanie. Przypomniała też surowym tonem, że nie wolno nam kosztować mocnych piw, które nosimy gościom. Pauline przyjęła to wszystko na spokojnie, ja natomiast czułam się, jakbym przekroczyła próg skarbcza. Tak, chodziło tylko o obsługę stołów, ale gospoda i ludzie, którzy do niej przychodzili, to wszystko, co Berdi miała. To było jej życie. I właśnie powierzyła mi coś, co było drogie jej sercu. Zniknęły wszelkie obawy, że jestem nieudolną księżniczką, która ugnie się pod najlżejszym ciężarem czy presją. Nie chciałam jej zawieść.

Gospoda była dużą otwartą przestrzenią. Na tylnej ścianie znajdowały się drzwi wahadłowe, a na sąsiedniej – poidło, jak to nazywała Berdi. To serce całej gospody – długi lśniący sosnowy bar z kranami, połączonymi ze stojącymi w chłodnej piwnicy beczkami z piwem. Ciemna wnęka na końcu baru prowadziła na schody do piwnicy. Gospoda mieściła około czterdziestu osób – pomijając osoby, które stały w rogu albo siedziały na którejś z pustych beczek przy ścianie. Był wczesny wieczór, ale w knajpie już panował gwar, pozostały tylko dwa puste stoliki.

Na szczęście dania były proste, a ich wybór ograniczony, nie miałam zatem problemu z dostarczeniem odpowiedniego piwa czy jadła właściwym gościom. Większość z nich zamawiała podplomyki i zupę rybną, z której słynęła Berdi, jednak pyszna była również jej wędzona sarnina ze świeżymi warzywami i melonem, zwłaszcza teraz, gdy był sezon na melony. Byłam pewna, że tym przepisem zainteresowałby się sam szef kuchni w cytadeli. Ojciec uwielbiał tłuste pieczenie z gęstymi, aromatycznymi sosami – co było widać po jego brzuchu. Dania Berdi przynosiły ulgę od takiej ciężkiej strawy.

Enzo gdzieś zniknął, a za każdym razem, gdy szłam do kuchni, Berdi mruczała pod nosem coś o bezużytecznych cymbałach, zauważyłam jednak, że dostarczył dziś dorsza, więc zupa rybna była pyszna.

– Spójrz, ile tu brudnych naczyń! – Berdi machnęła łyżką w powietrzu. – Poszedł do konia i jeszcze nie wrócił! Jeśli zaraz nie zobaczę tu jego nędznego tyłka, będę musiała podawać ludziom zupę w nocnikach...

W tej samej chwili tylne drzwi się otworzyły i stanął w nich Enzo,

uśmiechnięty, jakby znalazł skrzynię ze skarbem. Spojrzał na mnie dziwnie i unióśł brwi, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Dziwny chłopak. Wydawało mi się, że był zwyczajny, ale może Berdi nie bez powodu nazywała go cymbałem. Wysłałam, żeby podać gościom piwo i talerz sarniny, gdy Berdi kazała chłopakowi brać się za zmywanie.

Akurat gdy weszłam przez drzwi wahadłowe do jadalni, przyszli nowi goście. Pauline błyskawicznie znalazła się u mego boku, próbując wepchnąć mnie z powrotem do kuchni. Niemal upuściłam talerz.

– Wracaj tam – szepnęła. – Szybko. Ja i Gwyneth się nimi zajmiemy.

Spojrzałam na kilku żołnierzy, którzy usiedli przy stoliku. Żadnego z nich nie rozpoznałam. Oni, zdaje się, też mnie nie poznali, zwłaszcza że pełniłam tu nową rolę, nie mówiąc już o strojach, które kazała nam zakładać Berdi do obsługiwania gości. Większość włosów miałam schowaną pod koronkowym czepkiem, a księżniczka w burej spódniczce i fartuchu nie wyglądała jak księżniczka.

– Nie – odparłam stanowczo. – Nie mogę ukrywać się za każdym razem, gdy ktoś tu wejdzie. – Minęłam moją przyjaciółkę. Pragnęłam poradzić sobie z tym raz na zawsze.

Postawiłam sarninę na właściwym stoliku i trzymając dwa kufle z piwem, ruszyłam w stronę żołnierzy.

– Co mogę wam dziś przynieść, mili panowie?

Wiedziałam, że Pauline zamarła ze strachu przy drzwiach od kuchni.

Jeden z żołnierzy dokładnie mi się przyjrzał – najpierw moim kostkom, potem talii, przez dłuższy czas wpatrywał się we wcięcie w bezrękawniku, wreszcie spojrzał mi w twarz. Zmrużył oczy. Serce podskoczyło mi ze strachu, poczułam, że blednę. Czyżby mnie rozpoznał? Czy to możliwe, że tak straszliwie się pomyliłam? Wyciągnął rękę i złapał mnie w talię, zanim zdołałam zareagować.

– Mam już dokładnie to, czego pragnę.

Pozostali wybuchnęli śmiechem, a moje serce się uspokoiło. Rozpoznałam tę grę. Wielokrotnie widziałam, jak Gwyneth odpiera takie ataki. Umiałam sobie z tym poradzić. Gdyby jednak ktoś rozpoznał we mnie księżniczkę, która uciekła, nie mogłabym już nic zrobić. Pochyliłam się, udając zainteresowanie.

– Rozumiem, że żołnierze ze Straży Jego Królewskiej Mości muszą przestrzegać ścisłej diety. Powinniście uważać na to, co jecie – powiedziałam uprzejmie i wylałam mu na krocze połowę piwa z obu kufli.

Zerwał się na równe nogi, jęcząc niczym uczeń. Pozostali żołnierze ryknęli śmiechem. Zanim zdążył się na mnie wydrzeć, powiedziałam łagodnie i uwodzicielsko:

– Tak bardzo mi przykro. Jestem tu nowa i nie potrafię jeszcze utrzymać kufli. Może bezpieczniej będzie, jeśli nikt nie będzie mnie dotykał, bo łatwo tracę

równowagę. – Postawiłam przed nim dwa opróżnione do połowy kufle. – Proszę, to w ramach rekompensaty za moją niezdarność.

Odwróciłam się i odeszłam, zanim zdołał odpowiedzieć. Za sobą usłyszałam tylko głośny rechot.

– Brawo – szepnęła Gwyneth, gdy ją mijałam.

Kiedy jednak się odwróciłam, zobaczyłam stojącą w drzwiach wściekłą Berdi. Złapała się pod biodra, zacisnęła usta i patrzyła na mnie groźnie. Przełknęłam ślinę. Przecież żołnierzom nic się nie stało. Nie wiedziałam, dlaczego tak się zdenerwowała, ale przysięgłam sobie, że będę rzadziej rozlewać piwo.

Wróciłam do beczki, żeby nalać kolejne porcje dla gości, którzy złożyli poprzednie zamówienie, i wyjęłam spod lady dwa umyte kufle. Po krótkiej chwili mój wzrok przykuła Pauline, tęsknie wpatrująca się w drzwi.

Był już prawie koniec miesiąca, nadal minęło za mało czasu, żeby Mikael zdołał dojechać tu z Civica, ale widziałam nadzieję w jej oczach za każdym razem, gdy otwierały się drzwi. W tym tygodniu wyglądała naprawdę mizernie – jej zwykle różowe policzki pobladły i straciła apetyt. Zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby rzeczywiście rozchorowała się z miłości. Nalałam piwa do kufli i zaczęłam się modlić, żeby następnym klientem, który przyjdzie do gospody, był Mikael.

W najodleglejszym zakątku...

Spojrzałam w górę. Święte wspomnienia w knajpie? Ale melodia zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, i teraz słyszałam już tylko hałaśliwe rozmowy.

Gdy drzwi do gospody ponownie się otworzyły, spojrzałam w ich stronę z takim samym zainteresowaniem jak Pauline.

I tak samo jak ona poczułam rozczarowanie. Odwróciła się z powrotem do obsługiwanych klientów. Po jej reakcji wiedziałam, że to tylko kolejni obcy ludzie, żaden z nich nie był Mikaelem, gdy jednak przyjrzałam im się bliżej, poczułam zaciekawienie. Patrzyłam, jak wchodzi do środka i przyglądają się wnętrzu gospody, gościom, wszystkim kątom. Był wolny jeszcze jeden mały stolik, znajdujący się zaledwie kilka metrów od nich. Jeśli szukali miejsc, to nie wiem, jakim cudem go nie zauważyli. Ukryłam się w cieniu we wnęcie i zaczęłam ich obserwować. Obaj spojrzeli na plecy Pauline, która rozmawiała z jakimiś starszymi panami w rogu sali.

– No proszę, jaka interesująca para – powiedziała Gwyneth, przechodząc obok mnie.

Nie mogłam zaprzeczyć, że zwrócili moją uwagę. Było w nich coś takiego...

– Ten po lewej to rybak – ogłosiła. – Silne ramiona. Opalona skóra, potargane włosy. Zadrapania na dłoniach. Trochę ponury. Nie będzie zbyt chętny do dawania napiwków. Blondyn po prawej to jakiś kupiec. Może sprzedaje skóry i futra. Chodzi dumnym krokiem. Oni zawsze tak chodzą. I spójrz na jego dłonie:

nigdy nie dotykał sieci rybackiej ani pługu, tylko strzały. Prawdopodobnie zostawi większy napiwek, bo rzadko przyjeżdża do miasta. Taka wycieczka to dla niego szaleństwo.

Zaśmiałam się, jak zwykle, z jej podsumowania, ale całkiem skupiłam się na nowo przybyłych. Różnili się od zwyczajnych gości, którzy przychodzili do gospody Berdi – zarówno pod względem budowy ciała, jak i postawy. Wydawało mi się, że żaden z nich nie jest ani rybakiem, ani kupcem.

Intuicja podpowiadała mi, że mieli tu do załatwienia inne sprawy, chociaż oczywiście Gwyneth była o wiele bardziej doświadczona ode mnie.

Ten, który miał być rybakiem, bo miał opaloną skórę, rozjaśnione słońcem włosy i podrapane dłonie, wyglądał na bardziej wyrachowanego niż rybacy, których spotykałam w mieście. Poza tym cechowała go niezwykła śmiałość, widać to było po jego postawie, tak jakby był pewien każdego swojego kroku. Jeśli chodzi o dłonie, to mogą być podrapane z różnych przyczyn, nie tylko od haków i sieci. Sama podrapałam sobie ręce podczas podróży, gdy złapałam się krzaka jeżyn. To prawda, miał długie, potargane i opadające na ramiona włosy, ale może właśnie zakończył trudną podróż i nie miał przy sobie nic, czym mógłby je związać.

Blondyn obok miał niemal identyczną sylwetkę, był może kilka centymetrów niższy i trochę szerszy w ramionach, a jego włosy ledwie sięgały kołnierza. Wyglądał na poważniejszego niż jego przyjaciel, ale też atmosfera, jaka go otaczała, była bardziej złowieszcza. Z pewnością myślał o czymś więcej niż o zimnym cydrze. Może to tylko zmęczenie po długiej podróży, a może coś o wiele poważniejszego. A może nie miał pracy i chciał znaleźć coś w tym mieście? Może to dlatego obaj tak się ociągali z zajęciem miejsca przy stoliku? Może nie mieli przy sobie pieniędzy? Miałam tak żywą wyobraźnię jak Gwyneth.

Patrzyłam, jak ten ciemniejszy powiedział coś do blondyna, wskazał pusty stolik i usiedli. Zdawali się być bardziej zainteresowani otoczeniem niż sobą.

Gwyneth dała mi kuksańca w bok.

– Nie gap się tak, bo ci oczy wypadną. – Westchnęła z żalem. – Dla mnie są o kilka lat za młodzi, z kolei dla ciebie...

Przewróciłam oczami.

– Proszę...

– Spójrz na siebie. Masz pianę na ustach jak koń na pysku pod koniec wyścigu. Zwracanie uwagi na mężczyzn to nie przestępstwo. Obaj zamówią dwa ciemne cydry. Zaufaj mi. – Wzięła moje kufle z piwem. – Ja je zaniosę, a ty zajmij się nimi.

– Gwyneth, zaczekaj! – zawołałam, ale wiedziałam, że nie posłucha. Tak naprawdę byłam jej wdzięczna, że popchnęła mnie w ich stronę. Nie żebym naprawdę śliniła się na ich widok, obaj wyglądali na niezwykle zmęczonych i nieco

mrocznych, po prostu mnie zaintrygowali, to wszystko. Dlaczego nie miałabym zabawić się w grę Gwyneth i nie sprawdzić, czego chcą rybak i handlarz futer? Wzięłam z półki ostatnie dwa czyste kufle z nadzieją, że Enzo kończy już zmywanie. Odkręciłam kurek i nalałam ciemnozłotego cydru. Poczułam w brzuchu delikatne motyle.

Złapałam oba kufle jedną ręką i zaczęłam obchodzić bar, jednak mój wzrok padł na Pauline. Prostak, którego oblałam piwem, teraz obejmował ją. Patrzyłam, jak przyjaciółka uśmiecha się krzywo i stara się być grzeczna, a jednocześnie wywinąć się z łap żołnierza. Jego kompani chichotali – podobało im się, jak się wije. Poczułam na twarzy uderzenie gorąca i niemal natychmiast znalazłam się przy nich. Wbiłam twardy wzrok w sprośnego łajdaka.

– Sir, już raz grzecznie pana ostrzegłam. Następnym razem, zamiast wylewać piwo, rozbiję te kufle na pańskiej grubej czaszce. A teraz proszę zacząć się zachowywać jak szanowany członek Królewskiej Straży i zabrać łapska od mojej przyjaciółki.

W sali zapanowała idealna cisza. Żołnierz patrzył na mnie groźnie, wściekły, że publicznie go zawstydziłam. Powoli jednak puścił Pauline, która oddaliła się do kuchni. Nadal nie spuszczałam z niego wzroku. Wydał nozdrza, pewnie zastanawiał się, czy może mnie udusić w gospodzie pełnej ludzi. Serce waliło mi jak oszalałe, ale zmusiłam się do łagodnego, lekceważącego uśmiechu.

– Wracajcie do swoich rozmów – powiedziałam do gości i szybko się odwróciłam, żeby nie musieć już rozmawiać z tym gburem.

Zrobiłam kilka kroków i znalazłam się przy stoliku nowo przybyłych. Popatrzyli na mnie, a ja poczułam, że nie mogę oddychać. Gdy się zbliżyłam, ich spojrzenia stały się bardziej intensywne. Na chwilę zamarłam. Zimne niebieskie oczy rybaka wpatrywały się we mnie ostro, piwne oczy kupca patrzyły bardziej niepewnie. Nie wiedziałam, czy są wściekli czy raczej zszokowani. Spróbowałam zignorować mój występ i kontrolować sytuację.

– Witamy. Ponieważ jesteście tu nowi, muszę ostrzec, że nie zawsze dzieją się u nas takie ciekawe rzeczy, ale też nie ma dodatkowej opłaty za tego rodzaju rozrywki. Mam nadzieję, że ciemny cydr będzie wam smakować. Wyglądacie mi na takich, którzy go lubią. – Postawiłam kufle na stole. Obaj wpatrywali się we mnie, oniemiaли.

– Mogę również zapewnić, że jeszcze nigdy nie zdzieliłam nikogo żadnym kuflem. Przynajmniej na razie.

Kupiec zmrużył oczy.

– W takim razie jesteśmy już spokojni. – Nie spuszczając ze mnie ciemnych oczu, podniósł kufel do ust i zaczął pić. Poczułam, jak przez moją klatkę piersiową przepływają fale gorąca. Odstawił kufel i na jego twarzy wreszcie pojawił się przyjemny, pełen satysfakcji uśmiech. Poczułam upragnioną ulgę.

– Dobry cydr – rzekł.

– Czyżbym słyszała akcent z Eislandii? *Vosê zsa tevou de mito loje?*

Przesunął kufel go na bok i odparł stanowczo:

– Nie.

Co „nie”? To nie był ten akcent czy nie przyjechał z daleka? Zdawał się być poruszony moim pytaniem, więc nie naciskałam.

Zamiast tego zwróciłam się do rybaka, który wciąż milczał. Gdyby tylko uśmiechnął się szczerze, jego twarz mogłaby być całkiem przyjemna, ale jego uśmiech był próżny i wyrachowany. Dokładnie mi się przyglądał. Najeżyłam się. Jeśli nie pochwalał mojego zachowania wobec żołnierza, to równie dobrze mógł już sobie iść. Nie miałam zamiaru przed nikim się płaszczyć. Teraz była jego kolej na odezwanie się – mógłby chociaż podziękować za cydr.

Powoli się pochylił.

– A skąd wiedziałaś?

Poczułam coś jak mocny cios w plecy, taki, pod wpływem którego z płuc uchodzi całe powietrze. Patrzyłam na niego i próbowałam odnaleźć się w tej sytuacji. Jego głos odbijał się echem w mojej głowie. Był przerażająco znajomy, ale też nowy. Wiedziałam, że jeszcze nigdy go nie słyszałam. Ale przecież słyszałam.

– Skąd wiedziałam? – spytałam bez tchu.

– Że cydr będzie nam smakować?

Spróbowałam ukryć zmieszanie i odpowiedziałam szybko:

– Tak naprawdę Gwyneth wiedziała. Ona też jest u nas kelnerką. Ma taką rozrywkę. Potrafi odgadnąć preferencje większości gości. Poza tym odgaduje, kto czym się zajmuje. Stwierdziła, że pan jest rybakiem, a pański przyjaciel kupcem... – Czuję, że głos mnie opuszcza, zaczynał mi się plątać język. Przygryzłam wargę, żeby zmusić się do przerwania słowotoku. Przecież nie mogłam zachowywać się jak gadatliwa ciamajda. Przy żołnierzach tyle nie mówiłam, jak więc tym dwóm udało się mnie do tego przekonać?

– Dziękujemy za cydr, panno...? – Kupiec wyraźnie czekał na moją odpowiedź.

– Reaguję na imię Lia – odparłam. – A panowie to...?

Po chwili namysłu odparł:

– Kaden.

Zwróciłam wzrok na rybaka, czekając, aż on też się przedstawi. Jednak zamiast odpowiedzieć, powtórzył moje imię. Bawił się nim, jakby było okrągłym ziarnkiem kukurydzy w jego ustach.

– Lia. Hmm... – Powoli podrapał się po co najmniej tygodniowym zaroście.

– Kaden i...? – Wyszczrzyłam zęby. Za wszelką cenę chciałam być miłą. Nie mogłam sobie pozwolić na kolejne sceny z klientami, Berdi cały czas mnie

obserwowała.

Spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem, lekko skrzywiony. Gdy się uśmiechnął, wokół jego oczu pojawiło się kilka zmarszczek.

– Rafe – odparł.

Spróbowałam zignorować kolejną falę gorąca, która napłynęła mi do brzucha. Gdy się uśmiechał, nie wyglądał na miłego, ale stawał się niezwykle atrakcyjny. Poczułam, jak zaczyna mi szumieć w głowie, i modliłam się, żeby w słabym oświeceniu nikt nie zauważył, że się czerwienię. Jak na te strony, było to imię dość niezwykle, jednak podobała mi się jego prostota.

– Co mogę wam dziś przynieść, Kadenie i Rafe? – wyrecytowałam z pamięci kwestię, której nauczyłam się od Berdi.

Oni jednak, zamiast złożyć zamówienie, zaczęli mnie wypytywać o Pauline.

– Wygląda na zbyt młodą, żeby pracować w takim miejscu – zauważył Kaden.

– Ma siedemnaście lat, tyle co ja – zapewniłam. – Ale z całą pewnością pod pewnymi względami jest bardziej niewinna ode mnie.

– Ach tak? – W głosie Rafe’a można było wyczuć podtekst erotyczny.

– Pauline ma bardzo wrażliwe serce. Moje natomiast stwardniało pod wpływem różnych okoliczności.

Uśmiechnął się szeroko.

– Tak, właśnie widzę. – Mimo że się ze mną drażnił, jego uśmiech mnie rozbroił i zapomniałam odpowiedzi, którą miałam już na końcu języka. Odwróciłam się z powrotem do Kadena, który, jak z ulgą zauważyłam, wpatrywał się w kubek, jakby pogrążony w rozmyślaniach.

– Polecam zupę rybną – zaproponowałam. – To ulubione danie naszych gości.

Kaden spojrzał na mnie i uśmiechnął się ciepło.

– W takim razie podaj mi tę zupę, Liu.

– A ja poproszę pieczeń – dorzucił Rafe. Małe zaskoczenie. Poszukam dla niego najtwardszego kawałka sarniny. Może jak zacznie żuć, przestanie się tak bezczelnie uśmiechać.

Nagle obok mnie wyrosła Gwyneth.

– Berdi potrzebuje cię w kuchni. Teraz. Od tego momentu ja zajmę się panami.

Oczywiście obie doskonale wiedziałyśmy, że ostatnie, czego Berdi potrzebuje, to moja pomoc w gotowaniu czy siekaniu, jednak kiwnęłam głową i zostawiłam klientów pod opieką Gwyneth.

Przez resztę wieczoru musiałam pomagać w kuchni, nawet po tym, jak większość gości już sobie poszła. Berdi zrobiła mi wykład na temat zagrożeń wynikających z denerwowania władzy. Upierałam się, że najważniejsze są

sprawiedliwość i przyzwoitość, jednak Berdi stwierdziła, że najważniejsze jest przetrwanie. Zwracała uwagę na to, co mówi, żeby nie użyć słowa „księżniczka”, ponieważ całą naszą rozmowę słyszał Enzo, jednak doskonale rozumiałam, o co jej chodzi – mój status nie pozwalał na impertynencję i muszę się nauczyć trzymać mój królewski, wredny język za zębami.

Przez resztę wieczoru to Berdi podawała posiłki. Od czasu do czasu wpadała do kuchni, wydawała mi rozkazy i doprawiała zupę, ale głównie pilnowała tego, żeby żołnierzom niczego nie zabrakło. Brzydziłam się kompromisem, jaki zawarła, i z wściekłością siekałam cebule.

Gdy przy trzeciej już prawie pozbyłam się gniewu, zaczęłam myśleć o Kadenie i jego towarzyszu. Nigdy się nie dowiem, czy któryś z nich jest rybakiem albo handlarzem futrami. Teraz pewnie są już daleko stąd i więcej ich nie zobaczę. Pomyślałam też o Gwyneth i o tym, jak flirtowała z gośćmi. Manipulowała nimi tak, że robili, co chciała. Czy umiała pokierować też Kadenem i Rafe'em?

Wzięłam z kosza pomarańczową bulwę i rzuciłam ją na blok rzeźnicki. Po krótkiej chwili z niej również została miazga, pomijając kilka kawałków, które spadły mi na podłogę.



Rozdział 10

Pod koniec wieczoru, gdy Pauline wróciła do naszego domku, a Enzo i Gwyneth poszli do siebie, skrobałam ze znużeniem ostatni pusty garnek po zupie. Do jego dna przywarły jakieś resztki.

Miałam wrażenie, że wróciłam do cytadeli i po raz kolejny zostałam za karę wysłana do mojej komnaty. Przypomniałam sobie swoje ostatnie kary i zamrugałam szybko, żeby powstrzymać łzy. „Nie będę ci po raz kolejny mówić, Arabello, że masz trzymać język za zębami!”, ryczał ojciec, z twarzą pokrytą szkarłatem, a ja zastanawiałam się, czy mnie uderzy. Wybiegł jednak z mojej komnaty. Byliśmy na dworskiej kolacji, brał w niej udział cały gabinet ojca. Sekretarz siedział naprzeciwko mnie w swoim wykończonym srebrną nicią płaszczu. Miał na palcach tyle sygnetów i pierścieni, że zastanawiałam się, jakim cudem ma siłę podnieść jeszcze widelec. Gdy zaczęła się rozmowa o ograniczaniu budżetów i padały pijackie żarty na temat żołnierzy siedzących po dwóch na jednym koniu, wtrąciłam, że może gdyby gabinet oddał swoje klejnoty i świecidełka, w skarbcu byłaby nadwyżka. Oczywiście mówiąc to, spojrzałam na Sekretarza i wzniosłam ku niemu toast, żeby się upewnić, że wszyscy pijani uczestnicy wiedzą, o co mi chodzi. Mój ojciec nie był jednak gotowy na usłyszenie tej prawdy, bynajmniej nie ode mnie.

Usłyszałam szelest, a później dostrzegłam bardzo zmęczoną Berdi. Podwoiłam wysiłki przy szorowaniu garnka. Podeszła do mnie w milczeniu. Czekałam, aż znów zacznie mnie ganić, jednak ona tylko uniosła moją brodę, tak że musiałam na nią spojrzeć, i powiedziała, że miałam całkowite prawo tak ostro potraktować tego żołnierza i że bardzo się cieszy, że to uczyniłam.

– Ale ostre słowa padające z tak młodych ust, jak twoje, w przeciwieństwie do tego, co mówi taka stara baba, jak ja, zamiast hamować zapędy, tylko dodatkowo je pobudzają. Musisz być ostrożna. Martwię się o was, tak samo jak o siebie. Nie oznacza to jednak, że nie powinnaś się odzywać. Powinnaś. Przepraszam.

Poczułam ścisk w gardle. Podczas wszystkich moich rozmów z rodzicami nigdy nie usłyszałam, że postąpiłam dobrze, nie mówiąc już o choćby namiastce przeprosin. Zamrugałam i pożałowałam, że nie kroję żadnej cebuli. Miałabym wytłumaczenie dla łez. Berdi wzięła mnie w ramiona i przytuliła. Dzięki temu

zdołałam się uspokoić.

– To był długi dzień – szepnęła. – Idź, odpocznij. Ja tu dokończę.

Kiwnęłam głową, nadal się nie odzywając.

Zamknęłam za sobą kuchenne drzwi i ruszyłam po schodach prowadzących w górę wzgórza za gospodą. Noc była spokojna, księżyc pojawiał się i znikał za warstwami mgły i oparów unoszących się nad zatoką. Mimo chłodu czułam, jak słowa Berdi mnie rozgrzewają.

Gdy stanęłam na ostatnim stopniu, zdjęłam czepek i rozpuściłam włosy. Ruszyłam szlakiem, kierując się w stronę łagodnego złotego blasku, padającego z okien chatki. Pauline pewnie była już pogrążona w głębokim śnie o Mikaelu i jego ramionach, trzymających ją tak mocno, że już nigdy nie będzie musiała się martwić, że ją zostawi.

Westchnęłam i ruszyłam ciemną ścieżką. Moje sny były nudne – z pewnością nigdy nie śniłam o silnych męskich ramionach. A właśnie takich snów bym pragnęła. Wiatr poruszył liśćmi przede mną. Potarłam ramiona, żeby je rozgrzać.

I wtedy:

– Lia.

Podskoczyłam i gwałtownie nabrałam powietrza.

– Ciii... To tylko ja. – Kaden wyszedł z cienia wielkiego dębu. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Zamarłam.

– Co ty tu robisz?

– Czekałem na ciebie.

Podszedł bliżej. W knajpie wydawał się niegroźny, ale po co chciał się ze mną spotkać tu, w tych ciemnościach? Pod bezrękawnikiem cały czas miałam zatknięty sztylet. Gdy skrzyżowałam ręce na brzuchu, poczułam go pod materiałem. Zrobiłam krok w tył. Zauważył mój ruch i przystanął.

– Chciałem tylko się upewnić, że bezpiecznie dotarłaś do domu – powiedział. – Znam ten typ żołnierzy, których upokorzyłaś w gospodzie. Są bardzo pamiętliwi i mają przerośnięte ego. – Uśmiechnął się z wahaniem. – I chyba chciałem ci powiedzieć, że bardzo podobało mi się dzisiejsze przedstawienie. Wcześniej jakoś nie miałem okazji wyrazić swojego uznania. – Przerwał, a ponieważ nadal nie odpowiadałam, dodał: – Czy mogę odprowadzić cię do domu?

Zaoferował ramię, ale go nie przyjąłem.

– I czekałeś tu przez cały ten czas? – zapytałam. – Myślałam, że już dawno jesteś w drodze.

– Zostaję tutaj. W zajeździe nie było już wolnych pokoi, ale na szczęście gospodyni zaproponowała mi stodołę. Miękkie materac to miła odmiana po spaniu

na ziemi. – Wzruszył ramionami. – Nawet, jeśli będę musiał słuchać narzekań osła czy dwóch.

Czyli był gościem zajazdu, do tego uprzejmym. I płacił, przez co powinien móc zamieszkać w naszej przytulnej chatce z przeciekającym dachem. Opuściłam rękę.

– A twój przyjaciel?

– Mój przyjaciel? – Przekrzywił po chłopcemu głowę, co sprawiło, że wyglądał o wiele młodziej. Odrzucił z czoła pasemko blond włosów. – A, on. On też zostaje.

Nabrałam przekonania, że wcale nie był kupcem. Z pewnością nie potrafiłby oskórować zwierzęcia. Owszem, miał spokojne i wyważone ruchy myśliwego, ale jego oczy... Były ciepłe i jakby wypełnione dymem. Tuż pod powierzchnią źrenic czaiła się burza. Te oczy nawykły do innego życia, jednak nie miałam pojęcia do jakiego.

– Co sprowadza cię do Terravinu? – Złapał mnie za rękę, zanim zdążyłam zareagować.

– Pozwól mi się odprowadzić – powiedział. – A wtedy opowiem ci...

– Kaden?

Cofnęłam rękę. Odwróciliśmy się w stronę głosu dobiegającego z ciemności. W niedalekiej odległości ujrzeliśmy czarną postać Rafe'a. Podszedł do nas bez ostrzeżenia; jego ruchy były ciche niczym u kota. Gdy się przybliżył, dostrzegliśmy jego twarz.

– O co chodzi? – spytał Kaden z niepokojem.

– Twoja płochliwa klacz zaczęła szaleć w swoim boksie. Powinieneś do niej pójść, zanim wyrządzi poważne szkody...

– To rumak – poprawił Kaden. – Gdy wychodziłem, wszystko było w porządku.

Rafe wzruszył ramionami.

– A teraz coś mu nie pasuje. Jak mniemam, czuje się niepewnie w nowym miejscu.

Och, jaki on był pewny siebie!

Kaden pokręcił głową i natychmiast ruszył w stronę stodoły, co niezmiernie mnie ucieszyło. Berdi nie byłaby zadowolona ze zniszczeń, nie wspominając o tym, że martwiłam się o moje potulne osły, które mogłyby nie poradzić sobie z nowym agresywnym sąsiadem. Bardzo się do nich przywiązałam. Znajdowały się w sąsiedniej stajni, ale od zwierząt w stodole dzieliła je zaledwie cienka drewniana ściana.

Rafe i ja zostaliśmy sami. Lekki wietrzyk poruszał leżącymi między nami liśćmi. Odgarnęłam włosy z twarzy i spojrzałam na niego. Zmienił się. Miał gładko zaczesane i związane z tyłu włosy, a jego świeżo ogolona twarz połyskiwała

w blasku księżyca. Miał ostre, opalone kości policzkowe. Założył też świeżą koszulę. Cały czas wpatrywał się we mnie w milczeniu. Chyba miał w zwyczaju gapić się na ludzi.

– Nie mogłeś sam uspokoić konia? – spytałam w końcu.

Uśmiechnął się złośliwie, ale odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Czego chciał Kaden?

– Dopilnować, żebym bezpiecznie wróciła do domku. Martwił się tym żołnierzem z knajpy.

– I słusznie. Las może być niebezpieczny, zwłaszcza dla samotnej kobiety.

Czy on próbował mnie zastraszyć?

– Nie jestem samotna. I nie znajdujemy się w gęstym lesie. Jeśli teraz zacznę krzyczeć, z pewnością usłyszy mnie kilka osób.

– Doprawdy? – Rozejrzał się wokół, jakby próbując dostrzec ludzi, o których mówiłam, a potem ponownie spojrzął na mnie. Poczułam ścisk pod żebrami.

Zrobił krok naprzód.

– No i oczywiście masz ten mały nożyk, ukryty pod kamizelką.

Mój sztylet? Skąd o nim wie? Przecież nosiłam go przy boku i był niewidoczny. Może zaczęłam go nieświadomie dotykać? Dopiero teraz zauważyłam, że Rafe jest o głowę wyższy ode mnie. Zadarłam brodę.

– Wcale nie jest taki mały – odparłam. – Ma piętnastocentymetrowe ostrze. Przy odrobinie wprawy można nim zabić.

– A czy ty masz wprawę?

Ćwiczyłam tylko na nieruchomych celach, takich jak drzwi mojej komnaty.

– Bardzo dużą.

Nie skomentował tego, tak jakby mój sztylet i moje umiejętności nie zrobiły na nim wrażenia.

– No cóż, w takim razie dobranoc. – Już odwróciłam się, by odejść, gdy usłyszałam: – Lio, poczekaj.

Zatrzymałam się, nadal odwrócona plecami do niego. Intuicja kazała mi iść dalej. *Idź, Lio. Do przodu.* Przez całe życie słuchałam ostrzeżeń. Od matki. Ojca. Braci. Nawet od Mędrca. Od każdego, kto chciał mnie chronić przed dobrem i złem. *Do przodu!* Ale nie poszłam. Może to przez jego głos. Może na dźwięk mojego imienia w jego ustach. Może to przeczucie, że czasami, owszem, narażam się na niebezpieczeństwo, ale jednocześnie idę we właściwym kierunku. A może wrażenie, że jednak wydarzy się to, co niemożliwe. Przerazenie i wyczekiwanie były ściśle ze sobą związane.

Odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy. Czulałam niebezpieczeństwo, ogień, ale nie chciałam odwrócić wzroku. Poczekalam, aż się odezwie. Zrobił kolejny krok, dzieliło nas od siebie zaledwie półtora metra. Wyciągnął ku mnie rękę, a ja cofnęłam się ze strachem, ale potem zobaczyłam, że trzyma w dłoni mój czepek.

– Upuściłaś to.

Czekał, aż go odbiorę. Do koronki przyczepiło się kilka połamanych, suchych liści.

– Dziękuję – szepnęłam i wyciągnęłam rękę. Przejechałam koniuszkami palców po jego palcach, ale nie puścił czepka. Jego skóra parzyła moją chłodną skórę. Spojrzałam mu w oczy i po raz pierwszy dostrzegłam dziurę w jego zbroi, w jego nieugiętym wyrazie twarzy, złagodzoną zmarszczką między brwiami. Niezdecydowanie zupełnie zmieniło jego rysy, a potem zauważyłam, że jego klatka piersiowa podniosła się bardziej niż zwykle – nabrał powietrza, jakbym go czymś zaskoczyła.

– Wezmę go – rzekłam. – Możesz już puścić.

Puścił czepkę, szybko życzył mi dobrej nocy, a potem gwałtownie się odwrócił i zniknął na ścieżce.

Stał się bardzo niespokojny. Stracił pewność siebie. Nie mogłam tego zobaczyć, ale wyczuwałam to – wyraźnie czułam jego niepokój na swojej skórze, łaskotał mnie w kark. Jak? Co takiego zrobiłam? Nie wiedziałam. Wpatrywałam się jednak w ciemną ścieżkę, na której zniknął, aż wreszcie wiatr zatrzęsł gałęziami nad moją głową, przypominając mi, że jest już późno, że jestem sama, a las jest bardzo mroczny.



Rozdział 11

ZABÓJCA

Może nie być drugiej szansy.

A mimo to pozwoliłem, by jedna przeszła mi koło nosa.

Rzuciłem sakwą o ścianę. Mój współlokator zajął miejsce w przeciwległym rogu. Przynajmniej mieliśmy dostatecznie dużo miejsca. Zaczął już działać mi na nerwy. Wiejski ciołek, który po dwóch drinkach zaleca się do księżniczki. Znam ten typ. Nie powinienem się z nim zaprzyjaźniać, ale w zajeździe nie było więcej pokoi, więc i tak pewnie skończyłbym razem z nim w stodole.

Możliwości zakwaterowania w tej okolicy były ograniczone. Mieliśmy dach nad głową i cienkie materace, które musieliśmy przynieść sobie ze składu, ale przynajmniej w stodole nie śmierdziało – jeszcze. Musiałem również przyznać, że jedzenie w zajeździe było o wiele lepszą opcją niż koścista wiewiórka nadziana na patyk i upieczona nad ogniskiem. Miałem też dość napełniania bukłaku wodą z brudnych strumieni.

Mam nadzieję, że ciemny cydr będzie wam smakować.


Owszem, smakował. Nie wiem, kogo się spodziewałem, ale na pewno nie jej. Podrapałem żebra pod koszulą na wspomnienie licznych ciosów i batów, które otrzymałem wiele lat temu. Pamiętałem o każdym z nich z osobna. Znani mi członkowie rodzin królewskich byli chciwi i tchórzliwi, ale ona nie okazywała żadnej z tych cech. Stawiła czoła żołnierzowi i zaczęła bronić przyjaciółki, jakby stała za nią cała armia. Była przerażona – widziałem, jak kufle drżą w jej dłoni – ale strach jej nie powstrzymał.

Jednak jak przystało na błękitną krew, wykazała się arogancją. Będę o tym pamiętał, gdy nadejdzie jej czas, nie było jednak powodu, dla którego przez kilka dni miałbym nie cieszyć się mieszkaniem w zajeździe, jadłem i innymi przyjemnościami. Potem dokończę to, co zacząłem. Miałem na to mnóstwo czasu. Griz i inni z pewnością nie przyłączą się do mnie w ciągu kolejnego miesiąca. Nie muszę spędzać go w samotności na jakimś pustkowiu, żywiąc się gryzoniami, skoro mogę zostać tutaj. W odpowiednim czasie wykonam swoją robotę. Komizarz zawsze mógł na mnie liczyć i tym razem będzie tak samo.

Zdjąłem kozaki i zdmuchnąłem lampion. Wsunąłem nóż pod materac, tak by

był w zasięgu ręki. Ile razy rozplątywałem nim anonimowe gardła? Tym razem jednak znałem imię ofiary, przynajmniej to, którego używała. Lia. Mało królewskie imię. Ciekawe, dlaczego je wybrała.

Lia. Niczym szept wiatru.



Rozdział 12

KSIAŻĘ

Powiedziałem Svenowi, że prawdopodobnie nigdy nie będę z nią rozmawiać, gdy jednak zobaczyłem, jak zadziera nosa, jakby nic innego się nie liczyło, jedyne, czego pragnąłem, to zamienić z nią kilka słów. Chciałem dostarczyć wrażeń, móc opowiedzieć historię, po usłyszeniu której zaczerwienią się uszy nawet mojemu ojcu. Miałem ochotę zdradzić jej tożsamość w sali pełnej ludzi, a mimo to siedziałem cicho i pozwoliłem, by zaproponowała mi jadło do wyboru. Księżniczka Arabella, Pierwsza Córka Domu Morrighan pracowała w gospodzie.

I wyglądało na to, że jej się to podoba. Ogromnie.

Chyba właśnie to najbardziej mnie martwiło. Gdy ja byłem w drodze, zastanawiając się, czy napadli ją bandyci albo zeżarły niedźwiedzie, ona bawiła się w kelnerkę. Bez wątpienia sprawi mi ogromne kłopoty, a w chwili, w której uciekła z naszego ślubu, unikałem trafienia zatrutą strzałą.

Zrobiła mi przysługę. Zachciało mi się śmiać, gdy przypominałem sobie sugestię ojca, że może powinienem wziąć sobie nałożnicę. Ta dziewczyna z pewnością sprawiłaby, że takiej decyzji pożałowałby cały dwór i pół królewskiej armii.

Przewróciłem się na bok i walnąłem w nierówny materac z nadzieją, że mój niechciany towarzysz nie zaśnie. Zanim zdmuchnął swój lampion, tłukł się po stodole niemal przez godzinę. Widziałem, jak patrzy na księżniczkę w gospodzie, praktycznie rozbierał ją wzrokiem.

Muszę przyznać, że gdy po raz pierwszy ją zobaczyłem, również byłem zaskoczony. Wyglądała zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałem – przez wszystkie te tygodnie oczami wyobraźni widziałem chudą, skrzywioną twarz. Gdy na nią patrzyłem, wszystko we mnie ucichło. Zacząłem niemal mieć nadzieję, że to nie ona, kiedy jednak ją usłyszałem, nie miałem już żadnych wątpiwości. Poznałem ją po zuchwałości i temperamencie.

Poznałem ją po sposobie, w jaki uciszyła ogromnego żołnierza, powiedziawszy zaledwie kilka ostrych, choć nierozsądnych słów. Gdy już siedzieliśmy, zauważyłem, że mój nowy towarzysz cały czas ją obserwuje – niczym pantera łanię. Pewnie planował, że dziewczyna stanie się jego deserem.

Miałem ochotę wykopać spod niego krzesło.

Przy odrobinie szczęścia jutro wyruszy w dalszą podróż i zapomni o zalecaniu się do miejscowej barmanki. Po wyjściu z gospody poszedł do wychodka, a ja w tym czasie przyjrzałem się siodle na jego koniu i sakwom. Żadnego herbu, żadnych oznaczeń rzemieślnika ani rejonu. Nic. Ani na sakwach, ani na pochwie, cuglach czy kocu – nawet najmniejszego zdobienia na nachrapniku. Przypadkowe czy zamierzone?

Znowu zacząłem się wiercić na łóżku. Nie mogłem znaleźć wygodnej pozycji. No dobrze, widziałem ją. I co teraz? Obiecałem Svenowi, że nie będę z nią rozmawiał, ale rozmawiałem. Chciałem ją publicznie zhańbić, ale tego nie uczyniłem. Chciałem powiedzieć jej na osobności, że wiem, kim jest, wiedziałem jednak, że nie mogę tego zrobić. Zupełnie inaczej to sobie zaplanowałem.



Rozdział 13

– Dlaczego mnie wczoraj nie obudziłaś?

Stałam za Pauline przed lustrem. Spojrzałam na jej zaparowane odbicie. Zwierciadło było stare i nakrapiane, pewnie wrzucono je do domku, gdy stało się już bezużyteczne, cieszyłam się jednak, widząc, że policzki przyjaciółki znów się zaróżowiły. Energicznie szcztkowała swoje długie miodowe włosy, a ja wyjmowałam z szafy odzież do jazdy konnej.

– Było późno, a ty tak głęboko spałaś. Nie chciałam cię budzić.

Zwolniła ruchy ręki, aż wreszcie zaczęła się wahać.

– Przykro mi, że ty i Berdi się pokłóciłyście. Ona naprawdę próbuje...

– Pauline, między mną a Berdi jest już wszystko w porządku. Nie martw się. Rozmawialiśmy po twoim wyjściu. Ona rozumie mój...

– Lio, musisz zrozumieć, że Terravin to nie Civica. Twój ojciec i jego ludzie nie pilnują każdego żołnierza w królestwie. Berdi robi, co może.

Odwróciłam się, bo jej słowa mnie rozwścieczyły, ale potem zrozumiałam prawdę i poczułam ścisk w gardle. Ojciec rzadko opuszczał wygodną i bezpieczną Civicę. Tak samo jak swój gabinet. Rządził na odległość – o ile w ogóle można to nazwać rządzeniem – i w celu rozwiązywania problemów aranżował małżeństwa. Kiedy po raz ostatni jeździł po swoim królestwie i rozmawiał z ludźmi, którzy nie mieli zapewnionego bezpieczeństwa, tak jak on? Wiceregent i jego mała świta byli jedynymi osobami, które wyjeżdżały z Civiki, i to tylko na rutynowe dyplomatyczne wizyty w Królestwach Mniejszych.

Strzepnęłam spodnie, próbując pozbyć się zagnieceń. Obie spojrzałyśmy na rozdarcie na kolanie i postrzępione nici w miejscach, w których niedługo miały powstać kolejne dziury.

– Pauline, masz rację. Terravin to nie Civica.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie i nie wracałyśmy więcej do tego tematu. Po trzech dziesięcioleciach spędzonych na tronie mój ojciec nie znał już własnego królestwa. Na niektóre rzeczy o wiele łatwiej patrzeć z dystansu, niż gdy znajdują się pod twoim nosem.

Ubrałyśmy się, wsunęłyśmy koszule w spodnie i założyłyśmy buty. Przypięłam pasek do boku i założyłam miękką skórzaną kamizelkę, żeby go ukryć. *Piętnastocentymetrowe ostrze*. Uśmiechnęłam się. Czy on w to uwierzył? Tak

naprawdę miało zaledwie dziesięć centymetrów długości – ale było świetnie wyważone – poza tym, jak mawiała ciotka Bernette, przy opisywaniu broni, zwycięstw i części ciała zawsze należy trochę przesadzać. Nosiłam ten mały inkrustowany klejnotami sztylet bardziej po to, by czuć się blisko braci, niż dla ochrony, chociaż nie zaszkodzi, jeśli Rafe będzie sądził inaczej. Walther zawsze ostrzył dla mnie mój nóż, chełpiąc się tym, jak atakowałam nim drzwi mojej komnaty. Teraz sama musiałam dawać sobie radę z ostrzeniem. Dotknęłam pochwy sztyletu, upewniając się, że jest dopasowana do mojego biodra, i zaczęłam się zastanawiać, czy moi bracia tęsknią za mną tak bardzo, jak ja za nimi.

Ponieważ zajazd nadal był pełny, rano nie musiałyśmy sprzątać pokoi. Za to Berdi wysłała nas po jeżyny. Była to miła odmiana. Cieszyłam się też, że moje osły, Otto, Nove i Dieci, pochodzą trochę po świeżym powietrzu, chociaż doskonale wiedziałam, że zrobię im nie mniejszą przyjemność, pozwalając jeść siano w zagrodzie i komentować po swojemu każdą przechodzącą osobę – co zdawały się regularnie czynić na widok Enza.

Po drodze miałyśmy zabrać Gwyneth, której zadaniem było wskazać nam trasę do Kanionu Diabła, gdzie rosły największe krzewy jeżyn. Berdi twierdziła, że właśnie tam owoce są najśodsze. Ponieważ festiwal miał się odbyć za niecałe dwa tygodnie, przygotowywała się do pieczenia bułeczek z jeżynami, robienia konfitur jeżynowych i puddingu z jeżynami. Gwyneth powiedziała nam po cichu, że Berdi potrzebuje też świeżych jeżyn na nowe wino, które zaleje w butelkach. Stare butelki zostaną wypite podczas festiwalu.

Zastanawiałam się, co znajdowało się w ciemnych skrzyniach w rogu piwnicy. Najwyraźniej każdy musiał przynieść coś na festiwal. Berdi co roku robiła różne jeżynowe przysmaki. Tradycja. Nie mogłam się doczekać aż osobiście zakosztuję jej smaku.

Zaplotłam Pauline włosy i spróbowałam owinąć je wokół głowy, ale nie potrafiłam tego zrobić, więc zdecydowałam się na prosty, ale ładny warkocz, opadający jej na plecy. Zamieniłyśmy się miejscami i później to Pauline uczesała mnie – jej jednak udało się wykonać na mojej głowie o wiele bardziej misterną fryzurę: na każdej skroni zaczęła warkocz i połączyła je na czubku. Zostawiła też kilka luźnych pasemek, żeby fryzura wyglądała na delikatniejszą. Czesząc mnie, nuciła pod nosem, i stwierdziłam, że z pewnością nadal marzy o Mikaelu. Nagle jednak mruknęła głośno, tak jakby znalazła coś w moich włosach – na przykład wielkiego, grubego kleszcza.

– Co? – spytałam przestraszona.

– Nic. Po prostu przypomniałam sobie tamtych dwóch z poprzedniego wieczora. Gdy Berdi wezwała cię do kuchni, wyglądali na pozytywnie zaskoczonych. Masz bardzo interesujących wielbicieli.

– Mówisz o Kadenie i Rafem?

– Oho! Znasz ich imiona? – Stała jak wryta i pociągnęła mnie za włosy. Skrzywiłam się.

– Przez zwykłą kurtuazję. Spytałam o ich imiona, kiedy ich obsługiwałam.

Przechyliła się na bok, żeby mieć pewność, że widzę ją w lustrze, i ostentacyjnie przewróciła oczami.

– Nie widziałam, żebyś pytała łysych rzeźników o ich imiona. A co z tym trzecim, który przyszedł później? Wiesz, jak się nazywa?

– Trzeci?

– Nie widziałas go? Wszedł tuż po tamtych dwóch. Chudy i niechlujnie ubrany. Cały czas na ciebie zerkał.

Spróbowałam go sobie przypomnieć, ale byłam tak skupiona na podłym żołnierzu, a potem na obsługiwaniu Kadena i Rafe'a, że nie zauważyłam, iż drzwi do gospody w ogóle się otworzyły.

– Nie, nie widziałam go.

Wzruszyła ramionami.

– Został na bardzo krótko. Nawet nie dopił cydru. Za to Kaden i Reef bardzo się ociążali. Nie wyglądali mi na płochliwych.

Wiedziałam, że nawiązywała do Charlesa i innych chłopców, którzy mnie unikali.

– Nazywa się Rafe – poprawiłam.

– Och... Rafe. Czy któryś z nich podoba ci się bardziej?

Zesztywniałam. Podoba się? Tym razem to ja przewróciłam oczami.

– Obaj byli niegrzeczni i zarozumiali.

– Czy to mówi Wasza Wysokość czy ktoś, kto boi się płochliwych chłopców? – Znowu pociągnęła mnie za włosy.

– Pauline, przysięgam, jeśli jeszcze raz to zrobisz, to każę cię ściąć! Co w ciebie wstąpiło?

Była stanowcza i wcale nie przejmowała się moją groźbą.

– Po prostu odwdzięczam ci się za wczorajszy wieczór. Sama powinnam powstrzymać tego żołnierza, na długo zanim ty wkroczyłaś do akcji.

Westchnęłam.

– Każdy z nas ma inne umiejętności. Ty jesteś niezmiernie cierpliwa, co czasem nie wychodzi ci na dobre. Ja natomiast mam cierpliwość przemoczonego kota. Co przydaje się przy naprawdę niewielu okazjach. – Wzruszyłam ramionami z rezygnacją, a Pauline wyszczerzyła zęby. Szybko się skrzywiłam. – I tak mi się odwdzięczasz? Chcesz wyrwać mi wszystkie włosy?

– Chronię cię przed tobą. Zeszłego wieczoru obserwowałam cię z nimi. – Położyła ręce na moich ramionach i powiedziała łagodnie: – Chcę, żebyś przestała się bać. Lio, ci dobrzy nie uciekają.

Przełknęłam ślinę. Chciałam odwrócić wzrok, ale Pauline wpatrywała się we

mnie uparcie. Za dobrze mnie znała. Zawsze ukrywałam przed innymi swoje obawy, traktując ich z góry albo mówiąc ostre słowa. Ile razy widziała mnie w ciemnych korytarzach cytadeli, gdy próbowałam uspokoić oddech po kolejnym spotkaniu z Mędrce, który mówił mi, że mam niedostatki w wykształceniu, braki w umiejętnościach społecznych i we wszystkim, w czym czułam się gorsza, a czego ode mnie oczekiwano. Ile razy stałam w bezruchu przy oknie w mojej komnacie, patrząc przed siebie niewidomym wzrokiem przez ponad godzinę, mrugając, żeby powstrzymać łzy, po tym, jak ojciec po raz kolejny szorstko mnie potraktował. Ile razy zamykałam się w garderobie. Wiem, że Pauline słyszała, jak płaczę. W ciągu ostatnich kilku lat niezliczoną ilość razy byłam naciskana, kształtowana i uciszana. A im częściej to robiono, tym bardziej pragnęłam, żeby ktoś usłyszał mój głos.

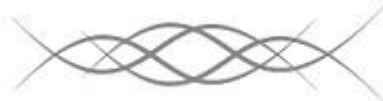
Pauline zabrała ręce z moich ramion.

– Ale na obu w miarę miło mi się patrzyło. – Usłyszałam obłudę we własnym głosie. Prawda była taka, że każdy z nich był atrakcyjny na swój sposób. Przecież nie jestem trupem, zwracam uwagę na mężczyzn. Ale chociaż obaj sprawili, że na ich widok krew w moich żyłach popłynęła szybciej, napełnili mnie również lękiem. Pauline nadal czekała na coś innego. Powiedziałam to więc, choć od razu wiedziałam, że tego pożałuję: – Może jeden z nich spodobał mi się bardziej. Chociaż nie miałam co do tego pewności. Znalezienie w kimś czegoś intrygującego nie oznaczało jeszcze, że ten ktoś mi się podobał. Ale bądź co bądź, zeszłej nocy prześladował mnie w snach. Jego twarz pojawiała się i znikła niczym zjawą, przemykała w cieniach leśnej gęstwiny, w ścianach rozpadających się ruin, jego oczy płonęły.

Szedł za mną cały czas, szukał mnie niczym skradzionego sekretu, który do niego należał. Były to bardzo niepokojące sny, marzenia Pauline o Mikaelu z pewnością były zupełnie inne. Możliwe, że moje sny były spowodowane kuchnią Berdi, ale rano, gdy tylko się obudziłam, od razu pomyślałam właśnie o nim.

Pauline uśmiechnęła się i zawiązała mój warkocz sznurkiem z rafii.

– Wasza Wysokość, jeżyny czekają.



Gdy siedliśmy nasze ryczące trio, z gospody wyszedł Kaden. Rano Berdi podawała prosty posiłek – twarde sery, gotowane jaja, solone śledzie, gorącą owsiankę, podpłomyki i mnóstwo kawy z cykorii – wszystko to rozstawiała na ławie. Goście obsługiwali się sami albo robili sobie kanapki na wynos. Od Berdi nikt nie wychodził głodny – nawet żebracy czy księżniczki, które stawały na jej progu.

Pociągnęłam Ottona za popręg i chciałam sprawdzić Nove'a, ale spojrzałam

jeszcze na Kadena spod lekko opuszczonych powiek. Pauline odchrząknęła, jakby coś stało jej w gardle. Rzuciłam jej ostre spojrzenie. Przewróciła oczami w stronę Kadena – który szedł teraz prosto do nas. Nagle poczułam suchość w ustach. Przełknęłam ślinę. Miał na sobie białą koszulę; piasek chrzęścił pod jego butami.

– Dzień dobry, paniom. Wcześniej wstałyście.

– Tak jak ty – odparłam.

Wymieniliśmy uprzejmości, wyjaśnił, że właśnie miał wyjechać, żeby zająć się sprawami, przez które być może będzie musiał zostać w zajeździe przez kilka dni, ale nie powiedział, co to za sprawy.

– Handlujesz futrami, tak jak zasugerowała Gwyneth? – spytałam.

Uśmiechnął się.

– Właściwie to tak. Skórami małych zwierząt. Z reguły handluję w Piadro, ale mam nadzieję, że na północy uda mi się dostać lepsze ceny. Pochwal przyjaciółkę za jej zmysł obserwacji.

Czyli nie miałam racji. Handlował futrami. Pierwsze wrażenie może być mylne.

– Tak – zgodziłam się z nim. – Gwyneth jest bardzo spostrzegawcza.

Odwiązał swojego konia.

– Mam nadzieję, że gdy wrócę dziś po południu, będzie dostępny prawdziwy pokój.

– Do czasu festiwalu jest to mało prawdopodobne – rzekła Pauline. – Ale może znajdzie się pokój w jakimś innym zajeździe.

Zatrzymał się, jakby zaczął rozważać tę opcję. Jego wzrok spoczął na mnie na trochę dłużej, niż powinien. W promieniach słońca jego włosy lśniły, a oczy nabrały intensywniejszej barwy i brązowych plamek o odcieniu ciepłym niczym świeżo przeorana ziemia. Nadal jednak wyczuwałam zaniepokojenie pod zewnętrznym spokojem. Krótka szczecina na jego brodzie odbijała poranne promienie słońca. Nieświadomie zaczęłam się wpatrywać w jego kształtne usta – uświadomiłam to sobie, dopiero gdy rozciągnęły się w uśmiechu. Szybko skupiłam się na ośle, czując, jak płoną mi policzki.

– Zostanę tutaj – odparł.

– A twój przyjaciel? Czy on również zostaje? – spytałam.

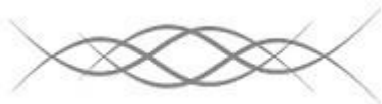
– Nie znam jego planów, wydaje mi się jednak, że jego nos jest zbyt wrażliwy na warunki panujące w stodole.

Pożegnał się z nami i już po chwili patrzyłam, jak odjeżdża na czarnym jak noc koniu, na dzikiej, silnej bestii, przerażającej, nawet gdy tylko oddychała – tak jakby miała w rodowodzie smoka. Ta bestia potrafiłaby rozwalić stodołę na kawałki i nigdy nie mogłaby zostać pomyłona z kłaczą rozplodową. Uśmiechnęłam się na wspomnienie prowokacji Rafe'a. Dziwni z nich przyjaciele.

Gdy był już poza zasięgiem naszego wzroku, Pauline powiedziała:

– Ach, więc to jest Rafe.

Wskoczyłam na mojego osła i już się nie odezwałam. Najwyraźniej Pauline obudziła się dziś z zamiarem wzmacniania relacji, najpierw moich i Berdi, a teraz moich i... nieważne. Czy to dlatego, że tak bardzo pragnęła umocnić swój związek z Mikaelem? Niechętnie wzywałam bogów poza niezbędnymi rytuałami, teraz jednak przyłożyłam do ust dwa palce i pomodliłam się za to, żeby Mikael wrócił jak najszybciej.



Urok Terravinu polegał między innymi na jego wielkości. Od zajazdu Berdi, znajdującego się pod wzgórzami na południu, aż do pierwszych sklepów na północnym krańcu było piętnaście minut jazdy konnej – chyba że jechało się na trzech osłach, którym nigdy nigdzie się nie śpieszyło. Zachwycałam się kolorowymi domami i sklepami, a Pauline opowiedziała mi, że to część tradycji, która zawiązała się wieki temu. Kobiety z małej wioski rybackiej malowały swoje domy na jasne kolory, żeby ich mężowie na morzu mogli je dostrzec z daleka i pamiętać, że ukochane czekają na ich powrót. Wierzono, że w ten sposób można ochronić prawdziwą miłość przed śmiercią na morzu.

Czy rzeczywiście można było wyjechać na tyle daleko, by nie znaleźć już drogi do domu? Ja nigdy nie byłam w wodzie głębiej niż po kolana – podczas szybkiej kąpieli w lodowatych wodach Morza Szafranowego w trakcie jednej z rzadkich rodzinnych wycieczek, kiedy to ganiałam z braćmi po plaży i zbierałam muszle z ojcem. To stare wspomnienie otrzeźwiło mnie niczym zimny wiatr. Zebrało się już tyle innych wspomnień, że niemal zakryły to jedno. Byłam przekonana, że mój ojciec w ogóle o tym nie pamięta. Wtedy był zupełnie innym człowiekiem. Ja też byłam inna.

Pojechałyśmy na północ wąską ścieżką, równoległą do położonego poniżej głównego traktu. Na drogę padały postrzępione promienie światła, którym udało się przecisnąć pomiędzy liśćmi. Poza głównym traktem były dziesiątki takich wąskich drózek, biegnących przez Terravin i okolice, a każda z nich prowadziła do niesamowitych odkryć. Przecięłyśmy jedną ścieżkę, by wjechać do centrum miasta, i naszym oczom ukazała się Sacrista – wielka budowla, jak na tak małe miasteczko. Podejrzywałam, że mieszkańcy Terravinu muszą żarliwie czcić bogów.

Po jednej stronie znajdował się cmentarz z pomnikami, tak starymi, że zdawały się już tylko cienkimi płytami z kamienia. Wszelkie zdobienia, słowa czy wyrazy uznania zostały wymyte wiele lat temu, leżący tu ludzie nie istnieli dla historii, a mimo to przed kilkoma zniszczonymi pomnikami świece wspomnień nadal płonęły w szklanych czerwonych latarniach.

Patrzyłam, jak wzrok Pauline błądzi po kamieniu i świecach. Nawet Otto zwolnił, gdy tamtędy jechałyśmy, skulił uszy, jakby mieszkańcy chcieli nas przywołać spod ziemi. Zerwał się wiatr, który owinał luźno wiszące pasma włosów wokół mojej szyi.

Nie ma... nie ma...

Poczułam dreszcze. Moje gardło ścisnął gwałtowny strach. Mikael. Coś jest nie tak. Coś jest beznadziejnie i nieodwracalnie nie tak.

Ogarnęło mnie przerażenie. Zmusiłam się do przypomnienia sobie faktów: Mikael był na patrolu. Walther i Regan wielokrotnie bywali na patrolach, czasem wracali do domu później ze względu na pogodę, brak zapasów czy z jakichś innych, mało istotnych powodów. Patrole nie były niebezpieczne. Niekiedy dochodziło do jakichś potyczek, ale rzadko brali w nich udział intruzi. Jediną ranę odniósł Regan – gdy koń nadepnął mu na bosą stopę.

Patrole to tylko środek ostrożności, sposób na zabezpieczenie granic, których nikt nie ma przekraczać, i na dopilnowanie, żeby w Cam Lanteux, strefie bezpieczeństwa między królestwami, nie było stałych mieszkańców. Przeganiali barbarzyńców za ich własne granice. Walther nazywał to waleniem się w pierś. Mówił, że najgorsza podczas patrolu jest konieczność znoszenia zapachu niemytych męskich ciał. Tak naprawdę to nie byłam pewna, czy barbarzyńcy w ogóle stanowili jakieś zagrożenie. Owszem, ze wszystkich relacji, jakie słyszałam na dworze od naszych żołnierzy, wynikało, że bywali brutalni, ale od setek lat pilnowano, by nie opuszczali swoich terenów. I jak brutalni tak naprawdę potrafili być?

Ukochanemu Pauline nic nie jest, powtarzałam sobie, ale straszliwe wrażenie nie mijało. Nigdy nie poznałam Mikaela. Nie pochodził z Civiki, został tam przydzielony w ramach wymiany oddziałów, a Pauline przestrzegała zasad panujących na dworze i była bardzo dyskretna – tak dyskretna, że wspomniała o ukochanym dopiero tuż przed naszym wyjazdem. Teraz zaczęłam się obawiać, że mogę już nigdy nie zobaczyć tego młodego człowieka, który tak bardzo ją kochał i sprawiał, że jej twarz promieniała na samą myśl o nim.

– Chcesz się zatrzymać? – zapytałam chyba o wiele za głośno, bo drgnęła z przestraszeniem.

Pociągnęłam lejce Ottona.

Pauline zatrzymała się, a na jej zatroskanym czole pojawiły się zmarszczki.

– Jeśli nie masz nic przeciwko. To zajmie tylko chwilę.

Zsiadła z osła i wyjęła monetę z sakwy. Szybko weszła do Sacristy. Świeca. Modlitwa. Nadzieja. Światełko zapalone dla Mikaela. Znak, który miał go bezpiecznie sprowadzić do Terravinu.

Będzie ją to podtrzymywać na duchu aż do następnego razu, gdy ostrzegawczy wiatr przemknie po kościach tych, którzy od dawna nie żyją. Gdy

Pauline wróciła kilka chwil później, na jej twarzy nie było już widać zmartwienia. Przekazała je bogom. Poczułam ulgę.

Pojechałyśmy do głównego traktu i zgodnie ze wskazówkami Berdi udałyśmy się do małego pokoju nad apteką, wynajmowanego przez Gwyneth. Apteka była niewielkim lokalem, wciśniętym między o wiele większe sklepy po obu jej stronach. Na jednej ścianie znajdowała się wąska klatka schodowa, prowadząca do pokoju na pierwszym piętrze, który jak założyłam, należał do Gwyneth. Znajdował się z tyłu i był mały, Gwyneth z pewnością nie miała tam bieżącej wody ani podstawowych wygod. Bardzo ciekawiło mnie jej życie poza gospodą. Nigdy o nim nie opowiadała, nawet gdy ją dopytywałyśmy, zawsze nas zbywała i zmieniała temat, czym tylko pobudzała moją wyobraźnię. Spodziewałam się, że mieszkała w jakimś bardziej egzotycznym miejscu niż mały pokój nad sklepem przy ruchliwym trakcie.

Zsiadłyśmy z osłów, podałam Pauline lejce Ottona i powiedziałam, że pobiegnę po Gwyneth. Ta jednak nagle wyszła z zakładu szewca po przeciwnej stronie ulicy, prowadząc za rękę dziecko w wieku nie więcej niż sześciu, może siedmiu lat – śliczną dziewczynkę o ciemnorudych, opadających na ramiona lokach i piegach, pokrywających policzki i nos. Mała przyciskała do piersi niewielki pakunek, który najwyraźniej wiele dla niej znaczył.

– Dziękuję, panno Gwyneth! Nie mogę się doczekać, żeby pokazać to mamie!

Ruszyła w te pędy i zniknęła w sąsiedniej uliczce.

– Do widzenia, Simone! – Gwyneth długo patrzyła za dziewczynką. Miała roześmiane oczy, cała jej sylwetka złagodniała. Jeszcze nigdy nie widziałam takiej czułości u tej przeważnie zmęczonej kobiety.

– Śliczna! – krzyknęłam, by wreszcie nas zauważyła.

Spojrzała w naszą stronę i zeszywniała.

– Jesteście wcześniej – powiedziała szorstko.

Przeszła na naszą stronę, przyglądając się podejrzliwie wielkim zębom Dieciego i zastanawiając się na głos, czy ta domowa bestia kiedykolwiek była ujeżdżana. Szczerze mówiąc, nie miałyśmy pojęcia, ale bez problemu dał się osiodłać. Gdy sprawdzałam jego popręg, obok nas z łoskotem przejechał wielki wóz z jedzeniem, zmierzający w stronę doków. Powietrze wypełnił zapach smażonego w głębokim tłuszczu węgorka. Nie przepadałam za tym lokalnym przysmakiem, ale jego woń nie była nieprzyjemna. Jednak Pauline zasłoniła usta dłonią. Pobladła, po czym zwróciła na ulicę całe śniadanie. Próbowałam jej jakoś pomóc, ale mnie odepchnęła, ponownie złapała się za brzuch i zwymiotowała po raz drugi. Teraz już chyba wyrzuciła z siebie całą zawartość żołądka. Wyprostowała się i nabrała powietrza, cały czas trzymając się za brzuch. Spojrzałam na jej dłonie i nagle reszta świata zniknęła.

Och, bogowie...

Pauline?

Miałam wrażenie, jakby ktoś z całych sił uderzył mnie w żołądek. Nic dziwnego, że była taka blada i zmęczona. Nic dziwnego, że była taka przerażona.

– Pauline... – szepnęłam.

Pokręciła gwałtownie głową.

– Nic mi nie jest! Nic mi nie będzie. Owsianka musiała mi zaszkodzić.

Spojrzała na mnie błagalnie załzawionymi oczami.

Postanowiłam, że później o tym porozmawiamy. Ponieważ Gwyneth wciąż na nas patrzyła, pośpieszyłam z wyjaśnieniem, że Pauline zawsze miała bardzo wrażliwy żołądek.

– Wrażliwy żołądek czy nie, nie nadaje się dziś na jazdę do upalnego kanionu i zbieranie jeżyn – rzekła stanowczo Gwyneth, a ja ucieszyłam się, gdy Pauline się z nią zgodziła. Nadal blada jak ściana upierała się, że może sama wrócić do domu. Niechętnie ją puściłam.

– I nie jadaj już owsianki! – krzyknęła za nią Gwyneth.

Ale i ja, i Pauline doskonale wiedziałyśmy, że to nie śniadanie jej zaszkodziło.



nasienia złodzieja

Zrodzi się Smok,

Żarłoczny,

Karmiący się krwią niemowląt,

Spijający łzy matek.

– Pieśń Vendy



Rozdział 14

Nazwa Kanion Diabła była bardzo odpowiednia. Nie docierały tu umiarkowane wiatry Terravinu. Było sucho, piaszczysto, ale na swój sposób pięknie. Wielkie sękate dęby mieszały się z wysokimi palmami i beczułkowatymi kaktusami. Z pełnych szczelin skał wytryskały wąskie strumienie, przy których rosły wielkie niecierpki. Naprawdę przypominało to wersję raję urządzoną przez samego diabła. I oczywiście rosły tam jeżyny, kuszące owoce, ale jeszcze do nich nie doszliśmy.

Gwyneth dmuchnęła w górę, próbując w ten sposób poprawić sobie włosy, a potem zdjęła koszulę i przewiązała ją w talii. Cienka halka nie do końca zakrywała obfity biust. Moja była o wiele skromniejsza niż jej, ale mimo potu lejącego się po plecach nie chciałam zdjąć koszuli. Wiedziałam, że w Terravinie zasady dotyczące odsłaniania ciała nie są tak rygorystyczne, ale w Civica pokazanie niemal nagich piersi byłoby skandalem. Rodzice by mnie za to... Nagle uśmiechnęłam się, zdjęłam bezrękawnik, a potem ściągnęłam koszulę przez głowę. Poczułam ulgę, gdy powietrze zaczęło chłodzić moją wilgotną skórę.

– No i proszę, księżniczko. Lepiej, prawda? – rzuciła Gwyneth.

Gwałtownie pociągnęłam lejce Otta, który głośno zaprotestował.

– Księżniczko?

Poluzowała lejce Dieci i uśmiechnęła się szeroko.

– Myślałaś, że nie wiem? Wszystkowiedząca Gwyneth wszystko zauważy.

Moje serce zaczęło walić jak szalone. Wcale mnie to nie bawiło. Nawet nie wiedziałam, czy ona żartuje.

– Chyba mnie z kimś pomyliłaś.

Udała obrażoną i uśmiechnęła się złośliwie.

– Wątpisz w moje umiejętności? Przecież widziałaś, jaka jestem dobra w ocenianiu klientów. – Pociągnęła za lejce i pojechała przodem. Ruszyłam za nią, starając się dotrzymać jej tempa, a ona cały czas gadała. Miałam wrażenie, że ta zabawa podoba się jej o wiele bardziej niż to, co wyprawiała w gospodzie. – Albo możemy się umówić, że mam kryształową kulę – zawołała radośnie. – Albo... może trochę myszkowałam w waszej chatce?

Klejnoty w mojej torbie. Albo, co gorsza, kradzione...

Gwałtownie nabrałam powietrza.

Odwróciła się do mnie i zmarszczyła brwi.

– Albo po prostu powiedziała mi o tym Berdi.

– Co? – Ponownie pociągnęłam lejce Otta, który raz jeszcze głośno wyraził swój sprzeciw.

– Przestań! Przecież on nie jest niczemu winny.

– Berdi ci powiedziała?

Powolnym, pełnym elegancji ruchem zsiadła z osła. Ja ze swojego niemal spadłam na twarz.

– Po tym, jak ją prosiłam, żeby nikomu nie mówiła? – pisnęłam. – A co z tymi jej ostrzeżeniami, żebyśmy były ostrożne? Przecież przez tyle dni nas ukrywała.

– To było tylko kilka dni. A powiedzenie mi o tym to co innego. Ona...

– A czym różni się powiedzenie tego pierwszej lepszej kelnerce, która gada z każdym obcym, od powiedzenia tego tobie? Nie musiałaś o tym wiedzieć!

Odwróciłam się, żeby poprowadzić Otta, ona jednak złapała mnie za nadgarstek i ostro pociągnęła w swoją stronę.

– Berdi wie, że mieszkam w mieście i będę pierwszą osobą, która dowie się o przyjeździe szukających cię władz albo ludzi zostawiających informacje o tym, że jesteś poszukiwana.

Puściła mnie.

Potarłam skórę na nadgarstku.

– Czyli wiesz, co zrobiłam?

Wydeła pogardliwie usta i kiwnęła głową.

– Nie powiem, że rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. O wiele bardziej wolałabym zostać zmuszona do małżeństwa z nadętym księciem niż z kobieciarzem bez grosza przy duszy, ale...

– A ja wolałabym w ogóle nie być zmuszana do małżeństwa.

– Ach, miłość. No tak. Miła rzecz, o ile uda ci się ją znaleźć. Ale nie martw się, jestem po twojej stronie.

– No cóż – prychnęłam. – To wielka ulga.

Wyprostowała się i przechyliła głowę.

– Lio, doceń moją przydatność, a ja docenię twoją.

Od razu pożałowałam moich słów. Westchnęłam.

– Przepraszam, Gwyneth. Nie chciałam sprawić ci przykrości. Po prostu tak bardzo staram się być ostrożna. Nie chcę, by komuś stała się krzywda przez to, że tu jestem.

– Jak długo planujesz zostać?

Czy ona myślała, że jestem w Terravinie tylko przejazdem?

– Oczywiście na zawsze. Nie mam dokąd pójść.

– Terravin to nie raj na ziemi. Problemy Morrighan nie znikną tylko dlatego,

że udało ci się tu ukryć. A co z twoimi obowiązkami?

– Nie mam żadnych obowiązków poza tymi w Terravinie. Jedyne obowiązki, jakie na mnie spoczywają, to te względem Berdi i zajazdu.

Pokiwała głową.

– Rozumiem.

Widziałam jednak, że nie rozumiała, potrafiła dostrzec jedynie przywileje i władzę. Ja jednak znałam prawdę. Ledwo co przydawałam się w kuchni. Jako Pierwsza Córka byłam praktycznie bezużyteczna. Odmówiłam bycia użyteczną również jako marionetka polityczna.

– Cóż – westchnęła – sama popełniłam wszystkie moje błędy. Najwyraźniej ty musisz dopełnić swoje.

– A jakie błędy popełniłaś, Gwyneth?

Spojrzała na mnie ostro.

– Takie, których dziś żałuję. – Jej ton sprawił, że miałam ochotę zacząć ją wypytywać, ale na ułamek sekundy jej spojrzenie stało się niepewne. Wskazała dwie wąskie ściany kanionu, przy których jej zdaniem rosły najlepsze jeżyny. – Osły możemy zostawić tutaj. Ty pójdziesz jedną ścieżką, ja drugą. Powinniśmy szybko zebrać pełne kosze.

Najwyraźniej był to koniec naszej rozmowy. Odpięła swój kosz od grzbietu Dieciego i odeszła, ale smutek w jej oczach pozostał razem ze mną. Zaczęłam się zastanawiać, co takiego zrobiła.

Poszłam wąską ścieżką, którą mi wskazała, i wkrótce dotarłam do szerszej oazy, ogrodu diabła we własnej osobie, wraz z małym stawem, zasilanym wodą z potoku. Zacienione północne zbocze kanionu było porośnięte krzewami – jeszcze nigdy nie widziałam tak wielkich jeżyn. Zerwałam jeden z zakazanych owoców i wsadziłam do ust. Poczułam pyszny smak i nagle naszło mnie wspomnienie. Zamknęłam oczy i zobaczyłam twarze Walthera, Bryna, Regana i jeżynowy sok, lejący się po ich brodach. Widziałam, jak nasza czwórka biega po lasach, bez zastanowienia wspina się na porośnięte mchem ruiny Starożytnych, nie myśląc o tym, że pewnego dnia nasz świat też się zmieni.

Byliśmy na schodach, zawołała nas ciotka Bernette, między każdym z nas były niemal dokładnie dwa lata różnicy, tak jakby rodzice trzymali się planu przygotowanego przez Czasowego. Oczywiście gdy zrobiono Pierwszą Córkę, rozmnażanie się zakończyło. Przypomniałam sobie, jak ojciec spojrzał na matkę mojego ostatniego dnia w Civica – ostatnie wspomnienie o nich, jakie prawdopodobnie zachowam. A potem jego komentarz na temat tego, jak pięknie wyglądała w dzień ich ślubu. Czy to przez ciężące na nim obowiązki odsunął ją na bok i zapomniał o miłości? Czy kiedykolwiek ją kochał?

Miła rzecz, o ile uda ci się ją znaleźć.

Ale Pauline się udało.

Zerwałam garść jeżyn i usiadłam pod palmą obok potoku. Dzień ledwo się zaczął, a już panował chaos, poprzedni dzień również był trudny. Byłam już tym znużona. Zatopiłam się w ciszy ogrodu diabła, słuchałam szemrania potoku i bezwstydnie smakowałam wielkie słodkie owoce.

Zamknęłam oczy i nagle usłyszałam jakiś inny dźwięk. Natychmiast je otworzyłam. Czyżby to dochodzący z oddali ryk Otta? A może to tylko gwizd wiatru w kanionie? Ale przecież dzień był bezwietrzny.

Odwróciłam głowę i usłyszałam wyraźny tętent kopyt. Moja ręka odruchowo powędrowała do boku, ale nie miałam sztyletu, został przy siodle razem z koszulą. Zostało mi akurat tyle czasu, by zerwać się na równe nogi. Najpierw zobaczyłam ogromnego konia. A potem siedzącego na nim Rafe'a.

Ach, więc przybył do mnie sam diabeł. Jakaś część mnie była z tego bardzo zadowolona.



Rozdział 15

Zatrzymał się w pewnej odległości ode mnie, jakby czekał na sygnał z mojej strony. Poczułam ścisk w żołądku. Dzisiaj jego twarz wyglądała zupełnie inaczej. Nadal był przystojny, jednak wczoraj zaobserwowałam u niego wściekłość i czułam, że pragnął mnie nienawidzić.

Dzisiaj pragnął czegoś innego.

Słońce świeciło mocno, tworząc cienie pod jego kośćmi policzkowymi, nijakie otoczenie podkreślało błękit jego oczu. Wyobrażałam sobie, że gdy spojrzał na kogoś spod ciemnych rzęs, ten ktoś błyskawicznie zaczynał rewidować swoje poglądy i posunięcia. Ja też zaczęłam. Przełknęłam ślinę. Wyciągnął w moją stronę rękę z dwoma koszykami, tak jakby miały one być wyjaśnieniem jego obecności.

– Pauline mnie przysłała. Powiedziała, że zapomniałaś o koszach.

Z trudem powstrzymałam się przed przewróceniem oczami. Oczywiście ona o nich pamiętała. Moja zawsze zaradna Pauline. Nawet osłabiona, nadal należała do królewskiej świty, próbowała z daleka rozwiązać wszelkie problemy. Była osobą, której nie potrafił odmówić nawet Rafe.

– Dziękuję – odparłam. – Żle się poczuła i musiała wrócić do zajazdu, a ja zapomniałam wziąć jej koszyki.

Pokiwał głową, tak jakby to miało sens, a potem popatrzył na moje ramiona i nagie ręce. Najwyraźniej mój bezrękawnik nie był tak skromny, jak mi się wydawało, ale w owej chwili nie mogłam już nic na to poradzić. Moja koszula i sztylet wisiały przy siodle Otta. Podeszłam bliżej, żeby odebrać kosze. Spróbowałam zignorować ciepło, które poczułam w piersi.

Rumak Rafe’a był ogromny, mój Ravian wyglądał przy nim niczym kucyk dla dziecka. Ten koń był stworzony do demonstrowania siły, być może również do zastraszania, ale na pewno nie do prędkości. Rafe siedział w siodle tak wysoko, że aby podać mi kosze, musiał się schylić.

– Przepraszam, jeśli w czymś ci przeszkodziłem.

Jego przeprosiny mnie zaskoczyły. Powiedział to grzecznym i łagodnym głosem, nie było w nim śladu po wczorajszej urazie.

– Nie przeszkadzasz mi, przecie spełniasz dobry uczynek. – Spojrzałam na niego i zanim zdołałam się powstrzymać, poprosiłam go, żeby ze mną został i napoił konia. – Oczywiście jeśli masz czas.

Co ja najlepszego zrobiłam? Coś w nim bardzo mnie niepokoiło, ale jednocześnie fascynowało do tego stopnia, że stałam się zbyt nieostrożna.

Uniósł brwi, jakby rozważał moją propozycję. Przez chwilę modliłam się, żeby odmówił.

– Chyba mam czas – odparł wreszcie.

Zeskoczył z konia i zaprowadził go do potoku, ale zwierzę tylko powąchało wodę. Był to czarno-biały srokacz i choć jego wielkość przerażała, musiałam przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam tak pięknego konia. Jego sierść błyszczała w słońcu, a białe szczotki pęcino we tańczyły wokół kopyt, gdy szedł. Rafe upuścił lejce i odwrócił się do mnie.

– Zbierasz jeżyny?

– Berdi potrzebuje ich na festiwal.

Podszedł bliżej i zatrzymał się na długość ramienia ode mnie. Zaczął się przyglądać kanionowi.

– Aż z tego miejsca? Bliżej zajazdu nie ma jeżyn?

Stałam jak wryta.

– Takich nie ma. Te są dwa razy większe niż normalne.

Patrzył na mnie, jakby nie docierały do niego moje słowa. Wiedziałam, że chodzi o coś innego. Nasze spojrzenia się spotkały, tak jakbyśmy brali udział w jakiejś tajemniczej walce. Wiedziałam, że jeśli odwrócę wzrok, przegram. Wreszcie spojrzał w dół niemal ze skruchą i przygryzł dolną wargę. Odetchnęłam.

Jego twarz złagodniała.

– Potrzebujesz pomocy?

Pomocy? Zaczęłam gmerać przy koszykach, jeden z nich upuściłam.

– Widzę, że jesteś dziś w o wiele lepszym nastroju. – Schyliłam się, żeby go podnieść.

– Wczoraj nie miałem złego nastroju.

Wyprostowałam się.

– Owszem, miałeś. Zachowywałeś się jak niewychowany prostak.

Kąciki jego ust powoli się podniosły, a na jego twarzy pojawił się ten sam irytujący, arogancki i tajemniczy uśmiech co wczoraj.

– Zaskakujesz mnie, Lio.

– Pod jakim względem?

– Pod wieloma względami. Nie wspominając już o ogromnym strachu przed królikami.

– Boję się królików...? – Zamrugalam gwałtownie. – Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co ci mówią. Pauline jest znana z tego, że lubi ubarwiać swoje opowieści.

Potarł się po brodzie.

– Chyba wszyscy tak mamy, prawda?

Przyjrzałam się mu tak samo, jak niedawno przyglądałam się Gwyneth, chociaż on stanowił dla mnie jeszcze większą zagadkę. Wszystko, co mówił, zdawało się mieć drugie dno.

A Pauline zapłaci mi za rozpuszczanie plotek, począwszy od mojego strachu przed królikami. Odwróciłam się i podeszłam do krzaków jeżyn. Jeden koszyk postawiłam przy nodze, a do drugiego zaczęłam zrywać owoce. Usłyszałam za sobą kroki Rafe'a. Zatrzymał się obok mnie i wziął do ręki pusty koszyk.

– Rozejm? Przynajmniej na razie? Obiecuję nie być więcej niewychowanym prostakiem.

Nie spuszczałam wzroku z krzaka, próbując ukryć uśmiech.

– Rozejm – odparłam.

Zaczął zrywać jeżyny, cały czas stojąc u mego boku. Wrzucił kilka do mojego koszyka, tak jakby chciał nawiązać ze mną kontakt.

– Nie robiłem tego od czasu dzieciństwa – powiedział.

– W takim razie nieźle ci idzie. Nie zjadłeś jeszcze ani jednej.

– To znaczy, że mogę to zrobić?

Uśmiechnęłam się w duchu. Jego głos brzmiał niemal wesoło, choć nie potrafiłam sobie wyobrazić takiego wyrazu na jego twarzy.

– Nie, nie możesz.

– Trudno. I tak pewnie nie pamiętam już tego smaku. Poza tym tam, skąd pochodzę, rzadko występują krzaki jeżyn.

– A skąd pochodzisz?

Jego dłoń zatrzymała się na jeżynie, tak jakby się zastanawiał, czy ją zerwać. Wreszcie zerwał owoc, a potem wyjaśnił, że pochodzi z małego miasteczka, położonego na południu Morrighan. Gdy spytałam o nazwę, odparł, że jest tak małe, iż nie nadano mu nazwy.

To oczywiście, że nie chciał mi powiedzieć, skąd pochodzi. Może tak jak ja uciekał przed nieprzyjemną przeszłością, to jednak nie oznaczało, że musiałam łykać wszystkie łągarstwa, które mi opowiadał. Mogłam się z nim trochę podroczyć.

– Miasto bez nazwy? Doprawdy?

Bardzo to dziwne. Poczekaj, aż zacznę się tłumaczyć – nie zawiódł mnie.

– To tylko taki obszar. Kilka rozpadających się chałup. Mieszkają tam farmerzy. Głównie. A ty? Skąd jesteś?

Obszar bez nazwy? Być może. Był silny, opalony jak farmer, ale przecież było w nim też wiele zupełnie niefarmerskich cech – sposób, w jaki mówił, jego chód, a zwłaszcza niepokojące niebieskie oczy. Ogniste niczym u wojownika. Z pewnością nie patrzył tak zadowolony z życia farmer, któremu całe dnie upływają na uprawianiu ziemi.

Wzięłam jeżynę, którą cały czas trzymał w dłoni, i wsadziłam sobie do ust. Skąd pochodziłam? Zmrużyłam oczy i uśmiechnęłam się.

– Z małego miasteczka w najbardziej wysuniętej na południe części Morrighan. Mieszkają tam przeważnie farmerzy. To tylko taki obszar, naprawdę. Co najwyżej kilka rozwalonych chat. Bez nazwy.

Nie potrafił powstrzymać chichotu.

– W takim razie pochodzimy z przeciwnych, ale podobnych światów, prawda?

Popatrzyłam na niego, zachwycona faktem, że udało mi się go rozśmieszyć. Po chwili uśmiech zaczął znikać z jego twarzy, pozostawiając po sobie tylko drobne zmarszczki wokół oczu. Śmiech sprawił, że całe jego ciało się odprężyło. Był młodszy, niż początkowo sądziłam, miał może dziewiętnaście lat. Intrygowało mnie, czy...

Odwróciłam wzrok, czując walenie serca, i z ożywieniem powróciłam do zrywania owoców. Gdy wrzuciłam do koszyka kilka zielonych jeżyn, Rafe dotknął mojej dłoni.

– Może się przejdziemy? – zasugerował. – Wydaje mi się, że na tym krzaku nie ma już dobrych owoców. Chyba że Berdi chce mieć kwaśne jeżyny.

– Tak, może powinniśmy przejść dalej.

Puścił moją dłoń i weszliśmy nieco głębiej w kanion, cały czas napełniając koszyki. Spytał, jak długo pracowałam w zajeździe, a ja odparłam, że zaledwie kilka tygodni.

– A co robiłaś wcześniej?

Nic, co robiłam w Civica, nie było warte wspomnienia. Prawie.

– Byłam złodziejką – odparłam. – Ale postanowiłam spróbować zarabiać na życie uczciwą pracą. Na razie nieźle mi idzie.

Uśmiechnął się.

– Ale jakby co, masz do czego wrócić?

– Właśnie.

– A twoi rodzice? Często się z nimi widzisz?

Od czasu ucieczki z nikim o nich nie rozmawiałam. Pewnie wyznaczono już nagrodę za moją głowę.

– Moi rodzice nie żyją. Smakowała ci wczoraj sarnina?

Kiwnął głową.

– Była przepyszna. Hojna Gwyneth przyniosła mi olbrzymią porcję.

Mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, z czym jeszcze Gwyneth była taka hojna. Nie żeby kiedykolwiek przekroczyła granice dobrego wychowania, ale umiała skupić na sobie uwagę wybranych gości. Ciekawe, czy należał do nich Rafe.

– Czyli zostajesz tutaj?

– Na jakiś czas. Przynajmniej do festiwalu.

– Jesteś pobożny?

– Pod pewnymi względami.

Po tej wymijającej odpowiedzi zaczęłam się zastanawiać, czy podczas festiwalu Rafe będzie się bardziej interesował jedzeniem czy wiarą. Doroczny festiwal w takim samym stopniu dotyczył jedzenia i picia, co obrządków, a niektórzy bardziej skupiali się na jednym niż na drugim.

– Zauważyłam nacięcia na twoich dłoniach. Dorobiłeś się ich podczas pracy?

Przyjrzał się ze zdziwieniem jednej swojej dłoni, jakby dopiero zauważył te blizny.

– Ach, te. Już prawie się zagoiły. Tak, to od pracy w gospodarstwie. Ale chwilowo tam nie pracuję.

– Jeśli nie będziesz mógł zapłacić, Berdi obedrze cię ze skóry.

– Berdi nie musi się martwić. Mój brak pracy jest przejściowy. Mam dostatecznie dużo pieniędzy, żeby zapłacić za swój pobyt tutaj.

– W takim razie twoja skóra zostanie ocalona. Ale jakby co, w zajeździe zawsze jest dużo pracy, którą mógłbyś wykonywać w zamian za mieszkanie. Na przykład chatka potrzebuje nowego dachu. Wtedy Berdi mogłaby normalnie ją wynajmować i pobierać za nią pieniądze.

– A gdzie wy byście zamieszkały?

Skąd wiedział, że mieszkam w chatce? Czyżby to wynikało z kierunku, jaki obrałam zeszłego wieczoru? Mogłam przecież wrócić ścieżką do domów znajdujących się z drugiej strony zajazdu – chyba że obserwował mnie do chwili, kiedy dotarłam do drzwi.

Jakby czytał w moich myślach, dodał:

– Gdy Pauline prosiła mnie, żebym przyniósł ci kosze, wspomniała, że idzie odpocząć do domku.

– Jestem pewna, że ta chatka będzie odpowiadać zarówno Pauline i mnie, jak i gościom Berdi. Mieszkałam w o wiele gorszych warunkach.

Chrząknął z niedowierzaniem, a ja zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób mnie postrzegał. Czy z mojej twarzy lub sposobu mówienia mógł wyczytać moją pozycję? Bo tylko to mogło mnie wydać. Miałam połamane paznokcie, poranione dłonie i podartą odzież. Myśląc o drodze, jaką przebyłam od Civica do Terravinu, nagle poczułam dumę. Najważniejsze było dla nas mylenie tropów, nieraz spałyśmy na twardych kamieniach, nie rozpalając ogniska.

Kanion się zwęził i zaczęliśmy wchodzić wąską ścieżką po łagodnym wzniesieniu, aż wreszcie wyszliśmy na porośnięty trawą płaskowyż, z którego rozpościerał się widok na morze. Silny wiatr szarpał luźne pasma moich włosów. Odrzuciłam je do tyłu i zaczęłam podziwiać ocean, fioletowy od spienionych fal i dzikich burz, kuszący i przerażający. Nie było już tak ciepło, jak w kanionie, poczułam chłód na nagich ramionach. Fale uderzały w postrzępione skały zatoki znajdującej się pod nami, zostawiając po sobie ślady piany.

– Nie zbliżałbym się do tego – ostrzegł Rafe. – Klify mogą być śliskie albo niestabilne.

Spojrzałam w dół na szczeliny, przypominające wyciągnięte szpony, i zrobiłam krok do tyłu. Otaczała nas tylko nieosłonięta od wiatru trawa.

– Tutaj raczej nie będzie jeżyn – powiedziałam, choć oboje doskonale zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

– Nie – odparł i spojrzał mi głęboko w oczy.

Mijały sekundy, a ja miałam wrażenie, że próbuje mnie rozgryźć. Zorientował się, że się we mnie wpatruje, i odwrócił wzrok. Zaczął spoglądać w stronę brzegu.

Popatrzyłam w to samo miejsce. W oddali widać było wyblakłe od słońca ruiny dwóch wielkich kopuł, wznoszących się nad spienionymi falami niczym szkielety olbrzymich morskich stworów, wyrzuconych na brzeg.

– Kiedyś musiały być imponujące – rzekłam.

– Kiedyś? Nadal takie są, nie sądzisz?

Wzruszyłam ramionami. W Morrighan było pełno tekstów o Starożytnych. Patrząc na to, co po nich pozostało, odczuwałam smutek. Półbogowie, którzy niegdyś kontrolowali niebiosą, zostali zrzuceni z piedestału i upokorzeni. Zawsze wyobrażałam sobie, że słyszę ich niekończącą się pieśń żałobną.

Odwróciłam się i spojrzałam na dziką trawę, połyskującą na płaskowyżu.

– Ja widzę tylko przypomnienie faktu, że nic nie trwa wiecznie, nawet wspaniałość.

– Niektóre rzeczy trwają.

Spojrzałam na niego.

– Naprawdę? Co na przykład?

– To, co jest ważne.

Jego odpowiedź bardzo mnie zaskoczyła. Była niezwykła i urocza, nawet naiwna, ale płynąca prosto z serca. Z pewnością nie spodziewałam się tego po osobie tak ostrej jak on. Z łatwością mogłabym stawić mu czoła. To, co było dla mnie ważne, już nie istniało. Tutaj, w Terravinie, nie zobaczę już moich braci ani miłości na twarzach rodziców. Nie istniały również rzeczy dla nich ważne, na przykład tradycja Pierwszej Córki. Byłam dla nich olbrzymim rozczarowaniem. Wzruszyłam więc obojętnie ramionami.

Zmarszczył brwi.

– Czyżbyś gardziła wszystkim, co było stare? Wszystkimi tradycjami minionych wieków?

– W większości. To dlatego przyjechałam do Terravinu. Tutaj wszystko jest inne.

Przekrzywił głowę i podszedł bliżej. Nie mogłam się cofnąć, ponieważ zbliżyłabym się do krawędzi klifu. Stał zaledwie kilkanaście centymetrów ode

mnie i pogładził moje ramię. Poczułam falę gorąca.

– A co to jest? – spytał. – To pozostałość po tradycji. Ślad po jakimś świętowaniu?

Spojrzałam na miejsce, którego dotknął. Halka zsunęła mi się z ramienia, odsłaniając lwi pazur i winorośl Morrighan. Co oni zrobili, że nie mogłam pozbyć się tej bestii? Przekłęci rękodzielnicy!

Szybko poprawiłam halkę i zasłoniłam lwa.

– To był ogromny błąd. I tyle. Trochę więcej niż ślady po pomrukujących barbarzyńcach!

Byłam wściekła, że to przeklęte kawah wciąż nie chciało zejść z mojej skóry. Próbowałam minąć Rafe'a, ale nagle złapał mnie za nadgarstek i szarpnął. Nic nie mówiliśmy. Cały czas tylko wpatrywał się we mnie w napięciu, jakby powstrzymywał się od wypowiedzenia jakichś słów.

– No, powiedz to – rzekłam w końcu.

Puścił mnie.

– Przecież już powiedziałem. Uważaj, gdzie stawiasz kroki.

Czekałam, aż powie coś więcej, zrobi coś więcej. Chciałam więcej. Ale on się nie ruszył.

– To wszystko?

Jego nozdrza poruszyły się. Nabrał powietrza i po chwili głośno je wypuścił.

– To wszystko.

Odwrócił się i poszedł ścieżką w stronę kanionu.



*Jego ukąszenie będzie straszliwe,
ale jego język będzie uwodzicielski,
Jego oddech kuszący, ale uścisk śmiertelny.
Smok zna jedynie głód, nigdy się nie nasyci,
Zna jedynie nigdy niezaspokojone pragnienie.*

– Pieśń Vendy



Rozdział 16

Spotkajmy się w ruinach świątyni na wschód od wsi... Przyjdź sama.

Obracałam w dłoni skrawek papieru. Pismo było niemal nieczytelne, ktoś pewnie pisał w pośpiechu. Kim był wariat, który uważał mnie za szaloną na tyle, że pójdę sama do lasu i się z nim spotkam, bo podrzucił mi kawałek podartej kartki?

Gdy po powrocie zastałam uchylone drzwi do chatki, wiedziałam, że coś się stało. Pauline przywiązywała ogromną wagę do takich spraw, zawsze zostawiała wszystko na swoim miejscu. Ostrożnie pchnęłam drzwi, a gdy się upewniłam, że chatka jest pusta, przeszukałam ją. Niczego nie brakowało – królewskie klejnoty nadal znajdowały się w torebce przy siodle. Czyli to nie złodziej złożył nam wizytę. Drzwi do szafy również były uchylone, i właśnie tu znalazłam notatkę. Kartkę nadziano na wieszak, tak bym jej nie przegapiła.

Najbardziej niepokojący był nakaz: „Przyjdź sama”.

Jeszcze raz przeczytałam liścik i gwałtownie nabrałam powietrza. Nie było na nim imienia adresata. A może nie był przeznaczony dla mnie, tylko dla Pauline? Może Mikael wreszcie ją odnalazł! Pauline będzie taka...

Odwrociłam się i spojrzałam w stronę otwartych drzwi. Ale po co liścik? Dlaczego Mikael nie poszedł prosto do gospody i nie wziął ukochanej w ramiona? Chyba że miał jakiś powód, by się ukrywać. Pokręciłam głową i zaczęłam się zastanawiać, co robić. Przecież nie mogłam pokazać liściku Pauline. A jeśli to nie Mikael go napisał?

A jeśli jednak tak, a ja zignoruję wiadomość? Zwłaszcza teraz, gdy...

Otworzyłam szafę i założyłam czarną pelerynę Pauline.

Zapadał zmierzch. Ciemny płaszcz pomoże mi się ukryć w mrocznym lesie. Miałam nadzieję, że ruiny nie znajdowały się zbyt daleko i można je łatwo odnaleźć. Wyjęłam z pochwy sztylet i ukryłam go pod peleryną – tak na wszelki wypadek, gdyby to jednak nie Mikael zostawił liścik.

Szłam prosto na wschód, na tyle, na ile pozwalało mi ukształtowanie terenu. Drzewa rosły tu gęsto, od północnej strony porośnięte grubym mchem. Nie słyszałam wiewiórek przemykających między gałęziami ani śpiewu ptaków. Odnosiłam wrażenie, jakby niedawno przeszło tędy coś strasznego.

W pewnej chwili straciłam z oczu Terravin. Pomyślałam o Starożytnych i zaskakujących miejscach, w których można było znaleźć ich świątynie. Moi

bracia i ja nazywaliśmy wszystkie ruiny świątyniami albo pomnikami, ponieważ nie mieliśmy pojęcia, do czego kiedyś je wykorzystywano. Nieliczne napisy, które przetrwały wszystkie te wieki, były w starożytnych językach, ale na podstawie pozostałych rumowisk można było wnioskować, że kiedyś były majestatyczne i wspaniałe – tak jak te wielkie ruiny, na które patrzyliśmy z Rafem z góry.

Powiedziałam wtedy coś, co wprawilo go w zakłopotanie. Czy chodziło o wyrzeczenie się tradycji? A może porównanie rękodzielników do pomrukujących barbarzyńców? Czy to możliwe, żeby jego ojciec był rękodzielnikiem? Albo, co gorsze, barbarzyńcą? Odrzuciłam tę myśl. Przecież Rafe potrafił elokwentnie się wysławiać i być refleksyjny, tak jakby na jego barkach spoczywał wielki ciężar. *To, co jest ważne*. A zatem potrafił również być wrażliwy, choć próbował to ukryć. Jaka słabość skłoniła go do podzielenia się tym ze mną?

Zwolniłam. Przede mną znajdowała się ściana mchu, liście łagodziły jej postrzępiony kraniec. Ze szczelin murów wyrastały paprocie, przez co ruiny niemal nie przypominały dzieła ludzkich rąk. Zaczęłam chodzić w kółko, próbując dostrzec jakiś kolor poza zielonym, szukając brązów i ciepła ludzkiej skóry.

Nagle usłyszałam skrzypnięcie, a potem prychnięcie. Koń. Gdzieś za murami tajemniczy osobnik ukrywał konia. To oznaczało, że sam również tu był. Odrzuciłam do tyłu pelerynę, bym w razie konieczności bez przeszkód mogła rzucić nożem.

– Jest tu kto? – zawołałam.

Usłyszałam kroki. Ktoś wyszedł zza ściany. Krzyknęłam i rzuciłam się w jego stronę, jeszcze zanim zdążył się odezwać. Objęłam go, pocałowałam, obrócił mnie w ramionach, szczęśliwy do granic możliwości. Jedyne, co potrafiłam zrobić, to wciąż powtarzać jego imię.

Wreszcie cofnął się trochę i ujął w dłonie moją twarz.

– Gdybym wiedział, że tak bardzo się ucieszysz na mój widok, przyjechałbym wcześniej. Chodź, wejdźmy do środka.

Zaprowadził mnie do ruin, tak jakby zapraszał do wspaniałej posiadłości, a potem posadził mnie na przewróconym bloku skalnym. Przyjrzał mi się, oceniając stan mojego zdrowia; odwrócił moją twarz najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Wreszcie kiwnął głową, stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku.

– Świetnie się spisałaś, siostrzyczko. Najlepsi królewscy tropiciele szukali cię całymi tygodniami.

– Uczyłam się od najlepszych, Waltherze.

Zaśmiał się.

– Bez wątplenia. Wiedziałem, że skoro stajenny powiedział, iż udałaś się na Północ, to z pewnością pojechałaś na Południe. – Uniósł brew z rozbawieniem. – Ale oficjalnie musiałem poprowadzić całą drużynę na Północ, żeby ci pomóc. Nie

chciałem doprowadzić do ciebie nikogo, a na Północy udało mi się zostawić więcej śladów twojej obecności. Wreszcie pojechałem na Południe. Zabrałem ze sobą kilku najlepszych ludzi i rozpocząłem poszukiwania.

– Ufasz im?

– To Gavin, Avro i Cyril. Nie musisz się martwić.

Najbliżsi towarzysze Walthera w jego jednostce. Cyril był chudym, zaniedbanym mężczyzną, to pewnie jego Pauline dostrzegła w gospodzie poprzedniego wieczoru.

– Czyli pochwalasz to, co zrobiłam? – spytałam z wahaniem.

– Powiedzmy, że wcale mnie nie zaskoczyłaś.

– A Bryna i Regana?

Usiadł obok mnie, objął mnie i przytulił.

– Moja droga, urocza siostrze, twoi bracia cały czas kochają cię tak mocno, jak kiedyś, i żaden z nas nie wini cię za to, że od małżeństwa wymagasz czegoś więcej, niż ci zaproponowano. Ale wszyscy martwiliśmy się o ciebie. Ktoś z pewnością cię tu znajdzie, to tylko kwestia czasu.

Skoczyłam na równe nogi i zrzuciłam pelerynę.

– Naprawdę? Spójrz na mnie. Czy gdybyś nie wiedział, kim jestem, to zgadłbyś, że stoi przed tobą księżniczka Arabella, Pierwsza Córka Morrighan?

Zmarszczył brwi.

– Podarte ubrania? – Wziął moją dłoń i przyjrzał się jej. – Połamane paznokcie? Za mało, żeby ukryć to, co w środku. Zawsze będziesz sobą, Lio. Nie możesz od tego uciec.

Zabrałam rękę.

– Czyli tego nie pochwalasz.

– Po prostu się martwię. Rozwścieczyłaś potężnych ludzi w Civica.

– Matkę i ojca?

Wzruszył ramionami.

– Matka nie chce o tym rozmawiać, a ojciec z obowiązku wyznaczył nagrodę za schwytanie i sprowadzenie cię do domu.

– Z obowiązku?

– Nie zrozum mnie źle. Jest upokorzony i wściekły. Minął już prawie miesiąc, a on nadal ryczy ze złości. Ale powiesił tylko jedną małą informację na placu we wsi, nie rozesłano żadnych innych ogłoszeń. Może zmusi go do tego jego gabinet... Oczywiście muszą się zajmować też innymi sprawami.

– Są jeszcze jakieś kłopoty poza mną?

Pokiwał głową.

– Rabusie wywołali ogromne zamieszanie. Wydaje nam się, że to tylko jedna lub dwie bandy, ale znikają w nocy niczym zjawy wilków. Zniszczyli najważniejsze mosty na Północy, gdzie stacjonuje większość naszych oddziałów,

i zasiali panikę w części wiosek.

– Myślisz, że to Dalbreck? Czy zerwany sojusz mógł doprowadzić do takiej wrogości?

– Tego nikt nie wie. Oczywiście od twojej ucieczki stosunki z Dalbreck uległy znacznemu pogorszeniu, podejrzewam jednak, że to robota Vendy, która wykorzystuje naszą obecną sytuację. Próbuje osłabić mobilizację Straży, co może oznaczać, że planuje jakąś większą akcję.

– Przeciwno Morrighan? – Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia. Wszystkie starcia zbrojne z Vendą miały miejsce w Cam Lanteux, gdy wróg próbował stworzyć tam swoje bastiony. Nigdy nie walczyliśmy na naszym terenie.

– Nie martw się – powiedział Walther. – Z pewnością uda nam się utrzymać ich z dala. Jak zawsze.

– Mimo że mnożą się jak króliki?

Uśmiechnął się.

– Króliki są smaczne, wiesz?

Wstał i zrobił kilka kroków, potem znów stanął twarzą do mnie. Przeczesał włosy palcami.

– Ale zmartwienia i wściekłość ojca to nic w porównaniu ze złością Mędrca. – Pokręcił głową i wyszczerzył zęby. – Och, moja siostrzyczko, coś ty zrobiła?

– Co? – spytałam niewinnie.

– Wygląda na to, że Mędrzec utracił coś niezwykle cennego. W tym samym czasie, kiedy ty zniknęłaś. W poszukiwaniu tego czegoś on i Sekretarz wywrócili cytadelę do góry nogami. Oczywiście ukradkiem, ponieważ zguba najwyraźniej nie należy oficjalnie do królewskiej kolekcji. Tak przynajmniej plotkuje służba.

Złożyłam ręce i uśmiechnęłam się szeroko. Nie potrafiłam ukryć rozweselenia. Och, jakże żałowałam, że nie widziałam twarzy Mędrca, gdy otworzył coś, co uważał za swoją ukrytą szufladę, i stwierdził, że jest pusta. No, prawie pusta. Zostawiłam dla niego małą niespodziankę.

– Czyli jesteś bardzo zadowolona ze swej kradzieży?

– Och, niezmiernie, drogi bracie.

Zaśmiał się.

– To ja też. Chodź, opowiesz mi o tym. Przyniosłem kilka twoich ulubionych przysmaków.

Walther zaprowadził mnie w róg, gdzie zobaczyłam rozłożony koc. Wyjął z koszyka zapieczętowany antałek wiśniowego wina, bąbelkowy napój z winnic Morrighan, za którym wręcz przepadałam. Niestety wolno mi było go pić wyłącznie przy wyjątkowych okazjach. Odwinął również z papieru pół krążka słodkiego figowego sera i prażone sezamki od piekarza we wsi. Do tej pory nie uświadomiłam sobie, jak bardzo brakowało mi smaków domu. Usiedliśmy na kocu;

jedząc i pijąc, opowiedziałam bratu ze szczegółami historię mojej kradzieży.

To było dzień przed ślubem, Mędrzec był w opactwie i nadzorował podpisywanie ostatecznych dokumentów. Ja nadal nie podjęłam ostatecznej decyzji co do ucieczki, gdy jednak siedziałam w ciemnej komnacie i nad tym rozmyślałam, moja wrogość do Sekretarza i Mędrca osiągnęła najwyższy poziom. Nawet nie próbowali ukryć swojej radości z mojego rychłego wyjazdu, gdy poszłam na pokoje Sekretarza tego ranka, by oddać moje królewskie artefakty. Koronę, pierścionie, pieczęć – nawet najmniejsze wysadzane klejnotami ozdoby do włosów – Sekretarz dał mi jasno do zrozumienia, że do Dalbreck nie mogę niczego ze sobą zabrać, żeby nie zwiększać zawartości skarbcza innego królestwa.

Mędrzec był przy tym obecny w charakterze świadka. Zauważyłam, że nie może się doczekać mojego wyjazdu, przeglądał szybko swoją księgę rachunkową, nerwowo przestępował z nogi na nogę. Wydało mi się to ciekawe, ponieważ z reguły był wobec mnie surowy i nie okazywał uczuć. Zanim wyszłam z komnaty, przyszło mi do głowy, że ci dwaj mają jakieś tajemnice. Odwróciłam się gwałtownie. Na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie.

„Dlaczego zawsze mnie nienawidziliście?”, spytałam.

Mędrzec zamarł. Spojrzał na Sekretarza. Ten nie był w stanie na mnie patrzeć. Odpowiadając, utkwiał wzrok w przeglądanej księdze. Zagdakał, jakbym była głupia, a potem odparł ostrym i lekceważącym tonem: „Księżniczko, zawsze zadawałaś nieodpowiednie pytania. Może powinnaś się zastanowić, czy mamy jakąkolwiek przyczynę, żeby cię lubić? ”. Walther słuchał mnie z uwagą. Opowiedziałam mu, jak w swojej komnacie zastanawiałam się nad słowami Sekretarza, jak cały czas mnie to uderzało. *Macie jakieś tajemnice*. Mieli, to oczywiste. Później ruszyłam prosto do gabinetów Mędrca, ponieważ wiedziałam, że w owej chwili jest w opactwie.

– Bez trudu znalazłam ukrytą szufladę i podważyłam zamek jedną z moich długich wsuwek do włosów.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy będziesz mnie trzymać w niepewności? Co takiego ukradłaś?

– I to jest najdziwniejsze. Nie jestem pewna... – Uśmiechnął się złośliwie, jakbym próbowała być fałszywie skromna.

– Waltherze, naprawdę! Było tam kilka papierów i dwie niewielkie księgi. Bardzo cienkie i stare. Były owinięte w miękką skórę i schowane w złotej skrzynce, ale nie potrafię przeczytać żadnej z nich. Zostały napisane w jakimś starożytnym albo obcym języku.

– To po co miałyby je ukrywać? Przecież ma cały zastęp sług, którzy przetłumaczyliby to dla niego.

– Chyba że już to zrobili. Co by oznaczało, że pisma powinny wejść w skład oficjalnej kolekcji. – Do królestwa należały wszystkie artefakty odkryte w ruinach,

nawet te odnalezione przez żołnierzy na odległych terenach. Ukrywanie ich było przestępstwem.

Oboje wiedzieliśmy, że Mędrzec nie bez powodu pełnił funkcję Królewskiego Mędrca. Nie tylko był ekspertem w Księdze Świętych Tekstów Morrighan, lecz potrafił też tłumaczyć z innych starożytnych języków – chociaż może nie był tak utalentowany, jak sądzili niektórzy. Widziałam, jak miał problemy z najprostszymi dialektami, a gdy go poprawiałam, wściekał się.

– A może sama spróbuj je przetłumaczyć?

– A kiedy będę mieć czas wolny, drogi księżę Waltherze? Między byciem księżniczką uciekinierką, opiekunką trzech osłów, sprzątaczką pokojów i kelnerką cieszę się, jeśli mam czas się wykąpać. Nie prowadzimy tu królewskiego życia. – Powiedziałam to tak wyniosłym tonem, że mój brat zaczął się śmiać. Nie wspomniałam o innych czynnościach, na przykład o zrywaniu jeżyn z przystojnymi młodymi mężczyznami. – Poza tym – podjęłam – tłumaczenie to naprawdę trudne zadanie, jeśli nie zna się języka. Jedyne wskazówki, jakie mam, to spis, który znalazłam na luźnych kartkach. Jeden z tomów nosi tytuł *Ve Feray Daclara au Gaudrel*, a drugi jest z Vendy.

– Księga z Vendy? Czytali ją barbarzyńcy?

Uśmiechnęłam się.

– No cóż, przynajmniej raz. Ale Sekretarzowi równie mocno zależy na złotej skrzynce, którą również zabrałam. Pewnie za samą jej wartość mógłby dobudować kolejne skrzydło w swej posiadłości.

– A może to jakieś nowe znalezisko i Mędrzec boi się, że przetłumaczysz to jako pierwsza i ukradniesz mu zaszczyty? Z pewnością chciałby utrzymać swoją pozycję.

– Być może. – Żywiłam jednak przekonanie, że tomy wcale nie były nowym znaleziskiem, że leżały w tej ciemnej szufladzie przez bardzo długi czas, może tak długo, że zapomniał o nich sam Mędrzec.

Walther uściśnął moją dłoń.

– Lio, bądź ostrożna – rzekł poważnie. – Nieważne dlaczego, ważne, że bardzo chcę to odzyskać. Po powrocie spróbuję dyskretnie powęszyc i sprawdzić, czy mama albo tata wiedzą coś na ten temat. A może Wiceregent...

– Tylko się nie przyznaj, że mnie widziałeś!

– Będę dyskretny.

Kiwnęłam głową.

– Wystarczy już o Mędrca – powiedziałam. Ta rozmowa stawała się zbyt ponura, a ja chciałam się cieszyć czasem spędzonym z bratem. – Opowiedz mi, co się dzieje w domu.

Przez chwilę patrzył w ziemię, a potem się uśmiechnął.

– Co? – spytałam szybko. – No mów!

W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

– Greta jest... Zostanę ojcem.

Gapiłam się na niego, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby mój brat był taki szczęśliwy – nawet w dniu jego ślubu, gdy nerwowo szarpał się za płaszcz, a Bryn cały czas upominał go, by przestał. Promieniał tak, jak promienieje przyszła matka. Walther będzie ojcem. Jakie to niezwykle i cudowne.

– Nic nie powiesz? – spytał.

Zaśmiałam się radośnie i mocno go przytuliłam, zadając pytanie za pytaniem. Tak, Greta dobrze się czuła. Dziecko ma się narodzić w grudniu. Nie obchodziło go, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka – może będzie mieć szczęście i urodzą się bliźnięta. Tak, był taki szczęśliwy, taki zakochany, tak, nie mógł się doczekać założenia rodziny z Gretą. Zatrzymali się w Luiseveque, to dlatego mógł wyskoczyć do Terravinu. Właśnie jechali do posiadłości rodziców Greta, na Południe. Ona zostanie tam na jakiś czas, a on wyjedzie na patrol. A potem, przed narodzinami dziecka, wrócą do Civica, a potem, a potem, a potem...

Staralam się ukryć narastający smutek, ponieważ wiedziałam, że nie będę mogła wziąć udziału w żadnym z tych wydarzeń. Wiodłam życie w ukryciu i być może nigdy nie poznam bratanka albo bratanicy, chociaż gdybym została odesłana do Dalbreck, moje szanse na zobaczenie tego dziecka byłyby niewiele większe.

Patrzyłam na mojego brata, na jego lekko zakrzywiony nos, głęboko osadzone oczy, policzki, w których z radości zrobiły się dołeczki. Miał dwadzieścia trzy lata i był już bardziej mężczyzną niż chłopcem, miał szerokie i silne ramiona, by móc trzymać dziecko, już teraz był gotowy na zostanie ojcem. Pod wpływem jego szczęścia wróciło i moje. Zawsze tak było. Tylko Walther umiał poprawić mi nastrój.

Mówił dalej, a ja nie zdawałam sobie sprawy, kiedy wokół nas zrobiło się prawie ciemno.

– Oboje musimy już jechać. Dasz sobie radę sama?

– Gdy tu przyjechałam, niemal rozplątałam cię na pół. – Poklepałam ukryty szeptem.

– Cały czas ćwiczysz?

– Niestety nie.

Wstałam i zaczęłam składać koc, ale Walther mnie powstrzymał; złapał mnie za rękę i pokręcił głową.

– Lio, to nie w porządku, że musisz trenować w ukryciu. Gdy zostanę królem, wszystko się zmieni.

– Planujesz wkrótce przejąć tron? – zaczęłam się z nim droczyć.

Uśmiechnął się.

– Mój czas z pewnością nadejdzie. Ale obiecaj mi, że w międzyczasie będziesz cały czas ćwiczyć.

– Obiecuję.

– A teraz się pośpiesz się, bo zaraz zapadnie zmrok.

Złożyliśmy koc i zebraliśmy kosz, a potem Walther pocałował mnie w policzek.

– Jesteś tu szczęśliwa?

– Mogłabym być szczęśliwsza, gdybyście ty, Bryn i Regan byli tu ze mną.

– Cierpliwości, Lio. Coś wymyślimy. Proszę, weź to. – Wsunął mi do ręki koszyk. – Na dnie masz kilka smakołyków, które pomogą ci przetrwać. Wpadnę znów, gdy będę wyjeżdżać na patrol. Uważaj na siebie.

Kiwnęłam głową, uświadamiając sobie, że mój brat ma teraz tyle obowiązków – męża, ojca, żołnierza – a ostatecznie również następcy tronu. Nie powinien się martwić jeszcze o mnie. Ale cieszyłam się, że to robi.

– Ucałuj ode mnie Gretę.

– Dobrze. – Odwrócił się, by odejść, ale musiałam mu zadać jeszcze jedno pytanie. Poza tym nie chciałam się z nim jeszcze rozstawać. – Waltherze, kiedy wiedziałeś, że kochasz Gretę?

Zawsze, gdy opowiadał o ukochanej, jego twarz przybierała łagodniejszy wyraz. Westchnął.

– W chwili, w której ją ujrzałem.

Musiał dostrzec rozczarowanie na mojej twarzy. Wyciągnął rękę i ujął mnie pod brodę.

– Wiem, że aranżowane małżeństwo zasiało w tobie ziarno niepewności, ale na pewno pojawi się ktoś, kto będzie cię wart. I będziesz o tym wiedzieć w chwili, w której go spotkasz.

Znowu nie takiej odpowiedzi oczekiwałam, ale przyjąłem ją w milczeniu. Nagle pomyślałam o Pauline i jej problemach.

– Waltherze, obiecuję, że to moje ostatnie pytanie: czy masz jakieś wieści o Mikaelu?

– O Mikaelu?

– Jest w Straży. Był na patrolu. Młody blondyn. Powinien już wrócić do domu.

Ściągnął brwi, jakby próbował sobie przypomnieć, a potem pokręcił głową.

– Nie znam żadnego...

Podaliśmy kilka szczegółów, łącznie z dziecinnym czerwonym fularem, który Mikaela nosił czasem poza służbą. I wtedy Walther zawołał:

– Mikael! Oczywiście. Wiem, który to. – Spojrzał na mnie groźnie. – Chyba nic cię z nim nie łączy?

– Nie, oczywiście, że nie, ale...

– To dobrze. Trzymaj się z daleka od takich typów. Jego pluton wrócił dwa tygodnie temu. Kiedy widziałem Mikaela po raz ostatni, siedział w pubie, grubszy niż kleszcz, na każdym kolanie miał jakąś dziewczkę. Ten drań ma długi język i mdlejącą na jego widok dziewczynę w każdym mieście – i jest znany z tego, że się tym przechwala.

Gapiałam się na niego, zupełnie oniemiała.

Skrzywił się.

– O Boże, chodzi o Pauline? Zakochała się w nim?

Przytaknęłam.

– Tym lepiej, że uwolniła się od niego i jest teraz z tobą. Ten chłopak to same kłopoty. Dopilnuj, żeby dała sobie z nim spokój.

– Waltherze, jesteś pewien, że to Mikael?

– Chwali się swoimi podbojami i sercami, które złamał, tak jakby to były medale przypięte do jego piersi. Jestem pewien, że to on.

Pożegnaliśmy się szybko, bo zrobiło się już niemal zupełnie ciemno.

Wróciłam do domu oszołomiona, nie pamiętałam nawet, jak udało mi się dotrzeć do chatki.

Uwolniła się od niego...

Nie, nie uwolniła się. I nigdy się nie uwolni.

Co ja mam jej powiedzieć? Byłoby łatwiej, gdyby Mikael nie żył.



Rozdział 17

KADEN

Aha. Nasza księżniczka ma kochanka.

Gdy poszedłem za nią do lasu, myślałem, że wreszcie uda mi się osiągnąć swój cel – spędzić z nią trochę czasu. Ale z każdym jej krokiem ogarniała mnie większa ciekawość. Dokąd szła? Rozważałem wiele możliwości, tego jednak nie brałem pod uwagę.

Patrzyłem, jak księżniczka wpada w jego ramiona, całuje go i przytula, jakby już nigdy miała nie wypuścić go z objęć. Młody mężczyzna był tak samo szczęśliwy jak ona. Zniknęli w ruinach, cały czas się obejmując. Nietrudno było sobie wyobrazić, do czego tam doszło.

Przez cały czas to właśnie o to chodziło.

O kochanka.

To dlatego uciekła przed małżeństwem. Nie wiem, dlaczego zrobiło mi się niedobrze. Może chodziło o sposób, w jaki dziś rano na mnie spoglądała. Jak się zachowywała. O rumieniec na jej policzkach. Coś wtedy się ze mną stało. Coś, co mi się spodobało. Coś, dzięki czemu pomyślałem, że może jeszcze wszystko się zmieni. Myślałem o tym cały dzień w drodze do Luiseveque, by zostawić wiadomość. A potem w drodze powrotnej, chociaż próbowałem wygnać Lię z moich myśli. Może mogłoby być inaczej. Ale najwyraźniej nie będzie.

Miałem wrażenie, jakby ktoś uderzył mnie w żołądek – nie byłem przyzwyczajony do tego uczucia. Z reguły dobrze się chroniłem przed takimi ciosami. Rany odniesione na polu bitwy to jedno, ale takie rany były czystą głupotą. Może i uszło ze mnie całe powietrze, jednak Rafe wyglądał, jakby ktoś zdeptał jego uczucia. Głupi ochlejus.

Gdy się odwróciłem, by odjechać, stał zaledwie kilka metrów ode mnie. Nawet nie próbował ukryć swojej obecności. Wszystko widział. Najwyraźniej nas śledził. Kiedy go dostrzegłem, nawet nie pisnął. Podejrzewam, że nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Minąłem go.

– Wygląda na to, że mówiła prawdę. Wcale nie jest taka niewinna, co?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Jego twarz mówiła wszystko. Może teraz

wreszcie stąd wyjedzie.



ale życie pod wiatr.

Słyszę, jak wychodzą.

Opowiedz mi, Ama, jeszcze raz o burzy.

Dziecko, nie ma czasu na opowieści.

Ama, proszę.

Jej oczy są puste. Dzisiaj nie było kolacji.

Jedyne, czym mogę ją napęłnić, to opowieść.

Pamiętam tylko, że była burza. Niekończąca się burza.

Wielka burza, podpowiada.

Wzdycham, tak, i sadzam ją sobie na kolanach.

Dawno, dawno temu, moje dziecko.

Dawno, dawno temu

Siedem gwiazd zostało zrzuconych z nieba.

Jedna miała wstrząsnąć górami,

Jedna wzburzyć morza,

Jedna zdusić powietrze,

A cztery miały wystawić na próbę ludzkie serca.

Tysiące noży światła

*Utworzyły wybuchową pomarszczoną chmurę,
Przypominającą głodnego potwora.
Łaska spotkała tylko małą księżniczkę,
Księżniczkę, taką jak ty.
Burza sprawiła, że wszystko, co stare,
stało się bez znaczenia.
Ostry nóż, próby osiągnięcia celu,
żelazna wola i słuchające serce,
Liczyło się tylko to. I zmiany. Ciągłe zmiany.
Chodź, dziecko, pora iść.
To padlinożercy, słyszę, jak szeleszczą na wzgórzach.*

– Ostatnie Testamenty Gaudrel



Rozdział 18

Chciałam powiedzieć Pauline tyle rzeczy. Tyle spraw zdawało mi się ważnych. Miałam zamiar zganić ją za opowiadanie wszystkim o moim strachu przed królikami. Wykpić jej zaradność, nawet gdy źle się czuła. Opowiedzieć o tym, jak Rafe przyniósł mi koszyk, i o tym, jak spędziliśmy razem czas w kanionie. Chciałam spytać, co to jej zdaniem oznaczało, omówić wszystkie szczegóły z naszego życia, tak jak robiłyśmy zawsze pod koniec dnia, gdy wracałyśmy do naszego pokoju.

A jednak nie byłam w stanie się z nią spotkać. Drapałam osła za uchem i szeptałam:

– Co mam robić? Co mam teraz robić?

Dotarłam do sali jadalnej bardzo późno. Wpadłam do kuchni; Berdi gotowała się z wściekłości.

Chciałam jej wyjaśnić, dlaczego się spóźniłam, ale jedyne, co zdołałam z siebie wydusić to to, że mam informacje na temat Mikaela. Berdi złagodniała, podała mi talerz i od tej pory wieczór przebiegł zgodnie ze stałym scenariuszem, dzięki czemu mogłam odetchnąć przed tym, co nieuniknione. Byłam taka zajęta, że nie miałam czasu na dalsze wyjaśnienia. Uśmiechałam się, witałam, przynosiłam dania i czyściłam naczynia. Ale jednak nie do końca byłam sobą. Raz zamyśliłam się przy nalewaniu cydru i trunek zaczął wylewać się z kufla. Pauline dotknęła mojego łokcia i spytała, czy wszystko w porządku.

– To tylko zmęczenie – odrzekłam. – Za dużo przebywałam dziś na słońcu.

Próbowała mnie przeprosić za to, że nie pomogła nam przy zbieraniu jeżyn, ale przerwałam jej i poszłam zanieść cydr.

Kaden przyszedł sam. Poczulałam ulgę, nie widząc przy nim Rafe'a. Miałam już dostatecznie dużo zmartwień, żeby jeszcze przejmować się jego humorami. Ale i tak przyłapałam się na tym, że zerkam na drzwi gospody za każdym razem, gdy się otwierały. Myślałam, że prędzej czy później przyjdzie coś zjeść. Gdy przyniosłam Kadenowi posiłek, zatrzymał mnie.

– Lio, wyglądasz dziś, jakbyś opadła z sił.

– Przepraszam. Nie mogę się skupić. Czy zapomniałam czegoś, co zamówiłeś?

– Nie, wszystko w porządku. Czym się tak martwisz?

Poruszył mnie fakt, że zauważył mój kiepski nastrój.

– Trochę boli mnie głowa. Nic mi nie będzie.

On jednak cały czas się we mnie wpatrywał, najwyraźniej nie udało mi się go przekonać. Westchnęłam i dałam za wygraną.

– Otrzymałam dziś bardzo smutne wieści od mojego brata.

Uniósł brwi.

– Twój brat jest tutaj?

Uśmiechnęłam się. Walther. Zapomniałam już, ile radości sprawiła mi jego wizyta.

– Przyjechał dziś wieczorem, tylko na chwilę. Byłam szalenie szczęśliwa, gdy go zobaczyłam, ale niestety przekazał mi bardzo smutne nowiny.

– Wysoki mężczyzna? Na koniu maści tobiano? Chyba minąłem go na głównym trakcie.

Byłam zaskoczona, że Walther pojechał głównym traktem od Luiseveque, a nie trzymał się rzadziej uczęszczanych ścieżek.

– Tak, to był on – przyznałam.

Kaden pokiwał głową i oparł się na krześle, tak jakby już się najadł, chociaż nawet nie tknął posiłku.

– Teraz, gdy mi powiedziałaś, widzę podobieństwo. Ciemne włosy, kości policzkowe...

Jak na krótkie minięcie się na drodze, zaobserwował naprawdę dużo, ale przecież był niezłym obserwatorem – zauważył, że mam gorszy humor.

Pochylił się w moją stronę.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

Jego głos był ciepły, przypominał mi łagodny pomruk oddalającej się letniej burzy. No i te oczy – gdy na mnie patrzył, czułam się naga, jakby potrafił przedrzeć się wzrokiem przez warstwy mojego ubrania. Wiedziałam, że nie mogę usiąść i opowiedzieć mu o moich zmartwieniach, ale coś sprawiało, że bardzo tego chciałam.

– Nie... – Ścisnął moją dłoń. Minęło kilka sekund w ciszy. – Kadenie, muszę wracać do obowiązków.

Na drugim końcu sali zobaczyłam Berdi. Stała w drzwiach do kuchni i obserwowała nas. Zastanawiałam się, co musi sobie myśleć, a potem, kto jeszcze nas widział – i czy rzeczywiście mam się czego wstydzić. Czy to źle, że ktoś się o mnie martwi, podczas gdy inni myślą tylko, jak zarzucić stryczek na moją szyję? Byłam wdzięczna za życzliwość Kadena, ale cofnęłam dłoń.

– Dziękuję – szepnęłam, bojąc się, że mój głos może się załamać. A później szybko odeszłam.

Po pracy zostawiłam Pauline gapiącą się na kuchenne drzwi, a sama wyszłam na zewnątrz, twierdząc, że muszę się przewietrzyć. Ale nie poszłam na

spacer. Doszłam tylko do stajni Otta. Była ciemna i odosobniona, więc spokojnie mogłam zwierzyć się mojemu osłu. Weszłam na murek; jedną ręką trzymałam się słupka, a drugą drapałam Otta za uchem. Nie zastanawiał się nad tym, dlaczego tak późno do niego przyszedłam. Bez problemu to zaakceptował i był wdzięczny za pieszczoty, przez co znów poczułam ucisk w klatce piersiowej. Starłam się powstrzymać od płaczu. Co powinnam zrobić?

Prawda ją zabije...

Usłyszałam szelest i szcęk metalu. Zamarłam i spojrzałam w ciemność.

– Kto tam jest?

Żadnej odpowiedzi.

Kolejny odgłos, jakby z innej strony. Odwróciłam się gwałtownie, zeskoczyłam z murku i ponownie krzyknęłam:

– Kto tam?

W świetle księżyca dostrzegłam twarz Pauline.

– To ja. Musimy porozmawiać.



Rozdział 19

RAFE

Nie chciałem być świadkiem tego, co widziałem. Gdybym mógł po cichu się stamtąd wycofać, z pewnością bym to uczynił. Wygląda na to, że w ciągu jednego dnia udało mi się podsłuchać o wiele więcej przez przypadek niż celowo.

Na kolację poszedłem do baru w mieście, nie chcąc ponownie spotykać się z księżniczką. Miałem dość jak na jeden dzień. Dość jej przebiegłości i błazeństw. Stwierdziłem, że jest władcza i będą z nią same kłopoty. Lepiej dla mnie. Dzięki temu łatwiej mi będzie zachować dystans. Gdy jednak piłem trzeci cydr, ledwo tknąwszy jedzenie, przyłapałem się na tym, że cały czas próbuję zrozumieć, co właściwie się wydarzyło, i z każdym łykiem trunku przeklinam ją na nowo.

Kiedy ujrzałem ją rano w kanionie, odebrało mi mowę. Wyglądała jak zwykła dziewczyna zrywająca jeżyny. Miała zaplecione włosy, na kark opadały luźne pasma, jej policzki były zaróżowione od upału. Żadnego udawania. Żadnego królewskiego zachowania. Żadnych tajemnic, o których bym nie wiedział. Szukałem słów, by ją opisać, ale żadne nie pasowało. Siedziałem na grzbiecie konia niczym kretyn i po prostu się na nią gapiłem. A potem ona poprosiła, żebym z nią został. Gdy poszliśmy na spacer, wiedziałem, że idziemy niebezpieczną ścieżką, ale to mnie nie powstrzymało. Najpierw starałem się jak najmniej mówić, ostrożnie dobierać słowa, potem jednak znalazła jakiś tajemniczy sposób, bym się otworzył. Wszystko zdawało się takie proste i niewinne. A potem nagle się skomplikowało. Powinienem był się tego spodziewać.

Na klifie, gdy nie mieliśmy już dokąd pójść, gdy nasze słowa zdawały się mieć mniejsze znaczenie niż nasza bliskość, gdy nie mogłem oderwać od niej wzroku, w mojej głowie rozpoczęła się gonitwa myśli. Miałem tylko jedno wyjście. Poszedłem bliżej. To była ta chwila. Długa, zapierająca dech w piersiach chwila. Ale potem wypowiedziała kilka zdań pełnych jadu – o pomrukujących barbarzyńcach – i prawda uderzyła mnie prosto w twarz.

Ona nie była jakąś siedemnastoletnią dziewczyną, a ja nie byłem jakimś młodym mężczyzną, pomagającym jej w zrywaniu jeżyn. Pochodziliśmy z dwóch różnych światów. Oszukiwałem sam siebie. Ona miała swój cel, a ja miałem swój. Wyrzuciła z siebie owe potępieńcze słowa, tak że nawet ja poczułem złość.

Przypomniałem sobie, jak bardzo się od siebie różnimy, i żaden spacer nie mógł tego zmienić.

Gdy moja złość nieco osłabła, odtworzyłem sobie jej potajemną schadznię w lesie i znów poczułem wściekłość. Co popchnęło mnie do pójścia za Kadenem? Gdy poilem konia, zobaczyłem, jak Kaden idzie ścieżką w stronę jej domku, i natychmiast ruszyłem jego śladem. Czego się spodziewałem? Z pewnością nie tego, co zobaczyłem. To wszystko wyjaśnia – ona ma kochanka. Wiedziałem, że moje fantazje były niebezpieczne.

Po wypiciu czwartego cydru zapłaciłem i wróciłem do gospody. Było już późno, miałem nadzieję, że nikogo nie spotkam. Rozsiodłałem konia, po raz ostatni udałem się do wychodka i już szedłem w stronę mojego pokoju, gdy ją zobaczyłem. Szybko szła ścieżką, w dłoni ścisnęła czepek niczym broń, jej włosy powiewały wściekle. Przystanąłem w zacienionym rogu przy stajniach, czekając, aż mnie minie, ale nie minęła. Stała jakiegoś dwa metry ode mnie, weszła na murek i zajęła się osłem.

Widziałem, że jest zrozpaczona. A nawet gorzej. Przerażona. A już myślałem, że ona niczego się nie boi. Widziałem jej rozchylone usta, słyszałem nierówny oddech. Szeptła coś do osła, drapała go za uszami, przeczesywała palcami jego grzywę. Mówiła tak cicho i z takim napięciem, że nic nie rozumiałem, choć stałem tak blisko, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym jej dotknąć.

Spojrzałem na jej twarz, muśniętą światłami z gospody. Była piękna, nawet ze ściągniętymi brwiami i lwią zmarszczką. Wcześniej, za każdym razem, gdy na nią patrzyłem, celowo unikałem myślenia o niej w ten sposób, nie mogłem sobie na to pozwolić, jednak teraz to przyszło samo, nieproszone, nieubłagane.

Z pewnością ujrzałem więcej, niż chciałaby komukolwiek pokazać. Po jej policzkach płynęły łzy; otarła je ze złością, ale one cały czas płynęły.

Chciałem wyjść z ciemności, spytać ją, co się dzieje, ale szybko stłumiłem to pragnienie i zacząłem się zastanawiać nad jasnością – a może trzeźwością – własnego umysłu. Nie należało jej ufać, w jednej chwili ze mną flirtowała, w drugiej spotykała się z kochankiem. Musiałem sobie przypomnieć, że jej problemy zupełnie mnie nie obchodzą. Musiałem stamtąd odejść. Próbowałem wymknąć się niepostrzeżenie, ale czułem, że po cydrze mój krok staje się chwiejny. Uderzyłem kozakiem w jakiś kubeł.

– Kto tam jest? – krzyknęła. Pomyślałem sobie, że to już koniec oszustw, i chciałem się ujawnić, ale wtedy w drzwiach stanęła ta druga.

– To ja – powiedziała. – Musimy porozmawiać.

Zamarłem w ich rzeczywistości, w świetle ich problemów i słów. Znalazłem się w pułapce i jedyne, co mogłem teraz uczynić, to słuchać.



Rozdział 20

Wyszedł znikąd. W jednej chwili go tam nie było, a w drugiej trzymał Pauline w ramionach.

– Zabiorę ją do domku – powiedział niemal pytająco.

Kiwnęłam głową.

Wyszedł, a ja dreptałam tuż za nim. Pauline wisiała bezwładnie na jego rękach, jęczała, była niepokieszona.

Gdy dotarliśmy do domku, ruszyłam przodem, otworzyłam drzwi, zapaliłam lampion, a on wniósł ją do środka.

Wskazałam łóżko, ostrożnie położył ją na materacu. Skuliła się, odwrócona do ściany. Odgarnęłam włosy z jej twarzy i dotknęłam jej policzka.

– Pauline, co mogę zrobić?

A co już zrobiłam?

Jęczała i szlochała:

– Idźcie sobie... proszę... idźcie sobie...

Patrzyłam na nią, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Nie mogłam jej zostawić. Zobaczyłam, że drży, i sięgnęłam po koc, otuliłam ją, głaskałam po czole, pragnęłam wziąć na siebie cały jej ból. Pochyliłam się i szepnęłam:

– Pauline, zostanę z tobą. Przetrywamy to. Obiecuję.

I znów jedyne słowa, jakie rozumiałam, to: „idź sobie... zostaw mnie samą...”. Z każdym z nich wbijała sztylet w moją pierś. Usłyszałam skrzywienie butów Rafe’a na podłodze i uświadomiłam sobie, że nadal jest w pokoju. Kiwnął w stronę drzwi, sugerując, żebyśmy wyszli na zewnątrz. Zgasłam światło i poszłam za nim, zupełnie otepiała. Zamknęłam cicho drzwi i oparłam się o nie. Czulałam, że nie ustoję na własnych nogach. Co ja jej powiedziałam? Jak to powiedziałam? Czy po prostu wyrzuciłam z siebie brutalną prawdę? Ale co innego mogłam uczynić? Przecież prędzej czy później musiałam jej powiedzieć. Próbowałam przypomnieć sobie każde słowo.

– Lio... – Rafe podniósł moją brodę, jakby chciał mi przypomnieć o swojej obecności. – Dobrze się czujesz?

Pokręciłam głową.

– Nie chciałam jej powiedzieć... – Spojrzałam na niego, niepewna tego, ile

słyszał. – Byłeś tam? Słyszałeś?

Potwierdził.

– Nie miałaś wyboru, musiałaś powiedzieć jej prawdę.

Prawdę.

Powiedziałam Pauline, że Mikael nie żyje. Ale czy to nie było mniejsze zło? Nie przyjedzie do niej. Nigdy. Gdybym powiedziała jej prawdę, zniszczyłabym wszystkie jej marzenia. Wszystkie stałyby się iluzją – fałszywe od samego początku. Wiedziałyby, że zrobił z niej idiotkę. Nie miałyby już nic, czego mogłyby się ucześcić, stałyby się zgorzkniała, jej serce zmieniłoby się w kamień. A tak przynajmniej będzie miała piękne wspomnienia o swoim ukochanym, które będą ogrzewać jej serce.

Która prawda była bardziej okrutna? Oszustwo i zdrada ukochanego czy jego śmierć?

– Powinienem już iść – szepnął Rafe.

Spojrzałam na niego. Był tak blisko, że czułam zapach cydru w jego oddechu, wyczuwałam jego puls, galopujące myśli. Byłam bardzo zdenerwowana.

Złapałam go za rękę.

– Nie – poprosiłam. – Proszę, nie idź jeszcze.

Spojrzał na swoją rękę w miejscu, w którym go złapałam, a potem z powrotem na mnie. Jego usta się rozchyliły, w jego oczach pojawiło się ciepło, ale potem nagle się zmienił – stał się chłodny i surowy. Cofnął się.

– Jest już późno.

– Oczywiście. – Opuściłam rękę, udając, że nie należy do mnie.

– Chciałam ci tylko podziękować. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ty.

Kiwnął głową i zniknął na ścieżce.

Całą noc spędziłam na krześle, wpatrując się w Pauline. Starłam się jej nie przeszkadzać. Przez godzinę patrzyła w ścianę, szlochając, płacząc rozdzierająco niczym zraniony kociak, wreszcie jęcząc: „Mikael, Mikael, Mikael”, tak jakby był tu i z nią rozmawiał. Próbowałam ją pocieszyć, ale mnie odepchnęła. Siedziałam więc i podawałam jej wodę, modliłam się, starałam się pomóc, ale nic nie mogło złagodzić jej bólu.

Jeszcze tego ranka martwiłam się, że mogę nigdy nie spotkać młodego mężczyzny, który tak bardzo ją kochał. Teraz obawiałam się, że jeśli kiedykolwiek go spotkam, wytnę mu serce tępym nożem i rzucę je mewom na pożarcie.

Nad ranem wreszcie usnęła, ale ja nadal czuwałam. Wspominałam, jak poprzedniego dnia jechałyśmy przez cmentarz. *Wiedziałam*. Ogarnął mnie strach. Coś się nie zgadzało. Coś było beznadziejnie i nieodwracalnie nie tak. Poczułam ścisk w żołądku. Ostrzegawcze wiatry. Świeca. Modlitwa. Nadzieja.

Lodowaty podszept.

Chłód na karku.

Nie rozumiałam tylko, co to wszystko oznacza.



Rozdział 21

Kolejne dni były wypełnione emocjami i niekończącymi się obowiązkami, które brałam na siebie z radością. Następnego ranka Pauline obudziła się, umyła twarz, wyjęła trzy monety z zaoszczędzonych napiwków i wyszła do Sacristy. Była tam przez cały dzień, a gdy wróciła, miała na głowie białą jedwabną chustę – symbol żałoby, noszony przez wdowy.

Pod jej nieobecność powiedziałam Berdi i Gwyneth o śmierci Mikaela. Gwyneth nie miała nawet pojęcia o jego istnieniu, nie słyszała również opowieści Pauline na jego temat, nie pojmowała więc, co się działo z moją przyjaciółką – do czasu aż ta wróciła z Sacristy. Jej twarz była koloru chusty – biała jak ściana, pomijając czerwone obwódki oczu. Przypominała wychudłą zjawę, która dopiero co wróciła z cmentarza.

Jednak o wiele bardziej niż jej wygląd martwiła nas jej niechęć do rozmowy. Zaakceptowała fakt, że Berdi i Gwyneth się o nią martwią, ze spokojem przyjęła wyrazy współczucia, ale odrzuciła każdy inny gest. Od tej pory większość czasu spędzała na kolanach, odmawiając jedno święte wspomnienie za Mikaela za drugim, zapalając kolejne świece, gorączkowo próbując znaleźć drogę do drugiego świata.

Berdi cieszyła się, że Pauline przynajmniej jadła, niewiele, ale dostatecznie dużo, żeby przeżyć. Wiedziałam dlaczego. To również robiła dla Mikaela i dla więzi, która nadal ich łączyła. Czy gdybym powiedziała jej prawdę, to zależałoby jej na tyle, by jeść?

Wszystkie zgodziłyśmy się, że pomożemy jej przez to przejść, każda z nas wzięła na siebie część jej obowiązków, zapewniłyśmy jej przestrzeń, o którą prosiła, i czas, by mogła odbyć żałobę. Wiedziałyśmy, że nie jest prawdziwą wdową, ale nikt inny nie miał o tym pojęcia. I nie planowałyśmy nikogo w tej kwestii uświadamiać. Ciężko znosiłam fakt, że się ode mnie odsunęła, ale ja nigdy nie straciłam miłości mego życia – a przecież tym właśnie był dla niej Mikael.

Festiwal miał się odbyć za dwa tygodnie, miałyśmy zatem więcej pracy niż zwykle, a bez pomocy Pauline pracowałyśmy od świtu aż do wydania ostatniego posiłku w gospodzie. Przypominałam sobie dni w cytadeli, gdy leżałam, nie mogąc usnąć, i rozmyślałam o różnych sprawach, z reguły o niesprawiedliwości ze strony kogoś, kto miał większą władzę niż ja – czyli o prawie wszystkich wokół. Teraz nie

miałam już takich problemów. Spałam głębokim, twardym snem, a gdyby chatka nagle się zapaliła, nawet bym się nie zorientowała i pewnie spłonęłabym razem z nią.

Ponieważ miałam mnóstwo pracy, nadal często widywałam Rafe'a i Kadena. Tak naprawdę co chwilę widziałam któregoś z nich – proponowali pomoc przy myciu koszy czy rozładowywaniu towarów z grzbietu Otta. Gwyneth dokuczała mi z ich powodu, ale zawsze starali się być tylko pomocni, nic więcej. No, prawie zawsze...

Pewnego dnia usłyszałam wściekły ryk Kadena. Gdy wybiegłam z pokoju, który właśnie sprzątałam, żeby sprawdzić, co się dzieje, on właśnie wychodził z obory. Trzymał się za ramię i przeklinał konia Rafe'a, na czym świat stoi. Zwierzę ugryzło go w ramię, koszula Kadena była zalana krwią.

Zaprowadziłam go do gospody, nacisnęłam na zdrowe ramię, żeby usiadł, i spróbowałam go uspokoić. Odpięłam jeden guzik koszuli, by odsunąć materiał i spojrzeć na ranę. Koń tylko drasnął skórę, ale pojawił się na niej wielki siniak, który zaczął już puchnąć. Pobiegnęłam po lód, owinęłam go szmatką i przycisnęłam do rany.

– Przyniosę bandażę i maść – powiedziałam.

Upierał się, że to niepotrzebne, ale go nie posłuchałam. Kiedy wróciłam i zabrałam się do opatrywania rany, nie spuszczał ze mnie wzroku. Nic nie powiedział, gdy zaczęłam nakładać palcami maść, czułam jednak, jak pod wpływem mojego dotyku jego mięśnie się napinają. Owinęłam ramię bandażem i położyłam na nim lód. Wtedy Kaden złapał mnie za rękę i przycisnął ją do siebie, tak jakby trzymał coś bardzo cennego.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – spytał.

Roześmiałam się.

– Owijania bandażem? Takich rzeczy nie trzeba się uczyć. Poza tym miałam starszych braci i zawsze jedno z nas chodziło zabandażowane.

Ścisnął moje palce i popatrzył na mnie, wydawało mi się, że w podzięcie, ale to było coś więcej. W jego ciemnych oczach pojawiło się coś głębszego, czułego i bardzo osobistego. Wreszcie puścił moją rękę i odwrócił wzrok. Jego policzki zalał rumieniec. – Dziękuję – szepnął.

Jego reakcja była zaskakująca, ale rumieniec zniknął tak szybko, jak się pojawił. Kaden poprawił koszulę, jakby nigdy nic się nie stało.

– Miły z ciebie człowiek, Kadenie – rzekłam. – Mam nadzieję, że rana szybko się zagoi.

Gdy byłam już w połowie drogi, by odnieść resztę maści i bandaży, odwróciłam się i spytałam:

– W jakim języku przeklinałeś? Nie rozpoznałam go.

Otworzył usta i spojrzał na mnie, wyraźnie zaskoczony.

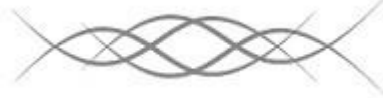
– To jakieś bezsensowne słowa, których nauczyła mnie babka – rzucił niedbale. – Mają mi oszczędzić zapłaty za pokutę.

To miało sens. To, co wtedy wykrzyczał, brzmiało jak wściekłe słowa, wypowiedziane pod wpływem emocji.

– Muszę się nauczyć kilku takich słów – odparłam. – Nauczysz mnie, tak bym ja też mogła oszczędzić kilku monet?

Uśmiechnął się sztywno.

– Dobrze, kiedyś cię nauczę.



Dni stawały się cieplejsze, więc coraz bardziej doceniałam pomoc Rafe'a i Kadena, zastanawiałam się jednak, czy nie mają własnych obowiązków. Przecież byli młodzi i silni, mieli wspaniałe konie i sprzęt do ich siodłania, nie wyglądali na zbyt bogatych, a mimo to radośnie płacili Berdi za swój pobyt i miejsce dla koni. Żaden z nich nigdy nie sprawiał wrażenia, że brakuje mu pieniędzy. Czy pracujący dorywczo farmer i kupiec mogli mieć aż takie oszczędności?

Z pewnością jeszcze częściej zastanawiałabym się nad ich postępowaniem, ale w Terravinie było teraz mnóstwo przyjezdnych, którzy próbowali zabić czas aż do nadejścia festiwalu. Wielu gości przybyło z odległych wiosek, oddalonych farm i – jak w przypadku Rafe'a – z miasteczek bez nazw. Rafe powiedział przecież, że brak pracy w charakterze farmera jest tylko przejściowy. Może jego pracodawca zrobił sobie przerwę na festiwal i to dlatego Rafe miał teraz wolne?

Nie żeby on czy Kaden byli leniwi. Obaj zawsze bardzo chętnie pomagali, Kaden naprawił koło w wozie Berdi, i to bez poganiania, a Rafe okazał się pomocny w ogrodzie, wykopał rowy w ogródku warzywnym i naprawił wrota służby. Gwyneth i ja obserwowałyśmy go z zainteresowaniem, gdy wymachiwał motyką i podnosił ciężkie skały, by umocnić kanał.

Być może – tak jak inni uczestnicy festiwalu – docenili szansę na przerwę w harówce i zrobili sobie odskocznię. Organizacja festiwalu była zarówno świętym obowiązkiem, jak i miłym odpoczynkiem w samym środku lata. Miasto zostało ozdobione kolorowymi flagami i wstążkami, na drzwiach wisały długie girlandy z sosnowych gałęzi, symbolizujące i upamiętniające wyzwolenie. Moi bracia nazywali festiwal Dniami Rozpusty, ponieważ ich przyjaciele przywiązywali wtedy szczególną uwagę do picia różnych specjałów.

Uroczystości trwały sześć dni. Pierwszy dzień był poświęcony świętym rytuałom, postowi i modlitwie, drugi – jedzeniu, zabawom i tańcom. W każdy z pozostałych czterech dni modlono się i oddawano cześć czterem bogom, którzy obdarzyli Morrighan i dzięki którym ludzie otrzymali Ocalonego.

Ponieważ byliśmy członkami królewskiego dworu, musieliśmy ściśle trzymać się terminarzy wyznaczonych przez Czasowego, być przy wszystkich sakramentach, pościć, jeść i tańczyć, a to wszystko we właściwym czasie. Ale przecież ja nie byłam już członkinią żadnego dworu. W tym roku mogłam wyznaczyć sobie własny terminarz i brać udział w wydarzeniach, które sobie wybiorę.

Zastanawiałam się, która część festiwalu najbardziej przypadnie do gustu Kadenowi i Rafe'owi.

Rafe z jednej strony obdarzał mnie zainteresowaniem, ale z drugiej cały czas zachowywał dystans. Nie miało to większego sensu. Jeśli chciał, mógł mnie przecież unikać, jednak nie robił tego. Może próbował wypełnić sobie czas do festiwalu, ale podczas wykonywania różnych prac więcej niż raz nasze palce się zetknęły, ocieraliśmy się ramionami, czułam przepływające przez moje ciało fale gorąca.

Gdy pewnego dnia wychodziłam z gospody, wpadliśmy na siebie – nasze twarze znalazły się tak blisko, że czuliśmy swoje oddechy. Zapomniałam, dokąd idę. Wydawało mi się, że dostrzegam w jego oczach czułość, być może nawet namiętność, i zastanawiałam się, czy on odczuwał takie same fale gorąca. Tak jak podczas wszystkich naszych spotkań czekałam i miałam nadzieję, próbując nie zepsuć chwili, ale wszystko nagle zniknęło, gdy Rafe o czymś sobie przypomniał. Zostawiał mnie zdumioną i bez tchu.

Każdego dnia zdawaliśmy się ze sobą przekomarzać, dochodziło do tego nawet kilka razy dziennie. Gdy zamiatałam ganek przed jednym z mieszkań, pojawił się, jakby dokądś szedł, a potem przystawał, opierał się o słupek i pytał, jak się czuje Pauline albo czy mamy jakieś wolne pokoje; zagajał rozmowę na bieżący temat. Miałam ochotę oprzeć się na miotle i rozmawiać z nim bez końca, ale jaki to miało sens? Czasami po prostu zapominałam o tym, że pragnę czegoś więcej, i cieszyłam się jego towarzystwem i bliskością.

Doszłam do wniosku, że jeśli coś miało się wydarzyć, to prędzej czy później się wydarzy. Próbowałam o tym nie myśleć, ale wieczorem, gdy zapadała kompletna cisza, nasze rozmowy były dla mnie niezmiernie cenne. Gdy zasypiałam, przypominałam sobie każde słowo, analizowałam jego miny i zastanawiałam się, co robię źle. Może problem leżał we mnie? Może moim przeznaczeniem było, żeby nikt mnie nie całował? Niecałowalna. Gdy jednak tak leżałam, słuchałam, jak obok mnie niespokojnie oddycha śpiąca Pauline, zaczynałam się wstydzic swoich płytkich zmartwień.

Pewnego ranka, po kolejnej nocy przepłakanej przez Pauline, zaatakowałam z wściekłością pajęczyny pod dachem jednego z pokoi. Wyobraziłam sobie, jak Mikael odsypia noc spędzoną w pubie z nową dziewczyną na kolanach. *Ten chłopak to same kłopoty. Dopilnuj, żeby trzymała się od niego z daleka.* Ale nadal

był członkiem Królewskiej Straży. Napawało mnie to obrzydzeniem. Był żołnierzem, który potrafił czarować i miał twarz anioła, ale serce czarne niczym noc. Wyładowała się na każdym z ośmionogich stworzeń, które zwisały z dachu. Rafe akurat przechodził obok i spytał, który pajak doprowadził mnie do takiej wściekłości.

– Obawiam się, że żaden. Ale jest taki jeden na dwóch nogach, na którego chętnie podniosłabym kij.

Nie podałam żadnego imienia, ale opowiedziałam mu o mężczyźnie, który uwiódł młodą dziewczynę, okrutnie bawiąc się jej sercem.

– Od czasu do czasu każdy popełnia jakiś błąd. – Wziął ode mnie miotłę i zaczął spokojnie ściągać pajęczyny, które były poza moim zasięgiem.

Jego spokojne ruchy mnie rozwścieczyły.

– Celowe oszustwo nie jest błędem. To po prostu wyrachowanie – powiedziałam. – Zwłaszcza jeśli ktoś utrzymuje, że cię kocha. – Zatrzymał się w połowie ruchu, tak jakbym uderzyła go w tył głowy. – A jeśli komuś nie można ufać w miłości, to nie można mu ufać w ogóle – dodałam.

Opuścił miotłę i odwrócił się w moją stronę. Zdawał się zszokowany moimi słowami, tak jakby była to bardzo ważna deklaracja, a nie gniew skierowany na konkretnego człowieka po nieprzespanej nocy. Oparł się o miotłę. Jego twarz lśniła od potu. Mój żołądek jak zwykle ścisnął się na ten widok.

– Przykro mi z powodu tego, co przeszła twoja przyjaciółka – powiedział. – Ale czy zaufanie zawsze jest takie pewne i bezwarunkowe?

– Tak.

– Nigdy nikogo nie oszukałaś?

– Oszukałam, ale...

– Aha, czyli jednak istnieją jakieś warunki.

– Nie, jeśli chodzi o miłość i wzbudzanie czyichś uczuć.

Przekrzywił głowę.

– Uważasz, że twoja przyjaciółka odczuwa to samo? Czy kiedykolwiek byłaby w stanie wybaczyć mu oszustwo?

Nadal było mi strasznie szkoda Pauline. I siebie samej. Pokręciłam głową.

– Nigdy... – szepnęłam. – Niektórych rzeczy nie można wybaczyć.

Zmrużył oczy, jakby zastanawiał się nad ciężarem tego, co niewybaczalne. To właśnie w nim kochałam i jednocześnie nienawidziłam. Stanowił dla mnie nieustanne wyzwanie, ale też uważnie mnie słuchał. Tak jakby każde wypowiedziane przeze mnie słowo miało znaczenie.



Rozdział 22

Chociaż był środek lata, prawdziwe upały zawitały na wybrzeże dopiero teraz. Coraz częściej musiałam spryskiwać twarz wodą ze studni. W Civica lato czasem w ogóle nie nadchodziło, mgła wisiała nad wzgórzami przez cały rok. Prawdziwego upału mogliśmy doświadczyć tylko wtedy, gdy jechaliśmy w głąb kraju na polowanie. Rozumiałam już, dlaczego noszona przez miejscowe dziewczęta cienka odzież była tu nie tylko adekwatna, ale i niezbędna. Ubrania, które przywiozłyśmy z Pauline z Civica, kompletnie się nie nadawały na pogodę w Terravinie, zorientowałam się już jednak, że sukienki i bluzki bez rękawów stanowiły problem innego rodzaju. Nie mogłam przecież przechadzać się po Terravinie ze ślubnym kavah, widocznym na ramieniu.

Załatwiłam najmocniejsze mydło do prania, przyniosłam jedną z najostrzejszych szczotek Berdi do szorowania ziemniaków i poprosiłam o pomoc Gwyneth. Był kolejny upalny dzień, więc była zadowolona, że może trochę się ochłodzić w wodzie. Poszliśmy w stronę potoku.

Stała za mną, przez chwilę przyglądała się kavah, a potem pogładziła skórę na moich plecach.

– Większość już zniknęła, wiesz? Pomijając ten mały fragment na twoim ramieniu.

– To już dobrze ponad miesiąc. – Westchnęłam. – Do tej pory nie powinno być po nim śladu.

– Część nadal jest dość wyraźna. Nie jestem pewna, czy...

– Masz! – Podałam jej szczotkę przez ramię. – I nie bój się użyć siły.

– Berdi obedrze cię ze skóry, jeśli się zorientuje, że ukradłaś jedną z jej kuchennych szczotek.

– Chcesz powiedzieć, że moje plecy są brudniejsze niż ziemniak?

Mruknęła coś i zabrała się do pracy. Próbowałam się nie wzdrygać i nie krzywić, gdy tarła ostrą szczotką i mydłem delikatną skórę na moich plecach. Po kilku minutach połała mi ramię wodą, żeby spłukać mydliny i zobaczyć efekty swojej pracy. Sapnęła.

– Jesteś pewna, że to tylko kavah, a nie coś bardziej trwałego?

Weszłam głębiej do wody i odwróciłam się.

– Nie pomogło?

Pokręciła głową.

Zanurzyłam się i zaczęłam podziwiać podwodny świat. To nie miało sensu. Wiele razy malowano mi na rękach i twarzy ozdobne kavah z okazji różnych świąt. Malunki zawsze znikwały po tygodniu, góra dwóch.

Wyłynęłam na powierzchnię i przetarłam oczy.

– Spróbuj jeszcze raz – poprosiłam.

Gwyneth zrobiła zmartwioną minę.

– Lio, to nie schodzi. – Usiadła na skale, która wystawała nad powierzchnię wody niczym skorupa żółwia. – Może kapłan wplótł w rytuał jakieś zaklęcie.

– Gwyneth, wszystkie kavah są takie same, muszą być zgodne z zasadami rozsądku. Nie ma w nich żadnej magii.

– Zasady rozsądku ustępują magii każdego dnia – odparła. – Tak więc być może wykorzystano odrobinę magii do utrwalenia kavah na ramieniu pewnej dziewczyny. Jesteś pewna, że rękodzielnicy nie wypowiedzieli żadnych dodatkowych słów?

– Jestem pewna – powiedziałam, ale mimo to zaczęłam szukać czegoś w pamięci. Nie widziałam rękodzielników przy pracy, wiedziałam jednak, że schemat malowania kavah zawsze był ten sam, malowano tymi samymi pędzlami i farbami. Pamiętałam, jak matka próbowała mnie pocieszyć podczas ceremonii, jednak jej dotyk, zamiast mnie uspokajać, palił moją skórę. Czyżby coś poszło wtedy nie tak? Z pewnością do tradycji nie należała modlitwa, odmówiona w ojczystym języku matki. *Niech bogowie dadzą jej siłę, chronią ją odwagą, niech prawda będzie jej koroną.* Dziwna, nie do końca zrozumiała modlitwa, ale z całą pewnością te słowa nie miały żadnej mocy.

– Nie jest tak źle, naprawdę. No i nic nie wskazuje na to, że to królewski czy nawet ślubny kavah. Zniknęły już herb Dalbreck i królewska korona. Pozostały tylko pazury i pędy. Mogły zostać namalowane przy różnych okazjach. Nie możesz z tym chodzić?

Mam przez resztę życia chodzić z resztkami herbu Dalbreck na ramieniu? Nie mówiąc już o tym, że pazury należały do jakiegoś złośliwego mitologicznego zwierzęcia, które nie występuje w tradycji Morrighan. Gdy po raz pierwszy ujrzałam moje kavah, pomyślałam, że jest wspaniałe. Wtedy przypuszczałam, że szybko się zmyje, nie wiedziałam, że nieustannie będzie mi przypominać o życiu, które porzuciłam. *Zawsze będziesz sobą, Lio. Nie możesz od tego uciec.*

– Na pewno zejdzie – powiedziałam. – Dajmy mu jeszcze trochę czasu.

Gwyneth wzruszyła ramionami i spojrzała na złoto-zielone liście znajdującego się nad nami drzewa. Uśmiechnęła się gorzko.

– Spójrz na ten piękny żółty kolor. Jesień jest chciwa, prawda? Już próbuje ukraść coś latu.

Spojrzałam na przedwcześnie pożółkłą koronę.

– Fakt, trochę wcześniej, ale może to wszystko się równoważy. Może lato się ociąga i nie chce ustąpić jesieni.

– Zasady rozsądku. Nawet natura nie może się im przeciwstawić. – Rozebrała się i rzuciła niedbale ubrania na brzeg. Weszła do mnie, na głębszą wodę, zanurzyła się, a potem skręciła swoje grube warkocze w długi sznur. Jej mlecznobiałe ramiona wystawały tuż nad powierzchnię wody.

– Czy ty kiedykolwiek tam wrócisz? – spytała bez ogródek.

Słyszałam pogłoski o wojnie. Gwyneth z pewnością też o tym wiedziała. Nadal jednak uważała, że jako Pierwsza Córka mogę wszystko zmienić. Że drzwi, których nigdy przede mną nie otwarto, z pewnością teraz są dla mnie zamknięte, ale w kawah, tak uparcie wtopionym w moją skórę, dopatrywała się znaku. Zaczęłam się zastanawiać, czy na pewno próbowała go zmyć. Wpatrywała się we mnie i czekała na odpowiedź. Czy kiedykolwiek tam wrócę?

Zanurkowałam i świat znów zamilkł. Złote liście nade mną były ledwo widoczne, w skroniach dudniły mi głuche uderzenia serca, wypuszczałam bąbelki powietrza i wkrótce pytanie Gwyneth zniknęło, odpłynęło z prądem potoku, tak jak i wszystkie oczekiwania wobec mnie.



Rozdział 23

ZABÓJCA

Wyrząłem przez okno. Nie mogłem dłużej czekać. Za kilka dni przybędą tu moi towarzysze, gotowi na powrót do Vendy. Jeśli odkryją, że jeszcze nie wykonałem zlecenia, będą wyc niczym stado dzikich wilków, nie mogąc się doczekać, aż wyruszą w drogę. Będą spoglądać na mnie z pogardą, bo nadal nie udało mi się wykonać jednego małego zadania. Poderżnąć gardła pewnej dziewczynie. Nawet Ebenowi by się to udało.

Ale nie skończy się na dziewczynie. Będę musiał zabić dwie osoby.

Patrzyłem, jak śpią. Komizar twierdził, że mam kocie oczy – widzę w ciemności, jak żaden inny człowiek. Może to właśnie przez nie zostałem wyznaczony do tego zadania. Griz był hałaśliwym byczkiem, który nie nadawał się do cichej roboty, prędzej do wymachiwania toporem na moście czy krwawej rzezi w świetle dnia.

Nie podołałby takiemu zadaniu. Nie umiał stapać cicho niczym nocne zwierzę. Nie potrafił stać się cieniem, który ranił błyskawicznie i precyzyjnie. Ale one przecież sypiały w jednym łóżku, ich dłonie się dotykały. Nawet ja nie potrafiłem być tak cichy. Śmierć hałasowała sama z siebie.

Spojrzałem na szyję Lii. Odsłoniętą. Wystawioną. Łatwo dostępną. Ale to nie będzie łatwe.

Po festiwalu. Zrobię to po festiwalu.



Rozdział 24

KSIAŻĘ

Pod prześcieradłami zwisającymi ze sznura widziałem tylko ich stopy, ale doskonale wszystko słyszałem. Przyszedłem, żeby zapłacić Berdi za mój tygodniowy pobyt, zanim wyjadę do Luiseveque. To było najbliższe miasto, z którego można było wysłać wiadomości, a po otrzymaniu odpowiedniego wynagrodzenia kurierzy byli dyskretni.

Zatrzymałem się i popatrzyłem na buty Lii, która właśnie zabierała się do pracy. Do diaska, fascynowało mnie w niej dosłownie wszystko. Skóra na butach była powycierana i brudna – od zawsze nosiła tylko tę jedną parę. I najwyraźniej nie zwracała na to żadnej uwagi. Może dorastanie z trzema starszymi braćmi sprawiło, że miała inną wrażliwość niż pozostałe wysoko urodzone dziewczęta, które znałem. Albo nigdy nie zachowywała się jak księżniczka, albo po przybyciu tutaj odrzuciła każdy aspekt królewskiego życia. Kiepsko pasowałaby do dworu w Dalbreck, gdzie protokoły nakazywały noszenie innych strojów do pracy, a innych do modlitwy.

Zacząłem szukać w kieszeni banknotów z Morrighan, którymi chciałem zapłacić Berdi. Dłonie Lii pojawiły się na dole pod prześcieradłami; wyjęła z kosza kolejną rzecz.

– Berdi, czy kiedykolwiek byłaś zakochana? – spytała.

Zamarłem z dłonią w kieszeni. Przez dłuższy czas Berdi milczała.

– Tak – wydusiła w końcu. – Dawno temu.

– I nie wyszłaś za mąż?

– Nie. Ale bardzo się kochaliśmy. Na bogów, ależ on był przystojny! Nie tak zwyczajnie. Miał haczykowaty nos, blisko osadzone oczy i przeredzone włosy. Ale gdy wchodził do izby, to jakby wpadało do niej słońce. Miał coś, co nazywam prezencją.

– I co się stało?

Stara Berdi westchnęła, jakby te wspomnienia były wciąż żywe.

– Nie mogłam stąd wyjechać, a on nie mógł tu zostać. I to wszystko.

Kiedy Lia zaczęła ją wypytywać, Berdi wyjaśniła, że jej wybranek był kamieniarzem w odległym mieście Sacraments. Chciał, żeby z nim wyjechała, ale

jej matka umarła, ojciec się starzał i nie mogła zostawić go samego z karczmą.

– Żałujesz, że nie pojechałaś?

– Nie potrafię teraz tego powiedzieć. Co się stało, to się nie odstanie. Wtedy zrobiłam to, co należało.

Pełna guzków dłoń Berdi sięgnęła po klamerki.

– Ale co jeśli...

– A może porozmawiamy o tobie? Nadal jesteś zadowolona ze swej decyzji? Z tego, że uciekłaś z domu? Po tym, jak spędziłaś tu trochę czasu?

– Nie mogłabym być szczęśliwsza. A gdy Pauline poczuje się lepiej, będzie już naprawdę cudownie.

– Mimo że niektórzy ludzie nadal sądzą, iż tradycja i obowiązek Pier...

– Przestań! Nigdy więcej nie chcę słyszeć tych słów – przerwała jej ostro Lia. – Tradycja i obowiązek. Nie obchodzi mnie, co sądzą inni.

Berdi chrząknęła.

– No cóż, podejrzewam, że w Dalbreck mają odmienne...

– To jest trzecie słowo, którego już nigdy nie chcę słyszeć. Dalbreck! Nigdy! Zgniotłem banknoty w kieszeni. Poczułem, jak moje tętno przyspiesza.

– To głównie przez nich miałam tyle problemów. Co to za księżę, który... – przerwała.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Berdi powiedziała łagodnie:

– W porządku, Lio. Możesz ze mną o tym rozmawiać.

Jeszcze przez jakiś czas trwała cisza. Potem Lia odezwała się słabym głosem:

– Przez całe życie marzyłam o tym, że ktoś pokocha mnie za to, jaka jestem. Taką, jaka jestem. Nie córkę króla. Nie Pierwszą Córkę. Po prostu mnie. A już na pewno nie dlatego że nakazał mu to jakiś świstek papieru.

Kopnęła kosz z praniem.

– Czy naprawdę pragnę zbyt wiele? Chcę spojrzeć komuś w oczy i dostrzec, że... – jej głos się załamał. – I zobaczyć czułość. Wiedzieć, że ten ktoś naprawdę chce ze mną być, dzielić ze mną życie.

Poczułem, jak moja szyja robi się mokra.

– Wiem, że w niektórych rodach nadal aranżuje się małżeństwa. Ale to wcale nie jest już takie powszechne. Mój brat ożenił się z miłości. Greta nie jest nawet Pierwszą Córką. Myślałam, że pewnego dnia ja też kogoś znajdę, ale wtedy... – Znowu przerwała.

– Mów dalej – zachęciła ją Berdi. – Zbyt długo to w sobie dusiłaś. Lia odchrząknęła i podjęła szybko i z powagą:

– Wtedy król Dalbreck zaproponował gabinetowi mojego ojca ślub. To był jego pomysł. Berdi, czy ja wyglądam jak koń? Nie jestem koniem na sprzedaż.

– Oczywiście, że nie.

– A jaki mężczyzna pozwala, żeby tatko organizował mu pannę młodą?

– Żaden.

– Nie wysilił się nawet na tyle, żeby spotkać się ze mną przed ślubem – prychnęła. – Nie obchodziło go, z kim się żeni. Równie dobrze mogłabym być klaczą rozplodową. To po prostu synalek tatusia, który ślepo spełnia wszystkie rozkazy. Nigdy nie mogłabym szanować takiego człowieka.

– To zrozumiałe.

Tak, chyba tak.

Wcisnąłem banknoty głębiej do kieszeni i odszedłem. Później zapłacę Berdi.



całej ziemi pozostała tylko cząstka.

Przetrzymali trzy pokolenia prób i problemów,

wybierając najczystszych spośród tych,

którzy nadal zwracali się ku ciemności.

– Księga Świętych Tekstów Morrighan, tom IV



Rozdział 25

Szłam przez Terravin, wymachując tobołkami. Jeden dla mnie, jeden dla Pauline. Nie potrzebowałam Otta, bo tobołki były lekkie, poza tym pragnęłam wolności, chciałam sama wybrać drogę i zrobić sobie nieśpieszny spacer.

Ponieważ w zajeździe było wszystko w porządku, Berdi kazała mi wziąć dzień wolny i spędzić go tak, jak chciałam. Pauline nadal całe dni spędzała w Sacrista, na zakupy poszłam więc sama. Może i będę musiała poczekać, aż kawah wyblaknie, nie oznaczało to jednak, że cały czas musiałam nosić powycierane spodnie, ciężkie spódnice czy koszule z długim rękawem. Teraz kawah wyglądał jak zwykła ozdoba na ramieniu, nic nie świadczyło o jego królewskości czy o moich zaręczynach. Niezależnie od tego, czy wyblaknie, nie pozwolę, by dłużej rządził moim życiem.

Zeszłam na dół, do doków. Poczułam zapach soli, ryb, mokrego drewna i świeżej czerwonej farby, którą pomalowano jeden ze sklepów. Uśmiechnęłam się pod wpływem tego mocnego, rześkiego zapachu. Pomyślałam sobie, że kocham Terravin. Nawet tutejsze powietrze.

Przypomniałam sobie słowa Gwyneth. „Terravin to nie raj na ziemi”. Oczywiście, Terravin miał swoje problemy. Gwyneth nie musiała mnie przekonywać, że życie tu nie jest idealne. Ale w Civica nawet powietrze było ciężkie, czekało, by cię dorwać, powalić, zawsze panowała tam atmosfera strachu i niepewności. Tutaj, w Terravinie, powietrze było zwyczajne. Nie brało nikogo na zakładnika, widać to było po twarzach mieszkańców. O wiele chętniej się uśmiechali, machali, wołali do sklepu, żeby czegoś spróbować albo poplotkować. Życie w tym mieście było bardzo łatwe.

Pauline poradzi sobie ze śmiercią Mikaela. Spojrzy w przyszłość. Berdi, Gwyneth i ja jej w tym pomożemy – no i oczywiście Terravin, dom, który tak kochała. Nie było dla nas lepszego miejsca.

Jutro zaczyna się festiwal. Z każdego zakątka miasta docierały do mnie wspomnienia. Żeglarze wyciągali sieci, szorowali pokłady, zwijali żagle, podczas pracy śpiewali swoje ulubione piosenki, które poruszały mnie o wiele bardziej niż jakakolwiek święta pieśń, bo były naturalne – słyszałam trzepot żagli nad głową, wołanie sprzedawcy ryb, plusk wody o rufy łódek, ostrzegawcze dzwonki odległych łodzi, brzęczenie, krzyk, śmiech, modlitwę, szuranie szczotek, skrobanie

liny. To wszystko stało się jedną pieśnią, która przeze mnie przepływała.

Wierni, wierni, chodźcie tutaj! Ciągnij!

Czystego serca, czystego umysłu,

Święty Ocalały, błogosławiony ponad wszystkim...

Skorpena! Okoń! Karbonela! Sola!

Gwiazdy i wiatr,

Słońce i deszcz...

Wybrany Ocalały, święty,

Dzień Wyzwolenia, nadziei, wolności...

Kręć korbą! Wyjmij ości!

Wierni, wierni,

błogosławieni ponad wszystkim,

Sól i niebo, ryby i mety, głośniej!

Śpiewajcie i bogów wysławiajcie!

Olów z Morrighan,

Na litość bogów...

Świeże ryby! Rekiny! Tuńczyk! Dorsz!

Koniec podróży przez ten padół...

Wciągnij kotwicę, bo spadła na dół!

Błogosławione Morrighan,

Na wieki wieków.

Skręciłam w cichą uliczkę. Pieśń wciąż unosiła się nad moją głową.

– Na wieki wieków – szepnęłam, odczuwając wspomnienia w nowy sposób. Mój głos brzmiał, jakbym stała się częścią czegoś nowego, być może czegoś, co będę w stanie zrozumieć.

Mam cię, teraz cię mam.

Spojrzałam przez ramię. Dziwne, ostre słowa wyróżniały się wśród innych, ale zatoka była już za mną, morze zabrało wszystkie dźwięki.

– Ej, dziewczyno! Chcesz wianek na festiwal?

Odwrociłam się gwałtownie. Na stołku przed jednym ze sklepików siedział pomarszczony i szczerbaty starzec; mrużył oczy w ostrym południowym słońcu. Podniósł rękę z wiankiem z wysuszonych kwiatów, który miałby ozdobić moją głowę. Przyjrzałam się mu, ale nie planowałam wydawać więcej pieniędzy. Tobołki, które ze sobą niosłam, pochłonęły większość mojej miesięcznej pensji. Oczywiście nadal miałam klejnoty i pewnego dnia planowałam pojechać do Luiseveque, żeby je wymienić, ale te pieniądze zostawię dla Pauline, będzie ich potrzebować bardziej niż ja. Oszczędzałam więc, jak mogłam. Patrzyłam jednak na wianek i wyobrażałam sobie, że mam go na głowie podczas festiwalu, a Rafe pochyla się nade mną, żeby przyjrzeć się jakiemuś kwiatu albo poczuć ulotny zapach. Westchnęłam. Wiedziałam, że to nie nastąpi.

Pokręciłam głową i uśmiechnęłam się.

– Jest przepiękny – odparłam. – Ale nie dzisiaj.

– Kosztuje tylko miedziaka – kuśił.

W Civica wrzuciłabym miedziaka do fontanny ot tak, dla zabawy, żeby zobaczyć, gdzie wpadnie. Rzeczywiście miedziak to mało jak za tak piękną ozdobę, poza tym festiwal jest tylko raz w roku. Kupiłam dwa, jeden z różowymi kwiatami dla Pauline, i jeden z lawendowymi – dla siebie.

Teraz miałam już całkowicie zajęte ręce. Uśmiechnięta, ruszyłam z powrotem do zajazdu. Wyobrażałam sobie coś weselszego na głowie Pauline niż ponurą szatę żałobną, chociaż nie wiedziałam jeszcze, w jaki sposób przekonam przyjaciółkę do założenia wianka. Wybrałam górną piaszczystą ścieżkę, rozkoszując się cieniem i ciszą. Wiatr szeptał uspokajająco, niekiedy ciszę przerywała narzekająca na coś sójka czy ganiające się wiewiórki. W tobołku miałam też coś dla Walthera i Grety. Coś małego, koronkowego i uroczego. Nie mogłam się doczekać, aż przekażę to bratu. Dłonie Walthera będą zdawać się przy tym takie wielkie i niezgrabne. Uśmiechnęłam się. Kiedy znów do mnie wpadnie?

Ostrożnie, siostrzo, bądź ostrożna.

Poczułam zimno w brzuchu i gwałtownie się zatrzymałam. Jego ostrzeżenie wybrzmiało tak blisko, tak nagle, ale jednocześnie było tak dalekie.

– Waltherze? – krzyknęłam, wiedząc, że to niemożliwe, by tu był. Usłyszałam kroki, ale było już za późno. Nie miałam nawet czasu, by się odwrócić,

gdy ktoś z całych sił uderzył mnie w pierś. Zatoczyłam się do tyłu, ktoś przycisnął mi ręce do boku. Brutalna ręka złapała mnie za nadgarstek. Krzyknęłam, potem jednak poczułam przy szyi ostrze noża i usłyszałam ostrzeżenie, żebym nie ważyła się wydać z siebie ani jednego dźwięku. Czułam go, gorący oddech i smród popsutych zębów, tłustych, niemytych włosów i przepoconego ubrania – wszystko to było tak przytłaczające, jak ręka, która mnie ścisnęła. Nóż delikatnie wbił się w moją skórę, poczułam strużkę krwi spływającą po szyi.

– Nie mam pieniędzy – wydusiłam. – Tylko...

– Powiem to tylko raz. Chcę tego, co ukradłaś.

Mój nóż był ukryty pod kamizelką po lewej stronie, zaledwie kilkanaście centymetrów od moich palców, jednak lewą ręką nie mogłabym go dosięgnąć, a prawa była mocno trzymana przez napastnika. Gdybym mogła zyskać trochę czasu.

– Ukradłam wiele rzeczy – odparłam. – Którą...

– Ten nóż przybył tu dzięki uprzejmości Sekretarza i Mędrca – mruknął. – To powinno pomóc twojej pamięci.

– Niczego im nie ukradłam.

Przycisnął nóż mocniej, tak że musiałam cofnąć głowę, żeby ostrze nie wbiło się głębiej w moją skórę. Nie śmiałam oddychać ani się poruszyć, chociaż napastnik poluzował uścisk. Wyciągnął kawałek papieru i pomachał mi nim przed oczami.

– Tutaj napisano inaczej. Mędrzec powiedział mi, że wcale go to nie rozbawiło.

Rozpoznałam liścik. Sama go napisałam.

To bardzo intrygujące księgi, ale chyba nie były właściwie przechowywane. Teraz już są. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

– Jeśli ci to oddam, to mnie zabijesz. – Jedynymi częściami ciała, którymi mogłam poruszać, były moje nogi. Ostrożnie przesunęłam prawą po piasku, próbując wybać, w którym miejscu za mną znajduje się stopa napastnika. Wreszcie natrafiłam na coś twardego. Krew dudniła mi w uszach, parzyło mnie całe ciało.

– Zapłacono mi, żebym zabił cię, tak czy siak – padła odpowiedź. – Ale jeśli chcesz, twoja śmierć może być o wiele bardziej bolesna. No i jest jeszcze twoja ładna przyjaciółeczka...

Gwałtownie podniosłam kolano i z całej siły nadepnęłam na stopę zbira, jednocześnie uderzając go łokciem w zębra. Odskoczyłam, odwróciłam się i wyciągnęłam sztylet. Ruszył na mnie, krzywiąc się z bólu, potem jednak nagle przystanął. Jego oczy nienaturalnie się rozszerzyły, poblądł. Padł na kolana. Spojrzałam na sztylet w mej dłoni, zastanawiając się, czy dźgnęłam napastnika, nawet o tym nie wiedząc. Padł twarzą do moich stóp, zanurzając palce w piachu.

Kątem oka dostrzegłam ruch. Kaden stał jakieś dziesięć metrów dalej; trzymał łuk. Rafe stał trochę za nim. Ruszyli w moją stronę, ale po chwili się zatrzymali.

– Lio – Rafe wyciągnął rękę – oddaj mi nóż.

Spojrzałam na sztylet, który nadal ścisnęłam w dłoni, a potem z powrotem na niego. Pokręciłam głową.

– Nic mi nie jest. – Odchyliłam kamizelkę i próbowałam wsadzić nóż w pochwę, ale wyslizgnął mi się i spadł na ziemię. Kaden podniósł go i zabezpieczył u mego boku. Wpatrywałam się w to, co zostało z rozdeptanych wianków, lawendowe i różowe płatki, porozsypywane na piachu.

– Twoja szyja – rzekł Rafe. – Pokaż. – Podniósł moją brodę i wytarł krew kciukiem.

Wszystko działo się nerwowo i błyskawicznie. Rafe wyjął kawałek materiału – chusteczkę? – i przycisnął do mojej szyi.

– Berdi musi cię obejrzeć. Dasz radę to przytrzymać?

Kiwnęłam głową, a on przyłożył moje palce do materiału. Podszedł do mężczyzny i upewnił się, że nie żyje. Wiedziałam, że tak było. Jego palce już nie drżały.

– Usłyszałem twój krzyk – powiedział Kaden – ale nie mogłem wycelować, dopóki się od niego nie odsunęłaś. Z tej odległości strzała mogłaby trafić w ciebie. – Odłożył łuk, uklęknął obok ciała i ułamał strzałę, wystającą z pleców mężczyzny. Razem z Rafem przewrócili go na plecy.

Patrzyliśmy na mężczyznę. Jego oczy wciąż były otwarte, kąćki ust wypełniała krew; wyglądał jak zaskoczona marionetka.

Widok martwego napastnika zdawał się nie robić na moich towarzyszach żadnego wrażenia. Możliwe, że przyglądali się już wielu trupom. Ja widziałam śmierć po raz pierwszy. Poczułam, jak miękną mi kolana.

– Znasz go? – spytał Rafe.

Pokręciłam głową.

Kaden wstał.

– Czego chciał?

– Pieniądzy – odparłam szybko, sama siebie zaskakując. – Chciał tylko pieniędzy. – Przecież nie mogłam powiedzieć im prawdy, nie mogłam wyjawić, kim jestem.

A potem zobaczyłam, że kilkanaście centymetrów od jego palców leży kartka papieru, zapisana moim pismem.

– Wzywamy władze? – spytał Kaden.

– Nie! – zawołałam. – Nie, proszę! Nie mogę... – Zrobiłam krok naprzód i kolana się pode mną ugięły, zakręciło mi się w głowie, zaszumiała krew. Poczułam, że łapią mnie czyjeś ręce, chwytają pod kolana.

Zanieś ją z powrotem. Ja zajmę się ciałem.

Miałam potworne zawroty głowy, łapczywie łąpałam powietrze w obawie, że zwymiotuję. Ponownie przycisnęłam szmatkę do szyi. *Oddychaj, Lio, oddychaj. Nic ci nie będzie...* Świat wirował tak bardzo, że nie wiedziałam, czy słyszane przeze mnie słowa zostały wypowiedziane przez Kadena, przeze mnie czy przez kogoś innego.



Rozdział 26

RAFE


Po chwili mocowania się z ciałem udało mi się przerzucić je przez grzbiet mojego konia. Ramię miałem umazane krwią. Trup był jeszcze świeży, ale i tak musiałem odwracać głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, bo śmierdział brudem i odchodami. Tak właśnie wygląda śmierć. Nie ma w niej żadnej dostojności.

Głęboki wąwóz znajdował się tuż za wzgórzem. Ruszyłem w tamtą stronę, prowadząc konia przez las. Zwierzęta i żywioly zajmą się ciałem na długo przed tym, jak ktoś pojawi się w tym odległym zakątku. Zasłużył sobie na to.

Nie potrafiłem zapomnieć jej zalanej krwią szyi, chociaż widziałem już mnóstwo podobnych ran. Czy to był rozkaz jej własnego ojca? To nie był zwykły bandyta. Ten mężczyzna szukał jej od wielu tygodni. Wiedziałem, że wydano nakaz jej aresztowania i wyznaczono za nią nagrodę. Gdy jej szukałem, mówiono o tym w mieście nieopodal Civica. Chociaż nakaz był tylko nic nieznaczącym gestem, by uspokoić Dalbreck.

Kto teraz jest barbarzyńcą? Mieszkańcy Vendy czy Morrighan? Jaki ojciec zleca zabójstwo własnej córki? Nawet wilki chronią swoje młode. Nic dziwnego, że uciekła.

Zabijanie w imię wojny to jedno. Zabijanie własnych krewnych to coś zupełnie innego.



Rozdział 27

– Pierwszy wolny poranek! *Pierwszy* wolny poranek i zobacz, w co się wpakowałaś! – Berdi dotknęła mojej szyi.

Kaden siedział obok mnie i trzymał wiadro na wypadek, gdybym znów zaczęła wymiotować.

– Ale ja przecież nie wyszłam szukać bandytów – odparłam.

Spojrzała na mnie srogo. W Terravinie nie było bandytów – nie na górnej, odległej ścieżce, i nie czyhali na skromnie ubrane, biedne dziewczyny – ale ponieważ obok siedział Kaden, nie powiedziała tego.

– Miasto jest teraz pełne obcych ludzi. Musisz być ostrożniejsza.

Nóż bardziej podrapał moją skórę, niż ją rozciął. Berdi powiedziała, że ranka jest nie większa niż ugryzienie pchły, ale ponieważ szyja jest bardzo ukrwiona, polało się dużo krwi. Skrzywiłam się, gdy posmarowała ranę szczypiącą maścią.

– Nie ruszaj się! – powiedziała ostro.

– Nic mi nie jest. Przestańcie robić tyle hałasu o małą...

– Spójrz na siebie! Twoja szyja jest rozcięta odtąd dotąd...

– Przecież właśnie powiedziałaś, że rana jest nie większa niż ugryzienie pchły.

Wskazała moje kolana.

– I nadal trzęsiesz się jak liść na wietrze! – Spojrzałam w dół. Rzeczywiście nogi wciąż podskakiwały. Zmusiłam się do wytrwania w bezruchu. – Ale nic dziwnego, skoro zwróciłaś całe śniadanie.

Nie spytała, dlaczego je zwróciłam. Wiedziała, że nie miałam skłonności do wymiotów, ale wszyscy ostrożnie omijaliśmy temat trupa. Kaden powiedział jej tylko, że Rafe zajął się tą sprawą. Nie pytała, co to oznacza. Ja też nie. Cieszyliśmy się, że ktoś się tym zajął, chociaż zastanawiałam się, co zrobi z ciałem, jeśli nie zabierze go na posterunek? Nadal jednak słyszałam w głowie jego głos – nie miał zamiaru zawozić trupa do władz.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że martwy mężczyzna był nikczemnym łotrem. Być może ta wiedza wystarczyła Rafe'owi. Zobaczył, jak mężczyzna przyciska nóż do mojej szyi, jak po mojej skórze płynie krew. Po co zawracać głowę posterunkowemu, skoro nieopodal znajduje się odpowiedni jar? Może właśnie w ten sposób załatwiano się sprawy na odległych terenach bez nazwy. Jeśli

tak, to bardzo się z tego cieszyłam.

– Jesteś pewna, że zaatakował cię tylko jeden bandyta? – spytała Berdi. – Czasami napadają grupami.

Wiedziałam, że mówiła szyfrem, chcąc sprawdzić, czy osoba, która mnie zaatakowała, pod koniec dnia mogła tu ściągnąć całą armię.

– To był samotny bandyta. Jestem pewna. Nie ma innych.

Mruknęła głośno; podejrzewałam, że był to wyraz ulgi.

– No i proszę – powiedziała, zakładając mi na szyję niewielki opatrunek – gotowe. – Wymieszała jakiś proszek z kubkiem wody i podała mi go. – Wypij. Pomoże ci na żołądek. – Wypiłam do dna, chcąc ją uspokoić. – A teraz jazda do łóżka i odpoczywać. Przyniosę ci trochę chleba i rosołu.

Kaden złapał mnie za łokieć, żeby pomóc mi wstać. Dopiero wtedy poczułam skutki ataku. Bolała mnie każda część ciała – ramię, łokieć, którym uderzyłam napastnika, kostka i pięta, którą nadepnęłam na jego stopę, szyja, którą skręcałam nienaturalnie.

– Ale położę się tylko na chwilkę – powiedziałam. – Wieczorem będę mogła pracować w gospodzie.

Berdi mruknęła coś pod nosem, a Kaden wyprowadził mnie przez drzwi do kuchni. Gdy wchodziliśmy na górę, podziękowałam mu za zjawienie się na czas i powiedziałam, że gdyby nie przyszedł, z pewnością bym już nie żyła. Przede wszystkim jednak byłam ciekawa, skąd w ogóle się tam wziął.

– Usłyszałem krzyk, złapałem łuk i pobiegłem w stronę lasu. Pomyślałem, że to Pauline wraca z Sacristy i zaatakowało ją dzikie zwierzę. Niedźwiedź albo pantera. Nie spodziewałem się, że zobaczę ciebie z nożem przy szyi.

Ja też zupełnie się tego nie spodziewałam.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. A to ciało... Czy ono...

– Zniknie – zapewnił.

– Rozumiesz, sama jestem tu nowa... Nie chcę sprawić Berdi żadnych kłopotów. Już i tak podpadłam jakimś żołnierzom.

– Rozumiem. Nikt się o tym nie dowie. A ten mężczyzna zasługiwał na taki los.

Wyglądało na to, że tak samo jak ja pragnął zatrzeć wszelkie ślady po tym zdarzeniu. Zabił napastnika tylko po to, by mnie ocalić – nikt by go za to nie winił – ale być może nie mógł sobie teraz pozwolić na bycie przesłuchiwanym przez posterunkowego. Tak jak i ja.

Doszliśmy już do drzwi chatki, ale nadal podtrzymywał mój łokieć.

– Mam wejść z tobą? – Był spokojny i zrównoważony, jak zwykle. Wyglądało na to, że nic nie może wyprowadzić go z równowagi, nawet takie straszliwe zdarzenia jak dzisiejsze – pomijając sytuację, w której ugryzł go koń Rafe'a.

Spojrzał na mnie ciepło swymi brązowymi oczami, które go zdradziły, tak jak tego pierwszego wieczora w tawernie. Na zewnątrz był spokojny, ale w środku szalała burza. Pod wieloma względami przypominał mi Bryna, najmłodszego i najdzikszeo z moich trzech braci. Bryn był na tyle sprytny, by w obecności mojego ojca zachowywać się poważnie i nie wzbudzać podejrzeń, ale moja matka zawsze łapała go pod brodę, spoglądała mu w oczy i wtedy prawda wychodziła na jaw. Nie potrafiłam jeszcze odkryć prawdy Kadena.

– Dziękuję, ale już mi lepiej – odparłam, choć wcale nie czułam się tak pewnie. Byłam wycieńczona. Miałam wrażenie, jakby w ciągu tych kilku chwil, gdy próbowałam ocalić swoje życie, odpłynęła ze mnie energia całego tygodnia.

– Jesteś pewna, że nie było innych? Nie widziałaś nikogo więcej?

– Jestem pewna. – Nie mogłam mu przecież wyjaśnić, że wiem, że łowcy nagród nie jeżdżą w grupach, a już ten z pewnością wyruszył na misję w pojedynkę.

Gdy Kaden puścił moje ramię, poczułam ulgę. Berdi miała rację. Musiałam wypocząć.

Zamknęłam za sobą drzwi, zdjęłam zakrwawioną koszulę i cisnęłam ją w kąt. Byłam zbyt zmęczona, żeby brać się za pranie. Chwilę siedziałam na łóżku, krzywiąc się pod wpływem bólu, a potem schowałam nóż pod poduszkę. Zrobię to, co obiecałam Waltherowi – będę ćwiczyć – niezależnie od tego, jak wcześnie będę musiała wstawać. Nikt już nie weźmie mnie z zaskoczenia. Teraz jednak potrzebowałam odpoczynku. Moje powieki stawały się coraz cięższe. Co Berdi dosypała mi do tej wody?

Miałam twarde sen, pamiętałam jednak, że Berdi weszła do naszego domku, usiadła na krawędzi łóżka i coś do mnie mówiła; odgarnęła dłonią włosy z mojego czoła i cicho wyszła. Poczułam zapach świeżego chleba i rosółu z kurczaka, byłam jednak zbyt zmęczona, by jeść, i z powrotem zapadłam w sen. Po jakimś czasie znów usłyszałam pukanie do drzwi.

Usiadłam, zdezorientowana. Słońce wpadało przez okno od zachodu. Musiałam przespać całe popołudnie. Ktoś ponownie zapukał.

– Berdi?

– To tylko ja. Zostawię to tutaj.

– Nie, zaczekaj! – krzyknęłam.

Skoczyłam na równe nogi i pokuśtykałam do drzwi. Zesztywniała kostka bolała mnie coraz bardziej. Rafe stał w progu, trzymając tobołki, które upuściłam w lesie. Wzięłam je i położyłam na łóżku, a gdy ponownie odwróciłam się do niego, zobaczyłam, że trzyma też dwa piękne wianki – jeden różowy, drugi lawendowy.

– Wydaje mi się, że właśnie takie wtedy miałaś?

Przygryzłam usta i wreszcie wyszeptałam:

– Dziękuję.

Podał mi je, a potem nastąpiła dziwna cisza. To patrzyliśmy na siebie, to odwracaliśmy wzrok, a potem znów patrzyliśmy.

– Jak tam twoja szyja? – spytał wreszcie i przekrzywił głowę, by spojrzeć na mój opatrunek. Przypomniałam sobie, jak kilka godzin temu przejechał kciukiem po mojej skórze i przyciskał do rany swoją chusteczkę.

– Berdi powiedziała, że rana jest nie większa niż ukąszenie pchły. To zwykłe zadrapanie.

– Ale kulejesz.

Potarłam ramię.

– Wszystko mnie boli.

– Dzielnie walczyłaś.

– Nie miałam wyboru. – Spojrzałam na jego ubranie. Przebrał się. Nie było śladu po krwi trupa, nie można było wywnioskować, w jaki sposób pozbył się ciała. Bałam się o to spytać, ale bałam się również nie pytać.

– A co z ciałem?

– To nieistotne. Załatwiłem sprawę.

Kiwnęłam głową.

Zaczął się wycofywać, ale w pewnej chwili się zatrzymał.

– Przepraszam.

– Za co?

– Żałuję, że nie... – Pokręcił głową. – Po prostu przepraszam – powtórzył i wyszedł.

Zanim zdołałam się odezwać, dostrzegłam Pauline zmierzającą w stronę chatki. Podniosłam zakrwawioną koszulę i zaczęłam szukać miejsca, w którym mogłabym ją ukryć. W naszym małym domku mogłam schować ją tylko do szafy.

Szybko wetknęłam koszulę w najciemniejszy kąt, przykrywając ją innymi ubraniami. Później zajmę się praniem. Pauline miała dość zmartwień, nie chciałam dokładać jej więcej. Na dnie szafy dostrzegłam kosz od Walthera. Byłam tak poruszona informacjami od brata, że schowałam kosz i zupełnie o nim zapomniałam. Walther powiedział, że coś mi w nim zostawił, ale z pewnością już się popsulo. Wyobraziłam sobie pyszny figowy ser, który pewnie zgorzkniał; odwinęłam serwetkę i pochyliłam się, żeby powąchać. Ale to nie był ser.

Drzwi się otworzyły, więc odwróciłam się gwałtownie.

– Co ci się stało w szyję? – spytała Pauline.

– Spadłam ze schodów, niosąc drewno na opał. Jestem taka niezgrabna.

Zamknęła za sobą drzwi.

– Powinien to robić Enzo! Dlaczego ty się tym zajmowałaś?

Spojrzałam na nią zaskoczona. Od dwóch tygodni nie zainteresowała się tak żadną sprawą.

– Nie było tego guzdrały w pobliżu. Za każdym razem, gdy dostaje trochę pieniędzy, przepada jak kamień w wodę.

Zaczęła wypytywać o opatrunek, ale jej przerwałam i pociągnęłam w stronę łóżka, żeby pokazać jej koszyk. Gdy usiadłyśmy, zauważyłam, że zdjęła z głowy szal. Jej miodowe włosy były rozpuszczone i błyszczały w promieniach zachodzącego słońca.

– Twoja żałobna szarfa – zauważyłam.

– Pora pójść do przodu – wyjaśniła. – Zrobiłam dla Mikaela, co mogłam. Teraz inne rzeczy wymagają mojej uwagi. I wygląda na to, że najpierw muszę skupić się na tobie.

Mocno ją do siebie przycisnęłam. Poczułam drżenie w piersi, ale próbowałam tego nie okazywać. Przytulałam Pauline długo i mocno, aż wreszcie się ode mnie odsunęła i uważnie mi się przyjrzała.

– Wszystko w porządku?

Wylały się ze mnie całe tygodnie zmartwień. Mój głos zaczął drżeć.

– Och, Pauline, tak bardzo za tobą tęskniłam. Mam tylko ciebie. Teraz jesteś moją rodziną. A byłaś taka blada i pogrążona w żałobie... Bałam się, że nigdy cię nie odzyskam. Były tylko łzy i cisza. Cisza... – przerwałam i przycisnęłam dłoń do ust, próbując się uspokoić. – Cisza była z tego wszystkiego najgorsza. Gdy kazałaś mi odejść, bałam się, że obwiniasz mnie o śmierć Mikaela...

Przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła. Teraz już obie płakałyśmy.

– Nigdy nie mogłabym cię o to obwinić – zapewniła. Odsunęła się, żeby spojrzeć mi w oczy. – Ale żałoba rządzi się własnymi prawami, Lio. Nie da się nad tym zapanować. Wiem, że to jeszcze nie koniec, ale dziś w Sacrista... – Zamrugęła, żeby znów się nie rozplakać. – Dzisiaj coś poczułam. Jakieś trzepotanie w środku. Tutaj. – Wzięła moją rękę i przycisnęła ją do swojego podbrzusza. – I wtedy zrozumiałam, że nadszedł czas, by przygotować się na życie.

W jej oczach pojawił się blask. Mimo całego bólu, zobaczyłam w nich radość. Poczułam kluchę w gardle. Żadna z nas nie była w stanie wyobrazić sobie podróży, jaka nas czekała.

Uśmiechnęłam się i otarłam łzy.

– Muszę ci coś pokazać. – Postawiłam między nami koszyk, zdjęłam serwetkę i wyjęłam gruby zwitek banknotów z Morrighan. To właśnie zostawił mi brat. Zrozumiałby to, co chciałam uczynić. – Walther mi to przyniósł. To pieniądze Mikaela. Powiedział, że zostawił list, w którym kazał ci je przekazać na wypadek, gdyby coś mu się przytrafiło.

Pauline dotknęła rulonu.

– Aż tyle udało mu się zbierać w ciągu jednego roku pełnienia warty? – spytała.

– Najwyraźniej potrafił oszczędzać. – Wiedziałam, że z łatwością

zaakceptuje każde dobre słowo na temat Mikaela.

Westchnęła i uśmiechnęła się smutno.

– Taki właśnie był. Z pewnością nam to pomoże.

Złapałam ją za rękę.

– Wszyscy ci pomożemy, Pauline. Berdi, Gwyneth i ja, wszystkie tu będziemy, żeby...

– Czy one już wiedzą? – spytała.

Pokręciłam głową.

– Jeszcze nie.

Byłyśmy jednak pewne, że albo same się zorientują, albo Pauline będzie musiała im powiedzieć. Niektórych prawd nie da się ukryć.



powiedz mi o tym raz jeszcze, Ama.

O cieple. Które było kiedyś.

Dziecko, nie wiem, skąd przybyło to ciepło.

Mój ojciec wtedy dowodził i ono po prostu tam było.

Czy twój tata był bogiem?

Czy był bogiem? Wszystko na to wskazywało.

Wyglądał jak człowiek. Miał jednak nadludzką siłę. Nadludzką wiedzę. Nadludzką odwagę. Siłę niczym...

Dziecko, opowiem ci historię. Historię o moim ojcu. Pewnego razu był sobie człowiek tak wspaniały jak bogowie. Ale nawet to, co wspaniałe, może drżeć ze strachu. Nawet to, co wspaniałe, może upaść.

– Ostatnie Testamenty Gaudrel



Rozdział 28

Niebo zasnuwała różowa mgła, słońce zaczęło się wspinać nad górami. Mieszkańcy Terravinu tłoczyli się po obu stronach drogi w oczekiwaniu na procesję, która rozpocznie obchodzenie świętych dni. Nad tłumem unosił się pełen szacunku pomruk, tak jakby wśród nas znajdowali się bogowie. Może i tak właśnie było.

Rozpoczął się Festiwal Wybawienia. Na środku drogi ręka w rękę stały dziesiątki starych i młodych kobiet. Czekwały, by poprowadzić tłum.

Wszystkie Pierwsze Córki Terravinu.

Wśród nich znajdowały się również Berdi i Pauline.

Taką samą procesję prowadziła moja matka w Civica – dziś pewnie też ją poprowadzi. W takiej samej procesji szłam zaledwie kilka metrów za matką, ponieważ byłyśmy Pierwszymi Córkami królestwa, błogosławionymi wśród innych, otrzymałyśmy największy dar.

Takie same procesje – czasem ogromne, czasem skromniejsze – odbywały się teraz w miastach, osadach i wsiach całego Morrighan. Przyjrzałam się twarzom Pierwszych Córek, pełnym oczekiwania, pewnym siebie, zaciekawionym i zrezygnowanym – niektóre uważały, że mają dar, inne już wiedziały, że go nie mają, część z nich żywiła jeszcze nadzieję, że kiedyś go otrzymają. W większości jednak stały na środku drogi, tylko dlatego że nie miały innego wyjścia. Taka była tradycja.

Kapłan po raz ostatni wezwał Pierwsze Córki, by dołączyły do reszty. Gwyneth stała obok mnie. Usłyszałam jej westchnienie i pokręciłam głową.

A potem rozpoczęły się śpiewy.

Pieśń Morrighan wzniosła się i rozbrzmiała skromnymi dźwiękami, uczestnicy błagali bogów o przewodnictwo, wyrażali wdzięczność za łaskę.

Wszyscy – ubrani w łachmany, z burczącymi z głodu brzuchami – ruszyliśmy w stronę Sacristy, by wziąć udział w świętych sakramentach, dziękczynieniu i modlitwie.

Pomyślałam, że Rafe i Kaden nie przyjdą na obchody. Ponieważ był dzień postu, Berdi nie zbierała opłat za posiłki, a żaden z nich nie wytknął nosa ze swego pokoju. Ale tuż przed Sacristą dostrzegłam ich obu w tłumie. Gwyneth też ich widziała. Wszystkie głowy były pochylone, w powietrzu unosiły się tylko słowa

pieśni, ona jednak przysunęła się do mnie i szepnęła: „Są tutaj”, jakby ich obecność była takim cudem, jak bogowie wyzwalający Ocalałych od zagłady. Może i tak właśnie było.

Nagle Gwyneth ruszyła do przodu i zrównała się z małą Simone i jej rodzicami. Włosy matki Simone były poprzetykane białymi pasemkami, a ojca – całkiem siwe, byli starymi rodzicami małego dziecka. Czasem jednak niebiosy zsyłały ludziom niespodziewane dary. Trzymając Simone za rękę, kobieta kiwnęła głową do Gwyneth i dalej wszyscy poszli razem. Zobaczyłam, że nawet mała Simone, zawsze tak nienagannie ubrana, znalazła w swojej szafie jakieś szmaty. A potem, idąc zaledwie kilka kroków za nimi, dostrzegłam, że truskawkowe loki Simone są tylko o jeden ton jaśniejsze niż włosy Gwyneth.

Gdy dotarliśmy do Sacristy, tłum się rozpiezchł. Świątynia była wielka, jednak mimo to nie mogła pomieścić wszystkich mieszkańców Terravinu i gości, którzy przybyli, by z nami świętować. Starszyzna i Pierwsze Córki weszły do świątyni, ale reszta musiała zająć miejsca na zewnątrz, na schodach, na placu czy na cmentarzu, gdzie rytuały prowadzili dodatkowi kapłani. Każdy znalazł miejsce, w którym spędzi na modlitwie większość dnia. Trzymałam się na uboczu, żywiąc nadzieję, że spotkam Rafe'a i Kadena, ale straciłam ich z oczu. Wreszcie poszłam na cmentarz i zajęłam ostatnie miejsce, w którym dało się jakoś uklęknąć.

Gdy rozłożyłam matę, dostrzegłam spojrzenie kapłana, stojącego na tylnych schodach Sacristy. Patrzył na mnie wyczekująco. Nie znałam go. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Może to Pauline mu o mnie wspomniała? Spędzała ostatnio tyle czasu w świątyni. Nawet jeśli wyznała mu prawdę, wiedziałam, że kapłani są zobowiązani do zachowania tajemnicy. Cały czas mnie obserwował, a gdy uklęknęłam, zaczął wypowiadać rytuały i snuć opowieść o zniszczeniu.

Znałam ją, dobrze ją pamiętałam. Tak jak wszyscy. Żeby historia się nie powtórzyła, ojciec ma opowiadać ją synowi, a matka córce. Opowiada się ją w każdej chałupie, nawet w najmniejszym domu, w każdej wielkiej posiadłości. Starzy przekazują ją młodszym. Regan lubił mi ją opowiadać i często to robił, choć jego wersja była zdecydowanie bardziej brutalna niż wersja matki – było więcej krwi, bitew i dzikich bestii. Ciocia Cloris zawsze wplatała wątki o posłuszeństwie, a ciocia Bernette opowiadała głównie o wyzwoleniu, ale to wszystko to jedna i ta sama historia, nieróżniąca się niczym od tej, którą opowiadał nam teraz kapłan.

Starożytni uważali się za gorszych jedynie od bogów, byli dumni ze swej władzy nad niebem i ziemią. Koniuszkami palców kontrolowali noc i dzień; fruwali po niebiosach; ich szepty odbijały się echem po szczytach gór; gdy się wściekali, ziemia trzęsa się ze strachu...

Próbowałam skupić się na tej historii, gdy jednak wypowiedział słowo „strach”, skoncentrowałam się na własnym strachu. Ponownie zobaczyłam martwe spojrzenie marionetki, która przez całą zeszłą noc prześladowała mnie w snach

i powtarzała „Ani się waź pisnąć”. Nawet we śnie nie posłuchałam i zaczęłam głośno krzyczeć. Siedzenie cicho nie było moją mocną stroną.

Zawsze wiedziałam, że Sekretarz i Mędrzec mnie nie lubią, nie spodziewałabym się jednak, że mogliby wysłać za mną zabójcę. Łowca nagród zaprowadzał oskarżoną osobę przed wymiar sprawiedliwości, by odpowiedziała za zdradę. To nie był łowca nagród. Mógł zabrać mnie z powrotem żywą, a wtedy zostałabym stracona. Czy to możliwe, że ojciec brał udział w tym planie, że chciał raz na zawsze zakończyć tę sprawę? Pauline twierdziła, że własny ojciec nie posunąłby się do podobnego czynu. Ja nie byłam tego taka pewna.

Pokręciłam głową i zaczęłam wspominać noc, gdy wślizgnęłam się do komnaty Mędrca. Po co zostawiłam ten liścik? Wiedziałam, że to jeszcze bardziej go rozwścieczy, ale nie obchodziło mnie to. Niezbyt się wczoraj ucieszyłam, zobaczywszy kartkę w dłoni napastnika, ale, na bogów, przecież śmiałam się głośno, pisząc notatkę na osobistej papeterii Mędrca. Wiedziאלby, kto to zrobił, nawet gdybym nie zostawiła po sobie śladu. Byłam jedyną osobą w cytadeli, która mogła cokolwiek ukraść, chciałam jednak, żeby wiedział, że od dawna to planowałam.

Wyobrażałam sobie minę Sekretarza, gdy Mędrzec pokazał mu liścik. Nawet jeśli książki nie miały żadnej wartości, zostawiając notatkę, podbiłam stawkę. Poza tym uciekłam przed tak długo planowanym małżeństwem i z nich zadrwiłam. To nie do pomyślenia. Oni i Wiceregent byli najpotężniejszymi ludźmi w gabinecie ojca, a ja pokazałam im, że mam ich władzę w kompletnym poważaniu. Zostawienie liściku przywróciło mi nieco energii. W pewnym sensie nad nimi górowałam. Ich sekrety nie były już tak dobrze skrywane, nawet jeśli chodziło o coś tak małego, jak stare książki, których nie wprowadzili do królewskiego archiwum.

Zeszłej nocy, gdy Pauline zasnęła, podstawiałam krzesło pod szafę, weszłam na nie, sięgnęłam nad ozdobnym ślimakiem i spróbowałam namacać pudełko owinięte w kawałek szmaty. Nie wiedziałam, dlaczego ukryłam je akurat tam. Może dlatego, że Mędrzec też trzymał tę książkę w ukryciu, i pomyślałam sobie, że powinnam zrobić tak samo. Te książki nie były przeznaczone dla oczu wszystkich ludzi. Wyjęłam rozpadające się tomy i położyłam je na stole. Światło z lampionu zalało złotym blaskiem i tak już pożółkłe strony.

Obie księgi były cienkie i małe, oprawione w delikatną skórę z wytłoczeniami, na której widać było zniszczenia. Miały nadpalone rogi, tak jakby ktoś wrzucił je w ogień. Jedna była bardziej nadpalona, brakowało jej niemal całej ostatniej strony – wyglądało na to, że wyrwano ją w pośpiechu. Zostało tylko kilka liter w górnym rogu. Drugą księgę ktoś zapisał dziwnymi gryzmołami; nigdy w życiu takich nie widziałam. Język w żadnej z nich nie przypominał znanych mi dialektów Morrighan, ale przecież istniało wiele mało popularnych języków, które

już wymarły. Założyłam, że te dziwne słowa należą właśnie do owych zapomnianych języków.

Przez godzinę ostrożnie odwracałam kruche strony, przyglądałam się im, ale mimo ogromnej wiedzy o językach nie udało mi się nic rozszyfrować. Niektóre słowa zdawały się mieć takie samo pochodzenie, co słowa w języku Morrighan, ale podobne rdzenie to za mało. Potrzebowałam jakiegoś klucza, a w Terravinie jedyne archiwum znajdowało się w Sacrista. Pomyślałam, że być może będę musiała zaprzyjaźnić się z tamtejszymi klerykami.

Kapłan zszedł po schodach i zaczął przechadzać się między wiernymi, silnym i namiętym głosem opowiadając dalszą część historii.

Spoglądali z zazdrością na wiedzę, żadna tajemnica nie zdołała się przed nimi ukryć. Posiadali coraz większą wiedzę, ale coraz mniejszą mądrość, łaknęli coraz więcej władzy, ciemnieżyli bezbronnych.

Bogowie dostrzegli ich zarozumiałość i pustkę w ich sercach, posłali więc anioła Astera, który zerwał gwiazdę z nieba i cisnął nią w ziemię, ziemia i morza wzniosły się tak wysoko, że pochłonęły bezbożników. Kilku jednak ocalono – nie tych silnych na ciele czy umyśle, lecz tych o czystych i pokornych sercach.

Pomyślałam o Pauline. Nie istniało serce bardziej pokorne i czyste niż jej. Stała się przez to łatwą zwierzyną dla najmroczniejszego z serc. Chociaż to był jeden z najbardziej świętych dni, przeklełam Mikaela. Starsza kobieta obok mnie się uśmiechnęła, myśląc, że tak bardzo pograżyłam się w modlitwie. Odwzajemniłam uśmiech, a potem ponownie skupiłam się na kapłanie.

Z całej ziemi pozostała tylko cząstka. Przetrzymali trzy pokolenia prób i problemów, wybierając najczystszych spośród tych, którzy nadal zwracali się ku ciemności. Mroczne serca powodowały jeszcze większe zniszczenie. Ale pewna Pierwsza Córka Hariku, skromna i mądra dziewczyna o imieniu Morrighan, cieszyła się wśród bogów specjalnym uznaniem. Wskazali jej bezpieczną drogę, by mogła zaprowadzić wybranych Ocalałych do miejsca, w którym ziemia została uzdrowiona, do miejsca, w którym stworzenie mogło rozpocząć się na nowo.

Morrighan posłuchała tych wskazówek, tak więc bogowie byli zadowoleni. Wyszła za mąż za Aldrida i odtąd wszystkie córki Morrighan i wszystkie pokolenia Pierwszych Córek były błogosławione darem, stanowiącym obietnicę bogów – dopóki na świecie będą czyste serca, ziemia już nigdy nie zostanie zniszczona.

Rytuały trwały aż do południa. Wtedy Pierwsze Córki ogłosiły koniec postu, tak jak uczyniła to młoda Morrighan dawno temu, gdy zaprowadziła głodnych do miejsca, w którym było pełno jedzenia. Dojrzałam Pauline. Stała na zacienionych schodach portyku i rozdawała wiernym chleb, Berdi po drugiej stronie Sacristy robiła to samo. Mnie obsłużyła inna Pierwsza Córka. Gdy rozdano ostatni kawałek chleba, na znak kapłana wszyscy zaczęli jeść. W tym momencie bolały mnie już kolana i głośno burczało mi w żołądku, wiedziałam, że nie najem się tak małym

kawałkiem. Gdy kapłan wypowiedział pożegnalne słowa „Niech więc i tak będzie...”, wszyscy jakby się przebudzili i dodali głośno: „Na zawsze”.

Wierni powoli wstali, zeszywniali po długim dniu modlitwy, gotowi do powrotu do swoich domów na tradycyjny, pełny posiłek. Wracałam sama, dumając, gdzie podzieli się Kaden i Rafe, i raz po raz krzywiąc się z bólu.

W gospodzie należało przygotować wszystko na wieczorny posiłek. Była to święta wieczerza, większość osób spożywała ją w domu. Wielu wiernych spoza miasta jadało posiłek w Sacrista, tak więc do gospody Berdi przyjdzie pewnie garstka gości. Posiłek składał się z pieczonego gołębia, orzechów, fasoli strączkowej, jeżyn, dzikich warzyw – wszystko to było jedzone przy wspólnym stole, tak samo jak pierwszy prosty posiłek, jaki podała Morrighan wybranym Ocalałym. Należało jednak zadbać o inne szczegóły, zwłaszcza o właściwe przygotowanie sali. Mój żołądek wołał o jedzenie, a moje wymęczone ciało o gorącą kąpiel. Sama nie wiedziałam, od czego powinnam zacząć. Ostatnia wspinaczka do gospody bardzo nadwyrężyła moją kostkę.

Rozmyślałam o Rafe i wiankach, które mi przyniósł. Dostarczenie mi tobołków, które upuściłam, to jedno, ale zadanie sobie trudu i znalezienie takich samych wianków jak te, które uległy zniszczeniu podczas walki, nadal wprawiało mnie w osłupienie – zwłaszcza że miał przecież do wykonania bardzo niewdzięczne zadanie. Tak trudno było mi go zrozumieć. W jednej chwili jego oczy były pełne ciepła, w następnej przenikały mnie chłodem, raz się o mnie troszczył, a po chwili odtrącał mnie i odchodził. Jaka bitwa toczyła się w jego głowie? Znalezienie takich samych wianków było czymś więcej niż tylko miłym gestem. Gdy mi je dawał, w jego spojrzeniu widziałam niewypowiedzianą czułość. Dlaczego nie mogłam...

– Nadal kulejesz.

Zalała mnie fala gorąca, moje kończyny nagle stały się słabe. Jego głos był łagodny, jego ramię mimochodem dotykało mojego. Nie odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć, ale cały czas wyczuwałam jego obecność i bliskość.

– Czyli jednak jesteś pobożny – rzekłam.

– Dzisiaj odczułem potrzebę porozmawiania z bogami. Sacrista nadawała się do tego tak jak każde inne miejsce.

– Chciałeś wyrazić wdzięczność?

Odchrząknął.

– Nie, złość.

– Jesteś tak odważny, że bylibyś gotów pogrozić pięścią nawet bogom?

– Mawiają, że bogowie potrafią docenić szczerą i prawdomówność. Tak jak ja.

Spojrzałam na niego z ukosa.

– Ludzie kłamią codziennie. Zwłaszcza bogom.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nikt nigdy nie mówi im prawdy.

– A do którego boga się modliłeś?

– A czy to ma jakieś znaczenie? Przecież wszyscy mnie słyszeli, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

– Kapsejusz to bóg żalu i skargi.

– W takim razie on z pewnością mnie wysłuchał.

– Jestem przekonana, że teraz płoną mu uszy.

Rafe zaczął się śmiać, ale ja cały czas patrzyłam prosto przed siebie. Nie było boga Kapsejusza. Bogowie w ogóle nie mieli imion, tylko atrybuty. Bóg Stworzenia, Bóg Litości, Bóg Zbawienia i Bóg Wiedzy. Rafe nie był pobożny. Nie znał nawet najbardziej podstawowych dogmatów Świętych Prawd Morrighan. Czyżby miejsce, z którego pochodził, było tak odległe, że nie mieli tam nawet najmniejszej Sacristy? Może to dlatego nie chciał rozmawiać o swoim pochodzeniu? Może się go wstydził...



Rozdział 29

KSIĄŻĘ

Gdy tylko dotarliśmy do Sacristy, w tłumie dostrzegłem Enza. Zaskoczyłem go, podszedłem i poklepałem po ramieniu. Ruchem głowy dałem mu do zrozumienia, że idziemy na krótki spacer. Musieliśmy porozmawiać. Nad jego brwiami natychmiast pojawił się pot. Miał przynajmniej na tyle zdrowego rozsądku, by zacząć się martwić.

Zabrałem go w odosobnione miejsce, na wypadek, gdyby jednak okazał się płaczącym głupcem, za jakiego i tak go uważałem. Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku innych ludzi, pchnąłem go na ścianę kuźni. Uniósł pięści, jakby chciał się bić, ale zaraz przemyślał sprawę i zaczął jęczeć.

Po raz kolejny cisnąłem nim o ścianę tak mocno, że aż coś zagruchotało.

– Zamknij się! I posłuchaj mnie bardzo dokładnie, inaczej z naszego kolejnego spotkania wyjdiesz bez języka. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Pokiwał gwałtownie głową i zaczął mamrotać:

– Tak, tak...

– To dobrze. Cieszy mnie, że się rozumiemy. – Nachyliłem się i zacząłem cedzić przez zęby: – Wczoraj rano byłem w swoim pokoju. Słyszałem, jak z kimś rozmawiasz i opisujesz mu drogę na górną ścieżkę. – Popatrzyłem na niego ostro. – A potem usłyszałem brzęk monet.

Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

– Przez twoje usta już nigdy nie może przejść ani jedno słowo dotyczące Lii. A jeśli jednak wyjdzie, nawet przez przypadek, najpierw wyjmę wszystkie monety z tego twojego chciwego łapska, wepchnę ci je do gardła, a potem odetnę język. Czy dobrze mnie zrozumiałeś, Enzo?

Pokiwał głową, nie otwierając ust, na wypadek gdybym już teraz zapragnął spełnić moją groźbę.

– I to zostaje między nami, rozumiano?

Znowu pokiwał głową.

– Grzeczny chłopiec. – Poklepałem go po ramieniu.

Zostawiłem go, skulonego ze strachu pod ścianą. Odszedłem kilka metrów, a potem się odwróciłem i dodałem radośnie:

– I tak dla twojej wiadomości: na tym kontynencie nie ma miejsca, w którym mógłbyś się przede mną ukryć, jeśli postanowię cię odnaleźć. A teraz wytrzymaj nos. Spóźnisz się na sakramenty. – Ponieważ się nie ruszył, ryknąłem: – Jazda!

Wytarł nos i pobiegł, omijając mnie szerokim łukiem. Patrzyłem za nim, aż zniknął mi z pola widzenia.

Tylko nie pogarszaj sprawy.

Sytuacja już i tak wyglądała bardzo kiepsko. Gdybym tylko miał w sobie na tyle odwagi, by nie zgodzić się na małżeństwo, nigdy nie musiałyby ode mnie uciekać, nigdy nikt nie trzymałby noża przy jej gardle, nigdy nie musiałyby pracować w gospodzie z takim obleśnym typem jak Enzo. Gdybym zaczął działać – tak, by ona nie musiała tego robić, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

Nie mów jej, kim jesteś. Żebyś tylko nie pogorszył sytuacji Dalbreck i swoich kompanów.

Jeśli tu zostanę, wszyscy się dowiedzą, kim jestem. Prędzej czy później powinie mi się noga. Sven był mądrzejszy, niż myślałem. Podejrzywał, że sytuacja się skomplikuje, ale skąd mogłem wiedzieć, że Lia będzie się tak różnić od rozkapryszonej księżniczki z moich wyobrażeń?



Rozdział 30

ZABÓJCA

Wyczułem ich na długo, zanim ich dostrzegłem.

To było osiedlanie się, jak mawiała moja matka, równowaga myśli i zamiarów w nowych miejscach, umiejętność znalezienia dla siebie odpowiedniego terenu. Czuło się mrowienie w palcach, włoski na karku się podnosiły, serce zaczynało szybciej bić, a jeśli miało się wprawę, to przemawiało. Uczucie było najsilniejsze, gdy myśli i zamiary były obce, nieodpowiednie albo naglące. Nie było nikogo, kto w Terravinie znajdowałby się bardziej nie na miejscu niż Griz, Malich, Eben i Finch.

Przebiegłem wzrokiem po tłumie. Głowa Griza górowała nad resztą. Założył kaptur, żeby ukryć twarz. Na widok jego blizn małe dzieci z pewnością zaczęłyby płakać, a dorośli mężczyźni pobledliby jak ściana. Gdy się upewniłem, że mnie zobaczył, machnąłem do niego ręką i ruszyłem w stronę położonej na uboczu uliczki, wiedząc, że pójda za mną.

Kiedy znajdowaliśmy się w bezpiecznej odległości, odwróciłem się.

- Upadliście na głowę? Co wy tu robicie?
- A ile może trwać podejrzenie łba jednej dziewczynie? – ryknął Finch.
- Przyjechaliście za wcześnie. I nastąpiły komplikacje.
- Chrzanić to! – odparł Griz. – Podejrnij jej gardło i jedźmy stąd.
- Ja to zrobię! – zaproponował Eben.

Rzuciłem mu ostre spojrzenie, a potem zwróciłem się do Griza:

- Cały czas zbieram informacje. Mogą być przydatne dla Komizara.

Griz zmrużył oczy i uniósł podejrzliwie brew.

- Jakie informacje?

– Dajcie mi jeszcze tydzień. Wykonam zadanie i spotkamy się tam, gdzie się umówiliśmy. Tylko nie pokazujcie się tu więcej.

- Tydzień – jęknął Finch.

Malich rozejrzał się rozpaczliwie.

– Sypianie w łóżku, jedzenie gorącego jedzenia z prawdziwego garnka i radowanie się innymi przyjemnościami musi być bardzo miłe. Bardzo chętnie bym się do ciebie przyłą...

– Jeden tydzień – powtórzyłem. – Zawsze jednak mogę powiedzieć Komizarowi, że byliście bardzo niecierpliwi i musiałem zrezygnować z informacji, które z pewnością byłyby niezmiernie korzystne dla Vendy.

Malich spojrzał na mnie wrogo.

– Myślę, że chodzi o coś więcej niż informacje.

– Niby o co? – zadrwiłem.

Nigdy nie ukrywał swojej pogardy wobec mnie. Odwzajemniałem jego uczucia. Był zazdrosny o moją pozycję w oczach Komizara, o komnaty w wieży fortecy, zamiast w skrzydle należącym do rady, w którym sam mieszkał. Mnie nie podobała się jego nadgorliwość. Potrafił jednak wykonywać swoje obowiązki. Był przebiegły, lojalny i śmiertelnie niebezpieczny. Nieraz krył mi plecy – oczywiście nie dla mojego dobra, tylko dla Vendy.

Griz trzepnął Ebena w tył głowy.

– Idziemy – powiedział. Do mnie nie odezwał się słowem.

Finch zaczął narzekać. Był jedynym spośród nas, na którego w domu czekała żona. Miał powody, by sprzeciwiać się dalszemu oczekiwaniu. Nie byliśmy w domach od niemal roku. Malich potarł dokładnie przystrzyżoną brodę, przyjrzał mi się dokładnie i ruszył za pozostałymi.

Tydzień.

Wymyśliłem to na poczekaniu. Tak naprawdę jeden tydzień nie robił różnicy. Nie było żadnych informacji. Żadnej przyczyny, by zwlekać z wykonaniem zadania. W ciągu siedmiu dni poderżnę gardło Lii, ponieważ Venda znaczyła dla mnie więcej niż ona. Ponieważ Komizar ocalił mnie, gdy nikt inny nie potrafił tego uczynić. Nie mogłem nie wykonać jego rozkazu. Ona była jedną z nich i pewnego dnia do nich wróci.

Na razie jednak miałem siedem dni.



Rozdział 31

– Gdy tu wchodzisz, mogłabyś iść trochę bardziej tanecznym krokiem, to z pewnością nie zaszkodzi. – Gwyneth przekrzywiła głowę, wskazując na kuchenne drzwi.

Pauline wyraziła gwałtowny sprzeciw:

– To święty posiłek!

– I uroczystość – odparła Gwyneth, ściągając z rożna sześć pieczonych gołębi i rozkładając je na półmiski. – A jak myślisz, jakim cudem z Ocalonej zrodziły się wszystkie te Pierwsze Córki? Założę się, że Morrighan umiała nieźle kręcić biodrami.

Pauline przewróciła oczami i pocałowała palce, pokutując za świętokradztwo Gwyneth.

Westchnęłam z irytacją.

– Z nikim nie flirtuję.

– Chyba już trochę poflirtowałaś, co? – spytała Gwyneth.

Nie odpowiedziałam. Gdy weszłam do kuchni, Gwyneth widziała moją frustrację. Kiedy tylko dotarliśmy do gospody, Rafe po raz kolejny przeszedł od ciepłego i pełnego zaangażowania do pozycji obcego i zimnego mężczyzny. Zamachnęłam się drzwiami i rzuciłam pod nos:

– Co jest z nim nie tak?

Gwyneth to usłyszała. Próbowałam wmówić jej, że miałam na myśli Enza, ale nie uwierzyła.

– A co z tym blondynem? Co z nim?

– Nic! Dlaczego ty...

– Mnie się wydaje, że on ma o wiele miłsze oczy – zauważyła Pauline. – A jego głos jest...

– Pauline! – Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem.

Wróciła do układania fasoli na półmiskach.

– Och, Lio, przestań udawać taką niewinną. Przecież uważasz ich obu za bardzo atrakcyjnych. Bo tacy są.

Westchnęłam. Miała rację. Ale czułam coś więcej niż zwykle zauroczenie. Wyłożyłam na półmiski szczaw, owoce dzikiej róży, mleczko i nieśplik, tworząc kolorowe gniazda dla gołębi. Chociaż nie odpowiadałam, Gwyneth i Pauline cały

czas rozmawiały o zaletach Rafe'a i Kadena i o tym, jak powinnam się wobec nich zachowywać.

– Bardzo się cieszę, że moja przyjaźń z nimi dostarcza wam tyle rozrywki – burknęłam w końcu.

Gwyneth stanęła jak wryta.

– Przyjaźń? Ha! Z całą pewnością sposobem na zwrócenie na siebie uwagi jednego jest skupienie się na drugim.

– Dosyć tego!

Berdi zajrzała do kuchni.

– Wszystko gotowe? – spytała.

Każda z nas zaniósła na salę jeden półmisek. W pomieszczeniu Berdi porozstawiała zapalone świece. Zestawiła razem cztery stoły, które na środku sali utworzyły jeden wielki blat. Siedzieli już przy nim Kaden, Rafe i trzech innych gości z zajazdu. Reszta udała się na oficjalny poczęstunek.

Postawiliśmy tace na środku, a Pauline i Gwyneth szybko zajęły pozostałe miejsca, tak bym musiała usiąść z Kadenem po lewej stronie i Rafem siedzącym na rogu po mojej prawej. Gdy zajmowałam miejsce, uśmiechnął się, a cała moja złość natychmiast zmieniła się w coś ciepłego i pełnego oczekiwania. Berdi ulokowała się na szczycie stołu i zaczęła śpiewać wspomnienia. Reszta dołączyła do niej, zauważyłam jednak, że Rafe jedynie porusza ustami. Nie znał słów. A przecież to była najpopularniejsza z modlitw. Znało ją każde dziecko. Zerknęłam na Pauline, siedzącą z drugiej strony Kadena. Ona również to zauważyła.

Kaden śpiewał czysto. Widać było, że zna święte pieśni.

Gdy skończyliśmy, Berdi podziękowała za każdy element wieczerzy, za jedzenie, które Ocalała znalazła w nowym świecie, a po pobłogosławieniu każdej potrawy zaprosiła nas do ucztowania.

Od nabożnych szeptów przeszliśmy do radosnych rozmów. Zgodnie z tradycją jedliśmy palcami. Berdi złamała zasady – wyjęła jedną z butelek jeżynowego wina i naląła każdemu z nas po małym kieliszku. Czułam, jak słodki, ciemnofioletowy napój rozgrzewa moją pierś. Odwróciłam się do Rafe'a, który cały czas mnie obserwował. Odważnie odwzajemniłam jego spojrzenie. Skubnęłam ciemne, jedwabiste mięso gołębia, a potem z rozkoszą oblizałam zatłuszczone palce, nie spuszczając wzroku z mężczyzny.

Przełknął ślinę, chociaż jeszcze niczego nie skosztował. Wziął garść orzeszków piniowych i odchylił się, żeby wsypać je sobie do ust. Jeden z nich spadł na stół, podniosłam go i zjadłam. Powoli zamrugałam, zaczęłam stosować wszystkie triki, jakie zaobserwowałam u Gwyneth – dodając trochę od siebie. Ponownie napił się wina i poluzował kołnierz koszuli, jego pierś uniosła się pod wpływem westchnienia. I nagle znów stał się chłodny i obcy. Odwrócił wzrok i zaczął rozmawiać z Berdi.

Poczułam narastający gniew. Może nie potrafiłam flirtować? A może flirtowałam z niewłaściwą osobą? Spojrzałam na siedzącą naprzeciwko Gwyneth, która wpatrywała się w Kadena. Odwróciłam się i zaczęłam z nim rozmawiać. O procesji, o sakramentach, o zabawach, które miały rozpocząć się następnego dnia. Zauważyłam, że nasze zaangażowanie w dyskusję rozzłościło Rafe'a. Jego pogawędka z Berdi stała się nienaturalna, zaczął bębnić palcami w stół. Przysunęłam się do Kadena i spytałam, w jakich zabawach weźmie udział.

– Nie wiem jeszcze. – Zmrużył oczy pytająco. Popatrzył na moją dłoń, leżącą na stole przed nim, i nachylił się. – A czy jest jakaś konkretna, do której powinienem się zgłosić?

– Słyszałam wiele pochwał na temat zapasów na pniu, ale może nie powinienes... – Położyłam rękę na jego ramieniu. – Jak tam twoje ramię?

Rafe odwrócił się do nas, przerywając rozmowę z Berdi.

– Już w porządku – odparł Kaden. – Świetnie się nim zajęłaś.

Rafe odsunął krzesło.

– Berdi, dziękuję za...

Miałam wrażenie, że moje skronie nagle zajęły się ogniem. Wiedziałam, co robił.

To była jedna z jego błyskawicznych zimnych ucieczek. Przerwałam mu – wstałam, zanim on zdołał się podnieść, i rzuciłam serwetkę na stół.

– Chyba nie jestem aż taka głodna. Przepraszam!

Kaden próbował ruszyć za mną, ale Pauline złapała go za ramię i siłą przytrzymała na krześle.

– Kadenie, nie możesz teraz wyjść. Chciałam cię spytać...

Nie usłyszałam reszty zdania. Byłam już za drzwiami i szłam w stronę naszego domu, upokorzona i wściekła.

– Lio! Dokąd idziesz? – Usłyszałam głos Rafe'a. A więc ruszył za mną.

– Idę się wykapać! – ryknęłam. – Potrzebuję długiej zimnej kąpieli!

– Takie gwałtowne odejście od stołu było niegrzeczne...

Zatrzymałam się i odwróciłam z wściekłością. Miał szczęście, że akurat nie miałam przy sobie sztyletu.

– Idź sobie! Rozumiesz? Idź! Sobie! Natychmiast!

Odwróciłam się z powrotem, nie czekając na jego reakcję. Pulsowało mi w głowie. Zacisnęłam pięści i wbiłam paznokcie w skórę.

Dotarłam do domku i z rozmachem otworzyłam drzwi. Wyjęłam z szafy mydło i ręcznik, odwróciłam się i... wpadłam na Rafe'a.

– Co z tobą nie tak? – Zrobiłam krok w tył. – Mówisz jedno, a zachowujesz się zupełnie inaczej! Za każdym razem, gdy myślę, że coś nas łączy, ty uciekasz! Za każdym razem, gdy chcę... – Z trudem powstrzymywałam łzy. Poczułam ścisk w gardle. – Czy jestem dla ciebie aż tak odpychająca?

Wpatrywał się we mnie, milcząc, chociaż stałam i czekałam na jego odpowiedź. Nagle zrozumiałam prawdę i przeraziłam się. Zacisnął szczękę. Cisza była zbyt długa i okrutna. Zapragnęłam umrzeć. Jego oczy patrzyły na mnie chłodno i oskarżycielsko.

– To nie jest takie proste...

Miałam dość tych banałów.

– Idź stąd! – wrzasnęłam. – Proszę, idź sobie! I nie wracaj!

Przepchnęłam się obok niego i z satysfakcją zauważyłam, jak wpada na ramię łóżka. Ruszyłam w stronę strumienia.

Słyszałam jakieś głosy, coś jakby krzyki i zwierzęcy ryk – dziwne nawet dla moich uszu, chociaż wydobywały się z mojego gardła. Nadal za mną szedł. Odwróciłam się i zaczęłam wyrzucać z siebie całą wściekłość:

– Na bogów, dlaczego mnie tak dręczysz? Co cię obchodzi, że wyszłam? Ty zacząłeś wychodzić pierwszy!

Zacisnął szczękę. Gdy się odezwał, jego głos był zimny i ostry:

– Chciałem wyjść, bo wyglądało na to, że jesteś zajęta. Planujesz uczynić z Kadena swojego kolejnego kochanka?

Równie dobrze mógłby uderzyć mnie w brzuch. Zaparło mi dech w piersiach. Otworzyłam usta ze zdziwienia i popatrzyłam na niego, próbując zrozumieć sens jego słów.

– Kolejnego kochanka?

– Widziałem cię. – Wpatrywał się we mnie przenikliwie. – Podczas schadzki w lesie. Zwracałaś się do niego chyba „Walther”.

Zrozumienie, o czym on mówi, zajęło mi kilka sekund. Gdy wreszcie to do mnie dotarło, ogarnęło mnie szaleństwo.

– Ty głupi, durny prostaku! – pisnęłam. – Walther to mój brat!

Popchnęłam go, zatoczył się do tyłu.

Pobiegłam w stronę strumienia. Tym razem nie słyszałam za sobą żadnych kroków. Żadnego głosu, który nakazałby mi się zatrzymać. Nic. Zrobiło mi się niedobrze, tak jakby tłusty gołąb chciał wydostać się z mojego żołądka.

Kochanek.

Wypowiedział to słowo z taką pogardą. Czy on mnie śledził? Potrafił dostrzec tylko to, co chciał dostrzec? Czego się po mnie spodziewał? Przypomniałam sobie spotkanie z Waltherem i zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, żeby ktokolwiek opacznie je zrozumiał. Nie dało się, chyba że ktoś na siłę szukał czegoś nieprzyzwoitego. Podbiegłam do Walthera. Krzyknęłam jego imię. Przytuliłam, pocałowałam w oba policzki, śmiałam się i cieszyłam. To wszystko.

Podejrzane było tylko, że to spotkanie odbyło się głęboko w lesie, z dala od ludzi.

Gdy dotarłam nad strumień, usiadłam na kamieniu i zaczęłam masować sobie kostkę. Po moim wściekłym marszu zaczęła mnie boleć.

Co ja najlepszego zrobiłam? Poczułam bolesny ścisk w gardle. Rafe traktował mnie jak zmienną, kokietującą wszystkich dziewczkę, która zabawiała się z gośćmi gospody. Zamknęłam oczy i przełknęłam ślinę, próbując pozbyć się bólu.

Musiałam przyznać się do ogromnego błędu. Pozwoliłam sobie na zbyt wiele. Rafe był gościem gospody. A ja dziewczką, która w niej pracowała. Nic więcej. Przypomniałam sobie straszliwą scenę w jadalni. Bezwstydne flirtowanie z Kadenem i to, co powiedziałam Rafe'owi. Poczułam uderzenie gorąca na twarzy. Jakim cudem popełniłam taki błąd?

Zeszłam z kamienia na ziemię, objęłam ramionami kolana i zaczęłam wpatrywać się w wodę. Nie miałam już ochoty na kąpiel. Pragnęłam jedynie zasnąć na wieki i udawać, że dzisiejszy dzień się nie wydarzył. Chciałam wstać, wrócić do domu i wejść pod koc, jednak zamiast tego wpatrywałam się w strumień i rozmyślałam o Rafe, jego twarzy, oczach, ciepłe, pogardzie i nikczemnych podejrzeniach.

Myślałam, że jest inny. Wszystko w nim wydawało się inne, nawet to, jak się przy nim czułam. Myślałam, że łączy nas wyjątkowa więź. Najwyraźniej bardzo się myliłam.

Woda w strumieniu stawała się szara, było już po zachodzie słońca. Wiedziałam, że pora wracać do domu, bo niedługo Pauline zacznie się martwić i mnie szukać, ale moje nogi były zbyt zmęczone, by mogły mnie utrzymać.

Nagle usłyszałam jakiś hałas, coś jakby delikatne szuranie. Odwróciłam głowę w stronę ścieżki, zastanawiając się, czy Pauline już mnie znalazła, ale to nie była ona. To był Rafe.

Zamknęłam oczy i westchnęłam ciężko. *Odejdź, proszę.* Nie miałam siły z nim rozmawiać. Gdy otworzyłam oczy, nadal tam był. W jednej ręce trzymał butelkę, a w drugiej mały koszyk. Wysoki, spokojny, taki piękny i irytująco perfekcyjny. Spojrzałam na niego beznamiętnie, nie zdradzając żadnych uczuć. *Odejdź.*

Ruszył do przodu. Pokręciłam głową. Zatrzymał się.

– Miałaś rację, Lio – powiedział cicho.

Milczałam.

– Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nazwałaś mnie niewychowanym prostakiem. – Przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą; wpatrywał się w ziemię ze zmartwioną miną. Potem znów spojrzał na mnie. – Jestem wszystkim, czym mogłabyś mnie nazwać, i czymś jeszcze więcej. Łącznie z głupim prostakiem. A może głównie nim.

Podszedł bliżej.

Ponownie pokręciłam głową, ale tym razem się nie zatrzymał. Skrzywiłam

się, gdy stanęłam na obolałej nodze.

– Rafe – powiedziałam cicho – po prostu odejdz. To wszystko to jeden wielki błąd...

– Proszę. Daj mi to powiedzieć, dopóki mam odwagę. – Zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się. – Lio, moje życie jest bardzo skomplikowane. Jest tyle spraw, których nie mogę ci wyjaśnić. O których nawet nie chciałybyś wiedzieć. Ale nigdy nie będziesz mogła powiedzieć o mnie jednego. – Postawił na trawie butelkę i koszyk. – Nigdy nie będziesz mogła powiedzieć, że cię odtrąciłem.

Przełknęłam ślinę. Stał przede mną, więc żeby spojrzeć mu w twarz, musiałam unieść głowę. Popatrzył na mnie.

– Ponieważ od pierwszego dnia, gdy cię spotkałem, co noc idę spać, myśląc o tobie, a co rano moje pierwsze myśli dotyczą wyłącznie ciebie. – Podeszedł jeszcze bliżej i ujął moją twarz w dłonie. Jego dotyk był tak delikatny, jakby w ogóle nie istniał. – Gdy nie ma mnie przy tobie, zastanawiam się, gdzie jesteś. Co robisz. Myślę o tym, jak bardzo chcę cię dotknąć. Chcę dotykać twojej skóry, włosów, rozczesać palcami każde pasmo. Chcę cię objąć, trzymać za ręce... – Przysunął twarz, poczułam jego oddech na mojej skórze. – Chcę cię przytulić i już nigdy nie wypuścić z objęć – szepnął.

Staliśmy tak, a każda sekunda mijała niczym mała wieczność. Powoli nasze wargi się spotkały, ciepłe, miękkie, jego usta były delikatne, jego oddech stał się moim, a potem, tak samo powoli, cudowna chwila minęła.

Odsunął się, by na mnie spojrzeć, zanurzył palce w moich włosach. Podniosłam ręce, złapałam go za kark i ponownie do siebie przyciągnęłam, nasze usta ledwo co się dotykały, odczuwałam mrowienie i ciepło, a potem znów się połączyły.

– Lio? – W oddali usłyszeliśmy zmartwiony głos Pauline i odskoczyliśmy od siebie. Wytarłam usta i poprawiłam koszulę.

Moja przyjaciółka szła ścieżką w naszym kierunku. Staliśmy sztywno jak drewniani żołnierze. Gdy nas dostrzegła, zatrzymała się.


– Przepraszam. Robiło się ciemno, a ponieważ nie było cię w domku...

– Właśnie wracaliśmy – odezwał się Rafe i spojrzał na mnie porozumiewawczo. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale w tym jednym spojrzeniu powiedział mi wszystko. Poczułam, że to, co sobie wyobrażałam, było prawdą.

Podniósł butelkę i koszyk i podał mi je.

– Pomyślałem, że może wrócił ci apetyt.

Kiwnęłam głową. Tak, zdecydowanie tak.



Rozdział 32

Siedziałam w miednicy, pochylona do przodu, a Pauline tarła moje plecy. Rozkoszowałam się pachnącymi olejkami i ciepłą wodą, kojącą ból w moich mięśniach. Nagle Pauline wrzuciła gąbkę do wody i opryskała mi twarz.

– Wróc na ziemię! – krzyknęła.

– Niecodziennie przeżywa się swój pierwszy pocałunek – odparłam.

– Czyżbym musiała ci przypomnieć, że to wcale nie był twój pierwszy pocałunek?

– Miałam wrażenie, że był. Na pewno pierwszy, który się liczył.

Wcześniej, nalewając wody do miednicy, Pauline powiedziała mi, że wszyscy w jadalni słyszeli nasze krzyki, więc Berdi i Gwyneth zaczęły kolejną turę śpiewów, żeby odwrócić od nas uwagę. Pauline usłyszała, jak krzyczę: „Idź sobie!”, dlatego nigdy nie pomyślałaby, że przerwie nam pocałunek. Przeprosiła mnie już kilka razy, ale zapewniłam ją, że nic nie mogłoby zniszczyć magii tej chwili.

Podniosła dzban z ciepłą wodą różaną.

– I co teraz?

Wstałam, a ona splukała mnie pachnącym strumieniem. Owinęłam się ręcznikiem i wyszłam z miednicy, nadal rozpamiętując każdą sekundę, zwłaszcza wiele mówiące spojrzenie, które Rafe posłał mi na koniec spotkania.

– Farmer – westchnęłam. – Czy to nie romantyczne?

– Owszem – zgodziła się Pauline.

– O wiele bardziej prawdziwe niż wyniosły staromodny książę. – Uśmiechnęłam się. Pracował w ziemi. Dzięki niemu rosły rośliny. – Pauline? A kiedy ty... – Nagle przypomniałam sobie, że nie powinnam rozmawiać z nią na ten temat.

– Kiedy ja co?

Pokręciłam głową.

– Nic.

Usiadła na krawędzi łóżka i zaczęła wcierać olejek w łokcie. Wydawało się, że zapomniała już o moim niedokończonym pytaniu, ale po chwili powiedziała:

– Kiedy wiedziałam, że zakochałam się w Mikaelu?

Usiadłam naprzeciwko niej.

– Tak.

Westchnęła, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je.

– To była wczesna wiosna. Do tej pory widziałam go kilka razy we wsi. Zawsze otaczał go wianuszek dziewcząt, więc nie podejrzewałam, że kiedykolwiek mógłby zwrócić na mnie uwagę. Ale zwrócił. Pewnego dnia, gdy przechodziłam, poczułam na sobie jego wzrok. A potem za każdym razem, gdy go mijałam, zatrzymywał się, ignorował wszystkich wokół i obserwował mnie tak długo, aż zniknęłam mu z pola widzenia. Aż kiedyś... – Wpatrywała się w pustą ścianę, byłam jednak pewna, że widzi coś zupełnie innego. Widzi Mikaela. – Szłam do krawcowej, a on nagle pojawił się obok mnie. Tak się zdenerwowałam, że wbiłam wzrok w drogę przed sobą. Nic nie mówił, tylko szedł, a gdy byliśmy już pod drzwiami zakładu, powiedział: „Jestem Mikael”. Chciałam odpowiedzieć, ale mnie powstrzymał: „Nie musisz mi mówić, kim jesteś. Już to wiem. Jesteś najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek stworzyli bogowie”.

– I to właśnie wtedy się w nim zakochałaś?

Zaśmiała się.

– Nie, nie. Wiedziałam, że każdy żołnierz ma na podorędziu urocze słówka dla kobiet. – Westchnęła i pokręciła głową. – Nie, to było dwa tygodnie później, gdy już wykupił dla mnie wszystkie możliwe kwiaty i wyglądał na strasznie przygnębionego. I wtedy na mnie spojrzał. Po prostu spojrzał. – W jej oczach pojawił się błysk. – A potem w najbardziej uroczy, najdelikatniejszy i najszczęśliwszy sposób wyszeptał moje imię: „Pauline”. To wszystko, wypowiedział tylko moje imię. Ale ja wiedziałam. Zrobił już wszystko, co mógł, ale się nie poddawał. – Uśmiechnęła się z rozmarzeniem i zaczęła wmasowywać olejek w stopę i kostkę.

Czy to możliwe, że Pauline i Mikaela łączyło coś prawdziwego i głębokiego, czy Mikael po prostu zastosował na niej swoje sztuczki? Nieważne, jak było – wrócił do dawnego życia i teraz sadzał sobie na kolanach kolejne dziewczęta, zapomniał o Pauline i o tym, co ich łączyło. Ale ona nadal prawdziwie go kochała.

Przechyliłam się i zaczęłam wycierać włosy ręcznikiem. *Chcę dotykać twojej skóry, włosów, rozczesać palcami każde pasmo.* Powąchałam pasemko swoich włosów. Czy Rafe lubił zapach róż?

Moje pierwsze spotkanie z nim było dość burzliwe i nie przypominało pierwszego spotkania Walthera z Gretą. Z całą pewnością też Rafe nie kusił mnie pięknymi słówkami, tak jak Mikael czarował Pauline. Ale być może to wcale nie oznaczało, że to uczucie jest mniej prawdziwe. Może istniało sto różnych sposobów na zakochywanie się.



łona Morrighan,

Z końca spustoszenia,

Z intryg władców,

Z obaw królowej

Zrodzi się nadzieja.

– Pieśń Vendy



Rozdział 33

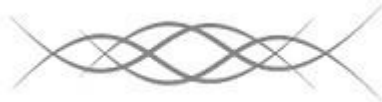
Przepełniała mnie radość, gdy patrzyłam, jak Pauline zakłada ubrania, które jej kupiłam – luźną brzoskwińową sukienkę i zielone sandały. Po wielu tygodniach noszenia ciężkiej, grubej żałobnej odzieży z Civica, w końcu zaczęła promienieć.

– Jaka to ulga w tym upale. Lio, te ubrania są po prostu cudowne! – Podziwiała swoje odbicie w lustrze, odwracała się bokiem, oglądała tkaninę. – I powinna mi służyć do końca jesieni. – Kiedy założyłam jej na głowę różowy wianek, stała się zaczarowaną leśną nimfą. – Twoja kolej – powiedziała.

Moja sukienka była biała, haftowana w kwiaty lawendy. Założyłam ją i obróciłam się, również przeglądając się w zwierciadle. Miałam wrażenie, że otacza mnie mgiełka, że unosi nad ziemią. Nagle obie przystanęłyśmy, przyglądając się pazurom i winorośli na moim ramieniu, widocznym pod cienkimi ramiączkami sukienki.

Pauline dotknęła pazurów i powoli pokręciła głową.

– To do ciebie pasuje. Nie wiem dlaczego, ale pasuje.



Gdy doszliśmy do gospody, Rafe i Kaden właśnie ładowali na wóz stoły z jadalni oraz skrzynie z jeżynowym winem i przetworami Berdi. Kiedy podeszliśmy, obaj zatrzymali się w pół ruchu i powoli odstawili ciężkie meble na ziemię. Nic nie powiedzieli, po prostu się na nas gapili.

– Chyba powinnyśmy częściej się kąpać – szepnęłam do Pauline i stłumiłyśmy chichot.

Przeprosiłyśmy ich i weszłyśmy do środka, żeby sprawdzić, czy Berdi nie potrzebuje naszej pomocy. Ona i Gwyneth były w kuchni, wkładały ciasta do koszyków. Pauline popatrzyła tęsknie w stronę posypanych złotą kruszonką bułek z jeżynami, układanych warstwa po warstwie. Gdy Berdi zaproponowała jej jedną, oderwała kawałek i błyskawicznie go połknęła.

– Muszę wam coś powiedzieć – wymamrotała.

Rozmowy, ruch, szcęk garnków – wszystko błyskawicznie ustało. Berdi odłożyła na tacę bułkę, którą Pauline miała schować do koszyka, i powiedziała:

– Wiemy.

– Nie – odparła z uporem Pauline. – Nie wiecie. Ja...

Gwyneth złapała ją za ramiona.

– Wiemy.

Jak na komendę cała nasza czwórka podeszła do stolika w rogu kuchni i usiadła. Wokół oczu Berdi pojawiły się delikatne zmarszczki. Kobieta łzawym głosem wyjaśniła, że tylko czekała, aż Pauline jej o tym powie. Gwyneth kiwała głową ze zrozumieniem, a ja wpatrywałam się w nie, nie kryjąc zdziwienia.

Mówiły pewnie i spokojnie. Ścisnęłyśmy sobie dłonie, wyliczałyśmy dni, dzieliłyśmy się zmartwieniami. Wyciągnęłam rękę, by stać się częścią tego wszystkiego – umowy, solidarności, głowy Pauline przyciśniętej do piersi Berdi. Ja i Gwyneth spojrzaliśmy po sobie – bez słów można było tak wiele powiedzieć. Nasze relacje uległy zmianie. Stałyśmy się siostrami mającymi wspólny cel, żołnierzami elitarnej straży, którzy przyrzekli sobie, że przejdą przez to razem. Każda z nas obiecała pomóc Pauline – i to wszystko w ciągu zaledwie dwudziestu minut.

Potem ktoś zapukał do kuchennych drzwi.

Wóz był już załadowany.

Wróciłyśmy do naszych obowiązków, a wśród nas podniesiona na duchu Pauline. Jeśli wcześniej czułam się jak mgła, to teraz byłam niczym planeta, wysoko w niebiosach. Problem podzielony z innymi o wiele łatwiej znieść. Gdy zobaczyłam, że Pauline jest lżej na duszy, sama również poczułam ogromną radość.

Berdi i Pauline zostały, żeby załadować resztę koszyków, a ja i Gwyneth wzięłyśmy się za zamiatanie podłogi i ścieranie blatów. Wiedziałyśmy, że lepiej teraz przepędzić szarych futrzastych gości, niż patrzeć, jak potem Berdi gania ich z miotłą. Błyskawicznie się z tym uwinęłyśmy i już miałyśmy wychodzić z kuchni, gdy Gwyneth mnie powstrzymała:

– Możemy porozmawiać? – Jej ton się zmienił. Jeszcze kilka chwil wcześniej był ciepły i łagodny, teraz stał się ostry.

Zamknęłam drzwi i nadal stojąc do niej plecami, przygotowywałam się do rozmowy.

– Usłyszałam pewne informacje – zaczęła.

Odwróciłam się i uśmiechnęłam. Poważny wyraz jej twarzy nie przeraził mnie.

– Gwyneth, codziennie słyszymy jakieś informacje. Musisz powiedzieć mi coś więcej.

Złożyła ręcznik i ułożyła go równo na blacie. Zaczęła wygładzać materię, unikając kontaktu wzrokowego ze mną.

– Chodzą plotki... No dobrze, wszyscy są niemal pewni... że Venda wysłała zabójcę, by cię odnalazł.

– By mnie odnalazł?

Spojrzała na mnie.

– I zabił.

Spróbowałam się roześmiać, ale udało mi się tylko skrzywić.

– Dlaczego Venda miałaby zadać sobie aż taki trud? Przecież nie jestem dowódcą żadnej armii. Poza tym wszyscy wiedzą, że nie mam daru.

Przygryzła wargę.

– Nie wszyscy. Tak naprawdę coraz częściej plotkuje się na temat twojego daru i tego, że to dzięki niemu udało ci się zmylić najlepszych ludzi króla.

Zaczęłam krążyć po kuchni, wpatrując się w sufit. Jak ja nienawidziłam plotek! Zatrzymałam się i utkwiłam wzrok w Gwyneth.

– Zmyliłam ich z czyjaś pomocą. Poza tym prawda jest taka, że król bardzo słabo się wysilił, by mnie znaleźć. – Wzruszyłam ramionami. – Ale ludzie zawsze wierzą w to, w co chcą wierzyć.

– Owszem. A teraz przywódcy Vendy wierzą, że stanowisz dla nich zagrożenie. Tylko to się liczy. Nie chcą drugiej szansy na sojusz. Venda wie, że Dalbreck nie ufa Morrighan. Nigdy wam nie ufali. Małżeństwo z Pierwszą Córką króla było kluczowe dla sojuszu między królestwami. To był najważniejszy krok w stronę zaufania. A teraz to zaufanie jest zniszczone. Venda chce, żeby już tak zostało.

Próbowałam nie być podejrzliwa, gdy jednak zaczęła ujawniać kolejne szczegóły, zrobiłam się bardziej ostrożna.

– Gwyneth, a skąd ty to wszystko wiesz? Zwykli goście gospody z całą pewnością nie zdradzają takich rewelacji.

– Nieważne, skąd o tym wiem.

– Dla mnie ważne.

Zaczęła wpatrywać się w swoje dłonie, nadal leżące na ręczniku, wygładziła jakąś nieistniejącą zmarszczkę, a potem znów spojrzała mi w oczy.

– Powiedzmy, że moje sposoby na pozyskiwanie informacji wynikają z popełnionych niegdyś błędów. Od czasu do czasu potrafię je wykorzystać.

Wpatrywałam się w nią ze zdziwieniem. Gdy wydawało mi się, że już rozgryzłam Gwyneth, ona ukazała mi swoją drugą twarz. Pokręciłam głową, próbując zebrać myśli.

– Berdi nie powiedziała ci o mnie tylko dlatego, że mieszkasz w miasteczku, prawda?

– Nie. Ale przysięgam, że to nie ma z tobą nic wspólnego.

– Owszem, ma. – Skrzyżowałam ręce na piersi.

Odwróciła wzrok, wyraźnie zdenerwowana; w jej oczach błysnął gniew. Po chwili ponownie na mnie spojrzała. Wypuściła powoli powietrze i też pokręciła głową. Wyglądała tak, jakby na moich oczach rozprawiała się ze swoimi błędami.

– Lio, wszędzie są szpiedzy – wymamrotała w końcu. – W każdym mieście

i w każdej wsi. To może być rzeźnik, to może być sprzedawca ryb. Ręka rękę myje. Byłam jedną z nich.

– Jesteś szpiegiem?

– Byłam. Każdy z nas robi wszystko, byle tylko przeżyć. – Zaczęła mówić poważnym tonem. – Nie jestem już częścią tego świata. Od wielu lat, od dnia, w którym zaczęłam pracować dla Berdi. Terravin to ośpałe miasteczko, nikogo nie obchodzi, co się tu dzieje, ale nadal dochodzą mnie różne wieści. Nadal mam znajomych, którzy od czasu do czasu tędy przejeżdżają.

– Masz znajomości.

– Racja. Nazywają się Oczy Królestwa.

– I to wszystko prowadzi do Civica?

– A dokąd miałyby prowadzić?

Kiwnęłam głową i nabrałam powietrza. Oczy Królestwa? Nagle zaczęłam mniej się martwić dzikim barbarzyńskim zabójcą niż Gwyneth, która zdawała się wieść podwójne życie.

– Jestem po twojej stronie, Lio – zapewniła, jakby czytała w moich myślach. – Pamiętaj o tym. Mówię ci to tylko po to, żebyś była ostrożna. I żebyś wiedziała, co na ciebie czyha.

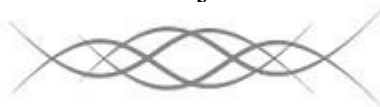
Czy naprawdę stała po mojej stronie? Kiedyś była szpiegiem. Ale przecież nie musiała mi o tym mówić. Poza tym była dla mnie miła od samego początku. Z drugiej strony nie raz sugerowała mi, że powinnam wrócić do Civica i do nałożonych na mnie obowiązków. Obowiązek. Tradycja. Jej zdaniem nie należałam do tego miejsca. Czyżby teraz próbowała mnie odstraszyć?

– Gwyneth, to tylko plotki, rozprowadane w gospodach, takich jak nasza, żeby ludzie mieli jakąś rozrywkę.

Uśmiechnęła się lekko.

– Pewnie masz rację. Pomyślałam jednak, że powinnaś o tym wiedzieć.

– Teraz już wiem. Chodźmy.



Berdi pojechała na wozie razem z Rafem i Kadenem, żeby rozstawić stoły. Tymczasem Gwyneth, Pauline i ja poszłyśmy do miasteczka leniwym krokiem, rozkoszując się odświętnym wystrojem Terravinu. Elewacje domów i sklepów, i tak już piękne i kolorowe, były udekorowane barwnymi girlandami i wstążkami.

Rozmowa z Gwyneth wcale mnie nie przygnębiła. Przeciwnie – w dziwny sposób podniosła mnie na duchu. Dotrzymam swojego postanowienia. Nigdy tam nie wrócę. Należę do tego miejsca. Miałam teraz mnóstwo powodów, by tu zostać.

Dotarliśmy na plac, wypełniony mieszkańcami i sprzedawcami, rozstawiającymi stoły ze swoimi wyrobami. To był dzień dzielenia się. Nikt nie

będzie niczym handlować. Powietrze wypełniał zapach dziczyzny pieczonej w jamie w pobliżu placu, tuż obok na rusztach leżały czerwone papryki i pyszne minogi. Dostrzegłyśmy Berdi, rozstawiającą swoje stoły w odległej części placu, wyciągającą kolorowe obrusy. Rafe przyniósł jedną ze skrzyń z wozu i postawił ją obok Berdi, a Kaden doniósł dwa kosze.

– Dobrze się wczoraj bawiłyście? – spytała Gwyneth.

– Owszem, nawet bardzo – odpowiedziała Pauline, a ja tylko uśmiechnęłam się szelmowsko.

Gdy dołączyłam do Berdi, Pauline była już przy stole z ciepłymi ciastami, a Gwyneth poszła do Simone, która siedziała na miniaturowym kucyku i wołała ją.

– Nie potrzebuję was tutaj – powiedziała Berdi, gdy tylko mnie dostrzegła. – Idźcie się zabawić. Ja posiedzę w cieniu i wszystkim się zajmę. Będę obsługiwać stoły.

Dostrzegłam Rafe’a, który wracał od wozu z kolejną skrzynią. Próbowałam nie gapić się na niego, ale nie potrafiłam oderwać wzroku od opalonych, umięśnionych przedramion, które odsłonił, podwijając rękawy. Wyobrażałam go sobie przy pracy na farmie, kopiającego grządki, orzącego pola, zbierającego... co? Jęczmień? Melony? Do tej pory miałam do czynienia wyłącznie z małym ogrodem w cytadeli i z rozległymi winnicami Morrighan. Moi bracia i ja przychodziliśmy tam zawsze na początku jesieni, jeszcze przed żniwami. Winnice były wspaniałe, powstawały tam najlepsze win roczniki na całym kontynencie. Królestwa Mniejsze płaciły olbrzymie pieniądze za jeden antałek. Jednakże podczas tylu wizyt w winnicach nigdy nie widziałam tak umięśnionej ręki jak ręka Rafe’a. Gdybym widziała, z pewnością bardziej zainteresowałabym się winnicami.

Staął obok Berdi i odstawił skrzynię.

– Jeszcze raz: dzień dobry – rzekł nieco zduszonym głosem.

Uśmiechnęłam się.

– Dzisiaj już chyba się napracowałeś.

Otakował mnie wzrokiem, od wianka na głowie, który mi podarował, po nową zwiewną sukienkę.

– Ty... – Spojrzał na Berdi i odchrząknął. – Dobrze spałaś?

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się szeroko.

– Co znowu? – spytał.

Kaden stanął za nim i potrącił go, gdy stawiał krzesło dla Berdi.

– Zapasy na pniu, tak? Lia mówiła, że wszyscy na to czekają. – Ustawił krzesło i wyprostował się, wyciągając ręce nad głowę, tak jakby poranne dźwiganie ciężarów było dla niego tylko rozgrzewką. Poklepał Rafe’a po ramieniu.

– Chyba że nie chcesz. Lio, mogę cię odprowadzić?

Berdi przewróciła oczami, a ja zaczęłam się niespokojnie wiercić. Czyżbym flirtując wczoraj z Kadenem, wpackowała się w tarapaty? Pewnie on też słyszał, jak

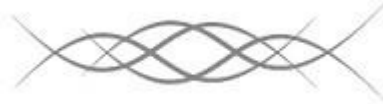
krzycząc na Rafe'a.

– Chodźmy wszyscy razem – odparłam.

Rafe się skrzywił, ale gdy się odezwał, jego głos był radosny:

– Mam ochotę na zabawę, a Kadenowi przyda się podtopienie w wodzie.

Chodźmy.



Tak naprawdę to nie było żadne podtopienie.

Gdy już precyzyjnie się przed tłum, zobaczyliśmy powieszony na linach pień. Nie wisiał on jednak nad wodą, tak jak się spodziewaliśmy, ale nad wielką, głęboką kałużą czarnego błota.

– Nadal tego chcesz? – spytał Kaden.

– To nie ja w to wpadnę – odparł Rafe.

Patrzyliśmy, jak dwaj mężczyźni siłują się na pniu, a tłum ochoczo dopinguje, reagując na każde popchnięcie i uderzenie. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy obaj się zachwiali, wyciągnęli ręce na boki, by złapać równowagę, rzucili się na siebie, a potem wpadli twarzami w błoto. Gdy wstali, wyglądali, jakby wykąпали się w czekoladzie. Ludzie zaczęli się śmiać i krzyczeć z radości, gdy zawodnicy próbowali się wygramolić z mazi, wycierając się i plując błotem. Wezwano kolejnych graczy – jednym z nich okazał się Rafe.

Zaskoczony, uniósł brwi. Najwyraźniej wzywano zawodników w losowej kolejności. Spodziewaliśmy się, że on i Kaden będą walczyć razem. Rafe zdjął koszulę i podał mi ją. Zamrugalam, próbując się nie wpatrywać w jego nagą pierś.

– Boisz się, że spadniesz? – spytał Kaden.

– Po prostu nie chcę, żeby przeciwnik ochlapał ją błotem, gdy do niego wpadnie.

Tłum zaczął wiwatować, gdy Rafe i jego konkurent, wysoki, umięśniony mężczyzna, weszli po drabinach na pień. Mistrz ceremonii wyjaśnił zasady – żadnych ciosów z pięści, gryzienia, deptania stóp. Reszta chwytów była dozwolona. Zadał w róg i rozpoczęła się walka.

Z początku poruszali się powoli, oceniając się wzrokiem. Przygryzłam wargę. Rafe wcale nie chciał tego robić. Był przyjezdnym farmerem, a nie zapaśnikiem; to Kaden sprowokował go do wzięcia udziału w tym konkursie. Przeciwnik wykonał ruch, skoczył w stronę Rafe'a, ten jednak sprytnie go zablokował, złapał za prawe przedramię i wykręcił, tak że mężczyzna stracił równowagę. Zachwiał się – tłum zaczął krzyczeć, myśląc, że to już koniec pojedynku, ale przeciwnikowi udało się uwolnić, zatoczył się do tyłu i odzyskał równowagę. Rafe nie dał mu jednak zbyt dużo czasu, pochylił się nisko i uderzył go w tył kolana.

Mężczyzna zamachał ramionami niczym pelikan, próbujący wzbić się w powietrze. Gdy spadał, Rafe przyglądał mu się, opierając ręce na biodrach. Błoto się rozbryzgało, zachlapując dolną część spodni Rafe'a. Uśmiechnął się i uklonił nisko przed gawiedzią, która zaczęła wyc z uwielbieniem.

Potem odwrócił się i kiwnął do mnie głową. Ze złośliwym uśmiechem uniósł ręce w stronę Kadena i wzruszył ramionami, jakby zrzucenie mężczyzny z pnia było dla niego codziennym zadaniem. Ludzie wiwatowali. Rafe zaczął schodzić po drabinie, ale mistrz ceremonii powstrzymał go i wezwał kolejnego przeciwnika. Najwyraźniej uwielbienie tłumu sprawiło, że Rafe mógł stoczyć kolejną walkę na pniu. Ponownie wzruszył ramionami i poczekał na nowego konkurenta.

Gdy ten się pokazał, zapadła cisza. Rozpoznałam go. Był synem podkuwacza koni, miał może z szesnaście lat, ale był tęgi, z pewnością sporo cięższy niż Rafe. Czy drabina wytrzyma jego ciężar?

Pewnego dnia on i jego ojciec przyszli zmienić podkowę u jednego z naszych osłów – pamiętałam, że zwykle był małowówny, ale skupiał się na wykonywaniu swoich zadań.

Teraz, kiedy piął się na pień, też wyglądał na skupionego. Na twarzy Rafe'a pojawiło się zmieszanie. Przeciwnik, o dwie głowy niższy, podszedł do niego. Stawiał kroki powoli i ostrożnie, ale jego równowaga była niezachwiana.

Rafe popchnął ramiona chłopaka, myśląc pewnie, że to będzie koniec walki, ale ten nawet nie drgnął. Zdawało się, że on i drzewo to jedność, że wyrasta z tego pnia. Rafe złapał go za ręce, chłopak zaczął się z nim siłować, ale jego środek ciężkości znajdował się tak nisko, że nie zachwiał się ani w jedną, ani w drugą stronę. Rafe podszedł bliżej, znów go pchnął, spróbował go odwrócić, ale trudno obrócić kawał drewna. Widziałam pot połyskujący na jego piersi. Wreszcie odpuścił, cofnął się, pokręcił głową, jakby się poddał, a potem nagle rzucił się, złapał chłopaka za ręce i pociągnął do przodu. Przeciwnik wreszcie się poruszył, ale to Rafe się przewrócił. W ostatniej chwili złapał się pnia, żeby nie spaść. Chłopak też padł do przodu, na duży brzuch, jego ręce próbowały znaleźć jakieś oparcie. Ześlizgnął się na bok. Wtedy Rafe skoczył na nogi i przechylił się do konkurenta, który cały czas desperacko starał się czegoś złapać.

– Bezpiecznej podróży, przyjacielu. – Rafe uśmiechnął się i delikatnie szturchnął ramię przeciwnika.

I to wszystko. Chłopak stracił oparcie i runął w błoto niczym kamień. Tym razem opryskana została nawet naga pierś Rafe'a. Starł jednak krople błota razem z potem i ponownie się uśmiechnął. Tłum oszalał, kilka dziewcząt stojących obok mnie zaczęło do siebie szeptać. Pomyślałam, że Rafe powinien już się ubrać.

– Kaden! – zawołał mistrz ceremonii.

Rafe walczył dostatecznie długo, wiedziałam jednak, że teraz się nie wycofa. Kaden uśmiechnął się i wszedł po drabinie, cały czas w swojej śnieżnobiałej

koszuli.

Gdy tylko stanął na pniu, wszyscy zrozumieli, że ta walka będzie inna od pozostałych. Napięcie między mężczyznami wzbudziło zainteresowanie tłumu i uciszyło go.

Powoli zaczęli się do siebie zbliżać; obaj starali się utrzymać równowagę, trzymali ręce przy ciele. A potem Kaden błyskawicznie podszedł bliżej i wykonał nogą cios w powietrzu. Rafe skoczył nad nogą przeciwnika i z gracją wylądował z powrotem na pniu. Rzucił się do przodu, złapał Kadena za ramiona, obaj się zachwiali. Nie mogłam patrzeć, jak walczą, by odzyskać równowagę. W końcu, wykorzystując przeciwwagę przeciwnika, zmienili kierunek i wylądowali po przeciwnych stronach pnia. Ciszę przerwały głośnie wiwaty.

Oni jednak nie zważali na gwar. Rafe ponownie rzucił się do przodu, ale Kaden zręcznie odparował kilka ciosów, tak że Rafe stracił impet i zatoczył się. Kaden wykorzystał sytuację i wparował na niego. Rafe zatoczył się do tyłu, próbując znaleźć oparcie stopami, i walka rozgorzała na nowo. Każdy z nich próbował utrzymać równowagę i sprawić, by ten drugi ją stracił. Nie wiedziałam, czy dam radę obejrzeć ten spektakl do końca. Gdy tak się siłowali, a ich twarze znajdowały się zaledwie centymetry od siebie, zobaczyłam, że ich usta się poruszają. Nie słyszałam, co mówili, ale Rafe patrzył groźnie, a Kaden się skrzywił.

Wraz z kolejnym przyływem energii i rykiem, przypominającym okrzyk wojenny, Kaden ruszył przed siebie i szarpnął Rafe'a na bok. Rafe spadł, ale w ostatniej chwili udało mu się złapać pnia. Wisiał niepewnie, trzymając się rękami. Teraz wystarczyło, by Kaden odzepił jego palce. Zamiast tego jednak stanął nad nim i zapytał:

- Poddajesz się, przyjacielu?
- Prędzej piekło mnie pochłonie – odparł ostro Rafe, chociaż przy takim wysiłku trudno było zrozumieć jego słowa.

Kaden spojrzał na mnie. Nie wiem, co dostrzegł na mojej twarzy, po chwili jednak popatrzył na Rafe'a przez kilka długich sekund, a następnie się cofnął, zostawiając przeciwnikowi dużo miejsca.

- Właż na górę. Zakończymy to we właściwy sposób. Chcę zobaczyć błoto na twojej twarzy, a nie tylko na spodniach.

Nawet z miejsca, w którym stałam, widziałam pot lejący się po twarzy Rafe'a. Dlaczego po prostu nie zeskoczył? Gdyby odpowiednio wylądował, ubrudziłby się tylko po kolana. Patrzyłam, jak nabiera powietrza i podciąga nogi, zahaczając stopami o pień. Wdrapał się na górę. Kaden cały czas stał z tyłu, dając mu czas na odzyskanie równowagi.

Jak długo jeszcze to będzie trwać? Tłum wiwatował, krzyczał, radował się i bogowie wiedzą, co jeszcze – ale ja słyszałam tylko ryk w oddali. Skóra

Rafe'a błyszczała. Walczył w ostrym słońcu już z trzecim przeciwnikiem. Wierzchem dłoni otarł górną wargę i ponownie na siebie ruszyli. Raz przewagę miał Kaden, raz Rafe. Gdy już wyglądało na to, że się o siebie opierają i próbują złapać oddech, Kaden znów spytał:

– Poddajesz się?

– Prędeż piekło mnie pochłonie! – padła ta sama odpowiedź.

Rozdzielili się, jednak gdy Rafe na chwilę spojrział w moim kierunku, Kaden zaatakował. Ostatni cios nogą i Rafe wyleciał w powietrze. Kaden wylądował na brzuchu i złapał się pnia, a Rafe próbował wygramolić się z błota pod nim. Otarł twarz i spojrział w górę.

– Poddajesz się?

Zasalutował, oddając z wdziękiem cześć Kadenowi, a potem się uśmiechnął.

– Prędeż piekło mnie pochłonie.

Tłum ryknął śmiechem, a ja odetchnęłam z ulgą. Wreszcie koniec. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Zaczęłam przeciskać się przez tłum, by dojść do zawodników. Chociaż to Kaden oficjalnie wygrał walkę, Rafe z satysfakcją wskazywał plamy błota na jego koszuli.

– Chyba mimo wszystko powinieneś ją zdjąć – zauważył.

– Owszem – przyznał Kaden. – Ale nie spodziewałem się po tobie tak spektakularnego upadku.

Obaj poszli do zajazdu, żeby się umyć i przebrać. Obiecali, że szybko wrócą. Patrzyłam za nimi z nadzieją, że to już koniec tej nieczystej gry.



Rozdział 34

Szłam sama główną ulicą. Przyglądając się zabawom i atrakcjom, porównywałam je z tymi w Civica. Niektóre były charakterystyczne tylko dla Terravinu, na przykład łapanie ryb gołymi rękami w fontannie na placu, ale wszystkie rozrywki miały korzenie w historii przetrwania Ocalałych. Choć Morrighan zaprowadziła ich wreszcie do nowej, dostatniej ziemi, wyprawa nie należała do najłatwiejszych. Wiele osób zmarło, przetrwać udało się tylko najsilniejszym. Wszystkie festiwalowe gry wywodziły się właśnie z tej historii.

Dotarłam do wielkiego, odgrodzonego liną pola z różnymi przeszkodami. W większości były to drewniane beczki, ale stało tam też kilka wozów. Ta sceneria upamiętniała czas, kiedy Morrighan prowadziła Ocalałych przez ciemny, ślepy zaułek. Ludzie musieli uwierzyć w jej dar. Zawodnikom zawiązywano oczy i kilkakrotnie ich obracano, a następnie musieli przejść z jednego krańca pola na drugi. W Civica był to jeden z moich ulubionych konkursów. Ku zachwytowi wszystkich obserwatorów – może poza moją matką – zawsze pokonywałam braci. Gdy ktoś wszedł mi w drogę, dostawał cios w klatkę piersiową.

– Proszę, proszę! Czyżby to była ta harda i pyskata dziewczucha z gospody?

Cofnęłam się kilka kroków, przystanęłam i spojrzałam w górę. Przede mną stał ten sam żołnierz, któremu kilka tygodni temu udzieliłam ostrej reprymendy. Najwyraźniej nadal bardzo to przeżywał. Zbliżył się do mnie dumnym krokiem, przygotowany na wymierzenie mi surowej kary. Ponownie poczułam obrzydzenie. Przecież to był żołnierz w armii mojego ojca. Po raz pierwszy od ucieczki z Civica miałam ochotę wyjawic, kim jestem. Powiedziec to głośno i wyraźnie, patrząc, jak mężczyzna blednie. Wykorzystać swoją pozycję, żeby raz na zawsze go ustawić – niestety nie zajmowałam już tej pozycji. Nie miałam też zamiaru poświęcać dla niego mojego nowego życia.

Podszedł bliżej.

– Jeśli próbujesz mnie zastraszyć – rzekłam, nie ruszając się z miejsca – to ostrzegam cię, że nie boję się takich robaków.

– Ty mała wredna...

Zamachnął się na mnie, ale byłam szybsza. Zamarł, wpatrując się w nóż, którego błyskawicznie dobyłam.

– Jeśli będziesz na tyle głupi, by dotknąć mnie jednym ze swoich obleśnych

paluchów, oboje tego pożałujemy. Popsuję wszystkim radość ze świętowania, ponieważ za chwilę odetnę to, do czego mam najbliżej, nawet jeśli jest bardzo małe. – Spojrzałam w jego krocze, a potem obróciłam nóż w dłoni. – Nasze spotkanie mogłoby zakończyć się naprawdę nieprzyjemnie. – Wściekł się. To tylko dodało mi odwagi. – Ale nie martw się – podciągnęłam sukienkę i schowałam nóż do pochwy, którą nosiłam na biodrze – jestem przekonana, że nasze drogi jeszcze kiedyś się skrzyżują. A wtedy porachuję się z tobą raz na zawsze. Bądź ostrożny, bo to ja zaskoczę ciebie.

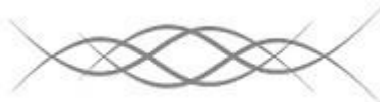
Powiedziałam to pod wpływem impulsu i wściekłości, poza tym czułam się pewnie, bo wokół nas było mnóstwo ludzi. Mimo wszystko przeczuwałam, że te słowa były odpowiednie, tak samo jak kopniak, którego ten człowiek powinien dostać w część poniżej pleców.

Co dziwne, jego wściekłość nagle zniknęła. Uśmiechnął się.

– W takim razie do zobaczenia. – Kiwnął głową i przeszedł obok mnie.

Patrzyłam za nim, cały czas dotykając sztyletu przez materiał. Nosiłam nóż przymocowany tak, że mogłam go dosięgnąć, nawet jeśli ktoś przycisnąłby moje ręce do boków. Poza tym na biodrze był o wiele łatwiej dostępny, zwłaszcza pod letnią sukienką. Żołnierz wmieszał się w tłum. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że wkrótce zostanie wezwany z powrotem do oddziału, a jeśli bogowie będą sprawiedliwi – jakiś koń kopnie go prosto w łeb. Nie znałam jego imienia, ale postanowiłam, że porozmawiam o nim z Waltherem. Może on będzie mógł poradzić coś na wężę w swoich szeregach.

Jego złośliwy uśmiech mnie pobudził. Czasami trzeba było wypowiedzieć pewne słowa. Uśmiechnęłam się, dumna ze swej odwagi, i poszłam spróbować szczęścia na torze przeszkód.



Dzwon Sacristy wybrzmiał raz, oznajmiając połowę godziny. Niedługo wrócą Rafe i Kaden, ale ja musiałam zrobić dziś jeszcze jedną rzecz – lepszej okazji może już nie być.

Weszłam na schody świątyni. Wokół kamiennych kolumn ganiały się dzieci, matki szukały cienia przy portyku. Po wczorajszych długich modlitwach w świątyni było mało osób. Tak jak się spodziewałam. Usiadłam na ławce z tyłu i poczekałam, aż moje oczy przyzwyczają się do półmroku. W rzędzie z przodu siedział starszy mężczyzna. Na środku – ramię w ramię – dwie starsze kobiety, chórzysta klęczał w prezbiterium i śpiewał łaski bogów. I to wszystko. Wyglądało na to, że nawet kapłani są na zewnątrz i biorą udział w uroczystościach.

Wykonałam niezbędny znak wspomnienia, cicho przeszłam na tył i weszłam po zalanych mrokiem schodach. We wszystkich Sacristach znajdowały się archiwa

z tekstami Morrighan i innych królestw. Kapłani byli zarówno mędrkami, jak i sługami bogów. Ale zgodnie z prawem zagraniczne teksty nie były udostępniane zwykłym mieszkańcom, chyba że zostały one najpierw zaaprobowane przez Mędrków Civica, którzy sprawdzali ich autentyczność i oceniali wartość. Władzę nad nimi wszystkimi sprawował Królewski Mędrzec.

Schody były wąskie i strome. Wchodziłam po nich powoli, przytrzymując się kamiennej ściany. Wyteżałam słuch. Ostrożnie wyszłam na długi korytarz. Wszechobecna cisza zapewniała mnie, że Sacrista jest niemal pusta. Zobaczyłam kilka wejść przesłoniętych kotarami, jednak po odsłonięciu ciężkiego materiału okazywało się, że komnaty są puste. Dopiero na samym końcu znalazłam szerokie podwójne drzwi.

To tutaj. Otworzyłam je i weszłam do środka.

Pomieszczenie było wielkie i zagracone. Kolekcja nie była tak imponująca, jak w archiwum Mędrca w Civica, ale na tyle duża, że poszukiwanie odpowiednich ksiąg zajęłoby mi kilka godzin. Na podłodze nie leżały dywany, na ścianach nie powieszono aksamitów, czyli sala nie została wygłuszona – musiałam powoli przesuwać stołki, by nie skrzypiały po podłodze. Przejrzałam już niemal wszystko, ale nie znalazłam nic, co mogłoby mi się przydać, aż w końcu z górnej półki zdjęłam cienki tom. Książka nie była większa niż ludzka dłoń. *Wyrażenia Vendy i ich zastosowanie*. Może to był przewodnik kapłana po rzucaniu błogosławieństw śmierci barbarzyńcom?

Przesunęłam pozostałe książki, by zasłonić niewielką przerwę, która powstała po wyciągnięciu tego tomu, i zaczęłam go przeglądać. Może byłby pomocny przy odcyfrowywaniu ukradzonej Mędrkowi książki z Vendy, ale będę musiała przejrzeć jego zawartość gdzie indziej. Podciągnęłam sukienkę i wsunęłam książkę w bieliznę – niezbyt wygodne miejsce, ale tylko tak mogłam wynieść zdobycz z Sacristy. Następnie opuściłam i wygładziłam sukienkę.

– Arabello, przecież bym ci ją dał. Nie musiałaś jej kraść.

Zamarłam. Wciąż stojąc na stołku, plecami do niespodziewanego towarzysza, zaczęłam się zastanawiać nad następnym ruchem. Odwróciłam się powoli. W drzwiach stał kapłan, który obserwował mnie poprzedniego dnia.

– Chyba straciłam wprawę – rzekłam. – Kiedyś bez problemu zakradałam się do różnych komnat, brałam, co chciałam, a potem niepostrzeżenie się wymykałam.

Pokiwał głową.

– No cóż, gdy nie korzystamy z naszych darów, zostają nam one odebrane.

Słowo „dary” bardzo mnie uderzyło, bez wątplenia taki właśnie był zamiar kapłana. Uniosłam brodę.

– Niektórych darów nie można mi odebrać, bo ich nie mam.

– W takim razie powinnaś korzystać z tych, które masz.

– Znacie mnie?

Uśmiechnął się.

– Nigdy o tobie nie zapomniałem. W młodości byłem jednym z dwunastu kapłanów, którzy przeprowadzali twoje sakramenty poświęcenia. Darłaś się jak zarzynana świnia.

– Być może już jako niemowlę wiedziałam, dokąd mnie zaprowadzi owo poświęcenie.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Z pewnością wiedziałas.

Spojrzałam na niego. Miał czarne, posiwiałe na skroniach włosy, ale zgodnie ze starożytnymi standardami kapłaństwa nadal był młody, pełen życia i zaangażowany. Nosił czarną szatę liturgiczną i długą białą pelerynę, ale w ogóle nie wyglądał na kapłana. Nakazał mi zejść ze stołka i wskazał dwa krzesła, stojące pod witrażowym oknem. Usiedliśmy, przez kolorowe szybki wpadało niebiesko-różowe światło.

– Który tom zabrałaś? – spytał.

– Zamknijcie oczy – powiedziałam, a gdy spełnił moją prośbę, podciągnęłam sukienkę, żeby wyjąć łup. – Ten.

Spojrzał.

– Język Vendy?

– Jestem go ciekawa. Znacie go?

Pokręcił głową.

– Tylko kilka słów. Jeszcze nigdy nie spotkałem żadnego barbarzyńcy, czasem jednak żołnierze mówią nam zapamiętane przez siebie wyrażenia. Takie, których nie należy powtarzać w Sacrista. – Wyjął książkę z moich rąk i zaczął ją przeglądać. – Hmm, tej jeszcze nie widziałem. Wygląda na to, że znajdują się tu tylko podstawowe wyrażenia – nie jest to elementarz do nauki języka.

– A czy którykolwiek z tutejszych kapłanów zna ten język?

Pokręcił głową. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Język barbarzyńców był dla Morrighan tak odległy i obcy jak księżyc, tyle że darzyli go mniejszym szacunkiem. Rzadko pojmowano jakiegoś barbarzyńcę, a gdy już się to udało, ten z reguły się nie odzywał. Pewnego razu oddział Regana eskortował więźnia do bastionu i Regan opowiadał, że przez całą drogę mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Podczas próby ucieczki został zabity i dopiero chwilę przed śmiercią zaczął coś mamrotać. Regan zapamiętał te słowa, choć nie miał pojęcia, co oznaczają: *Kevgor ena te deos paviam*. Po tak długim milczeniu jeniec powtarzał je aż do wydania ostatniego tchnienia. Regana poraziło cierpienie, które nimi wyraził.

Kapłan oddał mi książkę.

– Dlaczego chcesz poznać język odległej krainy?

Spojrzałam na tom i pogłodziłam palcami zabrudzoną skórzaną okładkę. *Chcę tego, co ukradłaś.*

– Powiedzmy, że mam różnorodne zainteresowania.

– Słyszałaś o jakichś problemach?
– Ja? Nie. Z rozmów z Pauline z pewnością wiecie, że jestem teraz uciekinierką. Nie mam już żadnych powiązań z koroną.

– Istnieje wiele rodzajów wiedzy.

Znowu to. Pokręciłam głową.

– Ja nie...

– Arabello, zaufaj swoim darom, niezależnie od tego, jakie są. Czasami dar wymaga ogromnego poświęcenia, nie możemy jednak odwrócić się od niego, tak samo jak nie możemy zaprzagnąć przestać oddychać.

Zamarłam. Nie pozwolę na żadne naciski.

Oparł się na krzesło i swobodnie założył nogę na nogę. Kapłan nie powinien siadać w takiej pozycji.

– Wiedziałaś, że Straż maszeruje górną trasą? – spytał. – Dwa tysiące oddziałów zbliżają się do południowej granicy.

– Dzisiaj? W trakcie święta?

Pokiwał głową.

– Dzisiaj.

Odwróciłam wzrok i zaczęłam gładzić palcem wzory na boku krzesła. To z całą pewnością nie była zwykła wymiana oddziałów. Nie rozmieszczano ich tyłu bez przyczyny, zwłaszcza w czasie świętych dni. Przypomniałam sobie słowa Walthera: „Rabusie zrobili ogromne zamieszanie. Ale nie pozwolimy im wtargnąć. Jak zawsze”.

Walther był o tym przekonany. Rozmieszczanie wojska to pewnie krok zapobiegawczy. Bardziej demonstracja siły, walenie się w pierś, jakby to określił Walther. Liczby i czas takich manewrów były niespotykane, ale ponieważ ojciec próbował zachować twarz przed Dalbreck, pewnie chciał pokazać wszystkim swoją potęgę. Bo dwa tysiące oddziałów to prawdziwa potęga.

Wstałam.

– Czyli mogę wziąć tę książkę?

Uśmiechnął się.

– Tak.

To wszystko? Zwykle „tak”? Był zbyt chętny do współpracy. Za łatwo mi to poszło. Uniosłam brew.

– To na czym stoimy?

Zaśmiał się krótko. Wstał i stanęliśmy oko w oko.

– Jeśli pytasz o to, czy zgłoszę twoje wtargnięcie, to odpowiedź brzmi: nie.

– Dlaczego? Przecież można by to uznać za zdradę.

– To, co powiedziała mi Pauline, jest świętą tajemnicą, a ty nie przyznałaś się do niczego oprócz tego, że przyszłaś tu pożyczyć książkę. Ja natomiast nie widziałem księżniczki Arabelli od czasu, gdy była płaczącym niemowlęciem.

Powiedziano mi, że bardzo się zmieniłaś... No, może nadal jesteś tak samo płaczliwa. Nikt nigdy by się nie spodziewał, że cię rozpoznam.

Uśmiechnęłam się, próbując go rozgryźć.

– Dlaczego to robicie? – spytałam w końcu.

Odwzajemnił uśmiech i uniósł jedną brew.

– Siedemnaście lat temu trzymałem w ramionach zanoszące się płaczem niemowlę. Podniosłem dziewczynkę ku bogom, modląc się o ochronę dla niej i obiecując, że będę jej strzegł. Nie jestem głupcem. Dotrzymuję obietnic złożonych bogom, nie ludziom.

Patrzyłam na niego niepewnie, przygryzając dolną wargę. Czyżby stał przede mną prawdziwy człowiek bogów?

Objął moje ramię i zaprowadził mnie do drzwi, zaznaczając, że jeśli będę chciała przeczytać jakąkolwiek inną książkę, wystarczy, że o nią poproszę. Gdy byłam w połowie korytarza, szepnął jeszcze:

– Na twoim miejscu nie rozmawiałbym o tym z innymi kapłanami. Nie wszyscy mogą zgadzać się co do tego, wobec kogo należy być lojalnym. Zrozumiałaś?

– Oczywiście.



Dzwon Sacristy wybrzmiał ponownie, tym razem na południową godzinę. Zaburczało mi w brzuchu. Stałam z boku świątyni, w cieniu mrocznego zakątka północnego portyku, i przeglądałam książkę.

Kencha tor ena shiamay? – Jak się nazywasz?

Bedage nict. – Wyjdź.

Sevende. – Pośpiesz się.

Adwa bas. – Usiądź.

Mi nay bogeve. – Nie ruszaj się.

Pomyślałam, że to książka z podstawowymi poleceniami dla więźniów, ale i tak nie miałam nic innego do czytania. Może uda mi się zrozumieć tekst ukradzonej książki z Vendy. Zamknęłam tom, schowałam go pod ubranie i zaczęłam rozglądać się ponad głowami uczestników festiwalu. Dostrzegłam miodowe włosy Pauline, połyskujące pod różowym wiankiem. Już miałam krzyknąć jej imię, gdy usłyszałam szept:

– Nareszcie.

Po mojej skórze rozszedł się ciepły dreszcz. Rafe przycisnął pierś do moich pleców. Jego palec przejechał wzdłuż mojego ramienia i po rękę.

– Myślałem, że już nigdy nie będziemy mieli chwili sam na sam.

Musnął ustami moją szczękę. Zamknęłam oczy, drżąc na całym ciele.

– Wcale nie jesteśmy sami – odrzekłam. – Nie widzisz tego tłumu?

Złapał mnie w pasie i zaczął głaskać kciukiem mój bok.

– Jedyne, co widzę, to to... – Pocałował mnie w ramię. Jego wargi wędrowały po mojej skórze, aż wreszcie dotarły do ucha. – I to... i to.

Odwróciłam się i nasze usta się spotkały. Pachniał mydłem i świeżą bawełną.

– Ktoś nas zobaczy... – szepnęłam bez tchu między kolejnymi pocałunkami.

– No i?

Nie chciałam się tym przejmować, ale odsunęłam się nieco. Przecież był środek dnia, a cień, w którym staliśmy, zapewniał bardzo mało prywatności.

Uśmiechnął się niechętnie.

– Jakoś nie wychodzą nam te spotkania. Udaje nam się spędzić ze sobą chwilę, ale i tak mamy za widownię całe miasteczko.

– Dzisiaj będzie tu mnóstwo jadła, tańców i cienia, w którym można się ukryć. Z pewnością nikt nie będzie nas szukać.

Spoważniał i mocniej złapał mnie w tali.

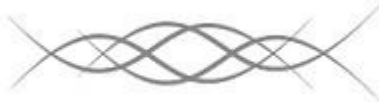
– Lio, ja...

Spojrzałam na niego, zaskoczona. Myślałam, że możliwość wymknięcia się w ustronne miejsce go ucieszy.

– O co chodzi?

Ponownie się uśmiechnął, a potem kiwnął głową.

– Dzisiaj.



Dołączyliśmy do Pauline, a po krótkim czasie odnalazł nas również Kaden. Nie było już pojedynków w błocie, ale ludzie nadal współzawodniczyli w łapaniu ryb czy rzucaniu toporkiem. Na widok każdej konkurencji Pauline przewracała oczami, jakby chciała powiedzieć: „Proszę, znów się zaczyna”. W odpowiedzi tylko wzruszałam ramionami. Byłam przyzwyczajona do tego, że moi bracia brali udział w różnych zawodach, zresztą sama się przy tym świetnie bawiłam, ale Rafe i Kaden wprowadzili to wszystko na nowy poziom. Wreszcie kontrolę nad sytuacją przejęły ich żołądki i obaj ruszyli na poszukiwanie wędzonej sarniny, której zapach unosił się w powietrzu. Mnie i Pauline wystarczały nasze słodkie bułki, spacerowałyśmy więc, zajadając je. Gdy doszliśmy do miejsca, w którym urządzano konkurs w rzucie nożem, oddałam Pauline moją bułkę z pomarańczami. Przyjęła ją z radością. Nareszcie wrócił jej apetyt.

– Chcę spróbować swoich sił w tej konkurencji – powiedziałam, ruszając w stronę bramy.

Nie musiałam czekać na swoją kolej, od razu stanęłam więc w szranki z trzema innymi uczestnikami. Byłam jedyną kobietą. Piętnaście stóp dalej

znajdowały się wielkie okrągłe pomalowane na kolorowo pniaki – czyli nieruchome cele, które tak lubiłam. Na stole przy każdym stanowisku leżało pięć noży. Oszacowałam wagę każdego z nich. Były cięższe niż mój nóż i z pewnością nie aż tak dobrze wyważone. Mistrz ceremonii wyjaśnił, że na jego komendę wszyscy mamy rzucać w tym samym czasie. Każdy miał wykonać pięć rzutów.

– Podnieście broń. Gotowi...

Obserwuje cię.

Słowa uderzyły mnie niczym strumień zimnej wody. Zaczęłam się przyglądać stojącym przy linii uczestnikom festiwalu. Ktoś mnie obserwował. Nie wiedziałam kto, ale z pewnością nie chodziło o otaczającą mnie setkę osób, tylko o jedną konkretną.

– Rzut!

Po chwili wahania rzuciłam. Mój nóż uderzył w drewno rękojeścią, odbił się i spadł na ziemię. Pozostałym uczestnikom udało się wbić ostrze w drewno – jeden trafił w korę, drugi w zewnętrzny biały krąg, trzeci w niebieski, nikt nie trafił w czerwony środek. Ledwo zdołaliśmy złapać kolejne noże, gdy mistrz ceremonii ponownie krzyknął:

– Rzut!

Mój nóż z głuchym odgłosem wbił się w zewnętrzny biały krąg. Lepiej, ale noże były tępe i kiepskiej jakości.

Obserwuje cię.

Słowa wpełzły na moją szyję.

– Rzut!

Mój nóż minął pień i wylądował w ziemi poniżej. Ogarniała mnie coraz większa frustracja. Ale to przecież nie była żadna wymówka. Walther wielokrotnie mi to powtarzał. Podczas treningu najważniejsze było niezważanie na rzeczy, które mnie rozpraszają. W prawdziwym świecie, gdy trzeba było użyć noża, czynniki rozpraszające nie czekały grzecznie, aż rzucisz, tylko próbowały cię rozbroić.

Obserwuje... obserwuje.

Złapałam mocno ostrze, usztywniłam ramię i przygotowałam się.

– Rzut!

Tym razem trafiłam w linię między białym i niebieskim kręgiem. Nabrałam powietrza. Został ostatni nóż. Ponownie rozejrzałam się po gapiach. *Obserwuje.* Wyczuwałam szyderstwo, drwiący wzrok, kpiący uśmiech, który pojawił się pod wpływem moich niezbyt imponujących umiejętności – ale nie widziałam twarzy.

No to sobie obserwuj, pomyślałam, czując narastającą wściekłość.

Uniosłam rąbek sukienki.

– Rzut!

Mój nóż przeciął powietrze tak szybko, że był niemal niewidoczny. Trafił prosto w czerwony środek. Na dwadzieścia rzutów wszystkich zawodników jako

jedyna trafiłam do celu. Mistrz ceremonii spojrział z zaskoczeniem na tarczę i zdyskwalifikował mnie. Ale było warto.

Przyjrzałam się ludziom stojącym przy linach. Nagle dostrzegłam, że jeden z nich się cofa i znika w tłumie. Czy to był bezimienny żołnierz? A może ktoś inny?

Udało mi się celnie rzucić, po prostu miałam szczęście. Ja o tym wiedziałam, ale ten, kto mnie obserwował – nie.

Podeszłam do tarczy, wyciągnęłam swój sztylet, wysadzany drogimi kamieniami, i schowałam go do pochwy na udzie. Będę ćwiczyć, tak jak obiecałam Waltherowi. Nie będę już się zdawać na łut szczęścia.



i w koronie i ci pokonani,

Język i miecz,

Razem zaatakują,

Niczym oślepiające gwiazdy,

rzucone z niebios.

– Pieśń Vendy



Rozdział 35

KADEN

Nie ufałem mu. Z całą pewnością był kimś więcej niż tylko farmerem, za którego się podawał. Miał zbyt dużą wprawę podczas poruszania się po tym pniu. Ale wprawę w czym? No i ta piekielna bestia, na której jeździł – to nie był zwykły potulny koń z gospodarstwa. Poza tym miał podejrzanie zwinne ciało, tak jakby już wcześniej walczył na pniu, ani razu się nie zawahał, jakby uczynił wieśniak, chyba że na swojej farmie zajmował się jakimiś mrocznymi sprawkami. Owszem, mógł być farmerem, ale był kimś jeszcze.

Namydliłem pierś. Jego zamiary wobec Lii były równie złe. Wczoraj wieczorem słyszałem przecież, jak wrzeszczała, żeby zostawił ją w spokoju. Ale wtedy nagle Berdi i pozostałe zaczęły śpiewać, więc nie wiem, co mówili dalej. Słyszałem jednak wyraźnie, że krzyczała, żeby odszedł. Powinienem być za nimi pójść, ale Pauline bardzo chciała, żebym został. To był pierwszy raz, gdy widziałem ją bez żałobnej szaty. Wyglądała na taką kruchą. Nie mogłem jej zostawić, poza tym ona z pewnością by mnie nie puściła.

Splukałem głowę w potoku. To była już moja druga kąpiel tego dnia, ale po łapaniu ryb, rzucaniu toporami i rozpalaniu ognia dwoma kijkami musiałem się odświeżyć – zwłaszcza jeśli planowałem tańczyć z Lią, a tak właśnie było. Już ja tego dopilnuję.

Wczoraj wieczorem mówiła do mnie w taki sposób, dotknęła mojego ramienia tak, że pożałowałem, że między nami nie ułożyło się inaczej. Może chociaż dziś wieczorem coś się zmieni.



Rozdział 36

Oparłam się o słupek na ganku. Czekaliśmy na Berdi, która miała iść z nami na rynek i wziąć udział w wieczornych uroczystościach. Poszła się umyć i przebrać. To był długi dzień, nadal myślałam o konkursie w rzucie nożem i dziwnym wrażeniu, że ktoś mnie obserwuje. Patrzyło na mnie sto par oczu. Dlaczego przejmowałam się jedną więcej?

– Pauline, czy czujesz czasem, że wiesz różne rzeczy? – spytałam z wahaniem. – Po prostu je wiesz?

Przez długą chwilę milczała, tak jakby nie słyszała pytania, ale wreszcie spojrzała na mnie.

– Ty to zobaczyłaś, prawda? Tego dnia, gdy mijaliśmy cmentarz, zobaczyłaś, że Mikael nie żyje.

Odsunęłam się od słupka.

– Co? Nie, ja...

– Od tamtej pory wiele razy o tym myślałam. Miałaś wtedy taki dziwny wyraz twarzy... Chciałaś się zatrzymać. Zobaczyłaś, że on nie żyje.

Gwałtownie pokręciłam głową.

– Nie, to nie o to chodzi. – Usiadłam obok niej. – Nie jestem Siarrah. Nie widzę rzeczy, tak jak moja matka. Po prostu coś wyczułam, coś nieokreślonego, ale i silnego. Tego dnia po prostu miałam przeczucie, że coś jest nie tak.

Pomyślała nad moimi słowami i wzruszyła ramionami.

– W takim razie może to wcale nie jest dar. Czasem też mam silne przeczucia. Tak naprawdę ja również czułam, że coś się stało Mikaelowi. Że on już nie wróci. Ciągle mnie to męczyło, ale nie chciałam w to uwierzyć. Może to dlatego jeszcze bardziej czekałam, aż stanie w drzwiach gospody. Pragnęłam się przekonać, że się mylę.

– Czyli uważasz, że to nie jest dar.

– Dar twojej matki objawiał się w wizjach. – Spojrzała na mnie przeprasząco. – Przynajmniej kiedyś tak było.

Matka przestała mieć wizje po moich narodzinach. Od czasu do czasu ktoś zjadliwie zauważał, że ukradłam ten dar, gdy jeszcze byłam w jej łonie, co oczywiście wszystkim wydawało się bardzo zabawne. Ciotka Bernette powiedziała, że to nie miało ze mną nic wspólnego – dar matki zniknął od chwili, gdy przyjechała

do cytadeli ze swojej ojczyzny, inni twierdzili, że nigdy go nie miała. Ale wiele lat temu, gdy byłam dzieckiem, widziałam wiele rzeczy. Widziałam, jak szare oczy mamy rozglądają się nieprzytomnie wokół, jak nagle się na czymś koncentruje. Pewnego dnia przepędziła nas wszystkich z drogi, na którą za kilka sekund wpadł rozjuszony koń. Innym razem wyprowadziła nas na zewnątrz chwilę przed trzęsieniem ziemi. Posypały się wtedy kamienie i głązy. Często kazała nam wyjść, zanim nastrój mojego ojca się pogorszył. Zawsze wszystkiemu zaprzeczała, twierdząc, że usłyszała konia albo poczuła drżenie ziemi, ale ja byłam wtedy przekonana, że to właśnie dar. Widziałam jej twarz. Widziała, co się za chwilę wydarzy, albo dostrzegała to z daleka, tak jak wtedy, gdy ogarnięta rozpaczą zamknęła się w swej komnacie, chociaż posłaniec z wiadomością o śmierci jej ojca przybył dwa tygodnie później. Jednak w ostatnich latach jej dar rzeczywiście zaczął zanikać.

– Nawet jeśli to nie jest wizja, nadal może to być dar – zauważyła Pauline. – Istnieją różne rodzaje darów.

Poczułam, jak po moim kręgosłupie przebiega zimny dreszcz.

– Co powiedziałaś?

Powtórzyła słowa, niemal te same, które usłyszałam rano od kapłana.

Musiała dostrzec przerażenie na mojej twarzy, bo zaczęła się śmiać.

– Nie martw się, Lio! To ja mam dar przewidywania przyszłości, nie ty! I właśnie teraz mam wizję! – Wyprostowała się gwałtownie i przyłożyła dłonie do głowy, udając skupienie. – Widzę kobietę. Piękną starą kobietę w nowej sukience. Złapała się pod boki. Wydeła wargi. Jest zniecierpliwiona. Ona...

Przewróciłam oczami.

– Właśnie za mną stoi, prawda?

– Owszem. – Usłyszałam głos Berdi.

Odwróciłam się i zobaczyłam ją, stojącą w drzwiach gospody, dokładnie tak jak to opisała Pauline.

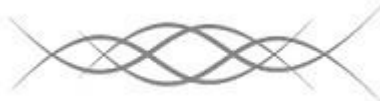
Moja przyjaciółka pisnęła z radości, a Berdi spytała:

– Starą?

– Dojrzałą – poprawiła się Pauline i pocałowała ją w policzek.

– Jesteście gotowe?

Och, oczywiście, że byłam gotowa. Czekałam na ten wieczór od tygodnia.



Świerszcze śpiewały, witając zapadający zmrok. Niebo nad zatoką było poprzecinane różowymi i fioletowymi pasami, które z każdą chwilą stawały się coraz ciemniejsze. Obok sierpa księżycy błyszczała jedna gwiazda. Krajobraz Terravinu wyglądał magicznie.

Powietrze było nieruchome i ciepłe, nad miasteczkiem unosiła się aura bezpieczeństwa. Gdy dotarliśmy do głównej drogi, nad naszymi głowami rozblysnęły papierowe lampiony. A potem, tak jakby piękno krajobrazu to było za mało, rozległy się śpiewy.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś w ten sposób intonował modlitwę. Tutaj jedno wspomnienie, tam drugie. Słyszałam osobne głosy, chór, wspólną melodię. Zróznicowane tempo, urozmaicone słowa tworzyły falę bólu i prawdy.

– Lio, ty płaczesz – szepnęła Pauline.

Doprawdy? Dotknęłam swoich policzków, były mokre od łez. To nie był płacz, ale coś innego. Gdy byliśmy już pod miastem, Berdi swym najpiękniejszym głosem zaintonowała pieśń powitalną. Przywitała się z kowalem, bednarzem, rybakami, rzemieślnikami, krawcami, kupcami i mydlarzem, który przypomniał jej, że koniecznie musi wypróbować nowe zapachy. Wkrótce odłączyła się od nas.

Pauline i ja patrzyłyśmy, jak muzycy szykują się do grania. Ustawili w półkolu trzy krzesła, złożyli na nich trzy instrumenty – cytrę, skrzypce i darbukę – i poszli się posilić i wypić coś przed rozpoczęciem występu. Pauline poszła spróbować jaj w zalewie, a ja przyjrzałam się cytrze. Była wykonana z ciemnego wiśniowego drewna z delikatnymi wykończeniami z białego dębu, naznaczonymi w miejscach, w których muzyk układał dłonie.

Szarpnęłam jedną strunę i poczułam nagłe ukłucie w sercu. Od czasu do czasu moja mama i jej siostry grały na swoich cytrach – ich muzyka nie dawała mi spokoju, śpiew matki był ostry i pozbawiony słów niczym głos anioła patrzącego na stworzenie. Gdy grały, w cytadeli robiło się chłodno i wszystko zamierało. Uspokajał się nawet mój ojciec. Patrzył na nie z oddali i słuchał, ukryty w górnej galerii. To była muzyka z ojczyzny mojej matki. Zawsze zastanawiałam się, co musiała poświęcić, żeby przybyć do Morrighan i zostać jego królową. Siostry przybyły za nią dwa lata później, ale kogo jeszcze zostawiła w domu? Być może mój ojciec też się nad tym zastanawiał, słuchając tej muzyki.

Schodziło się coraz więcej ludzi, rozmowy i śmiechy stawały się coraz głośniejsze, aż wreszcie połączyły się w jeden szum. Rozpoczęło się świętowanie. Muzycy zajęli miejsca i wypełnili przestrzeń melodią na przywitanie. Ale czegoś mi brakowało.

Odnalazłam Pauline.

– Widziałas go? – spytałam.

– Nie martw się. Na pewno przyjdzie. – Próbowała skierować moją uwagę na światło świec pływających w fontannie na placu, ale pożegnałam się z nią i odeszłam.

Stałam w cieniu przed apteką i patrzyłam, jak dłonie muzyka szarpia i pociągają struny cytry, tak jakby same odpłynęły w tańcu. Żałowałam, że matka nie nauczyła mnie grać na tym instrumencie. Już miałam podejść bliżej, gdy

poczułam, że ktoś łapie mnie w talii.

Czyli jednak przyszedł.

Poczułam falę gorąca, ale kiedy się odwróciłam, spostrzegłam, że to nie Rafe.

– Kaden?

– Nie chciałem cię przestraszyć. – Przyjrzał mi się. – Wyglądasz kwitnąco.

Zawstydzona, spuściłam wzrok. W myślach zganiłam się za flirtowanie z nim.

– Dziękuję.

Wskazał w stronę ulicy, na której tańczyli już ludzie.

– Gra muzyka.

– Tak. Właśnie zaczęli.

Jego wilgotne blond loki były zaczesane do tyłu, pachniał mydłem. Gdy kiwnął głową w stronę muzyków, wyglądał jak chłopiec, chociaż nie było w nim nic chłopięcego.

– Zatańczymy?

Zawahałam się, żałując, że nie grają niczego szybszego. Nie chciałam go zwodzić, ale przecież nie mogłam mu odmówić zwykłego tańca.

– Oczywiście.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził na część ulicy, którą wydzielono do tańców. Jedną rękę położył na moich plecach, a drugą złapał moją dłoń. Cały czas próbowałam podtrzymać rozmowę, wspominając wydarzenia minionego dnia, ale gdy tylko na chwilę zamilkłam, przycisnął mnie bliżej. Trzymał mnie delikatnie, lecz stanowczo. Miał ciepłą skórę.

– Byłaś dla mnie miła, Lio – zauważył. – Ja... – przerwał na chwilę i lekko rozchylił usta. Odchrząknął. – Podobał mi się czas, który tu z tobą spędziłem.

Jego głos stał się dziwnie poważny, tę samą powagę dostrzegłam w jego oczach. Spojrzałam na niego, zaskoczona nagłą zmianą w jego zachowaniu.

– Kadenie, niemal nic dla ciebie nie uczyniłam, ale ty ocaliłeś mi życie.

Pokręcił głową.

– Udało ci się uwolnić. Jestem pewien, że potrafiłabyś się obronić swoim nożem.

– Może. A może nie.

– Nigdy się nie dowiemy, co mogłoby się stać. – Ścisnął moje palce. – Ale przecież nie możemy rozwodzić się nad przypuszczeniami.

– Nie... chyba nie.

– Musimy iść do przodu.

Każde słowo, które padało z jego ust, było wyważone, tak jakby mówił jedno, a myślał o drugim. Niepokój w jego oczach tylko się powiększył.

– Mówisz tak, jakbyś miał stąd wyjechać.

– Wkrótce wyjadę. Muszę wrócić do swoich obowiązków w domu.

– Nigdy mi nie powiedziałeś, gdzie jest twój dom.

Zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły.

– Lio... – podjął zachrypniętym głosem. Muzyka zwolniła, moje serce zaczęło bić szybciej, a dłoń Kadena ześlizgnęła się niżej. W miejsce niepokoju pojawiła się czułość, jego twarz znalazła się tuż przy mojej. – Chciałbym...

Nagle na jego ramieniu spoczęła czyjaś dłoń. Oboje drgnęliśmy ze strachu. To był Rafe.

– Stary, nie bądź świnia – rzekł radośnie, a w jego oczach pojawiły się szelmowskie błyski. – Daj szansę innym.

Na twarzy Kadena odmalowało się zaskoczenie, tak jakby Rafe spadł na nas z nieba. Po chwili jednak zaskoczenie ustąpiło miejsca niezadowoleniu. Kaden spojrzał na kompana, a potem na mnie. Wzruszyłam ramionami, żeby pokazać mu, że jestem dobrze wychowana i zatańczę z każdym, kto mnie o to poprosi. Kiwnął głową i się odsunął.

Rafe natychmiast wziął mnie w objęcia. Wyjaśnił, że się spóźnił, ponieważ ubrania, które zostawił w łaźni, jakimś cudem ożyły i sobie poszły. Musiał pobiec do stodoły owinięty tylko w ręcznik. Wreszcie znalazł swoją odzież wciśniętą w róg boksu Otta. Stłumiłam chichot, wyobrażając sobie tę scenę.

– Kaden?

– A kto inny mógłby zrobić coś takiego?

Przyciągnął mnie do siebie i delikatnie przejechał palcami po moim kręgosłupie. Poczułam wirowanie w brzuchu. Mieliśmy dla siebie zaledwie kilka sekund, bo po chwili muzyka nabrała tempa. Wkrótce rozpoczęła się zabawa w zmianę partnerów. Rytm był szybki, zaczęłam się śmiać, w moich oczach migotały światła. Dołączyło więcej osób – Pauline, Berdi, Gwyneth, kapłani, podkuwacz koni, mała Simone, trzymająca za rękę swojego ojca, obcy ludzie. Wszyscy śpiewali, śmiali się, wstępowali do środka koła, żeby wykonać kilka ruchów; dźwięki instrumentów dudniły w naszych skroniach.

Miałam spoconą twarz i wreszcie zabrakło mi tchu. Cofnęłam się kilka kroków, żeby popatrzeć na zabawę, na feerię wirujących barw. Rafe tańczył z Berdi, krawcową, uczennicami, Kaden wziął za rękę Pauline, Gwyneth bawiła się z garbarzem i młynarzem. Na tym właśnie polegało świętowanie i dziękowanie, radowanie się chwilą niezależnie od tego, co może przynieść jutro.

Nagle usłyszałam wyraźnie wypowiedziane przez Rafe'a słowa: „Niektóre rzeczy trwają... to, co jest ważne”. Słowa, z których drwiłam jeszcze kilka tygodni temu, teraz przepełniały mnie zdumieniem. Dzisiaj było dniem, który z pewnością będzie trwać – w owej chwili byłam tego świadkiem – nagle zobaczyłam, że czas się cofa, że na tej samej ulicy tańczą Starożytni i odczuwają tę samą radość, jaką odczuwam ja. Świątynie, potężne mosty i inne wspaniałe budowle mogą zniknąć,

ale niektóre rzeczy przetrwają. Noce, takie jak ta. Przetrwają nawet dłużej niż księżyc, ponieważ są zrobione z czegoś innego, czegoś tak cichego jak uderzenie serca, i ogarniają wszystko niczym wiatr. Dla mnie ta noc będzie trwać wiecznie.

W końcu się wymknęliśmy. Przeszliśmy przez plac, na którym stało mnóstwo migoczących światełek. Muzyka za naszymi plecami zaczęła cichnąć, a my zniknęliśmy w cieniach lasu, gdzie nie mogli nas znaleźć ani Kaden, ani Pauline, ani nikt inny.



Rozdział 37

Z uśmiechem wyciągnęłam się na łóżku, wodząc stopami po chłodnym prześcieradle. Przez całą noc na wpół spałam, na wpół marzyłam, przez całą noc ponownie przeżywałam tamte chwile.

Między nami była więź, której nie potrafiłam nazwać. Smutek, żal, niedostatek, przeszłość. W jego oczach widziałam pragnienie. Pragnął nie tylko mnie, lecz czegoś więcej – pokoju, całości. A ja chciałam mu to dać.

Ponownie zanurzyłam się w jego czułości... Jego palce gładzące moje ramię, zsuwające ramiączko sukienki, żeby mógł całować moje plecy... Jego wargi ledwo musnęły kawah, pod wpływem jego dotyku drżało całe moje ciało, nasze usta spotykały się znowu i znowu.

„Pragnąłem tego od pierwszego dnia, Lio. Pragnąłem ciebie”.

Nasze palce splotły się ze sobą i opadliśmy na łóżko z liści. Położyłam głowę na jego piersi, czułam uderzenia jego serca, gładził moje włosy... Powinnam się trochę przespać, nie potrafiłam jednak przestać przeżywać od nowa tych chwil. Nie myślałam, że może być tak cudownie. Nigdy. Z nikim.

Rozmawialiśmy całymi godzinami. Uwielbiał łowić ryby w rzece, ale rzadko miał na to czas. Gdy spytałam o jego rodziców, zawahał się, ale w końcu odparł, że zmarli, gdy był mały. Nie miał nikogo, co tłumaczyło fakt, że nie znał Świętego Tekstu. Pracował na farmie, przeważnie zajmował się końmi i innymi zwierzętami, pomagał też orać pola i siał. Tak, uprawiali melony, tak jak to sobie wyobrażałam. Nienawidził jeść gołębi i cieszył się, że poprzedniego dnia wyszliśmy wcześniej z kolacji. Ja również mu się zwierzałam, ale opowiadałam mu głównie o czasie spędzonym w górach i lasach z moimi braćmi. Imion braci nie podałam, w ogóle starałam się nie zdradzić żadnych szczegółów z życia na królewskim dworze. Zaskoczyłam go stwierdzeniem, że wolę walkę na miecze niż haftowanie, grę w karty niż lekcje muzyki. Obiecał, że kiedyś zagramy razem.

Gdy mnie odprowadził, było już późno. Pauline zostawiła przed domem światło. Cały czas rozmawialiśmy, każdy chciał powiedzieć coś jeszcze, zanim się rozstaniemy, czymś jeszcze się podzielić. Wreszcie pocałowałam go po raz ostatni i życzyłam mu dobrej nocy. Gdy jednak sięgnęłam ręką do klamki, powstrzymał mnie.

– Lio, jest jeszcze coś, co muszę ci...

– Jutro. Mamy cały dzień. Dzisiaj jest już późno.

Kiwnął głową, a potem pocałował mnie w rękę.

Idealny wieczór... Idealna wieczność.

Leżałam tak przez całą noc, aż wreszcie, wczesnym rankiem, gdy przez okno zaczęło wpadać stłumione światło, moje marzenia ustąpiły miejsca snu.



Rozdział 38

– Lio.

Ktoś szturchnął moje ramię.

– Lio, obudź się.

Kolejne szturchnięcie.

– Lio! Musisz się obudzić!

Zerwałam się. Na krawędzi łóżka siedziała Pauline. W pokoju było już całkiem jasno. Przespałam cały poranek.

– Co się stało? – Osłoniłam oczy przed ostrym światłem. I wtedy dostrzegłam wyraz twarzy mojej przyjaciółki. – Co?

– Walther. Czeka za chłodnią. Lio, coś się stało. On...

Wyskoczyłam z łóżka i półprzytomna zaczęłam szukać spodni, koszuli, czegokolwiek, co mogłabym na siebie założyć.

Walther czeka za chłodnią...

Poczułam, że poca mi się dłonie. Głos Pauline przypominał pisk.

Coś się stało...

Wybiegłam z domku – boso i w koszuli nocnej.

Najpierw zobaczyłam jego konia. Miał pianę na pysku i prychał, tak jakby jechał całą noc.

– Zabierz go do stajni i wytrzymaj! – zawołałam do Pauline, która biegła tuż za mną.

Wpadłam za róg chłodni i spostrzegłam go. Siedział na ziemi, oparty o przewróconą taczkę, którą trzymano tu razem z innymi gratami.

– Lio...

Zamarłam. Na czole miał ranę, ale było coś o wiele gorszego – obłęd w jego oczach. To był jakiś dzikus udający mojego brata.

– Waltherze, co się stało?

Podbiegłam do niego i padłam na kolana. Gdy dotknęłam jego czoła, spojrzał na mnie i ponownie powiedział, tak jakby widział mnie po raz pierwszy:

– Lio.

– Waltherze, jesteś ranny. Co się stało?

Jego wzrok był pusty.

– Lio, muszę coś zrobić. Muszę coś zrobić...

Objęłam dłońmi jego twarz, zmuszając go, by spojrzał na mnie uważniej.

– Waltherze, proszę – powiedziałam stanowczo. – Musisz mi powiedzieć, co się stało. Inaczej nie będę mogła ci pomóc.

Teraz spojrzał na mnie dziecięcym wzrokiem.

– Jesteś silna, Lio. Zawsze byłaś najsilniejsza z nas wszystkich. To właśnie najbardziej martwiło mamę. – Gadał bez sensu. Znowu zerknął w bok. Jego oczy były szkliste i zaczerwienione. – Nie mogłem nic zrobić. Dla żadnego z nich.

Złapałam go za koszulę i potrząsnęłam.

– Waltherze! Co się stało?

Ponownie skierował na mnie zrozpaczony wzrok. Brudne, tłuste włosy opadały na jego czoło.

– Ona nie żyje – wydusił. – Greta nie żyje.

Pokręciłam głową. To przecież niemożliwe.

– Strzała trafiła ją prosto w gardło. Lio, ona na mnie spojrzała. Wiedziała. Jej oczy... Nie mogła mówić. Po prostu na mnie spojrzała... Wiedziała wszystko. A potem upadła na moje kolana. Martwa.

Słuchałam, jak mój brat mówi o swych zniszczonych marzeniach. Przytulałam go, kołysałam, tarzałam się z nim w brudzie i błocie. Gdy ujrzałam Pauline i Berdi, machnęłam ręką, odprowadzając je. Mój brat, mój silny, wojowniczy brat szlochał w moich objęciach. Opowiedział mi wszystko ze szczegółami. Nie był w stanie oddzielić tego, co ważne, od tego, co nieważne. Miała na sobie niebieską sukienkę. Tego ranka zaplotła włosy w wianek wokół głowy. Czuła już ruchy dziecka. Jechali powozem do domu ciotki Grety. Znajdowali się zaledwie godzinę drogi od posiadłości jej rodziców. Siostra i jej rodzina jechali za nimi. Mieli zjeść lunch. „Tylko godzina”, powtarzał wciąż i wciąż. Godzina. I świeciło słońce. Świeciło słońce. Już mieli przejeżdżać przez most z Chetsworth do Briarglen, gdy rozległ się potworny ryk. Usłyszał wrzask woźnicy, a potem głośny huk i powóz szarpnął w bok. Już miał sprawdzić, co się dzieje, gdy usłyszał kolejny dźwięk. *Bum, bum, bum*. To były strzały. Odwrócił się. Chciał powiedzieć Grecie, żeby się schyliła. Ale było już za późno.

– Chcieli zniszczyć most. – Jego oczy były szeroko rozwarte, głos ponownie stał się obojętny, tak jakby Walther odgrywał tę scenę w swojej głowie już tysiąc razy. – Uciekliśmy, gdy zaczął się walić. Woźnica na nich krzyczał, więc go zabili. A potem zasypali nas gradem strzał i uciekli.

– Kto, Waltherze? Kto mógł to zrobić?

– Zawiozłem ją do rodziców. Wiedziałem, że właśnie tam chciałyby zostać zawieziona. Zabrałem ją tam, Lio. Umyłem. Owinąłem w koc i przytuliłem. Ją i nasze dziecko. Przytulałem ją przez dwa dni, aż wreszcie odciągnęli mnie siłą.

– Kto to zrobił?

Spojrzał na mnie w nagłym skupieniu i skrzywił się z niezadowoleniem,

jakbym wcale go nie słuchała.

– Muszę już jechać.

– Nie – szepnęłam, próbując go uspokoić. – Nie. – Podniosłam rękę, żeby poprawić mu włosy i obejrzeć ranę na czole. Wciąż mi nie powiedział, w jaki sposób powstała. W tym stanie pewnie nawet się nie zorientował, że w ogóle jest ranny.

Odsunął moją dłoń i powtórzył:

– Muszę już jechać.

Próbował wstać, ale pchnęłam go z powrotem na taczkę.

– Dokąd? Nie możesz nigdzie jechać w takim...

Tym razem odepchnął mnie tak mocno, że się przewróciłam.

– Muszę jechać! – krzyknął. – Mój pluton. Muszę go dogonić.

Pobiegłam za nim, błagając, by się zatrzymał. Szarpałam go, prosiłam, żeby poczekał, żeby przynajmniej pozwolił mi oczyścić rany, nakarmić go, wyprać przesiąknięte krwią ubranie. Ale on zdawał się mnie nie słyszeć. Złapał lejce konia i wyprowadził go ze stajni. Wciąż krzyczałam. Uczepiłam się go. Próbowałam wyrwać mu lejce.

Odwrócił się, złapał mnie za ramiona i potrząsnął.

– Lio, jestem żołnierzem! – wrzasnął. – Nie jestem już mężem! Nie jestem ojcem! Jestem żołnierzem!

Wściekłość sprawiła, że stał się kompletnie obcą osobą. Zaraz jednak objął mnie mocno, wtulił twarz w moje włosy i zaczął szlochać. Miałam wrażenie, że pod wpływem jego uścisku pękną mi żebra. W końcu odsunął się i powiedział po raz kolejny:

– Muszę już jechać.

I pojechał.

Wiedziałam, że nie mogę zrobić nic, by go powstrzymać.



Rozdział 39

Spełnianie jednego marzenia może zająć całe lata. Ale wystarczy ułamek sekundy, by wszystkie legły w gruzach.

Siedziałam przy kuchennym stole, trzymając fragment zniszczonych marzeń Walthera. Towarzyszyły mi Gwyneth, Berdi i Pauline. Opowiedziałam im o wszystkim, czego się dowiedziałam. Próbowwały mnie uspokoić i zapewniały, że Waltherowi nic się nie stanie, że potrzebuje czasu, by przeżyć żałobę, że potrzebuje jeszcze wielu innych rzeczy, ale ja słyszałam tylko krzyki mojego brata. Strzała trafiła ją prosto w gardło.

Mówiły łagodnie, spokojnie, próbowały mi pomóc. Ale jak to możliwe, żeby po tym wszystkim Waltherowi nic się nie stało? Greta nie żyła. Padła martwa na jego kolana, nawet nie zdążyła zamknąć oczu. Walther nie wyjechał stąd jako żołnierz, lecz jako obłąkany mężczyzna. Nie wyjechał, by dołączyć do swego plutonu, lecz by szukać zemsty.

Gwyneth dotknęła mojej ręki.

– To nie twoja wina, Lio – powiedziała, jakby potrafiła czytać w moich myślach.

Cofnęłam dłoń i zerwałam się z krzesła.

– Oczywiście, że moja! To może być tylko moja wina! Całe grupy tych hien ruszają teraz prosto do Morrighan, bo już się nie boją! A to wszystko dlatego, że odmówiłam poślubienia kogoś, kogo nie kocham. – Ostatnie słowa wypowiedziałam ze wstrętem.

– Nikt nie wie, czy jakikolwiek sojusz byłby w stanie ich powstrzymać. – Berdi próbowała mnie uspokoić.

Spojrzałam na nią i pokręciłam głową. Teraz to nie miało już najmniejszego znaczenia. Poślubiłabym samego diabła, gdyby istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, że uda mi się ocalić Gretę i dziecko. Kto będzie następny?

– To tylko banda łobuzów, nie armia. Zawsze tak było, Lio. A do ataku doszło w odległej części kraju.

Podeszłam do kominka i zapatrzyłam się w wąty ogień. Berdi miała rację. Ale tym razem chodziło o coś więcej. Czułam to. Pełzało po mnie coś szarego i ponurego. Przypominałam sobie wahanie w głosie Walthera. *Z pewnością uda się nam utrzymać ich z dala. Jak zawsze.* Ale nie tym razem.

Sytuacja od dawna była napięta. Po prostu tego nie widziałam. Moja matka nazywała to kluczowym sojuszem. Czy poświęcenie córki było jedynym sposobem, by go osiągnąć? Być może, skoro oba państwa nie ufały sobie od wieków. Sojusz miał oznaczać coś o wiele więcej niż kartkę papieru, którą można spalić. To miał być sojusz z krwi i kości.

Spojrzałam na maleńki koronkowy czepek, który chciałam podarować dziecku Walthera i Grety. Głaskałam materiał, przypominając sobie radość, jaką odczuwałam, gdy go kupowałam. Greta nie żyła. Dziecko nie żyło. Walther oszalał z rozpacz.

Wrzuciłam czepek do paleniska. Patrzyłam, jak koronka z sykiem zajmuje się ogniem, skręca się, pali, w końcu obraca w popiół. Tak jakby nigdy nie istniała.

- Muszę się umyć. – Nadal miałam nogi całe w błocie.
- Mam iść z tobą? – spytała Pauline.
- Nie – odparłam i cicho zamknęłam za sobą drzwi.



o drugiej stronie śmierci,

Ponad wielką przepaścią,

Gdzie głód pożera dusze,

Wyleją jeszcze więcej łez.

– Pieśń Vendy



Rozdział 40

Łup. Łup. Łup. Łup.

Od dwóch godzin stałam na łące i rzucałam nożem w niewielki pień. Wydeptałam już ścieżkę w dzikiej gorczycy, chodząc po nóż w tę i z powrotem. Wreszcie, po wielu trafieniach i zaledwie kilku chybieniach, pozwoliłam swojemu umysłowi odpłynąć.

Łup. Łup.

A potem rozległ się świst i sztylet zniknął w wysokiej trawie za pniakiem. Słowa Walthera, jego twarz, jego cierpienie cały czas mi towarzyszyły. Próbowałam ułożyć z tego historię, która ma sens, ale przecież żadne zabójstwo nie ma sensu. Greta nie była żołnierzem. A dziecko nawet nie zdążyło złapać pierwszego w życiu oddechu. Dzikusy.

Poszłam szukać zgubionego gdzieś w trawie noża i wtedy:

– Lio?

Odwrociłam się. To był Kaden. Zeskoczył z konia. Po jego minie widziałam, że coś już słyszał, pewnie jakieś plotki w gospodzie.

– Jak mnie znalazłeś?

– To nie było trudne.

Łąka graniczyła z drogą prowadzącą do miasta. Podejrzewałam, że widział mnie każdy, kto tamtędy przejeżdżał.

– Berdi powiedziała, że ty i Rafe wyjechaliście wcześniej rano. Przed wschodem słońca. – Słuchałam swojego płaskiego głosu. Brzmiał, jakby należał do kogoś innego.

– Nie wiem, dokąd pojechał Rafe. Ja miałem do załatwienia kilka spraw.

– Obowiązki, o których mówiłeś.

Pokiwał głową. Jego złote włosy targał wiatr. Patrzył na mnie pewnie i spokojnie.

Pocałowałam go w policzek.

– Jesteś dobrym człowiekiem. Niezłomnym i wiernym swoim obowiązkom.

– Lio, czy mogę...

– Odejdź, Kadenie. Odejdź. Teraz muszę pomyśleć o własnych obowiązkach.

Odwrociłam się i pomaszerowałam łąką, nie czekając na to, czy mnie

posłucha, czy nie. Po chwili usłyszałam jednak, że jego koń odjeżdża. Odnalazłam nóż w trawie i ponownie zaczęłam nim rzucać. „Miała na sobie niebieską sukienkę. Czuła już ruchy dziecka. Lio, muszę coś zrobić. Muszę coś zrobić”.

Tym razem zobaczyłam coś więcej niż twarz Walthera. Więcej niż twarz Grety. Ujrzałam Bryna. Ujrzałam Regana. Ujrzałam Pauline.

Muszę coś zrobić.



Rozdział 41

RAFE

Wróciłem o zmierzchu. Przez cały dzień nic nie jadłem, huczało mi w głowie. Zaprowadziłem konia do stajni i rozsiodłałem go. Po całym dniu jazdy konnej w pełnym słońcu i wietrze piekła mnie skóra. Byłem zmęczony, nadal próbowałem ustalić czas wszystkich wydarzeń. Jak możemy tego dokonać? Przeczesałem włosy palcami. Nie zaplanowałem zbyt dobrze mojej wycieczki, ale po wieczorze i części nocy spędzonej z Lią spałem bardzo niewiele.

– Musimy porozmawiać.

Spojrzałem przez ramię. Byłem tak zajęty, że nie słyszałem, kiedy weszła. Założyłem siodło na stojak i odwróciłem się do niej.

– Lio...

– Gdzie byłeś? – Stała przede mną sztywno, jej głos był szorstki.

Zawahałem się i zrobiłem krok w jej kierunku.

– Musiałem załatwić kilka spraw. Czy to jakiś problem?

– Czy to jakieś sprawy niezwiązane z farmerstwem?

Co jej się stało?

– Przecież mówiłem ci, że wkrótce znajdę jakieś zajęcie. Trzeba zamówić zaopatrzenie. – Rzuciłem pod ścianę derkę i zbliżyłem się do Lii. Spojrzałem jej w oczy. Zapragnąłem całować każdą z jej czarnych rzęs i jednocześnie zastanawiałem się, jakim cudem to mi się przydarzyło. Wyciągnęła ręce i przyciągnęła moją twarz, przycisnęła swoje usta do moich, a potem zjechała dłońmi po mojej szyi na pierś i wbiła w nią palce. W jej oddechu nie słyszałem pożądania, lecz desperację. Cofnąłem się. Dotknąłem swoich ust w miejscu, w którym delikatnie mnie ugryzła.

– Coś się stało – powiedziałem.

– Wyjeżdżam. Jutro.

Wpatrywałem się w nią, nie rozumiejąc, co do mnie mówi.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wyjeżdżasz?

Podeszła do beli siana, usiadła na niej i spojrzała na krokwie.

– Muszę wrócić do domu. Mam obowiązek, który muszę wypełnić.

Do domu? Teraz? W mojej głowie rozpoczęła się gonitwa myśli.

- Jaki obowiązek?
- Stały. Już tu nie wrócę.
- Nigdy?

Spojrzała na mnie niewidzącym wzrokiem.

– Nigdy – wydusiła. – Rafe, nie powiedziałam ci wszystkiego o mojej rodzinie. Przez całe życie mną manipulowano i okłamywano mnie. Nie chcę wracać, ale faktem jest, że moja nielojalność sprawiła ból wielu osobom. Jeśli nie wrócę, ucierpi jeszcze więcej ludzi. Muszę wrócić i wypełnić swój życiowy obowiązek.

Mówiła to z pełnym przekonaniem. Podrapałem się po brodzie. Wyglądała zupełnie inaczej. Takiej Lii jeszcze nie widziałem. Zmanipulowanej, okłamanej. Odwróciłem wzrok, bo nie mogłem się skupić. Próbowałem zrozumieć, co powiedziała, i jednocześnie dostosować do tego własne plany. Spojrzałem na nią.

- I twoja rodzina da ci szansę?
 - Nie wiem. Ale muszę spróbować.
- Jutro. Myślałem, że mam więcej czasu. Teraz było zbyt wcześnie. Plany...


- Rafe?
- Poczekaj. Daj mi pomyśleć. Muszę się nad tym zastanowić.
- Tutaj nie ma się nad czym zastanawiać.
- Czy musisz wyjechać jutro? Nie możesz poczekać jeszcze kilku dni?
- Nie. To nie może czekać.

Siedziała nieruchomo. Co tu się wydarzyło pod moją nieobecność? Najwyraźniej jednak jej decyzja była ostateczna.

– Rozumiem, że masz obowiązki – odrzekłem, próbując kupić sobie trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć. – Obowiązki są ważne. Tak jak lojalność. – Przełknąłem ślinę, moje gardło wciąż było suche od pyłu na drodze. – O której wyjeżdżasz?

- Rano. Wcześniej rano.

Kiwnąłem głową. A więc miałem bardzo mało czasu. Ale nie mogę pozwolić, by wróciła do Civica.



Rozdział 42

Nie miałam zbyt dużo do spakowania. Wszystkie rzeczy weszły do dwustronnej sakwy i jeszcze zostało dużo miejsca. Nie zabierałam ze sobą odzieży, którą ostatnio kupiłam. Zostawię ją dla Pauline, bo w Civica i tak nie mogłabym jej nosić. Zabrałabym trochę jedzenia, ale planowałam zatrzymywać się w gospodach. Musiałam pójść na takie ustępstwo po tym, jak Pauline ze złością rzuciła mi w twarz sakiewkę z klejnotami. Klóciłyśmy się całe popołudnie. Zamieniłam również kilka ostrych słów z Berdi, ale ona w końcu zaakceptowała moją decyzję. Gwyneth wcale to nie zdziwiło, tak jakby wiedziała o moim postanowieniu o wiele wcześniej niż ja.

Tak wścieklej Pauline jeszcze nie widziałam. Gdy wreszcie wyciągnęłam torbę z szafy, wybiegła do gospody. Nie mogłam jej przecież powiedzieć, że to między innymi jej twarz zobaczyłam na łące. Wyglądała jak Greta, miała otwarte, niewidzące oczy – miała się stać kolejną ofiarą, jeśli nie wezmę spraw w swoje ręce.

Niezależnie od tego, czy dojdzie do sojuszu czy nie, nie mogłam zaryzykować, że zniszczę życie jeszcze choćby jednej ukochanej osoby. Rozejrzałam się po niewielkim domku, żeby sprawdzić, czy wszystko wzięłam, i zobaczyłam, że ze słupka łóżka zwisa mój wianek lawendowych kwiatów. Nie mogłam go zabrać. Ususzone kwiaty zgmiotłyby się w sakwach. Podniosłam go do twarzy i wciągnęłam w nozdrza zanikający już zapach. Rafe.

Zamknęłam oczy i przelknęłam ślinę, próbując pozbyć się klucia w sercu. Chociaż nie mógł zrobić nic, bym zmieniła zdanie, myślałam, że chociaż spróbuje odwieść mnie od moich planów. A nawet więcej – że zażąda ich zmiany. Chciałam, żeby podał mi sto powodów, dla których powinnam zostać. Nie podał ani jednego. Czyżby rozstanie ze mną przyszło mu z taką łatwością?

„Rozumiem obowiązki”.

Otarłam łzy płynące po policzkach.

Może widział to w moich oczach. Może słyszał zdecydowanie w moim głosie. Może próbował mi to ułatwić.

A może po prostu starałam się go wytłumaczyć.

„Lio, wcześniej muszę jeszcze coś załatwić, ale w połowie ranka spotkajmy się przy niebieskim zbiorniku, żeby się pożegnać. O tej porze powinnaś dotrzeć

właśnie tam. Przymknij, że spotkasz się tam ze mną”.

Po co komu pożegnania? Czy to nie przedłuży bólu? Powinnam się nie zgodzić, ale nie potrafiłam. Zobaczyłam cierpienie na jego twarzy, tak jakby walczył z czymś wielkim i okrutnym. Moje postanowienie bardzo go zabolowało. Może właśnie tego potrzebowałam – jakiegoś znaku, że nie chce, bym odeszła.

Potem wziął mnie w ramiona i pocałował delikatnie, uroczo, tak jak za pierwszym razem, pełen wyrzutów sumienia. „Lio”, szepnął. A ja usłyszałam: „kocham cię”, nawet jeśli nie wypowiedział tych słów.



Rozdział 43

Przytuliłam Berdi i pocałowałam ją w policzek.

Zeszłego wieczora już się z nią pożegnałam, ale dziś skoro świt Berdi i Gwyneth wyszły na taras gospody i przyniosły mi tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla dwóch osób.

Rafe i Kaden wyjechali, zanim wstałam. Było mi przykro, że nie zdążyłam pożegnać się z Kadenem, natomiast cieszyłam się, że uda mi się jeszcze spotkać z Rafem przy zbiorniku. Jakże sprawy miał do załatwienia tak nagle? Może akurat dziś wszyscy musieli wrócić do swoich dawnych obowiązków, do dawnego życia? Ja i Pauline ponownie pokłóciłyśmy się przed snem, wyszła z domku przede mną. Nie pożegnałyśmy się.

Przytuliłam Gwyneth.

– Zajmiesz się Pauline, prawda?

– Oczywiście – szepnęła.

– A ty uważaj, co i do kogo mówisz, słyszysz? – rzuciła Berdi. – Przynajmniej dopóki nie dojedziesz na miejsce. A potem powiesz im do słuchu.

Istniało ryzyko, że nie będę miała szansy czeokolwiek im powiedzieć. Nadal przecież byłam uciekinierką. Zdrajczynią. Ale z całą pewnością nawet gabinet mojego ojca będzie skłonny zapomnieć na chwilę o moim wybryku i chociaż spróbować naprawić relacje z Dalbreck.

Uśmiechnęłam się.

– Dam im popalić – obiecałam.

Wzięłam dwa worki z jedzeniem, zastanawiając się, jak ja to wszystko załaduję na mojego osła.

– Wszystko gotowe?

Odwróciłam się gwałtownie.

Pauline stała przede mną z Nove i Dieci – gotowa do drogi.

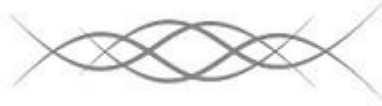
– Nie. Ty ze mną nie jedziesz – powiedziałam.

– Czy to królewski rozkaz? Co mi zrobisz? Każesz mnie ściąć za to, że za tobą pojechałam? Tak szybko wróciłaś do roli Waszej Królewskiej Mości?

Zerknęłam na dwa worki jedzenia, a potem zmrużyłam oczy i podejrzliwie przyjrzałam się Berdi i Gwyneth. Obie wzruszyły ramionami.

Pokręciłam głową. Nie mogłam dłużej kłócić się z Pauline.

– Jedźmy.



Wyjechałyśmy tak samo jak przyjechałyśmy – w naszych starych ubraniach i z trzema osłami. Ale nie wszystko było takie samo. My byłyśmy już inne.

Terravin, który zostawiłyśmy za sobą, wciąż był klejnotem. Nieidylliczny. Nieperfekcyjny.

Ale dla mnie idealny. Idealny dla nas. Na szczycie wzgórza odwróciłam się. Pośród drzew widziałam tylko przebłycki błękitu zatoki. Terravin. Teraz już rozumiałam znaczenie pomników. Jedne zostały wzniesione w pocie czoła z kamienia, inne zbudowano z marzeń, ale wszystkie powstały z rzeczy, o których nie chcieliśmy zapomnieć.

– Lio? – Pauline zatrzymała Nove i odwróciła się za mną.

Szturchnęłam Otta i zrównałyśmy się. Teraz musiałam wzbudzić w sobie nową nadzieję. Z krwi, ciała i przyrzeczeń. Sojusz. A jeśli przy tym uda mi się wziąć odwet za to, co widziałam w oczach Walthera, tym lepiej.

– Jak się czujesz?

Pauline spojrzała na mnie z ukosa i dla większego wrażenia przewróciła oczami.

– Nic mi nie jest. Przyjechałam tu w morderczym tempie i na złamanie karku na Ravianie, więc na pewno dam radę pojechać na osle, który wlecze się w żółwym tempie. Teraz największym wyzwaniem są dla mnie te spodnie jeździeckie. Robią się za ciasne. – Pociągnęła za pasek.

– Zajmiemy się tym w Luiseveque – obiecałam.

– Może uda się nam znów spotkać z tymi kupcami w bocznej uliczce – dodała figlarnie.

Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że próbuje podnieść mnie na duchu.

Na drodze było wielu podróżnych. Rzadko zdarzało się tak, że nikogo nie widziałyśmy. Trzy razy mijały nas niewielkie oddziały, po kilkunastu czy zaledwie kilku żołnierzy. Spotykałyśmy również podróżnych, którzy po uroczystościach wracali do odległych domów, czasami w grupach, czasami samotnie. Towarzystwo na drodze dodawało nam otuchy. Ostrzeżenie Gwyneth przed zabójcą nabrało nowego znaczenia, chociaż nadal nie można było mnie rozpoznać. Po kilku tygodniach spędzonych w pełnym słońcu, z rękami zanurzonymi w zlewie, bardziej niż kiedykolwiek przypominałam wiejską dziewczkę. Tym bardziej, że jechałam na osle o bujnej, potarganej grzywie. Mimo wszystko cały czas miałam poluzowane szaty, na wypadek gdybym musiała szybko dobrać sztyletu.

Nie miałam pojęcia, gdzie powinien teraz znajdować się pluton Walthera. Miałam nadzieję, że nadal byli w Civica, a nie w jakiejś odległej placówce. Może

razem z Brynem i Reganem moglibyśmy przemówić mu do rozsądku – jeśli zdąży na czas. W tym stanie psychicznym Walther nie powinien nigdzie jeździć. Ja również chciałam pomścić śmierć Grety, ale nie kosztem utraty brata. Oczywiście zakładałam, że będę mogła z kimś o tym porozmawiać, ale przecież nie wiedziałam, co mnie czeka w Civica.

Miałyśmy jeszcze godzinę drogi do zbiornika. Pamiętałam pierwszy raz, gdy go zobaczyłam – pomyślałam wtedy, że wygląda jak korona na szczycie wzgórza. Wtedy był dla mnie wyznacznikiem początku. Teraz będzie wyznacznikiem końca – miejscem ostatniego spotkania z Rafem.

Próbowałam o nim nie myśleć. Gdy myślałam, moja odwaga i determinacja gwałtownie słabły. Wiedziałam, że muszę powiedzieć mu prawdę o tym, dlaczego porzucam Terravin i jego. Byłam mu to winna. Może kiedyś zrozumie. A może już rozumiał i dlatego nie próbował namówić mnie do zmiany zdania. „Rozumiem obowiązki”. Wolałabym, żeby nie rozumiał.

– Wody? – Pauline wyciągnęła manierkę w moją stronę. Policzki miała zaróżowione od upału. Tak bardzo tęskniłam za chłodnym wiatrem zatoki!

Wzięłam manierkę i upiłam kilka łyków, a potem wylałam trochę wody na koszulę, żeby się ochłodzić. Było jeszcze wcześniej, ale upał na drodze stawał się nieznośny. Grube ubrania przytłaczały, jednak przynajmniej w pewnym stopniu chroniły nas przed słońcem. Spojrzałam na jedno z wielu postrzępionych rozdarc w moich spodniach, na kolano wystające z przetarcia, i zaczęłam się śmiać, tak bardzo, że ledwo mogłam złapać oddech. Wręcz płakałam ze śmiechu.

Widząc zaskoczoną minę Pauline, wyjaśniłam:

– Spójrz na nas! Wyobrażasz to sobie?

Prychnęła, a potem również wybuchnęła śmiechem.

– Warto było przejść przez to wszystko, żeby zobaczyć, jak opadają im szczęki – odparła.

Och, szczęki opadną z całą pewnością. Zwłaszcza Sekretarza i Mędrca.

Nasz śmiech powoli ucichł. Po chwili miałyśmy wrażenie, że cały świat zamilkł.

Słuchaj.

Zauważyłam, że droga nagle stała się pusta, nie było nikogo przed nami, a gdy się odwróciłam, nie zauważyłam również nikogo za nami. Ale miałam ograniczony zasięg, znajdowałyśmy się w kotlinie pomiędzy wzgórzami. Może to dlatego wokół nas zapadła nagle cisza.

Zaczęłam nasłuchiwać odgłosu kopyt. Brzęczenia sprzączek przy siodle. Cisza.

– Poczekaj. – Wyciągnęłam rękę, żeby powstrzymać Pauline. – Poczekaj. Siedziałam oniemiała, puls dudnił mi w uszach. Przekrzywiłam głowę.

Słuchaj.

Pauline nie odważyła się odezwać. Czekala, aż coś powiem. Dieci, z wystającymi zębami, człapał za nami. Pokręciłam głową.

– To chyba nic takiego. Ja...

I wtedy to zobaczyłam.

W cieniu dębu, mniej niż dwadzieścia kroków od drogi, pokazała się postać na koniu. Zamarłam, przestałam oddychać. Słońce świeciło mi prosto w oczy, więc dostrzegłam, kim jest, dopiero, gdy wyszedł z cienia. Westchnęłam z ulgą.

– Kadenie! – krzyknęłam. – Co ty tu robisz?

Sprowadziłyśmy osły z drogi, a on podjechał bliżej, powoli, aż wreszcie znalazł się na odległość wyciągniętej ręki. Otto zaczął szarpać się na lejcach, zdenerwowany obecnością wielkiego konia. Kaden wyglądał jakoś inaczej – był jakby jeszcze wyższy. Siedział sztywno w siodle.

– Lio, nie mogę pozwolić ci odejść – rzekł.

Przejechał taki szmat drogi tylko po to, by mi to powiedzieć? Westchnęłam.

– Kadenie, wiem...

Wyciągnął rękę i zabrał mi lejce.

– Zsiadajcie z osłów.

Spojrzałam na niego, zaskoczona i poirytowana. Pauline patrzyła to na niego, to na mnie, tak samo zdumiona. Wyciągnęłam rękę, żeby wyrwać mu lejce. Będzie musiał zaakceptować fakt, że...

– *Bedage! Ges mi nay akuro fasum!* – wrzasnął, nie do mnie, ale w stronę lasu, z którego właśnie wyjechał.

Wtedy pojawiło się kilku jeźdźców.

Gapiłam się na niego w oszołomieniu. *Bedage?* Na chwilę pojawiło się niedowierzanie, a potem zrozumiałam prawdę. Ogarnęło mnie przerażenie. Szarpnęłam za lejce, które nadal trzymał w dłoniach, poczułam narastającą wściekłość. Wrzasnęłam do Pauline, żeby uciekała. Zapanował kompletny chaos, koń wpadł na osła, Kaden złapał mnie za ramiona. Wyrwałam się i zeskoczyłam z Otta. Naszą jedyną szansą na ucieczkę był teraz bieg, ucieczka w gęste zarośla – o ile uda nam się do nich dobiec.

Ale nie zdążyłyśmy nawet drgnąć, gdy otoczyli nas pozostali jeźdźcy. Jeden z nich ściągnął Pauline z osła. Zaczęła wrzeszczeć. Drugi zamachnął się na mnie. Cisza zamieniła się w ognistą kulę hałasu, obaj mężczyźni i osioł zaczęli krzyczeć. Szorstka dłoń złapała mnie za włosy, przewróciła na ziemię. Przeturlałam się i zobaczyłam, jak Pauline gryzie rękę, która ją trzyma, i ucieka, a mężczyzna pędzi tuż za nią. Nie pamiętam, kiedy złapałam za swój sztylet – po prostu nagle znalazł się w mojej dłoni, a jego ostrze trafiło prześladowcę Pauline w ramię. Padł na kolana i ryknął, wyciągając nóż. Z rany trysnęła krew. Kaden złapał Pauline od tyłu, a mnie jednocześnie pochwyciły dwa grube łapska. Ranny mężczyzna cały czas klął i ryczał w języku, którym, jak podejrzewałam, był vendański.

Spojrzałam Kadenowi prosto w oczy.

– Nie powinnaś była tego robić, Lio – powiedział. – Uwierz mi, nie chcesz zadzierać z Finchem.

– Idź do diabła, Kadenie – warknęłam wściekle. – Idź prosto do diabła.

Nawet nie zamrugał, jego spokój zamienił się w przerażającą obojętność. Przeniósł wzrok ze mnie na mężczyznę stojącego obok niego.

– Malich, ta będzie musiała jechać z tobą. Myślałem, że jej nie będzie.

Człowiek o imieniu Malich uśmiechnął się lubieżnie i brutalnie złapał Pauline za nadgarstek.

– Z chęcią.

– Nie! – wrzasnęłam. – Ona nie ma z tym nic wspólnego. Puśćcie ją!

– Nie mogę tego zrobić – odparł spokojnie Kaden, podając Finchowi brudną szmatę do opatrzenia rany. – Wypuścimy ją gdzieś na odludziu.

Malich zaczął ciągnąć szarpiącą się Pauline w stronę swojego konia.

– Kadenie, nie! Proszę! – krzyknęłam. – Na litość bogów, ona nosi pod sercem dziecko!

Kaden zatrzymał się w pół kroku.

– Poczekaj – powiedział do Malicha. Spojrzał na mnie, żeby się zorientować, czy kłamię.

A potem odwrócił się do Pauline.

– Czy to prawda?

Po jej twarzy połały się łzy. Kiwnęła głową.

Skrzywił się i mruknął pod nosem.

– Kolejna wdowa z dzieckiem. – Potem zwrócił się w moją stronę. – Czy jeśli ją puszczę, pojedziesz z nami bez walki?

– Tak – zapewniłam szybko. Może zbyt szybko.

Zmrużył oczy.

– Dajesz słowo?

Kiwnęłam głową.

– *Kez mika ren* – powiedział.

Ręka, która trzymała mnie tak mocno, nagle puściła i upadłam na ziemię. Nawet nie czułam, że przez jakiś czas nie dotykałam stopami podłoża. Wszyscy patrzyli na mnie, żeby sprawdzić, czy mówię prawdę. Wstałam, próbując złapać oddech.

– Lio, nie! – krzyknęła Pauline.

Pokręciłam głową, dotknęłam ust palcami, pocałowałam je i lekko uniosłam do góry.

– Pauline, proszę. Zaufaj bogom. Wszystko będzie dobrze.

Jej przerażone oczy patrzyły na mnie dziko, ale kiwnęła do mnie głową.

Kaden podszedł do Pauline, podczas gdy Malich cały czas ją trzymał.

– Zaprowadzę osły głęboko w las i przywiążę je do drzewa. Zostaniesz z nimi, dopóki słońce nie zajdzie za przeciwległe wzgórze. Jeśli wyjedziesz choćby chwilę wcześniej, zginiesz. Jeśli pošlesz za nami pogoń, zginie Lia. Rozumiesz, Pauline?

– Kadenie, nie możesz...

Pochylił się i złapał ją pod brodę.

– Rozumiesz, Pauline?

– Tak – szepnęła.

– Świetnie. – Złapał lejce swego konia i krzyknął coś do małego jeźdźca, na którego wcześniej nie zwróciłam uwagi. Był tylko chłopcem.

Zdjęli sakwy z Otta i przełożyli je na innego konia razem z moją manierką. Kaden wziął nóż, który Fincha rzucił na ziemię, i schował go do swojej torby.

– Dlaczego nie możemy po prostu jej zabić? – spytał chłopak.

– *Eben! Twaz enar boche!* – ryknął przysadzisty mężczyzna z twarzą pooraną bliznami.

Rozległy się krzyki w dziwnym języku. Podejrzewałam, że kłócili się o to, czy mnie zabić, ale jednocześnie prowadzili nas i osły w zarośla. Flinch patrzył na mnie groźnie, przyciskając ranę i przeklinając mnie łamanym językiem Morrighan. Miałam zrozumieć, że mam szczęście, iż jestem w jednym kawałku.

– Mam kiepski cel – powiedziałam. – Mierzyłam w twoje złe serce. Ale nie martw się, trucizna, którą posmarowałam ostrze, powinna wkrótce zadziałać, a wtedy rozpocznie się powolne i bolesne umieranie.

Jego oczy rozwarły się szeroko, rzucił się w moją stronę, ale Kaden go złapał i wrzasnął coś po vendańsku. Potem odwrócił się do mnie, brutalnie chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Lio, nie drażnij ich – wycedził przez zęby. – Chcą cię natychmiast zabić i mogą to zrobić błyskawicznie.

Akurat to doskonale rozumiałam, chociaż nie znałam ich języka.

Weszliśmy głębiej w zarośla. Rosły tam grube dęby i śnieguliczka koralowa. Gdy droga zniknęła nam z oczu, przywiązali osły do drzew. Kaden powtórzył Pauline, co ma zrobić. Potem pociągnął mnie w stronę konia, na którym miałam jechać.

Odwróciłam się do zapłakanej przyjaciółki.

– Pamiętaj, Pauline, licz mijający czas. Tak jak robiłyśmy, jadąc w tę stronę.

Kiwnęła głową.

Kaden spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Wsiadaj.

Mój koń był wielki, niemal tak wielki jak jego. Wyciągnął rękę w moją stronę, ale złapałam za lejce.

– Jeśli złamiesz dane mi słowo, gorzko tego pożałujesz.

Posłałam mu wściekle spojrzenie.

– Kłamca, który wierzy innym na słowo? Cóż za ironia losu. – Wyciągnęłam rękę. – Ale dałam ci moje słowo i go dotrzymam.

Przynajmniej na razie.

Podał mi lejce, zawróciłam, by pojechać za resztą.

Ja i Pauline jechałyśmy na naszych Ravianach z zawrotną prędkością, ale te czarne potwory pędziły niczym uskrzydłone demony, gonione przez samego diabła. Nie odważyłam się odwracać w jedną czy drugą stronę, bo spadłabym z siodła i stratowałby mnie koń jadącego za mną Kadena. Gdy opuściliśmy las, jechaliśmy obok siebie – Kaden po mojej jednej stronie, chłopiec Eben po drugiej. Tylko barbarzyńcy mogliby wyćwiczyć dziecko tak, by było zdolne do zabijania.

Próbowałam liczyć, tak jak kazałam liczyć Pauline, wkrótce jednak się pogubiłam. Wiedziałam tylko, że przejechaliśmy wiele kilometrów, a słońce nadal znajdowało się wysoko na niebie. Pauline i ja pamiętałyśmy, że gdy doliczy się do dwustu, to oznacza jeden kilometr, przynajmniej na Ravianach. Zorientuje się, kiedy barbarzyńcy będą na tyle daleko, by już jej nie złapać. Nie musiała czekać, aż słońce zajdzie za wzgórze. Za godzinę będzie pędzić w stronę Terravinu, na tyle, na ile pozwolą jej nasze powolne osły. A potem będzie bezpieczna, poza zasięgiem barbarzyńców, a ja nie będę musiała dotrzymywać danego słowa. Ale jeszcze nie teraz. Było zbyt wcześnie, by ryzykować. Poza tym na razie nie widziałam żadnej szansy na ucieczkę.

Nie było tu żadnych dróg, próbowałam więc zapamiętać krajobrazy. Jechaliśmy w szaleńczym tempie wzdłuż wyschniętych koryt rzecznych, przez wzgórze, rzadki las i płaską łąkę. Zapamiętałam umiejscowienie gór, ich kształt, grzbiety, wszystko, co pomoże mi wrócić. Policzki piekły mnie od wiatru i słońca, bolały mnie palce. Jak długo można pędzić w takim tempie?

– *Sende akki!* – krzyknął wreszcie Kaden i wszyscy zwolnili.

Moje serce waliło jak oszalałe. Skoro i tak chcieli mnie zabić, po co mnie tu przywieźli? Może to była moja ostatnia szansa? Czy uda mi się wyprzedzić pozostałe konie i uciec?

Kaden zbliżył się do mnie.

– Podaj mi rękę – rozkazał.

Popatrzyłam niepewnie na niego, a potem na pozostałych.

– Mogę dać wam klejnoty – rzekłam. – I więcej pieniędzy, niż uda się wam wydać w całym waszym życiu. Wypuście mnie, a...

Przerwał mi ich śmiech.

– Pieniądze z dwóch królestw nie wynagrodzą nikomu tego, co Komizar robi zdrajcom – odparł Malich.

– Złoto nie ma dla nas żadnego znaczenia – dorzucił Kaden. – A teraz podaj mi rękę.

Gdy spełniłam rozkaz, obwiązał moje nadgarstki długą liną. Pociągnął za oba końce, żeby się upewnić, że dobrze ściągnął pęta. Skrzywiłam się z bólu.

– A teraz przechył się w moją stronę.

Moje serce waliło już w takim tempie, że nie mogłam złapać tchu.

– Kadenie...

– Lio, pochyl się.

Spojrzałam na swoje spętane ręce. Czy w ogóle dam radę tak jechać? Moje stopy drżały, gotowe do kopnięcia boków konia i rozpoczęcia ucieczki.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł. Nie spuszczał ze mnie wzroku, a mimo to skądś wiedział, że poruszałam nogami w strzemionach.

Pochyliłam się, tak jak kazał. A wtedy on wyjął czarny worek.

– Nie! Cofnęłam się, ale nagle poczułam na karku dłoń, która brutalnie pchnęła mnie do przodu. Założono mi kaptur i wszystko stało się czarne.

– To tylko kilka kilometrów – rzekł Kaden. – Przed nami są ścieżki, których nie powinnaś oglądać.

– Mam jechać konno w ten sposób? – Usłyszałam panikę w swoim głosie.

Poczułam, jak dłoń Kadena dotyka moich dłoni.

– Lio, oddychaj. Poprowadzę twojego konia. Tylko nie ruszaj się na lewo ani na prawo... – Przerwał na chwilę, a potem zabrał rękę i dodał: – Ścieżka jest bardzo wąska. Jeden fałszywy krok, a ty i koń zginiecie. Rób, co ci mówię.

W taki upał i z workiem na głowie ledwo mogłam oddychać. Byłam pewna, że się uduszę, zanim dojedziemy do końca ścieżki, jakakolwiek by nie była. Gdy ruszyliśmy, starałam się nie ruszać i skupić na oddychaniu. Z pewnością nie umrę w ten sposób. Usłyszałam, że z klifów spadają skały, ich echo odbijało się wokół. Miałam wrażenie, że ta droga nie ma końca, ale z każdym krokiem przysięgałam sobie, że jeśli kiedykolwiek dojadę do jej kresu, nie zmarnuję już żadnej szansy. Jeśli miałam umrzeć, to dopiero wtedy, gdy zobaczę nóż wbity między zdradzieckie vendańskie żebra Kadena.



Rozdział 44

RAFE

– Wygląda na to, że zrobiła to po raz drugi. Twój gołąbeczek chyba znów pofrunął bez ciebie.

– Nie. – Patrzyłem na drogę, czując, jak pot spływa mi po plecach. – Obiecała przyjść. Wkrótce tu będzie.

– Już wcześniej ci coś obiecywała, ale z łatwością łamała dane słowo.

Spojrzałem ostro na Svena.

– Zamknij się. Po prostu się zamknij!

Czekaliśmy przez ponad godzinę. Słońce było już wysoko nad naszymi głowami. Błyskawicznie zmieniliśmy plany, upewniłem się jednak, że dotrę na miejsce wczesnym rankiem, tak by na pewno się z nią spotkać. Przecież nie mogła mnie minąć na drodze – chyba że wyjechała wcześniej, niż planowała. A może w ogóle jeszcze nie wyruszyła z Terravinu? Może coś opóźniło jej wyjazd? O tej porze dnia na drodze było mnóstwo podróżnych, a nawet oddziałów żołnierzy. Jazda była bezpieczna. Żaden bandyta nie ośmieliłby się na nikogo napaść. Za każdym razem, gdy zza wzgórza wyjeżdżała kolejna osoba, prostowałem się w siodle. Jednak żadna z nich nie była Lią.

– Zamknij się? Tylko na tyle cię stać?

Sven siedział na swoim koniu, wyprostowany i pewny siebie.

– Nie. Tak naprawdę mam ochotę przestawić ci szczękę, ale nie biję starych i chorych.

Odchrząknął.

– To był cios poniżej pasa. Nawet jak na ciebie. Naprawdę musi ci zależeć na tej dziewczynie.

Spojrzałem w miejsce, w którym droga znikąca za wzgórzem.

Później ponownie popatrzyłem na Svena.

– A gdzie reszta? – spytałem. – Dlaczego jeszcze ich tu nie ma? – Wiedziałem, że zachowuję się grubiańsko, ale to czekanie doprowadzało mnie do szału.

– Mój księżę, ich konie z pewnością nie mają skrzydeł. Nasi ludzie spotkają się z nami w dalszej części drogi, o ile oczywiście tam dotrzemy. Wiadomości –

nawet te najpilniejsze – są przekazywane z ograniczoną prędkością.

Myślałem, że mamy więcej czasu. Więcej czasu, żeby przekazać jej tę informację, przekonać ją, poczekać na przybycie eskorty. Pragnąłem zabrać ją do Dalbreck, gdzie nie będą jej zagrażać łowcy nagród i jej morderczy ojciec. Wiedziałem, że trudno będzie przekonać ją do opuszczenia Terravinu. Że będzie to wręcz niemożliwe. Dla mnie taki wyjazd byłby bardzo trudny. Ale zeszłego wieczora wszystkie nasze plany wzięły w łeb. Pragnęła wrócić do Civica – a to było ostatnie miejsce, do którego powinna pojechać. Chciałem jej wyperswadować ten pomysł, a w ostateczności planowałem zapewnić nam odpowiednią ochronę podczas przejazdu przez bramę Civica.

Oczywiście gdy już jej powiem, kim jestem, będę musiał bronić się również przed nią. Bałem się wyjawić jej prawdę. Cały czas nią manipulowałem. Kłamałem. Zwodziłem. Jej zdaniem było to niewybaczalne. Jeśli wracała do domu, żeby zapewnić swojemu królestwu sojusz, wiedziałem, że nie robi tego w celu wyjścia za mnie – wyjeżdżała, żeby poślubić mężczyznę, dla którego nigdy nie miała krzty szacunku. Nadal nim byłem. Nie mogłem cofnąć czasu. Pozwoliłem ojcu wybrać mi żonę. *Tatko*. Nadal słyszałem pogardę w jej głosie. Poczulem ścisk w żołądku.

– Sven, zawałem.

Pokręcił głową.

– Nie, chłopcze, nie ty. Uczyniły to dwa królestwa. Miłość to zawsze niepewna sprawa i lepiej zostawić ją dwóm młodym sercom. W uczuciach nie obowiązują żadne zasady. Dlatego wolę służyć w wojsku. Armię jest mi o wiele łatwiej zrozumieć.

Ale przecież istniały pewne zasady. Tak przynajmniej uważała Lia. A ja, przez swoje oszustwo, złamałem najważniejszą z nich.

Jeśli komuś nie można ufać w miłości, to nie można mu ufać w niczym. Niektórych rzeczy nie można wybaczyć.

Mógłbym się sprzeczać, że ona też kłamała, wiedziałem jednak, że to nie to samo. Teraz była dziewczką w tawernie. I tylko nią chciała być. Próbowała zbudować sobie nowe życie. A ja po prostu wykorzystałem swoją fałszywą tożsamość, żeby zyskać to, co chciałem. Przed przyjazdem tu nie wiedziałem, że to właśnie Lia stanie się tym, czego będę pragnąć.

Zza wzgórza wyjechał kolejny podróżny. I znów się rozczarowałem.

– Może już czas na nas? – zasugerował Sven. – Pewnie jest w połowie drogi do Civica. Poza tym wygląda na to, że sama potrafi świetnie się sobą zaopiekować.

Pokręciłem głową. Coś się nie zgadzało. Na pewno by tu przyjechała. Skierowałem konia w lewo.

– Jadę do Terravinu. Znajdę ją. Jeśli nie wrócę przed zmrokiem, ty i reszta zaczniacie mnie szukać.



Rozdział 45

Ziemia wokół była jałowa i popękana. Nakrywali mi głowę jeszcze dwa razy. Za każdym razem, gdy ściągali worek, moim oczom ukazywał się nowy świat. Ten, w którym obecnie się znajdowaliśmy, był suchy i bezlitosny. Ze względu na upał po raz pierwszy zwolniliśmy i mogliśmy ze sobą rozmawiać – ale oni przemawiali do siebie wyłącznie w swoim języku.

Już dawno powinnam się spotkać z Rafem. Chciałam mu powiedzieć tyle rzeczy. Ale teraz wiedziałam, że już nigdy mu ich nie powiem. Pewnie właśnie wraca do domu, na swoją farmę, przekonany, że złamałam dane mu słowo.

Spojrzałam na wznoszące się w oddali zamglone góry, a potem odwróciłam się, ale zobaczyłam taki sam krajobraz. Jak blisko Terravinu była teraz Pauline?

Kaden zauważył, że zaczęłam się rozglądać.

– Nic nie mówisz – rzucił.

– Naprawdę? Wybacz. O czym mam z tobą rozmawiać? O pogodzie?

Nie odpowiedział. Rzuciłam mu przeciągłe, ostre spojrzenie. Wiedziałam, że czuje na sobie mój wściekły wzrok, chociaż patrzył przed siebie.

– Chcesz wody? – spytał, nawet nie zerkając w moją stronę.

Odczuwałam ogromne pragnienie, nie miałam jednak zamiaru brać niczego od tego zdrajcy. Odwróciłam się do Ebena, który jechał z drugiej strony.

– Chłopcze, możesz oddać mi moją manierkę? – Ostatnim razem, gdy rozwiązali mi ręce i zdjęli worek, cisnęłam manierką w głowę Kadena, więc mi ją zabrali.

Eben spojrzał na Kadena, czekając na jego decyzję. Ten kiwnął głową.

Upiłam łyk, a potem jeszcze jeden. Sądząc po otaczającym nas krajobrazie, nie powinnam marnować wody, polewając sobie nią koszulę.

– Nadal jesteśmy w Morrighan? – spytałam.

Kaden uśmiechnął się półgębkiem i odchrząknął.

– Czyżbyś nie znała granic własnego kraju? Rzeczywiście płynie w tobie królewska krew.

Nagle moja rozważa zniknęła. Był to chyba najgorszy moment na ucieczkę, ale wbiłam piętę w boki konia i ruszyłam galopem po zbitym piachu. Tętent kopyt był tak jednostajny, że przypominał sto bębnow wybijających ten sam rytm.

Nie mogłam uciec – nie miałam dokąd, wokół było tylko pustkowienie. Jeśli nie

zwolnię tempa, upał zabije mojego konia. Ściągnęłam lejce i pozwoliłam, by zwierzę biegło we własnym tempie i uspokoiło oddech. Pogłaskałam je po grzywie i polałam jego pysk cenną wodą, żeby pomóc mu się ochłodzić.

Spojrzałam przez ramię. Spodziewałam się, że będą tuż za mną, ale oni cały czas jechali z tą samą prędkością. Nie mieli zamiaru ryzykować własnych koni, skoro wiedzieli, że znajdują się w pułapce tego zapomnianego przez bogów pustkowia.

Przynajmniej na razie.

Cały czas się tak zaklinałam.

Gdy zrównali się ze mną, ja i Kaden wymieniliśmy surowe spojrzenia, ale nie padło już ani jedno słowo.

Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Słońce za nami opadało powoli. Bolały mnie plecy. Odczuwałam ucisk w karku. Miałam odparzenia od ubrań. Palily mnie policzki. Wydawało mi się, że przejechaliśmy ze sto mil.

Wreszcie upał ustąpił i zachodzące słońce skąpało świat w pięknych barwach. Przed nami znajdowały się gigantyczne głazy, wielkie jak dom. Wyglądały, jakby ktoś zrzucił je prosto z nieba w sam środek tej dziczy. Tamci znów zaczęli ze sobą rozmawiać, Griz dużo gestykulował i ryczał. Tylko on nie potrafił mówić w języku morrighańskim. Malich i Finch mówili z wyraźnym akcentem, a Eben znał ten język niemal tak doskonale jak Kaden.

Konie chyba wyczuły, że będziemy tu nocować, bo przyspieszyły. Gdy zbliżyliśmy się do głazów, przy jednym z nich zobaczyłam źródło i niewielki staw. Czyli to nie był przypadkowy przystanek. Doskonale znali drogę.

– Tutaj – powiedział do mnie Kaden, zeskakując z konia.

Schodząc na ziemię, próbowałam się nie krzywić. Nie chciałam zachowywać się jak księżniczka. Przeciągnęłam się, sprawdzając, która część ciała boli mnie najbardziej. Odwróciłam się i popatrzyłam wrogo na resztę.

– Idę na drugą stronę tych głazów za potrzebą – oznajmiłam. – Nie idźcie za mną.

Eben przewrócił oczami.

– Widziałem już kobiecy tyłek.

– No cóż, mojego nie zobaczysz. Zostań tutaj.

Malich zaczął się śmiać – po raz pierwszy w ich towarzystwie usłyszałam śmiech – a Finch potarł ramię i jęknął, po czym rzucił na ziemię suchą, zakrwawioną szmatę, którą miał pod koszulą. Wiedziałam, że mu podpadłam, najwyraźniej jednak rana była czysta – inaczej byłby już w dużo gorszym stanie. Żałowałam, że nie zamoczyłam noża w truciźnie. Przeszłam na drugą stronę, omijając szerokim łukiem Griza, i znalazłam odpowiednie ustronne miejsce.

Gdy ulżyłam swojemu pęcherzowi, wyszłam z cienia. Gdyby chcieli mnie zabić, z pewnością już by to zrobili. Co w takim razie zamierzali ze mną uczynić?

Usiadłam na skale i zaczęłam się przyglądać pagórkom oddalonym ode mnie może jakąś milę. A może trzy? Na tym gorącym pustkowiu trudno było oszacować odległość. Czy po zapadnięciu zmroku będę widziała dostatecznie dużo, żeby się tam przedostać? I co potem? Do przetrwania potrzebowałam co najmniej manierki i noża.

– Lio? – Kaden mnie znalazł.

Patrzyłam, jak podchodzi bliżej, i jego dwulicowość jeszcze bardziej mnie uderzyła. Nie byłam już wściekła, tak jak rano, ale odczuwałam ból. Przecież mu zaufałam.

Z każdym jego krokiem moje uczucia do niego diametralnie się zmieniały, tak jak piękny gobelin, który odwrócony na lewą stronę ukazuje brzydkie supelki i pętelki. Zaledwie kilka tygodni temu opatrywałam jego ramię. Zaledwie kilka dni temu Pauline powiedziała, że ma miłe oczy. Zaledwie dwa wieczory wcześniej tańczyłam z nim, a wczoraj pocałowałam go w policzek. *Kadenie, jesteś dobrym człowiekiem. Niezlomnym i wiernym swoim obowiązkom.*

Jak mało to dla niego znaczyło! Odwróciłam wzrok. Jak mogłam dać się tak oszukać? Suchy piach skrzypiał pod jego stopami. Kaden stawiał kroki powoli, w wyważony sposób. Zatrzymał się kilka metrów ode mnie.

Ból podszedł mi do gardła.

– Powiedz mi jedno – szepnęłam. – Czy to ciebie wysłano z Vendy, żebyś mnie zabił?

– Tak.

– Dlaczego więc nadal żyję?

– Lio...

– Kadenie, powiedz mi prawdę. Proszę. Dotrzymałam słowa, przyjechałam tu z wami i nie sprawiałam kłopotów. Jesteś mi to winien. – Bałam się, że czekało mnie coś o wiele gorszego niż śmierć.

Zrobił kolejny krok i stanął przede mną. Jego twarz wyglądała na łagodniejszą, bardziej znajomą. Czy to dlatego, że obok nie było jego towarzyszy?

– Postanowiłem, że żywa bardziej przydasz się w Vendzie – odparł.

Postanowił. Niczym bóg. Dzisiaj Lia będzie żyć.

– W takim razie popełniłeś błąd taktyczny. Nie mam żadnych informacji. Nie znam strategii wojskowych. I nie dostaniesz za mnie żadnego okupu.

– Ale masz inne cechy. Powiedziałem reszcie, że masz dar.

– Co zrobiłeś? – Pokręciłam głową. – W takim razie okłamałeś swoich... – Złapał mnie za nadgarstki i postawił do pionu. Moja twarz znalazła się tuż przed jego twarzą. – To był jedyny sposób, żeby cię ocalić – syknął cicho. – Rozumiesz? Nie zaprzeczaj więc, że masz dar. Nie wobec nich. Ani wobec nikogo innego. Tylko dzięki temu żyjesz.

Moje kolana trzęsły się jak galareta.

– Skoro nie chciałeś mnie zabić, to dlaczego po prostu nie wyjechałeś z Terravinu? Mogłeś powiedzieć, że wykonałeś zlecenie. Przecież nie zorientowaliby się.

– Żebyś mogła wrócić do Civica i zawrzeć sojusz z Dalbreck? Fakt, że cię nie zabiłem, nie oznacza jeszcze, że nie jestem lojalny wobec swoich. Lio, nigdy nie zapominaj, że Venda zawsze jest najważniejsza. Ważniejsza od ciebie.

Poczułam napływającą falę gorąca i natychmiast odzyskałam władzę w nogach. Wyrwałam mu się. Miałabym zapomnieć? Nigdy.



Rozdział 46

RAFE

Cały czas się rozglądałem, szukając jej śladu. Podjechałem do dwóch pobliskich farm, na wypadek, gdyby wstąpiła tam po wodę albo gdyby ktoś ją zauważył. Ale nikt jej nie widział. Gdy jechałem główną drogą Terravinu, byłem przekonany, że nadal przebywała w gospodarstwie.

Pod zajazdem zobaczyłem nieprzywiązane osły. Drzwi były otwarte, ze środka dochodziła wrzawa. Przywiązałem konia i wbiegłem po schodach. Pauline siedziała przy stole i z trudem łapała oddech. Płakała rozpaczliwie. Berdi i Gwyneth stały po obu jej stronach i starały się ją uspokoić.

– Co się dzieje? – spytałem.

Berdi machnęła ręką.

– Cisza! Dopiero przyjechała. Niech nam o wszystkim opowie!

Gwyneth chciała dać jej trochę wody, ale Pauline odepchnęła szklanekę.

Upadłem na kolana przed Pauline i złapałem ją za ręce.

– Pauline, gdzie jest Lia? Co się stało?

– Mają ją...

Wysłuchałem wszystkich szczegółów, jakie mi podała, cały czas łkając. Było ich pięciu. Jednym z nich był Kaden. Nie miałem czasu, żeby się wściec. Nie miałem czasu, żeby się przestraszyć. Po prostu słuchałem, starałem się zapamiętać każde słowo, wypytywałem ją o ważne szczegóły, o których nie wspomniała. Pauline, jakie to były konie? Dwa ciemnobrażowe, trzy czarne. Bardzo dobrze zbudowane. Bez oznaczeń. Tej samej rasy, co koń Kadena. Bardzo wytrzymałe i szybkie. Ale nie miała pewności. To wszystko wydarzyło się tak szybko. Jeden z mężczyzn był wielki. Bardzo wielki. A jeden to jeszcze chłopiec. Mówili w innym języku, może vendańskim.

Lia nazywała ich barbarzyńcami. Jak dawno to było? Nie wiedziała.

Może jakieś trzy godziny temu. Pojechali na wschód. Gdzie je napadli? W lesie przy drodze, na północ od żółtej farmy. Jest tam niewielka polana. Wyszli z zarośli. Czy powinienem coś jeszcze wiedzieć? Powiedzieli, że jeśli ktoś za nimi pojedzie, to Lia zginie. Nie zginie. Na pewno nie zginie.

Szybko wydałem polecenie Berdi. Suszona ryba, wszystko, co suszone.

Musiałem jechać. Pobiegnęła do kuchni i wróciła po kilkunastu sekundach.

Było ich pięciu. Nie mogłem jednak czekać na Svena i resztę. Z każdą minutą ślady coraz bardziej się zacierały.

– Posłuchaj mnie uważnie, Pauline – powiedziałem. – Po zmroku przyjedzie tu grupa mężczyzn, którzy będą mnie poszukiwać. Czekaj na nich. Opowiedz im to wszystko. Powiedz im, dokąd mają jechać. – Odwróciłem się do Berdi i Gwyneth. – Naszykujcie dla nich prowiant. Nie będziemy mieć czasu na polowanie.

– Nie jesteś parobkiem – zauważyła Gwyneth.

– Nie obchodzi mnie, kim on jest – rzekła Berdi i wsunęła do mojej kieszeni materiałową sakiewkę. – Jedź!

– Ich dowódca nazywa się Sven. Będzie z nim co najmniej tuzin ludzi! – krzyknąłem przez ramię, biegnąc w stronę drzwi.

Przede mną było sześć godzin dnia. Nappełniłem bukłak wodą ze studni i zabrałem worek owsa dla konia. Mieli ogromną przewagę. Pogoń trochę potrwa. Ale uda mi się. Zrobię, co będzie trzeba, żeby przywieźć ją z powrotem. Raz już ją znalazłem. Znajdę i drugi raz.



Rozdział 47

Obudziłam się z nożem przystawionym do szyi. Nade mną szczyrzyły się zęby.

– Skoro masz dar, dlaczego nie przewidziałaś, że do ciebie przyjdę?

To był ten chłopiec, Eben. Miał dziewczęcy głos, spoglądał na mnie z miną zaciekawionego bezdomnego. To jeszcze dziecko. Mimo wszystko był już zaprawionym w bojach złodziejem. A teraz chciał ukraść moje życie. Skoro żyłam tylko dzięki darowi, to Eben najwyraźniej jeszcze tego nie rozumiał.

– Widziałam, jak idziesz – odparłam.

– To dlaczego nie wstałaś, żeby odeprzeć atak?

– Bo zobaczyłam również...

Nagle wyleciał wysoko w powietrze i wylądował kilka metrów dalej.

Usiadłam, patrząc na Griza. To jego dostrzegłam ponad ramieniem Ebena. Nie przepadał za mną, ale najwyraźniej nie tolerował samodzielnego podejmowania decyzji. Kaden już dopadł Ebena, złapał go za kark i podniósł z ziemi.

– Nie chciałem zrobić jej krzywdy – zaczął narzekać Eben, rozcierając szczękę. – Tylko się z nią droczyłem.

– Jeśli jeszcze raz zaczniesz się z nią droczyć, to pójdiesz za nami bez konia! – ryknął Kaden i pchnął chłopaka z powrotem na ziemię. – Pamiętaj, że to nagroda dla Komizara, nie dla ciebie. – Podszedł i odpiął moją kostkę od siodła – środki ostrożności, żebym nie próbowała uciec w nocy.

– Czyli teraz jestem nagrodą? – spytałam.

– Wojennym łupem – odparł rzeczowo.

– Nie wiedziałam, że jesteśmy na wojnie.

– Zawsze jesteśmy na wojnie.

Wstałam, rozcierając sobie kark, ostatnio tak często nadwyreżany.

– Jak już mówiłam, Eben, nie widziałam potrzeby obrony, ponieważ we śnie zobaczyłam, jak myszołowy bawią się twoimi wyschniętymi kośćmi, a ja odjeżdżam w dal na moim koniu. W sumie może się tak jeszcze wydarzyć, prawda?

Na chwilę wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, a potem skrzywił się z wściekłością, zupełnie niepasującą do jego wieku.

Dzień był taki sam jak poprzedni – upalny, suchy, wyczerpujący

i monotonny. Za wzgórzami znajdowała się kolejna kotlina, a potem kolejna. Była to droga do piekła, nie miałam szans na ucieczkę. Nawet wzgórza były jałowe. Nie było gdzie się ukryć. Zastanawiało mnie tylko, że do tej pory nikogo nie minęliśmy. Ale kto by podróżował po takich pustkowiach?

Trzeciego dnia śmierdziałam tak straszliwie jak Griz, ale nikt tego nie zauważył. Wszyscy śmierdzeli tak samo. Mieli brudne twarze, założyłam więc, że moja wygląda podobnie – stawaliśmy się dzikimi, brudnymi zwierzętami. Miałam piasek w ustach, w uszach, wszędzie, moje ręce błyszczały od potu.

Jadąc, wysłuchiwałam ich pomruków, próbowałam zrozumieć ich słowa. Niektóre były proste. Koń. Woda. Zamknij się. Dziewczyna. Zabić. Nie dałam jednak po sobie poznać, że coś rozumiem. Wiezorami, tak dyskretnie, jak tylko mogłam, przeszukiwałam vendańską książkę w poszukiwaniu znaczeń kolejnych słów, ale to był podręcznik z bardzo podstawową wiedzą. Jedz. Siedź. Stój. Nie ruszaj się.

Finch często gwizdał albo nucił jakieś melodie. Jedną z nich rozpoznałam. To była głupia piosenka z mojego dzieciństwa, ale dzięki niej, po przetłumaczeniu na morrighański, poznałam kolejne vendańskie słowa.

Głupiec i jego złoto,

Wysoki stos monet

Zbierał i gromadził,

Aż dosięgnął nieba,

Ale żadnej z monet

Głupiec nigdy nie wydał.

Im stos wyższy był,

Tym głupiec chudszy.

Nie wydawał na picie,

Nie wydawał na jadlo,

Któregoś słonecznego dnia

Skąpiradło trupem padło.

Gdyby tylko ci głupcy chcieli monet, już by mnie tu nie było. Kim był ten Komizar, którego bali się do tego stopnia, że rezygnowali z bogactwa? I jak karał zdrajców? Czy istniało coś gorszego niż ta męczarnia? Otarłam pot z czoła, ale poczułam tylko lepiaący się piasek.

Gdy nawet Finch ucichł, zaczęłam myśleć o matce i jej długiej podróży z Królestw Mniejszych Gastineux. Nigdy tam nie byłam. Królestwa znajdowały się na odległej północy, gdzie zima trwała trzy sezony, lasami rządziły białe wilki, a lato było krótkie, ale oślepiało zielenią, tak słodką, że jej zapach czuć było przez całą zimę. Tak przynajmniej opowiadała ciotka Bernette. Opowieści matki były mniej szczegółowe, widziałam jednak wyraz jej twarzy, gdy ciotka opowiadała o ich ojczyźnie. W oczach matki pojawiały się jednocześnie uśmiech i smutek.

Śnieg. Zastanawiałam się, jaki jest w dotyku. Ciotka Bernette mówiła, że może być miękki i twardy, zimny i gorący. Kłuje i pali, gdy wiatr unosił go w powietrzu, był łagodny niczym zimne pióro, gdy w leniwych kręgach spadał z nieba. Nie wyobrażałam sobie, że coś może kryć w sobie tyle przeciwieństw, zastanawiałam się, czy ciotka nie ubarwiała swoich opowieści, jak zawsze twierdził ojciec. Nie potrafiłam przestać o tym myśleć.

Śnieg.

Może chodziło o uśmiech i smutek w oczach matki, która pragnęła jeszcze raz go poczuć. Dotknąć. Posmakować. Tak jak ja chciałam jeszcze raz poczuć Terravin. Zostawiła swoją ojczyznę, przejechała setki mil – a przecież była wtedy mniej więcej w moim wieku. Z całą pewnością jednak jej podróż nie równała się z tym, przez co teraz przechodziłam. Zerknęłam na pusty, bezbarwny krajobraz. Nie, z pewnością nie musiała tego przeżywać.

Otworzyłam manierkę i napiłam się wody.

Nie miałam pojęcia, jak miałabym wrócić do cywilizowanego świata, wiedziałam jednak, że prędzej zaginę w tej dziczy, niż pozostanę wśród vendańskich zwierząt. Bo tym właśnie byli – zwierzętami. Wieczorem, gdy rozbijaliśmy obóz, żaden z nich – poza Kadenem – nie wysiłał się na tyle, żeby pójść za potrzebą za skały. Kiedy odwracałam wzrok, wybuchali śmiechem. Zeszłej nocy, gdy upiekli węża, którego Malich zabił swoim toporem, mlaskali i bekali niczym świnię przy korycie. Kaden oderwał kawałek węża i podał mi, ale nie chciałam. Straciłam apetyt nie przez krew kapiącą po ich palcach czy na wpół upieczone mięso węża – ale przez wulgarne i obleśne odgłosy, które wydawali. Bardzo szybko dało się zauważyć, że Kaden jest inny. Był z nimi, ale do nich nie należał. Nadal coś ukrywał.

Gdy przestawali rozmawiać, słyszałam niekończący się tętent kopyt na piachu i od czasu do czasu dźwięki wydawane przez Fincha, który jechał teraz obok mnie zamiast Ebena.

– Zabieracie mnie aż do Vendy? – spytałam Kadena.

– W przeciwnym razie nie miałyby to sensu.

– Ale przecież to po drugiej stronie kontynentu.

– Och, czyli jednak rodzina królewska zna się trochę na geografii.

Nie było sensu marnować energii na zdzielenie go manierką w głowę.

– Znam się na wielu rzeczach, Kadenie. Wiem nawet, że przez Cam Lanteux przejeżdżają konwoje kupców.

– Karawany Previzi? Nie masz szans. Nikt nie może się zbliżyć do ich towarów ani do nich samych.

– Są też patrole.

– Nie tam, dokąd jedziemy. – Szybko gasił tłącą się we mnie iskierkę nadziei.

– Ile czasu zajmie nam droga do Vendy?

– Pięćdziesiąt dni plus minus miesiąc. Ale z tobą potrwa to pewnie dwa razy dłużej.

A jednak – moja manierka pofrunęła w stronę jego łba, ciężka niczym ołów. Złapał się za głowę, a ja przygotowałam się na zadanie kolejnego ciosu. Rzucił się na mnie i ściągnął mnie z konia. Gdy spadliśmy na ziemię z głuchym łomotem, ponownie się zamachnęłam, tym razem pięścią. Trafiłam w szczękę. Przeturlałam się i podniosłam na kolana, ale wtedy uderzył mnie z tyłu. Wpadłam twarzą w piasek.

Usłyszałam śmiech i wycie pozostałych, szczerze rozbawionych naszą walką.

– Co się z tobą dzieje? – syknął mi Kaden do ucha. Zwalił się na mnie całym ciężarem. Zamknęłam oczy, a potem zacisnęłam powieki, próbując przełknąć ślinę i złapać oddech.

Co się dzieje? Czy naprawdę musiałam odpowiadać na to pytanie?

Gorący piasek palił mnie w policzek. Udawałam, że to śnieg. Czułam jego mokry dotyk na rzęsach, delikatne muśnięcia na nosie.

Co się dzieje? Zupełnie nic.

W końcu wiatr się uspokoił. Słuchałam trzaskającego ognia. Tego dnia zatrzymaliśmy się wcześniej u podnóża kolejnych wzgórz. Wspięłam się na grań i patrzyłam na zachodzące słońce, niebo nadal było rozgrzane do białości, w powietrzu nie było nawet odrobiny wilgoci, która mogłaby nadać mu kolor czy głębię. Ja i Kaden nie rozmawialiśmy ze sobą. Podczas dalszej jazdy pozostali od czasu do czasu rzucali w siebie moją manierką z udawanym przerażeniem, a potem wybuchali rechotem, aż wreszcie Kaden wrzasnął, żeby się uspokoił. Cały czas gapiłam się przed siebie, nie zerkałam ani na lewo, ani na prawo. Nie myślałam o śniegu ani o domu. Nienawidziłam siebie za to, że pozwoliłam, by zobaczyli moje mokre policzki. Własny ojciec nigdy nie widział, jak płacę.

– Żarcie! – krzyknął do mnie Kaden.

Kolejny wąż.

Zignorowałam go. Mieli świadomość tego, że nie ucieknę. Nie tutaj. Nie chciałam jeść ich obleśnego węża, który pewnie i tak był pełen piachu.

Zamiast tego patrzyłam na zmieniające się niebo, na biel, która stawała się czernią, na gwiazdy, tak duże, tak bliskie, że miałam wrażenie, że ich dosięgnę. Może wtedy udałoby mi się zrozumieć, co poszło nie tak.

Jedyne, czego pragnęłam, to cofnąć czas, spełnić swój obowiązek, żeby mieć pewność, że Walther jest bezpieczny i że nie zginie już więcej niewinnych osób, takich jak Greta i jej dziecko. Aby to uczynić, porzuciłam wszystko, co kochałam: Terravin, Berdi, Pauline, Rafe'a. Znalazłam się jednak tutaj, na środku pustkowia, i nie mogłam pomóc nikomu, nawet sobie. Rzucano mnie na ziemię, twarzą do piachu. Wyśmiewano mnie. Szydzono ze mnie. Zdradziła mnie osoba, której zaufałam. A nawet więcej. Na której mi zależało.

Zaczęłam trzeć policzki, żeby łzy przestały płynąć.

Spojrzałam w gwiazdy, błyszczące, migoczące, żywe. Obserwowały mnie. Jakoś z tego wybrnę. Uda mi się. Obiecałam sobie, że nie będę już reagować na obelgi. Powinnam oszczędzać siły na ważniejsze cele. Będę musiała nauczyć się grać w ich grę, ale lepiej. Może to trochę potrwać, ale miałam na to pięćdziesiąt dni – byłam przekonana, że jeśli przekroczyć granicę Vendy, już nigdy nie zobaczę domu.

– Przyniosłem ci coś do jedzenia.

Odwróciłam się. Kaden trzymał nóż z nadzianym nań kawałkiem węża.

Spojrzałam z powrotem w gwiazdy.

– Nie jestem głodna.

– Musisz coś zjeść. Nie jadłaś cały dzień.

– Zapomniałeś już? W południe nażarłam się piachu. Wystarczy mi.

Usłyszałam, jak wypuszcza powietrze. Podeszedł i usiadł obok mnie. Położył na kamieniu nóż z mięsem. Też zaczął patrzeć w gwiazdy.

– Lio, nie jestem w tym zbyt dobry. Prowadzę dwa oddzielne życia i z reguły jedno nie spotyka się z drugim.

– Kadenie, oszukujesz sam siebie. Nie prowadzisz ani jednego życia. Jesteś zabójcą. Żywisz się cierpieniem innych i zabierasz życie, które nie należy do ciebie.

Pochylił się i wbił wzrok w swoje stopy. Nawet w świetle gwiazd widziałam, jak zaciska szczękę, jak drży mięsień w jego policzku.

– Jestem żołnierzem, Lio. To wszystko.

– To kim w takim razie byłeś w Terravinie? Kim byłeś, gdy ładowałeś towary na wóz Berdi? Gdy opatrywałam ci ramię? Gdy przyciągnąłeś mnie do siebie i zacząłeś ze mną tańczyć? Gdy pocałowałam cię w policzek na łące? Kim

wtedy byłeś?

Spojrzał na mnie, rozchylił wargi. Zmrużył oczy.

– Byłem tylko żołnierzem. Zawsze byłem tylko tym.

Gdy nie mógł już wytrzymać mojego spojrzenia, wstał.

– Jedz, proszę – powiedział cicho. – Będiesz potrzebowała dużo sił.

Wyciągnął nóż z mięsa i zostawił je na skale. Po chwili odszedł.

Popatrzyłam na upieczonego węża. To okropne, ale Kaden miał rację. Potrzebowałam sił. Zjem to ohydztwo, nawet jeśli będę miała odruch wymiotny przy każdym kęsie.



okąd poszła, Amo?

Odeszła, moje dziecko.

Ukradziono ją, tak jak wiele innych.

Ale gdzie?

Uniosłam brodę dziecka. Miała zapadnięte z głodu oczy.

Chodź, poszukamy razem jedzenia.

Ale dziecko dorasta, nie tak łatwo je zbyć.

*Wiedziała, gdzie znaleźć jedzenie. Potrzebujemy jej. I dlatego odeszła.
Dlatego ją ukradli.*

Ty też masz w sobie dar, moje dziecko. Słuchaj.

Obserwuj. Znajdziemy jedzenie, trochę trawy,

trochę ziarna. Czy ona wróci?

Jest za murem. Dla nas jest już martwa.

Nie, ona nie wróci.

Moja siostra Venda jest już jedną z nich.

– Ostatnie Testamenty Gaudrel



Rozdział 48

– Nazywają je miastem ciemnej magii.

Patrzyliśmy na ruiny wznoszące się ponad piaskami niczym połamane, ostre zęby.

Teraz przynajmniej miałam pewność, że nie jesteśmy już w Morrighan.

– Wiem, co to jest – rzekłam do Kadena. – Członkowie rodziny królewskiej też słuchają różnych historii. – Gdy tylko zobaczyłam zniszczone miasto, wiedziałam, co to jest. Wielokrotnie mi je opisywano. Znajdowało się tuż za granicami Morrighan.

Zauważyłam, że pozostali zamilkli. Griz spoglądał przed siebie spod gęstych, krzaczastych brwi.

– O co im chodzi? – spytałam.

– Chodzi o miasto. O jego magię. Ze strachu unoszą się im włosy na karku. – Kaden wzruszył ramionami i wiedziałam już, że on nie ma żadnych obiekcji.

– W walce z duchami miecz nie ma szans – szepnął Finch.

– Ale w mieście jest woda – rzekł Malich. – A my jej potrzebujemy.

Słyszałam wiele barwnych historii na temat tego mrocznego, magicznego miasta. Ponoć zostało wzniesione na samym środku pustkowia i było pełne tajemnic. Ponoć Starożytni ćwiczili tu rzucanie zaklęć i oferowali niewypowiedziane rozkosze, oczywiście za konkretną cenę. Ulice były wyłożone złotem, w fontannach płynął nektar, można było tu znaleźć każdy możliwy rodzaj magii. Uważano, że duchy nadal zazdrośnie strzegły ruin i że to właśnie dlatego tak wiele budynków nadal stało nienaruszonych.

Powoli jechaliśmy dalej. Gdy zbliżyliśmy się do miasta, zobaczyłam, że piaski wypluwały z niego większość kolorów, tylko od czasu do czasu widać było odrobinę czerwieni, złota, fragment starożytnego pisma, wyryty na ścianie. To miasto nie stanowiło już całości. Wszystkie magiczne wieże, które niegdyś sięgały ku niebu, w jakimś stopniu się rozpadły, ale ruiny idealnie oddawały ducha tego miejsca. Można było sobie wyobrazić Starożytnych, którzy się po nim przechadzają.

Eben gapił się przed siebie szeroko otwartymi oczami.

– Gdy będziemy tędy przejeżdżać, lepiej mówić cicho, tak by nie obudzić czarnej magii i duchów.

Obudzić duchy? Przyjrzałam się twarzom moich niegdyś gwałtownych porywaczy – wszyscy siedzieli grzecznie w swoich siodłach. Zachciało mi się śmiać i poczułam nagły przypływ sił. Nie miałam broni, musiałam więc wykorzystywać to, co nawinęło mi się pod rękę, poza tym prędzej czy później będę musiała ich przekonać, że naprawdę posiadam dar.

Pociągnęłam za lejce i gwałtownie zatrzymałam konia.

– Poczekajcie! – Zamknęłam oczy. Uniosłam wysoko brodę. Usłyszałam, jak reszta się zatrzymuje. Zapadła pełna oczekiwania cisza.

– Co ty robisz? – spytał zniecierpliwiony Kaden.

Spojrzałam na niego.

– Kadenie, to mój dar. Nie mogę go kontrolować.

Zacisnął usta i zmrużył oczy. Ja zmrużyłam moje.

– Co zobaczyłaś? – spytał Finch.

Pokręciłam głową i zrobiłam zmartwioną minę.

– Nie za bardzo to rozumiem. Ale z pewnością oznaczało to kłopoty. Tak, widziałam czekające na nas kłopoty.

– Jakie kłopoty? – spytał Malich.

Westchnęłam.

– Nie wiem, bo Kaden mi przerwał.

Pozostali popatrzyli na niego wrogo.

– *Idaro!* – ryknął Griz. Najwyraźniej rozumiał język morrighański, nawet jeśli w nim nie mówił.

Kaden ściągnął lejce swojego konia.

– Chyba nie musimy się martwić o...

– To ty powiedziałaś, że ona ma dar – rzekł Eben.

– Bo ma – wycedził Kaden. – Ale nie widzę żadnych kłopotów. Będziemy jechać ostrożnie. – Spojrzał na mnie surowo.

A ja tylko się do niego uśmiechnęłam.

Przecież nie prosiłam się o udział w tej maskaradzie. Nie mógł ode mnie oczekiwać, że będę przestrzegać jego zasad. Jechaliśmy główną drogą, przebiegającą przez miasto. Nie widziałam żadnej ulicy, tylko piasek, który zagarnął tyle miasta, ile mu się udało – ale i tak byłam szczerze zachwycona wspaniałymi ruinami. Cytadela w moim rodzinnym mieście była olbrzymia. Zbudowanie jej zajęło pół wieku, a rozbudowywanie – wiele kolejnych dekad. To była największa struktura, o jakiej wiedziałam, jednak przy tych milczących, wielkich budowlach zdawała się być malutka.

Kaden szepnął, że na środku jednej z ruin znajdowały się naturalne źródło i basen, w którym mogłabym się umyć. Postanowiłam, że dopóki się nie umyję, nie będzie mi dane przeżyć kolejnej wizji. Wjechaliśmy między ruinami tak daleko, jak tylko się dało, a potem przywiązaliśmy konie do pozostałości po marmurowych

filarach, blokujących naszą ścieżkę, i resztę drogi pokonaliśmy pieszo.

To było coś więcej niż basen. To było magiczne miejsce i niemal uwierzyłam, że nadal przebywają w nim duchy Starożytnych. Z połamanych grubych marmurowych płyt woda spływała po śliskich kamieniach i wpadała do błyszczącego źródła, z trzech stron otoczonego rozpadającymi się ścianami.

Gapiłam się na tę wodę, pragnąc jej tak bardzo, jak jeszcze nigdy niczego nie pragnęłam. Nie tylko miałam ochotę zanurzyć w niej dłonie i umyć twarz. Pragnęłam do niej wskoczyć i poczuć, jak każda jej cudowna kropla pieści moje ciało. Kaden dostrzegł moje spojrzenie.

– Podaj mi swoją manierkę, naleję do niej wody i napoję twojego konia. No, dalej.

Zerknęłam na Griza i pozostałych, którzy myli sobie twarze i szyje.

– Nie martw się – dodał. – Nie będą myć nic więcej. Masz cały basen dla siebie. – Skierował wzrok na Malicha. – Ale na twoim miejscu bym się nie rozbierał.

Kiwnęłam głową. Gdybym musiała, wykapałabym się teraz nawet w grubej zimowej pelerynie.

Kaden poszedł napełnić manierki, a ja zdjęłam buty i szybko weszłam do wody. Poczułam, jak moje stopy zapadają się w zimny biały piasek, który pokrywał dno, i pomyślałam, że chyba jestem w niebie. Szybko zanurzyłam się poniżej lustra wody i przepłynęłam na drugą stronę, gdzie woda spływała spośród połamanych słupów niczym wodospad. Gdy pozostali odeszli, żeby napoić konie, szybko odpięłam koszulę i ściągnęłam ją razem ze spodniami. Pływałam w bieliźnie i halce, zdrapując brud i piasek, które dostały się do każdej szczeliny w moim ciele. Potem ponownie zanurzyłam głowę i zaczęłam trzeć skórę i włosy, czując, jak wyciągam piach. Wypłynęłam na powierzchnię i nabrałam powietrza. Jeszcze nigdy woda nie zadziałała na mnie tak oczyszczająco. Piekła nie wypełniał ogień, lecz wiatr, piach i kurz.

Szybko przepłukałam spodnie, żeby zmyć z nich brud, a potem je założyłam. Już miałam wyprać koszulę, gdy usłyszałam ciężkie walenie. Odwróciłam głowę, próbując zobaczyć, skąd dochodził dźwięk. Wtedy usłyszałam cichy tętent.

Konie.

Byłam zdezorientowana. Zwierząt było więcej niż naszych sześć. I nagle zorientowałam się, że ktoś dmie w róg.

Och, bogowie! To patrol!

Wybiegłam z wody, wgramoliłam się na skałę i dalej, na jakąś ruinę.

– Tutaj! – krzyknęłam. – Tutaj!

Walenie stało się jeszcze głośniejsze, a ja biegłam wąskimi ścieżkami, przez kawałki połamanych gruzów, kalecząc nagie stopy.

– Tutaj! – wrzeszczałam cały czas, pędząc w stronę głównej drogi, która wiała

się przez środek miasta. To był prawdziwy labirynt, wiedziałam jednak, że jestem blisko, ponieważ walenie stało się jeszcze głośniejsze. Dostrzegłam galopujące konie.

– Tutaj! – krzyknęłam raz jeszcze.

Już miałam wybiec na drogę, gdy poczułam, jak jakaś ręka zasłania mi usta. Ktoś wciągnął mnie w cień.

– Lio, cicho. Inaczej wszyscy zginiemy.

Walczyłam z ręką Kadena, próbując otworzyć usta i ugryźć go, ale mocno trzymał mnie za brodę. Pociągnął mnie na ziemię i przyciskał do swej piersi, wciskając nas oboje w zacieniony kąt. Krzyczałam nawet z zamkniętymi ustami, ale za cicho, by ktoś mógł mnie usłyszeć poprzez tętent koni.

– To patrol z Dalbreck – szepnęłam. – Nie będą wiedzieć, kim jesteś. Najpierw nas zabiją, a dopiero potem zaczną zadawać pytania.

Nie! Cały czas walczyłam. To może być patrol Walthera! Albo kogoś innego! Oni by mnie nie zabili! Potem jednak przypomniałam sobie kolory koni. Niebieski i czarny, barwy Dalbreck.

Tętent zaczął cichnąć w oddali, aż wreszcie pozostało po nim tylko drganie. Potem zapadła cisza.

Odjechali.

Osunęłam się na pierś Kadena. Zabrał rękę z moich ust.

– Będziemy musieli zostać tu trochę dłużej i upewnić się, że odjechali – szepnęłam mi do ucha. Uświadomiłam sobie, że patrol już dawno przejechał, a Kaden nadal mnie obejmował.

– Nie zabiliby mnie – rzekłam cicho.

Przechylił się, jego usta musnęły moje ucho.

– Jesteś pewna? Teraz wyglądasz jak jedna z nas, a ich nie interesuje, czy jesteś kobietą czy mężczyzną – od razu nas zabijają. Dla nich jesteśmy jedynie barbarzyńcami.

Czy byłam pewna? Oczywiście, że nie. O Dalbreck wiedziałam bardzo mało, tylko tyle, że od wieków Morrighan miało z nim różne utarczki i bitwy.

Kaden pomógł mi wstać. Woda nadal ściekała z moich włosów. Mokre spodnie, znów oblepione piachem, opinały moje ciało. Gdy jednak spojrzałam na posiniaczone i krwawiące stopy, do głowy przyszły mi dwie myśli.

Po pierwsze – teraz przynajmniej wiedziałam, że patrole czasami zapuszczają się tak daleko. Jeszcze nie byłam poza ich zasięgiem. A po drugie – tak jak przewidziałam – były problemy.

Och, dzięki temu zyskam ogromną moc.



Rozdział 49

RAFE

Schyliłem się i popatrzyłem na ciemną plamę na ziemi.

Roztarłem brud między palcami.

Krew.

Zabiję ich.

Jeśli zrobili jej krzywdę, zabiję gołymi rękami każdego z tych zbirów. A Kadena zostawię sobie na koniec.

Ruszyłem jeszcze szybciej, próbując zostać na ich szlaku tak długo, jak długo było widno. Podłoże stało się skaliste, coraz trudniej było ich śledzić. Musiałem zwolnić. Zauważyłem, że słońce błyskawicznie stało się ognistą, pomarańczową kulą na niebie. Za szybko zachodziło. Jechałem tak długo, jak tylko dałem radę, ale w ciemnościach nie mogłem ich śledzić.

Zatrzymałem się na pagórku i rozpałem ogień, na wypadek gdyby Sven i reszta tędy przejeżdżali. Jeśli nie, miejsce po ognisku będzie łatwe do znalezienia za dnia, gdy będą mnie szukać. Zacząłem poruszać kijem palące się badyłe. Czy Lii jest teraz ciepło? Czy jest ranna? Po raz pierwszy, odkąd dowiedziałem się o jej istnieniu, gdy ojciec zaproponował mi małżeństwo z nią, miałem nadzieję, że rzeczywiście ma dar i widzi, że już do niej jadę.

– Wytrzymaj – szepnąłem w płomienie i zacząłem się modlić, żeby zrobiła wszystko, co należało, żeby była silna i przetrwała aż do naszego przyjazdu.

Wiedziałem, że nawet gdy ją znajdę, będę musiał poczekać na pozostałych. Doskonale znałem różne wojskowe taktyki i miałem świadomość, jakie szanse ma jeden człowiek wobec pięciu. Pomijając urządzenie zasadzki, nie mogłem ryzykować bezpieczeństwa Lii i ruszyć na nich w pojedynkę.

Co ona teraz robi? Czy on ją skrzywdził? Czy daje jej jeść. Czy...

Przełamałem gałąź na pół.

Przypomniałem sobie słowa, które mi powiedział, gdy walczyliśmy na pniu. „Odpuść, Rafe. Spadniesz”.

Nie, Kadenie.

Nie tym razem.



Rozdział 50

Płaska biel piasków ustąpiła miejsca barwom płonącego nieba – miały każdy możliwy z odcieni czerwieni i żółci. Nadal było strasznie gorąco, powietrze błyszczało w słońcu, teraz jednak widziałam różne skały i nieziemskie struktury.

Minęliśmy olbrzymie budowle z ogromnymi dziurami, tak jakby prześlizgiwał się po nich monstrualny wąż. Jeśli kiedykolwiek mogłabym uwierzyć w istnienie magii i olbrzymów, to właśnie teraz. Tutaj znajdowało się ich królestwo. Czasami docieraliśmy na wysoką grań i widzieliśmy wiele mil różnokolorowych kanionów, tak głębokich, że woda w nich przypominała cienkie zielone wstążki.

Patrząc na nie, odczuwałam taki sam ból, jak wtedy, gdy spoglądałam w rozgwieżdżone niebo. Nie znałam takiego świata. Poza granicami Morrighan było jeszcze tyle rzeczy do poznania!

Moi porywacze nadal zachowywali się dziko i wrogo, ale teraz, gdy tylko przekrzywiałam głowę i przystawałam, trzepocząc rzęsami, skupiałam na sobie ich uwagę. Nowa umiejętność wprawiała mnie w zachwyt. Zaczynali się wiercić w siodłach, spoglądali spod łbów na horyzont. Tylko Kaden patrzył prosto na mnie. Wiedział, że bawię się ich strachem, być może nawet martwiła go siła, jaką sam mi podarował, ale nie mógł z tym nic zrobić. Oszczędnie korzystałam z mocy, jaką nad nimi miałam, żywiąc nadzieję, że nadejdzie czas, gdy będę mogła wykorzystać ją lepiej niż tutaj, na tym pustkowiu. Możliwe nawet, że w którymś momencie uda mi się uciec.

Liczyłam dni, ryjąc krótkie kreski na skórzanym siodle ostrym kawałkiem skały. Chciałam wiedzieć, ile czasu zostało mi na ucieczkę z ich szponów. Miałam wrażenie, że prowadzą mnie najbardziej odległymi szlakami, jakie można sobie wyobrazić. Czy całe Cam Lanteux tak wygląda? Skoro jednak ich strategia nie do końca się powiodła, tak jak to było w Mieście Ciemnej Magii, to będę mieć jeszcze co najmniej jedną okazję do ucieczki – i tym razem będę przygotowana. Tak samo jak oni wpatrywałam się w horyzont w poszukiwaniu nieproszonych towarzyszy podróży.

Starłam się nie myśleć o Rafie, ale po wielu monotonnych godzinach zamartwiania się o Pauline, zapewniania siebie samej, że na pewno nic jej nie jest, po godzinach zastanawiania się, czy Walther żyje i gdzie przebywa, po godzinach

przełykania guli w gardle i myślenia o Grecie i dziecku – w końcu zawsze wracałam do Rafe’a.

Pewnie jest już w domu, gdziekolwiek to było, i wraca do starego życia. *Rozumiem obowiązki*. Ale czy on nadal o mnie myśli? Czy widzi mnie w swoich snach, tak jak ja widzę jego? Czy wspomina wspólnie spędzone chwile, tak jak ja? A potem nagle nachodziły mnie mroczne myśli i zaczynałam się zastanawiać, dlaczego nie próbował odwieść mnie od mojego pomysłu? Dlaczego tak łatwo pozwolił mi odejść? Czyżbym była dla niego tylko kolejną dziewczyną w drodze z jednego punktu do drugiego, kolejnym letnim romansem, którym będzie się potem chwalić po zajazdach? Skoro Pauline dała się zwieść, to może ja też?

Pokręciłam głową, próbując pozbyć się wątpliwości. Nie, nie Rafe. To, co było między nami, było prawdziwe.

– Co się dzieje? – spytał Kaden. Reszta też gapiła się na mnie.

Zaskoczył mnie. Nie odpowiedziałam.

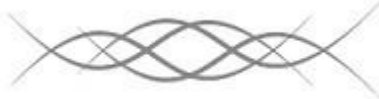
– Zaczęłaś kręcić głową.

Obserwowali mnie uważniej, niż się spodziewałam.

Westchnęłam.

– Nic.

Tym razem nie byłam w nastroju, żeby zabawiać się ich strachem.



Wreszcie zamiast czerwonych klifów i skał moim oczom ukazały się pagórki, tym razem porośnięte coraz bardziej intensywną zielenią. Jechaliśmy wijącą się kotliną pomiędzy dwoma górskimi grzbietami. Powoli wjeżdżaliśmy w las – w inny świat. Miałam wrażenie, że znajdujemy się już na drugiej stronie kontynentu, a przecież nasza podróż miała trwać jeszcze miesiąc. Pamiętałam, jak spoglądałam na zatokę w Terravinie, na granicę oddzielającą niebo i ziemię, i zastanawiałam się, czy ktoś naprawdę może dotrzeć tak daleko i odnaleźć drogę do domu? Jasne domy, wzniesione w zatoce, chroniły ludzi przed zabłądzeniem na morzu. A co ochroni mnie? Jakim cudem znajdę drogę do domu?

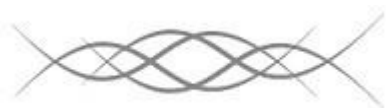
Robiło się ciemno. Góry po obu stronach były coraz wyższe, las wokół gęstniał, ale nagle na horyzoncie zobaczyłam coś, co ucieszyło mnie niemal tak bardzo, jak widok patrolu.

Chmury. Ciemne, kłębiące się, nabrzmiące wodą. Ich czerń pędziła na nas niczym wojsko. Jaka to będzie ulga!

– *Sevende! Ara te mats!* – ryknął Griz i ruszył galopem. Reszta zrobiła to samo.

– Czyżby bali się drobnego deszczyku? – spytałam Kadena.

– Tego konkretnego tak – odrzekł.



Przywiązaliśmy konie do drzew rosnących wśród ruin. Otarłam wodę z oczu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Wejdź do środka razem z innymi! – rozkazał Kaden, próbując przekrzyczeć wiatr i ogłuszający szum lasu. – Ja zdejmę siodła z koni i przyniosę twoje rzeczy!

Nagle rozległ się taki grzmot, że zadzwoniły mi zęby. Byliśmy już przemoczeni do suchej nitki. Odwróciłam się, żeby dołączyć do pozostałych, siedzących w ciemnych ruinach tuż obok góry. Wiatr targał moje włosy i musiałam je przytrzymywać, żeby cokolwiek widzieć. Lał rześisty deszcz, ale błyskawica rozświetliła na chwilę okolicę i zobaczyłam kilka bardziej suchych kątów. Griz próbował rozpalić ogień w jednej z kamienistych wnęk po drugiej stronie jaskini. Finch i Eben usiedli w drugiej wnęce. Niegdyś musiał to być olbrzymi budynek, jakaś świątynia, jak nazwalibyśmy ją ja i moi bracia. Dzisiaj jednak nie było w niej nic świętego.

– Tutaj. – Malich wciągnął mnie pod nisko wiszące kamienie. – Tutaj jest sucho.

Owszem, było sucho, ale jednocześnie bardzo ciemno i ciasno. Nie puścił mojej ręki. Jego dłoń przejechała po moim ramieniu. Próbowałam wyjść z powrotem na deszcz, ale złapał mnie za włosy.

– Zostań – powiedział i pociągnął mnie do tyłu. – Nie jesteś już księżniczką, tylko więźniem. Zapamiętaj to sobie. – Wyciągnął drugą rękę i przejechał nią po moich żebrach.

Zamarłam. Wiedziałam, że albo ja stracę włosy, albo on straci swoją męskość. Wołałam to drugie. Zaciśnęłam palce, gotowa do obrony, ale wtedy w oddali pojawił się Kaden. Malich natychmiast mnie puścił.

– Tutaj! – krzyknęłam.

Grizowi udało się rozpalić ogień po drugiej stronie jaskini, upiorne płomienie rozświetliły wnętrze. Kaden zobaczył nas w ciemnym zakątku. Podeszedł i podał mi moje siodło.

– Może dziś spać ze mną – rzekł Malich.

Kaden utkwiał w nim twardy wzrok. Złote światło oświetlało jego kość policzkową, mokre włosy i nabrzmiałą żyłkę w jego skroni.

– Nie – odparł krótko.

Na długą chwilę zapadła cisza. Kaden nawet nie mrugnął. Malich był tego samego wzrostu i postury, ale mimo to czuł do niego respekt, jeśli nie strach. Czyżby zabójcy znajdowali się w hierarchii wyżej niż barbarzyńcy, czy może chodziło o coś innego?

– Zachowuj się – rzekł Malich i pchnął mnie w stronę Kadena.

Potknęłam się o kamień i wpadłam na jego pierś. Złapał mnie i podtrzymał.

Znalazł inne suche miejsce, z dala od pozostałych, i odsunął nogą kilka kamieni, żeby można było się położyć. Rozłożył śpiwory. Wiedziałam, że dziś nie będzie kolacji. Pogoda uniemożliwiła polowanie czy zbieranie jedzenia. Napiłam się wody, żeby uspokoić burczenie w żołądku. Byłam tak głodna, że bez problemu zjadłabym któregoś z naszych koni, razem z kopytami.

Kaden stanął tyłem do mnie, odpiął koszulę, ściągnął ją i powiesił na kamieniu, żeby wyschła.

Gapiałam się na jego plecy. Nawet w półmroku widziałam blizny. Wiele długich blizn, sięgających od łopatek aż do pasa. Odwrócił się i zobaczył, że na niego patrzę. Nabrałam powietrza. Na jego piersi i żebrach było jeszcze więcej blizn.

– No cóż, prędzej czy później musiałaś to zobaczyć – powiedział.

Przełknęłam ślinę. Przypomniałam sobie, jak podczas zabaw na festiwalu nie chciał zdjąć koszuli. Teraz już wiedziałam dlaczego.

– Czyżby twoje ofiary zażarcie walczyły?

– Chodzi ci o moje plecy? Nie. Ale nie musisz się martwić, blizny są stare i dawno wyleczone. – Ułożył śpiwory i wskazał miejsce obok siebie. Podeszłam i położyłam się tak blisko ściany, jak tylko mogłam.

Usłyszałam, jak opada na swój śpiwór, a po chwili poczułam, że wpatruje się w moje plecy. Odwróciłam się do niego.

– Skoro nie masz tych blizn od pracy, to od czego?

Oparł się na łokciu, drugą dłonią zaczął bezwiednie gładzić się po żebrach. Błądził wzrokiem, jakby przypominał sobie każdy bat, ale jego twarz pozostała spokojna, przyzwyczajona do skrywania tajemnic.

– To było dawno temu. I nie ma już żadnego znaczenia. Śpij, Lio.

Przewrócił się na plecy i zamknął oczy. Wpatrywałam się w jego opadającą i unoszącą się pierś.

Oczywiście, że to miało znaczenie.

Dwie godziny później nadal rozmyślałam o Kadenie i brutalnym życiu, jakie wiódł – bardziej brutalnym, niż kiedykolwiek mogłabym się spodziewać. Blizny mnie przeraziły. Nie chodziło o ich widok, ale o to, skąd się wzięły. Powiedział, że są stare i wyleczone. Jak stare mogły być? Przecież był zaledwie kilka lat starszy ode mnie. Zastanawiałam się, czy Eben też ma blizny pod koszulą. Co Vendańczycy robią swoim dzieciom? Co zrobią ze mną?

Po raz pierwszy od bardzo dawna trzęsłam się z zimna. Byłam przemoczona do suchej nitki, ale nie miałam czym się przykryć. Trudna podróż z Civica do Terravin była przy tym luksusowym wojażem. Nadal grzmiało, ale Kaden spał kamiennym snem, nieświadomy hałasu. Po raz pierwszy, odkąd wyjechaliśmy

z Miasta Ciemnej Magii, mnie nie związał, pewnie założył, że na poranionych stopach daleko nie zajdę. I miał rację – z początku. Teraz były już niemal zdrowe, ale dla niepoznaki pilnowałam się, żeby cały czas kuśtykać.

Wiatr i ulewa wciąż szalały, a ja trzęsłam się pod wpływem każdego grzmotu. Hałas bez problemu zagłuszał chrapanie Griza. Przewróciłam się na bok i spojrzałam na siodło leżące u stóp Kadena. Serce zaczęło mi mocniej bić. Przecież był tam mój sztylet. Będę go potrzebować. Ryk burzy mógł zagłuszyć o wiele więcej niż chrapanie.

Powoli usiadłam. Otaczał nas las, miałam gdzie się ukryć. Czy jednak będę w stanie jechać na nieosiodłanym koniu przez taką nawałnicę? Samo wdrapanie się na śliski grzbiet zwierzęcia będzie wyzwaniem, nawet jeśli uda mi się do niego dotrzeć. Ale gdyby udało mi się poprowadzić jednego z koni do przewróconego pnia...

Najpierw szłam na czworaka. Potem wstałam, czekając, czy ktokolwiek mnie zauważy. Nikt się nie poruszył, więc nabrałam powietrza i podeszłam do stóp Kadena. Nie spuszczając z niego wzroku, ostrożnie podniosłam siodło. Bałam się nawet przełknąć ślinę. Burza zagłuszała wszelkie odgłosy, ale na wszelki wypadek miałam zamiar przeszukać siodło już na zewnątrz. Zaczęłam iść, powoli i ostrożnie iść...

Nie odchodź. Jeszcze nie.

Zamarłam. Poczułam ścisk w gardle. Moje nogi były gotowe do ucieczki, ale głos był tak wyraźny, jakby należał do mnie. Mocno trzymałam siodło, moje ręce zaczęły się trząść.

Jeszcze nie.

Gapiłam się na Kadena, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Nie miałam pojęcia, czy to on do mnie mówi. Wypuściłam powietrze i wbrew sobie ponownie ukucnęłam, obniżając się centymetr po centymetrze. Odłożyłam siodło u jego stóp. A potem, tak samo powoli, położyłam się na swoim miejscu. Wpatrzona w kamienie ponad nami, z wściekłości się popłakałam.

– Mądra decyzja – szepnął Kaden.



Rozdział 51

RAFE

Gdy Sven zaczął uczyć mnie tropienia, miałem dwanaście lat.

Bardzo narzekałem, wolałem spędzić ten czas na wymachiwaniu mieczem albo uczeniu się manewrów podczas jazdy konnej. Cicha, ostrożna praca tropiciela po prostu mnie nudziła. Byłem żołnierzem. A przynajmniej miałem zamiar nim być.

Popchnął mnie i przewrócił na ziemię. „Chłopcze, wróg nie zawsze maszeruje wielkimi oddziałami”, rzekł. „Niekiedy podbić królestwo może jedna osoba”. Patrzył na mnie groźnie znad tego swojego długiego, ostrego nosa. Wstałem. „Czy mam powiedzieć twojemu ojcu, że to ty będziesz człowiekiem, przez którego upadnie królestwo, ponieważ jedyne, na co masz ochotę, to wymachiwanie metalowym kijem?”. Skrzywiłem się, ale pokręciłem głową. Nie chciałem być tym człowiekiem. Szybko zostałem odtrącony i przekazany Svenowi, który miał zrobić ze mnie mężczyznę. Gorliwie przyłożył się do pracy. Starał się mi pomóc, a ja go słuchałem.

Sven wiedział, jak sobie radzić w dziczy – z wiatrem, ziemią, kamieniami i trawą, jak odczytywać pozostawione przez wroga ślady. Wskazówki można było znaleźć nie tylko w zgaszonych ogniskach czy odchodach. We krwi, która wsiąkła w glebę. W śladach stóp czy końskich kopyt. Jeśli miałeś konia, to miałeś ogromne szczęście. Dużo można było wywnioskować po rozdeptanych roślinach. Przełamanej gałęzi. Roślinności poruszonej przez czyjeś ramię lub koński bok. Ślady pozostawały nawet na skalistym podłożu. Kamień wbity w ziemię. Żwir usypany w nieregularne wzory. Piach zsunięty przez migrujący kamień. Kurz z końskich kopyt znajdujący się nie tam, gdzie powinien. Przypomniałem sobie jego słowa: „Deszcz to jednocześnie przyjaciel i wróg, w zależności od tego, kiedy nadejdzie”.

Na szybko Svenowi udało się zebrać grupę zaledwie trzech ludzi, zwłaszcza że Dalbreck chwaliło się swoją potęgą obok bastionu Azentil. Dołączyli do mnie trzeciego dnia. Mieli lepszy czas niż ja, ponieważ zostawiałem im wyraźne ślady, czasem ustawiałem kamienie, które bez trudu mogli dostrzec z oddali, gdy ziemia stała się skalista.

Zgadywałem, że byliśmy dwa dni drogi za Lią. Może trochę więcej. Było coraz mniej śladów. Kilka razy musieliśmy się cofać, ale udało się nam odnaleźć trop tuż za Miastem Ciemnej Magii. Gdy się zbliżyliśmy, zobaczyliśmy, że przejeżdżały tędy dziesiątki koni, pędzących w przeciwnym kierunku. Patrol. Ale czyj?

Ponownie znaleźliśmy ślady na wąskiej drodze między dwiema skalnymi ścianami. Na jej końcu znajdowały się ruiny, w których teraz się zebraliśmy. Miałem ochotę coś rozwalić, ale wszystko wokół mnie było już rozwalone. Patrzyłem na zakrwawiony odcisk palca u stopy, znajdujący się na marmurze obok basenu, słuchałem odgłosów burzy – teraz każda kropla deszczu była wrogiem, a nie przyjacielem.

Sven siedział na przewróconym filarze naprzeciw mnie. Wpatrywał się w swoje stopy i kręcił głową. Wiedziałem, że znajdują się co najmniej dwa dni przed nami. Zanim znajdziemy świeże tropy, być może będziemy musieli przejechać sto lub więcej mil. O ile w ogóle coś znajdziemy. Ulewa zmyje wszystkie ślady między nami a nimi.

– Twój ojciec każe mi za to ściąć głowę – rzekł Sven.

– Jeśli teraz mi nie pomożesz, a pewnego dnia to ja zostanę królem, sam każę cię ściąć.

– Wtedy będę już zniedołężniałym starcem.

– Mój ojciec już jest zniedołężniałym starcem. To może nastąpić szybciej, niż się spodziewasz.

– Zaczynamy szukać?

– Tylko w którym kierunku? Od tego miejsca wiedzie kilkanaście dróg.

– Możemy się rozdzielić.

– Ale i tak nie sprawdzimy wszystkich możliwości, a jeśli któryś z nas trafi na właściwy ślad, stanie oko w oko z pięcioma przeciwnikami.

Wiedziałem, że Sven stroi sobie ze mnie żarty i wcale się nie martwi moim ojcem ani swoją głową. Po prostu naciskał, żebym podjął ostateczną decyzję.

– Może pora przyznać, że znalazła się poza naszym zasięgiem?

– Sven, przestań mnie prowokować.

– W takim razie podejmij jakąś decyzję.

Nie mogłem znieść myśli, że na tak długo zostawię Lię w rękach barbarzyńców, ale nic innego nie mogłem zrobić.

– Jedźmy. Dotrzemy do Vendy przed nimi.



Rozdział 52

KADEN

Od wyjazdu z Terravinu czułem, że płoną mi wnętrzności. Nie spodziewałem się, że będzie mnie lubiła po tym, co zrobiłem. Jak mogła to zrozumieć? Ja jednak nie miałem przed sobą takich wyborów, jak szlachetnie urodzeni. Najważniejsza była lojalność. Tylko to trzymało mnie przy życiu.

Gdybym kiedykolwiek okazał się nielojalny i nie przywiózł jej razem z nami, ktoś inny zostałby wysłany, żeby dokończyć to, co należało dokończyć. Wyznaczono by kogoś bardziej chętnego do wykonania tej roboty, na przykład Ebena. Albo, co gorsza, Malicha.

A ja, oczywiście, zostałem zabity – taka właśnie kara powinna mnie spotkać za zdradę. Nikt nigdy nie okłamał Komizara.

Bo przecież właśnie to uczynię, gdy powiem mu, że ona ma dar. Może ona potrafi oszukać innych – Griz i Finch pochodzą ze starych wiosek wśród wzgórz, gdzie nadal wierzy się w duchy i inne niewidzialne zjawiska – ale ja i Komizar nie dajemy wiary takim bujdom.

Jeśli nie dostanie namacalnego dowodu na jej dar, uzna ją za bezużyteczną. Będzie musiała rozwinąć swoje umiejętności oszukiwania. Wiedziałem jednak, że Komizar z pewnością wybaczy mi samowolną zmianę decyzji i to, że zamiast zabić Lię, przywiozłem ją do niego. Znał moje pochodzenie i rolę, jaką odegrało w moim życiu to, co niewidzialne. Rozumiał również, dlaczego tak wielu Vendańczyków nadal w to wierzy. Potrafił odpowiednio to wykorzystać.

Podrapałem się po piersi. Teraz, gdy Lia zobaczyła blizny, miałem wrażenie, że są świeże – cały czas myślałem o tym, jak je odebrała. Może doszła do wniosku, że rzeczywiście jestem zwierzęciem. Bałem się, że teraz byłem dla niej już tylko tym.



Rozdział 53

Było dopiero południe, jednak czułam, że do czegoś się zbliżamy, i bardzo się tym denerwowałam. Finch cały czas pogwizdywał, a Eben co chwila wyjeżdżał do przodu, a potem wracał. Może zmiana pogody trochę ich ożywiła. Zrobiło się wyraźnie chłodniej, wczorajszy deszcz zmył z nas brud.

Malich jak zwykle był posępny, od czasu do czasu tylko rzucał mi sugestywne spojrzenie. I wtedy Griz zaczął sobie nucić. Zacisnęłam palce na lejcach. Griz nigdy nie nucił. Ale było jeszcze za wcześnie, żebyśmy dotarli do Vendy. Z pewnością nie pomyliłam się o tyle dni.

Eben wrócił.

– *Le fe esa! Te iche!* – krzyknął kilka razy.

Nawet nie próbowałam ukryć swojego przerażenia.

– Widzi obóz? – spytałam.

Kaden spojrzał na mnie dziwnie.

– Co powiedziałaś?

– O jakim obozie mówi Eben?

– Skąd wiesz, o czym on mówi? Przecież mówi po vendańsku.

Nie chciałam, żeby wiedział, ile nauczyłam się z ich języka, ale słowo „obóz” było jednym z pierwszych, jakie poznałam.

– Co wieczór przy zasypianiu Griz mruczy „iche” – wyjaśniłam. – Entuzjazm Ebena zdradził mi resztę.

Kaden milczał, przez co moje zdenerwowanie tylko wzrosło. Czyżbyśmy wjeżdżali do obozu barbarzyńców? Czy teraz będę otoczona setkami Vendańczyków?

– Zatrzymamy się tu na kilka dni. Jest tu dobra łąka, konie będą mogły się najeść i odpocząć. Nie tylko my schudliśmy, a przecież przed nami jeszcze szmat drogi.

– Co to za obóz? – spytałam.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Zobaczysz.

Nie chciałam niczego „zobaczyć”. Chciałam wiedzieć. Natychmiast. Zaczęłam się zastanawiać, jak mogłabym wykorzystać pobyt w obozie. Poza zmianą pogody kolejnym błogosławieństwem byłoby zejście z tego olbrzymiego konia na kilka dni. Siedzenie na czymś innym niż twarde jak skała siodło było teraz

jednym z moich marzeń. I może dostaniemy więcej niż jeden posiłek dziennie. Prawdziwy posiłek. Nie kościstego, na wpół surowego gryzonia, który smakował jak śmierdząca stara podeszwa. Zapomniałam już, jak to jest mieć pełny żołądek. To prawda, wszyscy straciliśmy na wadze, nie tylko konie. Czułam, jak spodnie zjeżdżają mi z bioder, codziennie niżej, bo nie miałam paska, żeby je przytrzymać.

Może nawet uda mi się znaleźć chwilę na osobności i będę mogła poczytać książki, które zabrałam Mędrce. Ukryłam je pod siodłem – nadal chciałam wiedzieć, dlaczego były tak ważne, że Mędrzec kazał mnie zabić.

Eben ponownie wrócił. Tym razem szeroko się uśmiechał.

– Widzę wilki!

Wilki? Moje fantazje na temat obozu nagle zniknęły, ale kopnęłam konia i popędziłam razem z Ebenem. Były dwa sposoby na spotkanie się z tym, co nieuniknione – albo ktoś zmusi cię do spotkania z przeznaczeniem, albo sama wyjdiesz mu naprzeciw. Niezależnie od tego, kogo spotkam na swej drodze, nie mogłam pozwolić, by dostrzegł mój strach. Nauczyłam się tego jeszcze na królewskim dworze. „Zjedzą cię żywcem, jeśli zobaczą, że się boisz”, powiedział Regan. Nawet moja matka nauczyła się konfrontować się z gabinetem ojca, chociaż w o wiele łagodniejszy sposób niż ja. Ja jeszcze nie opanowałam sztuki bycia łagodną.

Eben śmiał się, gdy galopowałam u jego boku, tak jakby to była świetna zabawa. To tylko dziecko, pomyślałam po raz kolejny, ale skoro nie bał się wilków, to ja też nie będę, chociaż serce podpowiadało mi co innego.

– Tuż za drzewami! – krzyknął.

Strome góry wokół nas nieco się otworzyły, las się cofnął i znaleźliśmy się na szerokiej łące, przez którą leniwie przepływała rzeka. Ominęliśmy zagajnik, Eben przyspieszył, ja jednak pociągnęłam za lejce i stanęłam. Poczułam, jak żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Co to było? Zamrugiałam gwałtownie. Czerwienie, pomarańcze, żółcie, fiolety, błękity, wszystko na morzu zieleni, drżące na wietrze. Gobeliny i kolorowe wstążki, parujące kotły, wszędzie feeria barw. Terravin. To były żywe i jasne kolory Terravinu.

Po łące hulał wiatr. Poruszał trawami, owiewał moją twarz.

Tutaj.

Poczułam ciepło w żołądku. Byłam już pewna.

Kaden podjechał do mnie.

– To obóz włóczęg.

Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam, słyszałam jednak o kolorowych wozach zwanych carvachi, o namiotach z kolorowych tkanin, dywanów i wszystkiego, co udało im się znaleźć, o barwnych szklanych dzwoneczkach zwisających z wozów, o plecionych grzywach koni, pstrych ubraniach, zdobionych miedzią i srebrem, tajemniczych szlakach, niepodlegającym żadnemu prawu,

nieposkromionych przez żadne granice.

– Jak tu pięknie... – szepnęłam.

– Domyślałem się, że to docenisz, Lio.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Kadena. Zastanawiałam się nad sposobem, w jaki wypowiedział moje imię. Po raz pierwszy od wyjazdu wypowiedział je bez cierpienia w głosie.

– Czy obóz zawsze tu stoi? – spytałam.

– Nie, co sezon wyruszają dalej. Tutaj zimy są zbyt ostre, poza tym przebywanie w jednym miejscu nie jest w ich stylu.

Griz, Finch i Malich minęli nas i pojechali prosto do obozu. Koń Kadena zaczął się szarpać i walić kopytami w ziemię, chcąc pojechać za swymi towarzyszami.

– Jedziemy? – spytał Kaden.

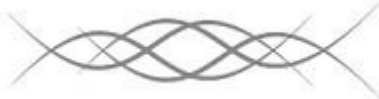
– Czy oni mają kozy?

W jego oczach pojawiło się ciepłe rozbawienie.

– Możliwe, że mają jedną lub dwie.

– To świetnie – odparłam, bo jedyne, o czym teraz myślałam, to kozi ser.

Mogę go nawet sama dla nich zrobić. Kozi ser. Teraz liczyło się tylko to. Żeby go dostać, zniosę nawet obecność wilków.



W półkolu ustawiono pięć carvachi i trzy małe namioty, po przeciwnej stronie stał pojedynczy wielki namiot. Tylko w konfiguracji wozów i namiotów panował jako taki ład. Każdy kolor, każda faktura, każdy kształt carvachi, każde świecidełko wiszące na pobliskim drzewie – wszystko zdawało się być efektem jakiegoś kaprysu, spontanicznego pomysłu.

Pozostali zsiadli z koni, mieszkańcy obozu podchodzili, żeby się z nimi przywitać. Jeden z mężczyzn walnął Griza mocno w plecy i podał mu małą butelkę. Griz odrzucił głowę do tyłu i pociągnął solidny łyk, zakasłał, a potem otarł usta grzbietem dłoni. Obaj zaczęli się śmiać. Griz *potrafił się śmiać*. Otaczało ich już więcej niż tuzin włóczęgów. Z dużego namiotu wyszła stara kobieta z długimi, sięgającymi pasa warkoczami. Podeszła do przybyłych.

Kaden i ja zatrzymaliśmy się za nimi. Wszyscy odwrócili się, by na nas popatrzeć. Gdy mnie dostrzegli, ich uśmiechy natychmiast zniknęły.

– Zsiądź z konia – szepnął Kaden. – Uważaj na tę starą.

Miałam uważać na staruszkę, gdy ostatnio moimi towarzyszami byli tylko zabójcy? Chyba nie mówił poważnie.

Zeskoczyłam z konia i stanęłam między Grizem a Malichem.

– Dzień dobry – rzekłam. – Jestem Lia. A dokładniej księżniczka Arabella

Celestine Idris Jezelia, Pierwsza Córka Domu Morrighan. Zostałam porwana i przywieziona tu wbrew mojej woli, mogę jednak przez chwilę na to nie zważać, jeśli dacie mi kawałek koziego sera i kostkę mydła.

Otworzyli usta. Stara kobieta o siwych warkoczach przecisnęła się do przodu.

– Słyszeliście – powiedziała niecierpliwie, z wyraźnym akcentem. – Przynieście tej dziewczynie trochę koziego sera. Mydło damy jej później.

Po chwili wszyscy wybuchnęli śmiechem, tak jakbym opowiedziała im jakąś bajeczkę, a potem kobiety zaczęły dotykać moich łokci, pleców, ciągnąć za nogę, prowadząc mnie do dużego namiotu na środku obozu. To nomadowie, przypomniałam sobie, nie Vendańcy. Nie musieli być wierni żadnemu królestwu. Ale jak na mój gust byli zbyt przyjaźnie nastawieni wobec tych barbarzyńców. Doskonale ich znali i nie wiedziałam, czy w ogóle mi uwierzyli. Może się roześmiali, ale zanim to zrobili, zapanowała długa chwila ciszy. Na razie odpuszczę, tak jak powiedziałam. Najpierw jedzenie. Prawdziwe jedzenie. Na bogów, oni rzeczywiście mają kozi ser. Pocałowałam palce i uniosłam je w górę.

Wnętrze namiotu wyglądało tak samo jak na zewnątrz. Mieszanka dywanów i kwiecistych tkanin na podłodze i ścianach, różne poduszki. Każda w innym kolorze i rozmiarze. Na słupach wisiało kilka szklanych lampionów, oczywiście każdy w innym stylu, na ścianach wisiało mnóstwo ozdób. Kobiety posadziły mnie na miękkiej różowej poduszce i aż zamrugałam ze zdziwienia – moje pośladki już dawno zapomniały, jaka to wygoda. Westchnęłam i na chwilę zamknęłam oczy, rozkoszując się tym doznaniem.

Poczułam, jak ktoś unosi mi włosy, i natychmiast spojrzałam w tę stronę. Dwie kobiety oglądały mojego kołtuna, podnosiły pasmo po paśmie i kręciły współczująco głowami.

– *Neu, neu, neu* – powiedziała jedna, jakby ktoś dopuścił się straszliwej zbrodni na moich włosach.

– *Cha lou utor li pair au entrie noivoix* – zwróciła się do mnie druga.

Nie był to vendański ani morrighański. Ten język brzmiał jak połączenie ich obu, uzupełnione innymi dialektami, ale przecież ci ludzie byli wędrowcami i sądząc po namiotach – zbieraczami. Najwyraźniej zbierali języki tak samo, jak resztę przedmiotów.

Pokręciłam głową.

– Przykro mi. Nie rozumiem.

Natychmiast zaczęły mówić w moim języku:

– Trzeba się zająć twoimi włosami.

Dotknęłam splątanego kołtuna, który niegdyś był bujną fryzurą.

Nie czesałam się od wielu dni. Nie miało to dla mnie większego znaczenia. Skrzywiłam się, bo przyszło mi do głowy, że pewnie wyglądam jak dzikie zwierzę.

Jak barbarzyńca.

Jedna z kobiet ścisnęła moje ramię.

– Nie martw się. Jak powiedziała Dihara, zajmiemy się tym później. Jak już się najesz.

– Dihara?

– Stara.

Kiwnęłam głową. Dopiero wtedy się zorientowałam, że staruszka nie weszła do namiotu razem z innymi. Kaden i reszta też nie weszli, a gdy spytałam, gdzie są, kobieta o pięknych, bujnych kształtach i wielkich czarnych oczach odparła:

– Ach, mężczyźni, najpierw oddają cześć Bogu Zboża. Przez jakiś czas nie będziemy ich widzieć.

Reszta zaczęła się śmiać. Trudno mi było sobie wyobrazić, że Griz, Malich i Finch oddają cześć komukolwiek. Wiedziałam jednak, że Kaden potrafił doskonale oszukiwać. W jednej chwili mógł czcić boga i mówić piękne słówka, knując, co ukraść w kolejnej.

Do namiotu weszła dziewczyna w wieku Ebena, niosąca wielką tacę. Postawiła ją u moich stóp. Przełknęłam ślinę. Od samego patrzenia na jedzenie zaczynała mnie boleć szczęka. Dostałam też talerze. Prawdziwe kute talerze. I śliczne, malutkie widelczyki z kwiecistymi wzorami. Patrzyłam na talerz koziego sera, na mały porcelanowy naporstek z miodem, koszyk z trzema maślanymi plackami, wielką miskę zupy marchwiowej i górę solonych ziemniaków w plastrach. Czekałam, aż ktoś zacznie pierwszy, ale moje towarzyszki usiadły i tylko na mnie patrzyły. Wreszcie zrozumiałam, że to wszystko dla mnie.

Z szacunku wypowiedziałam szybkie nerwowe wspomnienie i rzuciłam się do jedzenia. Gdy jadłam, one rozmawiały, czasami we własnym języku, czasami w moim. Młoda dziewczyna, która przyniosła jedzenie, przedstawiła się jako Natiya i zaczęła mi zadawać dziesiątki pytań, na które odpowiadałam pomiędzy kolejnymi kęsami. Byłam głodna jak wilk i nie zamierzałam tego ukrywać, oblizywałam palce i wzdychałam raz po raz z błogością. W pewnej chwili pomyślałam, że zaraz się popłaczę z wdzięczności, ale płacz tylko przerwałby moją ucztę.

Natiya pytała, ile mam lat, co najbardziej lubię jeść, gdy jednak spytała „Czy naprawdę jesteś księżniczką? ”, pozostałe umilkły i spojrzały na mnie w oczekiwaniu. Czy jestem księżniczką?

Abdykowałam wiele tygodni temu, po wyjeździe z Civica i po tym, jak zabroniłam Pauline zwracać się do mnie per „Wasza Królewska Mość”. Z całą pewnością teraz ani nie wyglądałam, ani nie zachowywałam się jak księżniczka. Tak naprawdę wykorzystywałam swój tytuł tylko wtedy, gdy mi to odpowiadało. Przypomniałam sobie słowa Walthera: „Lio, zawsze będziesz sobą”.

Wzięłam ją pod brodę i kiwnęłam głową.

– Tak, ale taką samą jak ty – osoba, która przyniosła mi ten posiłek. Jestem ci za to naprawdę wdzięczna.

Uśmiechnęła się i spuściła powieki z długimi czarnymi rzęsami, na jej policzkach pojawił się rumieniec. Wszyscy wrócili do rozmowy, a ja zajęłam się ostatnim plackiem.



Gdy już napełniłam żołądek, zaprowadzono mnie do innego namiotu i zgodnie z obietnicą zajęto się moimi włosami. Wymagało to ogromnej pracy, ale kobiety były delikatne i bardzo cierpliwe. Dwie rozczesywały włosy pasmo po paśmie, kolejne szykowały mi kąpiel i napełniały miedzianą wannę wodą podgrzaną na ognisku. Widziałam, jak patrzą na mnie z ukosa. Byłam dla nich ciekawym zjawiskiem. Prawdopodobnie nigdy nie odwiedzały ich żadne kobiety. Gdy przygotowały kąpiel, było mi obojętne, czy ktoś zobaczył mnie nagą. Rozebrałam się, weszłam do wody i pozwoliłam, by wcierały w moją skórę i włosy olejki i zioła. Zaczęłam się modlić: jeśli mam umrzeć podczas tej wyprawy, to pragnę umrzeć właśnie teraz.

Ciekawił je również mój kavah, nazywały go tatuażem. Uświadomiłam sobie, że właśnie tym się stał. Nie był już tymczasowy. Wodziły palcami po wzorkach i mówiły, że jest cudowny. Uśmiechnęłam się. To miłe, że ktoś się nim zachwycał.

– I te kolory... – zauważyła Natiya. – Są takie piękne.

Kolory? Przecież tam nie było żadnych kolorów poza rdzawą barwą linii, założyłam jednak, że to właśnie miała na myśli.

Gdy nagle usłyszałam jakieś krzyki przed namiotem, chciałam wstać, ale kobieta o imieniu Reena delikatnie mnie zatrzymała.

– To tylko mężczyźni. Wrócili z gorących źródeł i oddają cześć. Będą to robić do późnej nocy.

Byli bardziej pobożni, niż myślałam. Gdy ich krzyki ucichły, wróciłam do luksusowej kąpieli. Czułam się strasznie, wiedząc, że będę musiała założyć moje brudne łachmany, ale ku mojemu zdumieniu kobiety zaczęły ubierać mnie we własne ubrania – przyniosły różne spódnice, szale, bluzki i paciorki, tak jakby ubierały dziecko. Kiedy skończyły, znów poczułam się jak księżniczka – księżniczka wędrowców. Reena zawiązała na mojej głowie błękitną szarfę obrzuconą srebrną nicią, tak by paciorki wisały mi tuż nad czołem.

Cofnęła się i złapała pod boki, żeby przyjrzeć się swemu dziełu.

– Teraz wyglądasz mniej jak wilczyca, a bardziej jak prawdziwa członkini Plemienia Gaudrel.

Plemienia Gaudrel? Odwróciłam się i spojrzałam na kwiecisty dywan.

Gaudrel. To imię wydawało mi się takie znajome, jakby już kiedyś wyszło z moich ust.

– Gaudrel – szepnęłam, a potem sobie przypomniałam.

Ve Feray Daclara au Gaudrel.

Tak brzmiał tytuł jednej z książek, które ukradłam Mędrcowi.



zywam ją, płacząc,

modląc się, żeby słyszała,

Nie bój się, dziecko,

Opowieści będą zawsze.

Prawda ujeżdża wiatr,

Posłuchaj, a znajdzie cię.

Ja cię znajdę.

– Ostatnie Testamenty Gaudrel



Rozdział 54

Byłam na łące. Leżałam na brzuchu, ostrożnie odwracając delikatne i kruche strony starożytnego manuskryptu. Przegoniłam Ebena, zagroziłam mu, że go zabiję. Teraz przebywał w bezpiecznej odległości, bawił się z wilkami i okazywał im coś, o co nigdy bym go nie podejrzewała – sympatię.

Najwyraźniej to na niego spadło zadanie pilnowania mnie, gdy Kaden poszedł oddać cześć Bogu Zboża. Jakież to musiał być cudowny bóg, skoro postanowił powierzyć mnie Ebenowi, wiedząc przecież, że nie jestem głupia. Musiałam jednak odzyskać trochę siły, zanim zacznę z nimi walczyć. A teraz czekałam na właściwy moment.

Poza tym wyczuwałam jakiś obcy wpływ.

Oprócz jedzenia i picia było tu coś więcej.

Słowa starożytnego manuskryptu stanowiły dla mnie zagadkę, chociaż znaczenie części z nich mogłam odgadnąć, biorąc pod uwagę częstotliwość i miejsce ich występowania. Wiele z nich zdawało się mieć te same korzenie, co słowa w języku morrighańskim, ale nie byłam tego pewna, ponieważ pisma miały różne schematy. Bardzo pomógłby mi klucz – jeden z tych, których Mędrzec miał pod dostatkiem. Pokazałam to Reenie i innym kobietom, ale dla nich język był tak samo obcy, jak dla mnie. To był starożytny język. Widziałam zresztą, że pismo bardzo różniło się od wymawianych przez nich słów. Ich język był gładki. Ten był bardziej ostry, wręcz chropowaty. Zdumiałam się, jak szybko można było coś stracić, nawet słowa i język. Księga mogła zostać napisana przez któregoś z ich przodków, ale Plemię Gaudrel już jej nie rozumiało. Dotknęłam odręcznie wykaligrafowanych liter. Ta księga miała przetrwać wiele wieków. Co chciał osiągnąć Mędrzec? Do czego była mu potrzebna? Dlaczego ją ukrył? Ponownie przejechałam palcami po literach.

Meil au ve avanda. Ve beouvoir. Ve anton.

Ais evasa levaire, Ama. Parai ve siviox.

Ei revead aida shameans. Aun spirad. Aun narrashen. Aun divesad etrevaun.

Ei utan petiar che oue, bamita.

Jak mam się dowiedzieć, co oznaczają pisma z tej książki, skoro nie wiedzą tego ludzie Gaudrel? Plemię Gaudrel. Dlaczego nigdy wcześniej nie słyszałam o tej księdze? Dla nas byli tylko włóczęgami, ludźmi pozbawionymi korzeni i historii, ale najwyraźniej Mędrzec chciał coś przed nami ukryć. Zamknęłam książkę i wstałam, strzepując ze spódnicy żdźbła trawy. Popatrzyłam, jak ostatnie promienie słońca zalewają łąkę złotem.

Wokół panowała przerażająca cisza.

Tutaj.

Zamknęłam oczy i poczułam znajomy ból. Pojawiła się we mnie przejmująca potrzeba. Znowu byłam jak dziecko, wpatrujące się w czarne gwiazdzone niebo – wszystko, czego tak pragnęłam, znajdowało się poza moim zasięgiem.

– Czyli sądzisz, że masz dar.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam w pooraną głębokimi zmarszczkami twarz starej Dihary. Zamrugalam, zbita z tropu.

– Kto ci o tym powiedział?

Wzruszyła ramionami.

– Ludzie podróżują... Opowieści podróżują...

Miała ze sobą kołowrotek, z jej ramienia zwisał jutowy worek. Gdy mnie minęła, wysoka trawa szumiała. Staruszka szła przez nią aż do miejsca, w którym łąka stykała się z rzeką. Stała i nastawiła twarz w jedną stronę, a potem w drugą, jakby czegoś nasłuchiwała. Następnie postawiła kołowrotek na polance, na której rosła niższa trawa. Rzuciła wór na ziemię.

Podeszłam bliżej, ale nadal zachowywałam bezpieczną odległość, nie wiedząc, czy kobieta życzy sobie mojej obecności. Patrzyłam na jej plecy; zauważyłam, że gdy siedzi, długie siwe warkocze niemal dotykają ziemi.

– Możesz podejść bliżej – rzekła. – Koło nie gryzie. Ja też nie.

Jak na kogoś tak leciwego miała niezły słuch.

Usiadłam na ziemi kilka kroków dalej. Skąd wiedziała o moim rzekomym darze? Czy Finch jej o mnie powiedział? A może Griz?

– Co wiesz o darze? – spytałam.

Chrząknęła.

– Że wiesz o nim bardzo mało.

Z pewnością nie usłyszała tego od Griza ani Fincha, ponieważ oni byli przekonani o moich zdolnościach. Nie mogłam jednak się z nią nie zgodzić.

Westchnęłam.

– To nie twoja wina – rzekła, wciskając stopą pedał kołowrotka. – Ci, którzy są otoczeni murem, umierają z głodu, tak jak Starożytni.

– Ci, którzy są otoczeni murem? Co masz na myśli?

Przestała naciskać pedał i odwróciła się do mnie.

– Twój gatunek. Jesteście otoczeni hałasem, który sami robicie, i dbacie

tylko o to, co widzicie. A nie o to chodzi w darze.

Spojrzałam w jej zapadnięte oczy, niebieskie źrenice były tak wyblakłe, że niemal białe.

– Masz dar? – spytałam.

– Nie powinnaś być tym zaskoczona. Dar nie jest czymś ani magicznym, ani rzadkim.

Wzruszyłam ramionami, nie chcąc się z nią sprzeczać, ale z mojego doświadczenia – i z nauk Morrighan – wynikało coś zupełnie innego. Dar był magiczny, pochodził od bogów, którzy dali go wybranym Ocalałym i ich potomkom. Należały do nich Królestwa Mniejsze, ale nie włóczędzy, którzy nie mieli własnych korzeni.

Uniosła jedną brew i zaczęła mi się bacznie przypatrywać. Potem podniosła się, odeszła od koła i stanęła twarzą do obozu.

– Wstań – nakazała mi. – Spójrz tam. Co widzisz?

Zrobiłam to, co kazała. I zobaczyłam Ebena, siłującego się w zabawie z wilkami.

– Wilki nie traktują nikogo tak jak Ebena – rzekła. – On odczuwa głęboką potrzebę, wilki o tym wiedzą. Pielęgnuje w sobie tę potrzebę nawet teraz, umacnia ją, ale ona nie ma żadnej nazwy. To kwestia zaufania. Cecha tajemnicza, lecz z pewnością nie magiczna. – Wpatrywałam się w Ebena, próbując zrozumieć, co chce mi przekazać ta kobieta. – Jest tyle rzeczy, które można zobaczyć bądź usłyszeć różnym okiem lub uchem. Eben również ma dar – tak przynajmniej byś to nazwała.

Wróciła do pracy, a ja nadal nie wiedziałam, o co jej chodziło. Wyjęła z worka surową wełnę, a potem coś, co miało dłuższe proste włókna.

– Co przędziesz? – spytałam.

– Wełnę owcy, futro lamy, len z pola. Dary od świata. Występują w wielu kolorach i grubościach. Zamknij oczy. Posłuchaj.

– Mam słuchać, jak przędziesz?

Wzruszyła ramionami.

Tutaj.

Zniknęły ostatnie promienie słońca, niebo nad chmurami przybrało odcienie fioletu. Zamknęłam oczy i wytężyłam słuch – słuchałam szumu koła, stuknięć pedała, szelestu trawy, bulgotania źródła, świstu wiatru. Wszystkie te dźwięki były uspokajające, ale nie było w nich nic szczególnego, więc zaczęłam się niecierpliwić. Otworzyłam oczy.

– Powiedziałaś, że opowieści podróżują. Chcesz, żebym uwierzyła, że opowieść o mnie dotarła aż tutaj?

– Zakładam, że uwierzysz w to, w co zechcesz uwierzyć. Ja jestem tylko staruchą, która musi wrócić do przędzenia. – Zaczęła mruczeć i odwróciła twarz

pod wiatr.

– Jeśli wierzysz w takie dary i uważasz, że historia o mnie jest prawdziwa, to wiesz też, że to prawda. Że zostałam tu sprowadzona wbrew mojej woli. Nie jesteś z Vendy. Pomożesz mi od nich uciec?

Zerknęła przez ramię w stronę obozu i dzieci bawiących się przed wozem. Zmarszczki na jej twarzy jakby się pogłębiły.

– Masz rację, nie jestem z Vendy. Ale nie jestem też z Morrighan – odparła. – Chciałabyś, żebym wtrąciła się w wojnę między wami i sprowadziła na te dzieci śmierć? – Kiwnęła głową w stronę maluchów. – Tak właśnie udaje nam się przetrwać. Nie mamy armii, tylko kilka sztuk broni, służącej nam do polowań. Zostawiają nas w spokoju, bo nie stajemy po niczyjej stronie, każdego witamy jadłem, pićm i ciepłem ognia. Nie mogę dać ci tego, o co prosisz.

Byłam wdzięczna za jedzenie i czystą odzież, miałam jednak nadzieję na coś więcej. Potrzebowałam więcej. Nie byłam zwykłym wędrowcem, który wstąpił do nich podczas długiej podróży. Byłam jeńcem. Wyprostowałam się i odwróciłam, żeby odejść.

– Czyli wasze dary mi się nie przydadzą.

Oddaliłam się o kilkanaście kroków, gdy za mną zawołała:

– Mogę pomóc ci w inny sposób. Przyjdź tu jutro, a opowiem ci o darze. Przysięgam, że ta wiedza ci się przyda.

Czy naprawdę miałam czas na wysłuchiwanie historii tej starej kobiety? Znałam dostatecznie dużo historii, jeszcze z Morrighan. Nie wiedziałam nawet, czy jutro wciąż tu będę. Do tej pory wypocznę i może pojawi się jakaś szansa na ucieczkę. Nie miałam zamiaru jechać z nimi dalej w tej dziczy. Moja szansa się pojawi – z jej pomocą lub bez niej.

– Spróbuję – powiedziała i ruszyła w stronę obozu.

Ponownie mnie powstrzymała, ale tym razem jej głos był łagodniejszy:

– Tamci nie mogli ci powiedzieć, co napisano w książce, bo nie potrafią czytać. Wstydzieli się do tego przyznać. – Zmrużyła jasne oczy. – Nawet my jesteśmy winni temu, że nienależycie opiekujemy się darami, a dary, które nie są karmione, więdną i umierają.

Gdy wróciłam do obozu, Eben nadal mnie pilnował, gorliwie spełniając swoje zadanie, nawet gdy bawił się z wilkami, tak jakby był jednym z nich. Usłyszałam zachrypnięte głosy dochodzące z wielkiego namiotu na środku obozu. Najwyraźniej oddawanie czci zamieniło się w wesołą biesiadę. Przywitały mnie Reena i Natiya.

– Chcesz udać się do swojego carvachi i odpocząć czy wolisz przyłączyć się do wieczerzy z innymi? – spytała Reena.

– Carvachi? Co masz na myśli?

Natiya zaczęła ćwierkać niczym mały radosny ptaszek:

– Ten blondyn o imieniu Kaden kupił dla ciebie carvachi Reeny, żebyś mogła spać w prawdziwym wózku.

– Co zrobił?

Reena wyjaśniła, że Kaden wynajął jej wóz na czas naszego pobytu, a ona będzie spała w namiocie albo w innym carvachi.

– Mój jest najlepszy, bo ma miękki, gruby materac – zachwalała. – Z pewnością się na nim wyśpisz.

Zaczęłam protestować, ale ona się uparła. Powiedziała, że moneta, którą dostała od Kadena, z pewnością przyda się podczas ich wędrówki na południe. Pieniądze są jej potrzebne bardziej niż carvachi, w którym spała sama, poza tym spędzi w nim przecież jeszcze wiele nocy.

Nie wiedziałam, czego pragnę bardziej – kolejnego posiłku czy wyciągnięcia się na prawdziwym materacu pod dachem, z dala od chrapania i innych odgłosów wydawanych przez mężczyzn. Wybrałam posiłek, cały czas mając na uwadze to, że muszę odzyskać siły.

Weszłyśmy do namiotu razem z trzema innymi kobietami, które właśnie zdjęły z ognia pieczone żeberka. Moi vendańscy towarzysze siedzieli na środku na poduchach, a obok nich zajęło miejsca pięciu mężczyzn z obozu. Długa kąpiel w gorących źródłach zmyła brud i przywróciła kolor ich skórze. Policzki Griza były zaróżowione i błyszczące. Pili z baranich rogów i jedli palcami – a przecież widziałam, że byli tu sztucce. No cóż, można zaproponować barbarzyńcom cywilizację, ale to nie oznacza, że będą chcieli ją przyjąć.

Wydawało mi się, że żaden z nich mnie nie zauważył – potem jednak zrozumiałam, że po prostu mnie nie poznali. Wykąpana i uczesana, z pięknym, zdobionym koralikami szalem na głowie, w kolorowych ubraniach, nie byłam już tą brudną dziką dziewczyną, z którą przyjechali do obozu kilka godzin wcześniej.

Kobiety postawiły przed mężczyznami dwie tace, a trzecią zaniósł w róg, w którym ułożono stos poduszek. Usiadły tam wszystkie mieszkanki obozu.

Ja wciąż stałam, wpatrując się w moich porywaczy, którzy ucztowali i rechotali, kręcili głowami i wrzeszczeli, tak jakby na nikim i na niczym im nie zależało. Bardzo mi to przeszkadzało. Mnie na coś zależało – na błahostce zwanej życiem. Pragnęłam, żeby oni też o nie dbali.

Jęknęłam i przestali się śmiać. Odwrócili głowy. Zatrzepotałam rzęsami, tak jakbym coś zobaczyła. Kaden wpatrywał się we mnie, próbując się skupić, aż wreszcie uświadomił sobie, kim jestem. Zarumienił się, przekrzywił głowę, jakby chciał się upewnić, że to na pewno ja.

– O co chodzi? – spytał Finch.

Spojrzałam ku górze, ukazując białka oczu. Skrzywiłam się.

– *Osa azen te kivada* – rzekł Griz do siedzącego obok niego mężczyzny. Dar. Malich nie odezwał się ani słowem, ale wpatrywał się lubieżnie w mój nowy

strój.

Na twarzy Kadena pojawił się grymas.

– Co znowu? – spytał. Widziałam, że za chwilę straci cierpliwość.

Udawałam jednak tak długo, aż trochę się wyprostowali.

– Nic – odrzekłam bez przekonania i poszłam usiąść z kobietami.

Miałam wrażenie, że wróciłam do zajazdu i wykorzystywałam nowe umiejętności w celu kontrolowania niegrzecznych klientów. Gwyneth z pewnością by się to spodobało. Moje przedstawienie wystarczyło, żeby – przynajmniej na chwilę – zepsuć im humor, co z kolei wystarczyło, żeby mój nastrój się poprawił. Najadłam się, pamiętając, że każdy kęs może być decydujący i utrzymać mnie przy życiu w dziczy, gdy już się od nich uwolnię.

Udawałam zainteresowanie rozmową kobiet, starałam się jednak podsłuchać, o czym rozmawiają mężczyźni. Wrócili do jedzenia i picia – głównie picia – i rozwiązały im się języki.

– *Ade ena ghastery?*

– *Jah!* – Malich wstał i odwrócił głowę w moją stronę. – *Osa ve verait andel acha ya sah kest!*

Wszyscy zaczęli się śmiać, potem jednak rozmowa stała się cichsza, tak jakby mieli jakąś tajemnicę. Usłyszałam zaledwie kilka wyszeptanych głośniejszych słów:

– *Ne ena hachetatot chadaros... Mias wei... Te ontia lo besadad.*

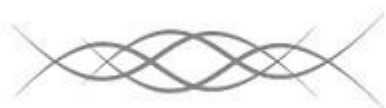
Mówili o tropieniu i patrolach. Przechyliłam się trochę w ich stronę, żeby usłyszeć jak najwięcej.

Kaden zauważył, że podsłuchuję. Spojrzał na mnie i powiedział głośno do reszty:

– *Osa'r e enand vopilito Gaudrella Shias wei hal... le diamma camman ashea mika e kisav.*

Mężczyźni ryknęli śmiechem, unieśli rogi w toaście za Kadena, a potem wrócili do rozmowy. Kaden jednak nie odrywał ode mnie wzroku, nie mrugał, czekał na moją reakcję.

Moje serce szalało. Z całych sił starałam się nie okazać żadnych emocji, rozglądać się ufnie i udawać, że nie zrozumiałam, co powiedział, w końcu jednak musiałam odwrócić wzrok, bo poczułam, jak pieką mnie policzki. Gdy ktoś publicznie ogłasza, że uważa cię za piękną włóczęgę i że chce cię pocałować, trudno jest udawać ignorancję. Wybrał idealne słowa, żeby potwierdzić swoje podejrzenia względem mnie. Spojrzałam na jedzenie, modląc się, żeby rumieniec na moich policzkach jak najszybciej wyblakł. Dokończyłam posiłek, nie patrząc więcej w jego stronę, a potem poprosiłam Reenę, żeby wskazała mi drogę do swojego wozu.



Gdy dotarliśmy do carvachi na końcu obozu, zauważyłam oddalającą się Diharę. Na schodach leżała mała, bardzo stara książka. Jeden rzut oka wystarczył, żebym się zorientowała, że została napisana odręcznie. Podniosłam ją i poprosiłam, by Reena pokazała mi swój kolorowy wóz.

Był większy, niż mogłoby się wydawać, patrząc z zewnątrz. Reena opowiedziała mi o wszystkich udogodnieniach, ale największą atrakcją było wielkie łóżko, pełne kolorów, poduszek, tkanin, z narzutą wykończoną frędzlami – wyglądało jak z bajki. Dotknęłam materaca i moja ręka zniknęła w miękkiej magicznej chmurze.

Reena uśmiechnęła się szeroko. Była bardzo zadowolona z mojej reakcji. Nie potrafiłam się oprzeć i przejechałam dłonią po złotych frędzlach, patrzyłam, jak drżą pod wpływem tego dotyku. Moje oczy próbowały ogarnąć każdy szczegół łóżka, tak jakbym była umierającą z głodu owcą wypuszczoną nagle na pole pełne koniczyzny.

Kobieta dała mi koszulę nocną i wyszła, wypowiadając własne błogosławieństwo – gdy schodziła po schodach, zapukała we framugę drzwi.

– Niech bogowie zapewnią ci spokój serca, ciężkie powieki i anioły, strzegące tych drzwi.

Gdy wyszła, padłam na materac, obiecując sobie, że już nigdy nie wzgardzę miękkim łóżkiem ani dachem nad głową. Byłam piekielnie wyczerpana, jednak nie chciałam jeszcze spać – wolałam zanurzyć się w luksusie carvachi. Spojrzałam na świecidełka, które Reena powiesiła na ścianach, łącznie z kilkoma dziwnymi, należącymi niegdyś do Starożytnych, karafkami ze wstążkami, które nadal łatwo można było znaleźć.

Zastanawiałam się nad krainami, które przemierzyła ta niewielka grupa wędrowców. Z pewnością nie byłam w stanie wyobrazić sobie nawet połowy z tych miejsc, chociaż miałam wrażenie, że widziałam już pół kontynentu. Pomyślałam o ojcu, który nigdy nie wyjechał z Civica. Nie zjeździł nawet połowy swego królestwa w Morrighan, nie mówiąc już o terytoriach poza nim. Oczywiście miał Ocy Królestwa, które oglądały za niego świat. Szpiegów. „Lio, oni są wszędzie”.

Nie tutaj. Jedną dobrą rzeczą w przebywaniu w tej odległej dzicy było to, że przynajmniej znajdowałam się poza zasięgiem Sekretarza i Mędrca. Z pewnością nie znajdzie mnie żaden łowca nagród.

Ale Rafe też nie.

Na nowo uderzyła mnie myśl, że już nigdy go nie zobaczę. „Lio, ci dobrzy nie uciekają”. On nie uciekł, ale najwyraźniej nie miał też problemu z tym, że musi iść dalej beze mnie. Bardzo szybko dał się przekonać, że musiałam odejść. Cały

czas rozpamiętywałam jego reakcję. Wtedy byłam zbyt przygnębiona, żeby to wszystko przeanalizować, ale ostatnio miałam przecież mnóstwo czasu na rozmyślanie. Moja matka nazywała to refleksjami – gdy wysyłała nas wcześniej do łóżek, bo coś przeskrobaliśmy. Moje refleksje podpowiadały mi, że Rafe też był smutny. „Daj mi pomyśleć”. Potem jednak szybko dodał, że chce się ze mną spotkać po raz ostatni i pożegnać. Jego smutek był bardzo krótkotrwały. Mój nie.

Próbowałam nie myśleć o nim po wyjeździe z Terravinu, nie mogłam jednak kontrolować swych snów. W środku nocy czułam na sobie jego usta, otaczające mnie silne ramiona, słyszałam jego szepty, nasze ciała do siebie przylegały, jego oczy patrzyły w moje, tak jakbym liczyła się dla niego tylko ja.

Pokręciłam głową i usiadłam. Jak to powiedział Kaden, nie ma co rozwodzić się nad przypuszczeniami. Mogły z nich powstać rzeczy, które nigdy nie istniały. Dla Rafe’a byłam już prawdopodobnie odległym wspomnieniem.

Musiałam skupić się na terażniejszości, na tym, co prawdziwe. Założyłam cienką, delikatną koszulę nocną. To kolejny luksus, którym już nigdy nie wzgardzę.

Wzięłam książkę od Dihary i zwinęłam się w kłębek na łóżku. Wyglądało mi to na podręcznik dla dzieci do nauki kilku języków królestwa, łącznie z morrighańskim i vendańskim. Porównałam go z książką ukradzioną Mędrcomi. Tak jak podejrzewałam, języki nie były dokładnie takie same. Istniały setki, a może nawet tysiące bardzo starych *Ve Feray Daclara au Gaudrel*, ale w elementarzu wyjaśniono kilka dziwnych liter i znalazłam podobieństwa z obecnym językiem, dzięki którym z całą pewnością mogłam przetłumaczyć część słów. Gdy czytałam, delikatnie gładziłam strony palcami, czując wieki, jakie przetrwała ta księga.

Koniec podróży. Obietnica. Nadzieja.

Opowiedz mi o tym raz jeszcze, Ama. O świetle. Szukam w pamięci. Sen. Historia. Wyblakłe wspomnienie.

Dziecko, byłam mniejsza niż ty. Zaciera się linia między prawdą a nieprawdą. Potrzeba.

Nadzieja. Moja babka opowiadająca historie, które miały mnie wypełnić zamiast brakującego jedzenia. Patrzę na to chudziutkie dziecko, niemające nawet pojęcia, jak to jest mieć pełny żołądek. Pełne nadziei. Oczekujące. Wzięłam ją w ramiona, posadziłam, taką leciutką, na kolanach.

Dawno, dawno temu, moje dziecko, była sobie księżniczka nie większa od ciebie. Świat znajdował się u jej stóp. Dowodziła, a światło jej słuchało. Słońce, księżyc i gwiazdy klęczały przy niej. Dawno, dawno temu... Już minęło. Teraz ważne jest tylko to złotookie dziecko w mych ramionach. Tylko to się liczy. I koniec podróży. Obietnica. Nadzieja.

Chodź, moje dziecko. Pora na nas.

Zanim przybędą padlinożercy.

To, co jest ważne. To, co pozostanie. To, o czym nie śmiem z nią

rozmawiać.

Powiem ci więcej, gdy będziemy szły. O tym, co było wcześniej.

Dawno, dawno temu...

Zdawało mi się to bardziej pamiętnikiem czy baśnią, którą opowiada się przy obozowym ognisku – piękna historia księżniczki, która dowodzi światłem? Była to również bardzo smutna opowieść o głodzie. Czy Gaudrel i to dziecko byli podróżnymi? Pierwszymi włóczęgami? I kim byli padlinożercy? Dlaczego Mędrzec miałby się bać jakiejś gawędy? Chyba że Gaudrel opowiedziała temu dziecku więcej historii. Może zdradzi mi to reszta książki.

Bardzo pragnęłam czytać dalej tajemnicze słowa, ale oczy same mi się zamykały. Odłożyłam lekturę i właśnie wstawałam, żeby wyłączyć lampion, gdy usłyszałam rumor na zewnętrznych schodach. Potem do wozu wpadł Kaden. Potknął się i przytrzymał się ściany, żeby utrzymać równowagę.

– Co ty robisz? – spytałam ostro.

– Upewniam się, że jest ci wygodnie. – Dziwnie poruszał głową i bardzo ostrożnie wypowiadał słowa.

Ruszyłam, żeby go wypchnąć – wydawało mi się to dość prostym zadaniem – on jednak zatrzasnął drzwi i przycisnął mnie do nich. Oparł się, więżąc mnie pomiędzy swoimi ramionami, i spojrzał mi w oczy. Jego źrenice były rozszerzone, próbował skupić wzrok.

– Jesteś pijany – stwierdziłam.

Zamrugął.

– Może.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Uśmiechnął się szeroko.

– Taka tradycja. Nie mogę urazić gospodarzy. Rozumiesz tradycję, prawda, Lio?

– Zawsze tak się upijasz, gdy tu przyjeżdżasz?

Jego uśmiech zniknął. Po chwili Kaden przysunął się jeszcze bliżej.

– Nie zawsze. Nigdy.

– To co się stało? Czyżbyś tym razem miał poczucie winy i żywił nadzieję, że Bóg Zboża udzieli ci rozgrzeszenia?

Ściągnął brwi.

– Nie mam żadnego poczucia winy. Ja jestem żołnierzem, a ty jesteś... jesteś... jesteś jedną z nich. Należysz do rodziny królewskiej. Wszyscy jesteście tacy sami.

– A ilu ich znasz?

Prychnął.

– Ty i te twoje wizje. Myślisz, że nie wiem, co robisz?

Robiłam dokładnie to, co on uczyniłby na moim miejscu – próbowałam

przetrwąć. Czy spodziewał się, że pokornie będę za nim jeździć po całym kontynencie?

Uśmiechnęłam się.

– Oni nie mają pojęcia, co robię. Tylko to się liczy. A ty im nie powiesz.

Przysunął twarz, tak że dzieliły nas centymetry.

– Nie bądź taka pewna. Jesteś... ja jestem jednym z nich. Jestem Vendańczykiem. Nie zapominaj o tym.

Jak mogłabym zapomnieć? Sprzeczenie się z nim teraz zdawało mi się jednak pozbawione sensu. Ledwo mówił – poza tym jego twarz znajdowała się zdecydowanie zbyt blisko mojej.

– Kadenie, musisz...

– Jesteś za cwana, wiesz? Doskonale zrozumiałaś, co tam powiedziałem.

Wiesz, o czym rozmawiamy...

– Masz na myśli wasze barbarzyńskie bulgotanie? Skąd miałabym wiedzieć, o czym rozmawiacie? Zupełnie mnie to nie interesuje. Kadenie, wyjdź stąd! – Próbowałam go odepchnąć, ale on przyłgął do mnie i wtulił twarz w moje włosy. Czułam każdy naprężony mięsień jego ciała. Nie mogłam oddychać.

– Słyszałem cię – szepnął mi do ucha. – Tamtej nocy. Słyszałem, jak powiedziałaś Pauline, że twoim zdaniem jestem przystojny.

Dotknął moich miękkich pukli. Zaczął się bawić pasemkami, a potem wyszeptał mi do ucha te same słowa, które wypowiedział w namiocie – i jeszcze inne. Czułam walenie w skroniach. Jego oddech był gorący, usta powoli dotknęły mojej szyi.

Cofnął się, a ja nabrałam powietrza.

– Nie jesteś... – Zachwiał się. – Dla własnego dobra zbyt... – Musiał się przytrzymać ściany. – Teraz muszę spać na... czatach – rzekł i odepchnął mnie. – Będę spać przed twoim wozem. Bo ci nie ufam. Lio. Jesteś zbyt... – Zamknął oczy. – A teraz jeszcze Malich.

Osunął się na podłogę do pozycji siedzącej. Teraz wystarczyło tylko otworzyć drzwi i wypadłby na zewnątrz. Ale znając moje szczęście, skrzyłby sobie kark, upadając ze schodów, a wtedy musiałabym sama radzić sobie z Malichem.

Patrzyłam więc, jak zasypia z głową przechyloną na bok. Możliwe, że w jakiś sposób obroniłby mnie przed Malichem, byłam jednak pewna, że wszyscy upili się tak samo.

Odsunęłam firankę i otworzyłam okno. Jeśli wszyscy byli w takim stanie, miałam okazję do ucieczki, zobaczyłam jednak Malicha, Griza i Fincha, stojących obok koni.

Nadal dość pewnie trzymali się na nogach. Może Kaden mówił prawdę i nie był przyzwyczajony do picia takiej ilości alkoholu? W zajeździe zawsze pił z umiarem, nigdy nie wychylił więcej niż dwa cydry. Sama mogłam tyle wypić

i nic nie poczuć. Dlaczego dziś tak bardzo się upił?

Zamknęłam okno i znów na niego spojrzałam. Spał z otwartymi ustami. Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak będzie się czuć rano. Wzięłam jedną z poduszek z łóżka Reeny, rzuciłam ją na podłogę i nacisnęłam jego ramię. Opadł na poduszkę.

To była prawda. Powiedziałam Pauline, że moim zdaniem jest przystojny. Był wysportowany, umięśniony i jak wielokrotnie podkreślała Gwyneth, miło się na niego patrzyło. Uważałam również, że jego postawa jest powalająca – jednocześnie poważna i uspokajająca.

Zaintrygował mnie. Ale ja i Pauline rozmawiałyśmy o nim w domku. Czyżby nas szpiegował? Podśluchiwał pod oknem? Jest zabójcą, przypomniałam sobie. Czego innego można się po nim spodziewać? Spróbowałam przywołać inne sprawy, o których rozmawiałyśmy z Pauline. Na bogów, co jeszcze podśluchał?

Westchnęłam. Teraz nie mogłam się tym przejmować.

Weszłam na gruby materac i przykryłam się jedną z kolorowych narzut. Przewróciłam się na bok i patrzyłam na Kadena, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo nienawidził członków rodziny królewskiej. Wiedziałam jednak, że mnie nie nienawidzi, chodziło mu tylko o moje pochodzenie, tak samo jak ja nienawidziłam tego, kim on był. Zastanawiałam się, jak ułożyłoby się nasze życie, gdybyśmy oboje urodzili się w Terravinie.



Rozdział 55

Obserwowałam Diharę z okna przez niemal godzinę, a następnie przeszłam nad wciąż śpiącym Kadenem i wyszłam jej na spotkanie.

Siedziała na stołku obok rozpalonego na środku obozu ogniska, rozczesywała swoje długie siwe włosy i zaplatała je w warkocze. Następnie zaczęła wcierać żółty balsam w łokcie i dłonie. Jej ruchy były powolne i metodyczne, tak jakby robiła to co rano przez tysiąc lat. Zresztą wyglądała niemal tak staro, ale nie była zgarbiona i z całą pewnością miała jeszcze siły. Przecież wczoraj sama przytaszczyła kołowrotek aż na łąkę. Z kącika jej ust zwisało źdźbło trawy, które cały czas żuła.

Kiedy tak ją obserwowałam, doszłam do wniosku, że jest w niej coś innego. To samo zobaczyłam w Rafie i Kadenie, gdy po raz pierwszy weszli do gospody. To samo widziałam, gdy patrzyłam na Mędrca. Coś, czego nie dało się ukryć – niezależnie od tego, czy było to dobre czy złe. Coś, co zapadało w człowieku niczym piórko albo ciężki kamień – ale cały czas miało się świadomość, że to nadal tam jest. W Diharze było coś niespotykanego, przez co myślałam, że ona naprawdę może wiedzieć więcej o darze.

Gdy do niej podeszłam, podniosła wzrok.

– Dziękuję za książkę – rzekłam. – Przydała mi się.

Przycisnęła dłonie do kolan i wstała. Wyglądało na to, że na mnie czekała.

– Chodźmy na łąkę. Powiem ci, co wiem.

Wyszliśmy na porośniętą koniczyną polanę. Dihara wzięła pasemko moich włosów, puściła je, a potem obesła mnie wokół. Pociągnęła nosem i pokręciła głową.

– Twój dar jest słaby, ale to dlatego że ciągle próbujesz go ignorować.

– I dowiedziałaś się tego, pociągając nosem?

Po raz pierwszy się uśmiechnęła, jej pomarszczone usta niemal się roześmiały. Wzięła mnie za rękę.

– Przejdźmy się. – Łąka rozciągała się na całej długości doliny, szliśmy nią bez konkretnego celu. – Dziecko, jesteś jeszcze młoda. Wyczuwam, że jesteś silna w innych darach, może to o nie powinnaś dbać. Ale nie jest za późno na naukę czegoś również o tym. Dobrze jest mieć różne dary.

Gdy tak szliśmy, wskazała cienkie chmury nad nami – powoli płynęły ponad

wierzchołkami gór. Zwróciła uwagę na cichy szum smukłych wierzb, rosnących wzdłuż brzegu, a potem kazała mi się odwrócić i spojrzeć na nasze ślady, które już zanikały w trawie, której źdźbła prostował wiatr.

– Ten świat wdycha ciebie, wacha, zna cię, a potem cię wydycha i się tobą dzieli. Nie należysz tylko do tego miejsca. Wiatr i czas krążą, powtarzają, uczą, ujawniają, czasami bardziej, czasami mniej. Wszechświat wie. Wszechświat ma dobrą pamięć. Tak właśnie działa dar. Ale istnieją ludzie, którzy są bardziej otwarci na dzielenie się niż inni.

– Jak świat może kogoś wdychać?

– Istnieją tajemnice, których nie ujawnia nawet świat. Przecież każdy z nas potrzebuje mieć jakąś tajemnicę, prawda? Czy wiemy, dlaczego ludzie się zakochują? Dlaczego rodzic mógłby poświęcić dziecko? Dlaczego młoda kobieta ucieka w dniu swego ślubu?

Zatrzymałam się, nabrałam głośno powietrza, ale ona pociągnęła mnie za sobą.

– Prawdy świata chcą być poznane, ale nie mają takiej siły przebicia jak kłamstwo. Będą się do ciebie zalecać, szeptać, bawić się pod zamkniętymi powiekami, ogrzewać twoją krew, tańczyć wzdłuż twego kręgosłupa i pieścić twą szyję.

Wzięła moją dłoń i zwinęła ją w pięść, przycisnęła ją mocno do miejsca między moimi żebrami.

– A czasami to skrada się tutaj, nisko, i staje się ciężarem. – Puściła moją rękę i poszła dalej. – To jest właśnie prawda, która chce zostać poznana.

– Ale zgodnie ze Świętym Tekstem jestem Pierwszą Córką...

– Myślisz, że prawdę obchodzi twoje pochodzenie i słowa, które ktoś napisał na papierze? – spytała. Gdyby była tu Pauline, już odmawiałaby pokutę za świętokradztwo, jakie padło z ust Dihary, a Mędrzec połamałby jej palce za samo takie myślenie. Dar, który opisywała, to nie ten, o którym się uczyłam.

– Ale to powinno tak po prostu przyjść, prawda?

– Czy czytanie samo do ciebie przyszło? A może włożyłaś w to jakiś wysiłek? Możesz mieć w sobie ziarno daru, ale sadzonka, o którą nie dbasz, szybko umiera. – Odwróciła się i zaprowadziła mnie nad rzekę. – Dar jest bardzo kruchy, to sposób patrzenia na świat. To słuchanie bez uszu, widzenie bez oczu, uświadamianie sobie czegoś bez wiedzy. To właśnie w ten sposób przetrwało kilku Starożytnych. Gdy nie mieli już nic, musieli powrócić do języka wiedzy, ukrytego głęboko w nich. Tak starego, jak sam wszechświat.

– A co z bogami? Gdzie oni w tym wszystkim są? – spytałam.

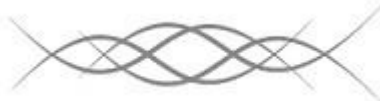
– Rozejrzyj się wokół, dziewczyno. Którego drzewa czy lasu nie stworzyli? Są tam, gdzie chcesz ich widzieć.

Zeszliśmy w miejsce, w którym rzeka ostro zakręcała w stronę gór,

i usiadliśmy na kamienistym brzegu. Opowiedziała mi więcej o darze i o sobie. Nie zawsze była włóczęgą. Kiedyś była córką rzemieślnika produkującego strzały w Królestwie Mniejszym Candora, ale sytuacja się zmieniła, gdy jej rodzice i starsza siostra zmarli na gorączkę. Nie chciała mieszkać z wujkiem, którego się bała, więc uciekła. Miała wtedy tylko siedem lat, zgubiła się w lesie. Gdyby nie rodzina włóczęgów, która ją znalazła, pewnie padłaby ofiarą wilków.

– Eristle powiedziała, że usłyszała mój płacz, ale oni byli na drodze, więc to niemożliwe. Musiała usłyszeć mnie w inny sposób. – Dihara została z nimi i już nigdy nie wróciła.

– Eristle nauczyła mnie słuchać, zamykać uszy nawet podczas największej nawałnicy, nawet gdy moje serce trzęsło się ze strachu, nawet gdy w mojej głowie było pełno codziennych hałasów. Nauczyła mnie być cicho i słuchać tego, czym chciał podzielić się ze mną świat. Nauczyła mnie być cicho i wiedzieć. Zobaczmy, czy będę mogła ci pomóc.



Siedziałam sama na łące. Wysoka do ramion trawa głaskała moje ręce. Ćwiczyłam sztukę, której nauczyła mnie Dihara. Wyłączyłam myśli, spróbowałam wdychać to, co mnie otaczało – falującą trawę, powietrze, starałam się zablokować hałas, jaki robił Griz ganiający za koniem, krzyki bawiących się dzieci, skowyt wilków. Wkrótce wszystko to odpłynęło. Ogarnął mnie spokój.

Mój oddech się wyrównał – myśli zwolniły. To był tylko jeden poranek ciszy. Jeden poranek nasłuchiwania. Dihara powiedziała, że nie da się przywołać daru. Bo tym właśnie to było – darem. „Musisz jednak być przygotowana. Ćwiczyć się w słuchaniu i zaufaniu”.

Nie miałam świadomości daru. Poza tym w mojej głowie nadal kłębiło się mnóstwo pytań, a mimo to gdy tak siedziałam na łące, miałam wrażenie, jakbym gładziła opuszkami palców ogon gwiazdy. Poczułam ciarki na skórze, zrozumiałam możliwości.

Gdy wstałam, żeby wrócić do obozu, mrowienie błyskawicznie zamieniło się w chłód palców, które złapały mnie za szyję. Zachwiałam się. Dihara powiedziała, że coś mnie dosięgło i przytrzymało. „Bardzo długo to ignorowałaś”. Zatrzymałam się i w końcu zrozumiałam jej słowa.

To była prawda. Ignorowałam dar. Ale nie czyniłam tego sama.

„Drogie dziecko, tutaj nie ma co rozumieć. Tu jest tylko chłód nocy”.

Nauczono mnie ignorowania go.

Nauczyła mnie tego własna matka.



Rozdział 56

KADEN

Obudziłem się na podłodze wozu Lii i pomyślałem, że wreszcie udało jej się wbić siekierę w moją głowę. A potem przypomniałem sobie część wydarzeń poprzedniej nocy i głowa rozbolała mnie jeszcze bardziej. Gdy zobaczyłem, że jej nie ma, spróbowałem jak najszybciej się podnieść, ale był to taki sam błąd, jak picie trunku włóczęgów.

Świat rozpadł się na tysiąc oślepiających światła, żołądek podskoczył mi do gardła. Próbując się przytrzymać ściany, zerwałem zasłony z okna. Udało mi się wyjść z wozu i znalazłem Diharę, która powiedziała mi, że Lia poszła na łąkę. Posadziła mnie, dała mi jakieś antidotum i przyniosła wiadro wody, żebym mógł umyć twarz.

Griz i inni śmiali się ze mnie. Wiedzieli, że z reguły piję tylko z grzeczności, bo wyćwiczono mnie tak, bym był zabójcą. Zawsze przygotowanym na atak. Co takiego stało się zeszłej nocy, że straciłem zdrowy rozsądek? Znałem odpowiedź na to pytanie. Lia. Jeszcze żadna podróż przez Cam Lanteux nie była tak wyczerpująca.

Umyłem się i wyszedłem jej na spotkanie. Zobaczyła, że nadchodzę, i wstała. Czyżby była na mnie wściekła? Szkoda, że tak mało pamiętałem z zeszłej nocy. Nadal była ubrana w strój włóczęgów. Wyglądała w nim aż za dobrze.

Zatrzymałem się kilka kroków przed nią.

– Mamy piękny poranek.

Spojrzała na mnie, przekrzywiła głowę i uniosła brew.

– Poranek już dawno minął, wiesz o tym?

– No to mamy piękne popołudnie – poprawiłem się.

Patrzyła na mnie w milczeniu, a ja miałem nadzieję, że przypomni mi, co się wczoraj wydarzyło. Odchrząknąłem.

– Jeśli chodzi o wczoraj... – Nie za bardzo wiedziałem, jak poruszyć ten temat.

– Tak?

Podszedłem bliżej.

– Lio, zapłaciłem za wóz nie po to, żeby spać w nim razem z tobą. Mam

nadzieję, że o tym wiesz.

Milczała uparcie. To nie był dobry moment na to, żeby ćwiczyła trzymanie języka za zębami. Poddałem się.

– Czy zrobiłem coś, co...

– Gdybyś zrobił, nadal leżałbyś na podłodze tego wozu, tyle że już bez tchu. – Westchnęła. – Kadenie, starałeś się zachować dobre maniere – na tyle, na ile pijany jak bela głupiec może je zachować.

Odetchnąłem głęboko. Czyli jeden problem z głowy.

– Ale mogłem coś powiedzieć.

– I powiedziałeś.

– Czy powinienem o tym wiedzieć?

– Myślę, że jeśli coś powiedziałeś, powinieneś to pamiętać. – Wzruszyła ramionami i spojrzała na rzekę. – Ale nie wyjawileś mi żadnych vendańskich sekretów – przecież tylko to cię martwi.

Wzięłem ją za rękę. Spojrzała na mnie, wyraźnie zaskoczona. Trzymałem ją delikatnie, żeby w razie czego mogła ją cofnąć, ale tego nie uczyniła.

– Kadenie, proszę...

– Nie martwię się vendańskimi sekretami, Lio. Wydaje mi się, że o tym wiesz.

Zacisnęła usta, a potem w jej oczach pojawił się błysk.

– Nie powiedziałeś nic, co mogłabym zrozumieć. Dobrze? To był tylko bełkot pijaka.

Nie byłem pewny, czy mogę jej ufać. Wiedziałem, że trunki rozwiązują język, znałem słowa, które powtarzałem w swej głowie setki razy dziennie wbrew mej woli, gdy tylko patrzyłem na Lię. Poza tym były jeszcze informacje o mnie, których nikt nie mógł poznać.

Spojrzała mi odważnie w oczy, uniosła brodę w sposób, jak zawsze, gdy myślała. Podczas długiej podróży nauczyłem się każdego jej gestu, spojrzenia, poznałem każdy szczegół jej zachowania. Resztkami silnej woli zabrałem rękę. Zaczęło mi walić w skroniach, skrzywiłem się.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Świetnie. Cieszę się, że płacisz za swoje ekscesy. – Kiwnęła głową w stronę rzeki. – Znajdźmy ci trochę ziół chiga. Rosną na brzegach rzek. Dihara powiedziała, że są dobre na ból. Niech to będzie moje podziękowanie za możliwość nocowania w carvachi. To było bardzo miłe z twojej strony.

Odwróciła się, wiatr zaplątał się w jej włosy, unosząc je lekko. Patrzyłem, jak odchodzi. Nie nienawidziłem wszystkich członków rodziny królewskiej. Nie nienawidziłem jej.

Ruszyłem za nią. Kroczyliśmy wzdłuż brzegów, najpierw po jednej stronie, a potem po śliskich kamieniach przeszliśmy na drugą. Pokazała mi zioło chiga

i zerwała kilka łądyg, oderwała zewnętrzne liście i połamała łądygi na cztery.

– Masz, żuj – rzekła, wręczając mi je.

Spojrzałem na nie podejrzliwie.

– To nie jest trucizna – zapewniła. – Gdybym miała cię zabić, z pewnością znalazłabym o wiele bardziej bolesny sposób.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, z pewnością tak.



Rozdział 57

RAFE

– Powiesz nam czy nie? – Jeb obgryzał kość, rozkoszując się ostatnim smakiem z pierwszego świeżego mięsa, jakie jedliśmy od wielu dni. Potem wrzucił gnata do ognia. – Czy ona ma dar?

– Nie wiem.

– Co masz na myśli, mówiąc: „nie wiem”? Spędziłeś z nią pół lata i nadal nie wiesz?

Orrin prychnął.

– Był zbyt zajęty wpychaniem jęzora do jej przełyku, żeby zadawać jakiegokolwiek pytania.

Zaczęli rechotać, a ja spojrzałem wściekle na Orrina. Wiedziałem, że to żart – to był ich sposób na okazanie akceptacji mężczyźnie, który odnalazł dziewczynę i przełamał jej opory. Znałem jednak prawdę. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Jeśli ktoś tu został przełamany, to byłem to ja. Nie podobało mi się, że rozmawiali o niej w ten sposób. Przecież pewnego dnia będzie ich królową. Modliłem się, żeby tak właśnie było.

– Jaka jest dziewczyna, za którą podążamy? – spytał Tavish.

Byłem im winien wyjaśnienia, kilka odpowiedzi, musiałem opisać im Lię. Ryzykowali życiem, mieli tylko kilka informacji, ale udali się w najtrudniejszą z możliwych wypraw. Zasłużyli sobie na wyjaśnienia. Byłem również wdzięczny za sposób, w jaki Tavish zadał to pytanie – nigdy nie zakwestionował tego, czy w ogóle osiągniemy nasz cel. Właśnie tego teraz potrzebowałem. Było nas mało, ale Svenowi udało się zebrać najlepszych ludzi. Byli wytrenowani, posiadali wszystkie żołnierskie umiejętności, ale każdy z nich specjalizował się w czymś innym.

Orrin zdawał się nieokrzesany, ale nikt nie strzelał z łuku tak jak on. Jego strzały były niezwykle precyzyjne, nawet przy wietrze i dużej odległości. Poza tym potrafił odeprzeć natarcie trzech ludzi. Jeb był mistrzem cichego ataku. Miał przerażający uśmiech i kiepskie maniery, ale to była ostatnia rzecz, jaką zauważała jego ofiara, zanim dopadał jej szyi. Tavish był wygadany i pewny siebie. Podczas gdy inni się przechwalali, on bagatelizował swoje osiągnięcia – a było ich

naprawdę wiele. Nie był najsilniejszy czy najszybszy, ale za to najbardziej wyrachowany. Każdy jego ruch był obliczony tak, żeby zbliżyć się do zwycięstwa. Spotkaliśmy się w młodości jako kadeci i razem trenowaliśmy.

Ja również miałem swoje mocne strony. Tyle że ja widziałem umiejętności moich towarzyszy na polu walki, a oni moje – tylko podczas ćwiczeń. Pomijając Tavisha. Mieliśmy naszą małą tajemnicę – o tym, że w ciągu dziesięciu minut zabiłem ośmiu ludzi. Uszedłem z życiem, ale miałem na biodrze brzydką ranę, którą Tavish musiał własnoręcznie zszyć. Ona również musiała pozostać tajemnicą. Nawet Sven nie wiedział o tym, co wydarzyło się owej nocy, a przecież znał mnie niemal na wylot.

Przypatrywałem się czterem wyczekującym twarzom. Nawet Sven, starszy od nas o trzydzieści lat i z reguły niewykazujący zainteresowania pogawędkami żołnierzy wokół obozowego ogniska, zdawał się liczyć na jakieś szczegóły na temat Lii.

– Nie jest taka jak damy dworu – rzekłem w końcu. – Nie obchodzą jej ubrania. Przez większość czasu, gdy nie pracowała w gospodzie, nosiła spodnie. I to dziurawe.

– Spodnie? – spytał z niedowierzaniem Jeb. Jego matka była główną szwaczką na dworze królowej. Gdy nie musiał nosić munduru, sam chętnie ubierał się według najnowszej mody.

Sven przysunął się bliżej.

– Pracowała w gospodzie? Księżniczka?

Uśmiechnąłem się.

– Obsługiwała stoliki i zmywała naczynia.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Bo nie zapytałeś.

Burknął coś do siebie i cofnął się.

– Już ją lubię – rzekł Tavish. – Opowiedz coś jeszcze.

Opowiedziałem im zatem o naszym pierwszym spotkaniu i o tym, jak chciałem ją znienawidzić, i o tym, jak później spędzaliśmy czas. Opowiedziałem niemal o wszystkim. Że była niska, o głowę niższa ode mnie, ale miała temperament i gdy się wściekła, stała wyprostowana jak mężczyzna; że widziałem, jak kilkoma ostrymi słowami powaliła żołnierza z Morrighan; że zbieraliśmy jeżyny i że ze mną flirtowała, a ja nadal myślałem, że jej nienawidzę, ale jednocześnie jedyne, czego pragnąłem, to ją pocałować, ale później, gdy wreszcie się pocałowaliśmy...

Przerwałem opowieść i westchnąłem.

– Dobrze było? – wypalił Jeb, żądny pikantnych szczegółów.

– Dobrze – odparłem po prostu.

– To dlaczego nie powiedziałeś jej, kim jesteś? – spytał Tavish.

To też powinni wiedzieć, i to lepiej prędzej niż później – a już na pewno, zanim ją uwolnimy.

– Mówiłem wam, że z początku nie za bardzo się dogadywaliśmy. A potem dowiedziałem się, że ona nie lubi Dalbreck ani żadnego z mieszkańców królestwa. Tak naprawdę to nie jest w stanie ich tolerować.

– Ale to przecież my – rzekł Jeb.

Wzruszyłem ramionami.

– Ona nie lubi tradycji i uważa, że to Dalbreck jest odpowiedzialne za zaaranżowanie małżeństwa. – Napiłem się z bukłaka. – A już najbardziej wściekła jest na księcia Dalbreck, który pozwolił, by jego *tatko* wybrał mu żonę.

Tavish się skrzywił.

– Ale to przecież ty.

– Jeb, wiem, kto jest kim! Nie musisz mi o tym przypominać – warknąłem. Usiadłem wygodniej i dodałem już spokojniej: – Powiedziała, że nigdy nie mogłaby szanować takiego mężczyzny. – Teraz już wiedzieli, z czym musiałem się zmierzyć i z czym oni będą musieli się zmierzyć.

– A co ona wie? – spytał Orrin, wymachując giczą. Wessał kawałek mięsa, który wszedł mu między zęby. – To tylko dziewczyna. Przecież te sprawy załatwia się właśnie w ten sposób.

– To za kogo cię wzięła? – spytał Tavish.

– Za parobka, który przyjechał na festiwal.

Jeb zaczął się śmiać.

– Ty. Parobkiem?

– Tak, dobrym parobkiem, który przyjechał do miasta na doroczne uroczystości – rzekł Orrin. – Zrobiłeś jej już dziecko?

Mięśnie mojej szczęki się napięły. Nigdy nie wykorzystywałem swojej pozycji wśród towarzyszy, teraz jednak się nie zawahałem.

– Waż słowa, Orrin. Mówisz o swojej przyszłej królowej.

Sven spojrział na mnie i nieznacznie kiwnął głową.

Orrin cofnął się i udał, że jest przerażony.

– Trzymajcie mnie. Wygląda na to, że nasz księżę wreszcie przeczyścił jakiś komin!

– Najwyższa pora – dorzucił Tavish.

– Szkoda tylko, że ukradł ją Vendańczyk – dołączył Jeb.

Najwyraźniej żaden z nich nie brał na poważnie mojego miejsca w hierarchii. A może nawet czekali na taką okazję.

– Jedyne, czego nie rozumiem – rzekł Jeb – to dlaczego ten Vendańczyk nie pozwolił, by łowca nagród poderżnął jej gardło i odwalił robotę za niego.

– Bo stałem tuż za nim. To ja kazałem mu strzelać.

– Ale po co ciągnąć ją aż do Vendy? Dla okupu? – wtrącił Tavish. – Czy taki

miął cel?

Przypomniałem sobie, w jaki sposób Kaden patrzył na Lię tego pierwszego wieczora, niczym pantera czyhająca na łanię, i jak patrzył na nią każdego kolejnego dnia.

Nie odpowiedziałem. Możliwe, że moje milczenie było najwłaściwszą odpowiedzią.

Zapadła długa cisza, a potem Orrin głośno beknął.

– Odbijemy moją przyszłą królową – powiedział. – I nadziejemy ich klejnoty na pal.

Czasami ostry język Orrina zdawał się bardziej subtelny i elokwentny niż język któregośkolwiek z nas.



Rozdział 58

Siedziałam na trawiastym brzegu rzeki, obserwując jej nurt, a moje myśli cały czas krążyły między teraźniejszością a przeszłością. W ciągu ostatnich kilku dni zebrałam tyle sił, ile zdołałam, spróbowałam też przytyć. Większość czasu spędzałam na łące, obserwowana przez Ebena albo Kadena, udało mi się jednak ich zablokować, tak jak nauczyła mnie Dihara. Próbowałam nasłuchiwać. To był jedyny sposób na odnalezienie domu.

Gdy przekrzywiałam głowę, zamykałam oczy albo unosiłam brodę, Kaden był przekonany, że cały czas udaję, ale Eben patrzył na mnie z podziwem. Pewnego dnia spytał, czy rzeczywiście widziałam myszołowy obgryzające jego kości. Wzruszyłam tylko ramionami. Lepiej było trzymać go na dystans, niech się głowi. Nie chciałam, żeby znów przyłożył mi nóż do gardła, a przecież Kaden twierdził, że jedyne, co mnie trzyma przy życiu, to ich wiara w mój dar. Jak długo będą wierzyć?

Po śniadaniu Kaden powiedział mi, że wyjeżdżamy za trzy dni, co oznaczało, że ja musiałam wyruszyć wcześniej. Ponieważ ani razu nie spróbowałam uciec, stracili czujność. Powoli zaczęłam szukać okazji. Okrążyłam obóz w poszukiwaniu broni, którą mogłabym ukraść włóczegom, ale jeśli nawet jakąś dysponowali, to ukrywali ją w swoich wozach. Jedyne, co obóz miał mi do zaoferowania, to siekierka, ciężki żelazny rożen i wielki nóż rzeźnicki – szybko zorientowano by się, gdybym ukradła którąś z tych rzeczy, poza tym każda z nich odznaczałaby się pod moją koszulą. Łuk i miecz Kadena oraz mój sztylet znajdowały się w jego namiocie. Zakradnięcie się tam było niemożliwe.

Poza bronią do ucieczki będę potrzebowała konia, a byłam przekonana, że najszybszy koń należał do Kadena. I to był kolejny problem: ich konie były rozsiodłane i niezaprężone. W razie konieczności potrafiłam jeździć na oklep, ale z siodłem z pewnością jechałabym szybciej, a przecież prędkość będzie kluczowa w moim przedsięwzięciu.

W oddali dostrzegłam Kadena. Stał przy koniu i szcztkował go, najwyraźniej bardzo skupiony na swym zadaniu. Raz po raz zerkał jednak w moją stronę.

Nadal rozmyślałam o tym, co powiedział mi zeszłej nocy. Większość dnia spędziłam na próbach zrozumienia starożytnego języka Vendy. Spytałam Kadena,

czy kiedykolwiek słyszał o Pieśni Vendy. Słyszał, wyjaśnił jednak, że istnieje wiele wersji wielu pieśni. Mówi się, że wszystkie są słowami imienniczki królestwa.

Opowiedział mi, że Venda była żoną pierwszego władcy. Straciła rozum i codziennie siadała pod murami miasta, śpiewając ludziom swoje pieśni. Kilka z nich spisała, większość jednak została po prostu zapamiętana przez świadków. Ludzie bardzo ją szanowali, ponieważ była dobra, miła i mądra – nawet gdy oszalała, przychodzili słuchać jej lamentów, aż pewnego dnia spadła z muru i zmarła. Wiele osób wierzyło, że to mąż ją popchnął, bo nie mógł już słuchać tych bzdur.

Bełkot Vendy żył dalej mimo wysiłków władcy, który chciał się go pozbyć. Spalił wszystkie spisane pieśni, ale wtedy inne zaczęły żyć własnym życiem, gdy ludzie zaczęli je śpiewać. Spytałam, czy mógłby mi przeczytać coś po vendańsku, odparł jednak, że nie potrafi czytać. Wyznał, że nikt z nich nie opanował tej sztuki i że w Vendzie jest to bardzo rzadko spotykana umiejętność.

Zaskoczyło mnie to. Byłam przekonana, że kilka razy w Terravinie widziałam, jak czytał. Berdi nie miała u siebie menu, więc recytowałyśmy wszystko z pamięci, ale na zewnątrz wisiały ogłoszenia i widziałam, jak Kaden na nie patrzy. To oczywiście nie oznaczało, że coś z nich rozumiał, ale podczas zabaw festiwalowych byłam przekonana, że czytał rozkład wydarzeń i wskazał na siłowanie się na pniu. Dlaczego miałby kłamać, że nie potrafi czytać?

Poklepał konia po zadzie i zaprowadził na łąkę do reszty zwierząt, a potem zniknął w namiocie. Spojrzałam z powrotem na rzekę, wrzuciłam do wody mały płaski kamień i obserwowałam, jak opada na dno, dołączając do innych. Mieliśmy z Kadem kilka dziwnych przeżyć w obozie, ale teraz chyba byłam już bardziej pewna siebie.

Wiedziałałam, że mu na mnie zależało. Wcale tego nie ukrywał. To dlatego wciąż żyłam. Nie wiedziałam jednak, jak bardzo mu na mnie zależało. I mimo wszystko w pewien sposób mnie zależało na nim. Nie na Kadem zabójcy, ale na Kadem, którego znałam w Terravinie, na którego zwróciłam uwagę w chwili, w której przekroczył próg gospody. Na mężczyźnie o spokojnych i tajemniczych, ale miłych oczach.

Przypomniałam sobie, jak tańczyłam z nim na festiwalu, jak jego ręce przyciągały mnie coraz bliżej, jak walczył ze sobą, żeby nie przytulić mnie jeszcze mocniej. Gdy był pijany, wcale ze sobą nie walczył.

Trunek rozwiązał mu język, dzięki czemu Kaden wyłożył kawę na ławę. Mamrocząc i bełkocząc, ale i tak wiedziałam, o co chodziło. Kochał mnie. Barbarzyńca, który został przysłany, by mnie zabić.

Położyłam się, patrząc na bezchmurne niebo, bardziej niebieskie i jaśniejsze niż wczoraj.

Czy on w ogóle wie, co to jest miłość? A czy ja wiem? Chyba nawet moi

rodzice tego nie wiedzą. Podłożyłam ręce pod głowę. Może nie było sposobu, żeby to zdefiniować. Może istniało tyle odcieni miłości, ile odcieni błękitu na niebie.

Ciekawiło mnie, czy jego zainteresowanie mną zaczęło się w chwili, w której opatrzyłam jego ramię. Zapamiętałam to dziwne spojrzenie, gdy go dotknęłam, tak jakby nikt nigdy nie okazał mu czułości. Cóż, jeśli w przeszłości miał do czynienia tylko z ludźmi pokroju Griza, Fincha i Malicha, było to bardzo prawdopodobne. Owszem, byli sobie oddani, ale w ich relacjach nie było żadnego ciepła. No i te blizny na jego plecach i piersi. Coś takiego mogli zrobić jedynie barbarzyńcy. A jednak, gdzieś po drodze, Kaden nauczył się życzliwości, a nawet czułości. Widać to było w drobnych gestach. Zachowywał się, jakby miał w sobie dwie różne osoby – lojalnego vendańskiego zabójcę i kogoś zupełnie innego, kogo zablokował, więźnia, takiego jak ja.

Wstałam, zaczęłam otrzepywać spódniczkę i już miałam wracać do obozu, gdy dostrzegłam idącego w moją stronę Kadena. Niósł koszyk. Wyszłam na łąkę, żeby się z nim spotkać.

– Dzisiaj rano zrobiła je Reena – rzekł. – Kazała mi przynieść jedną dla ciebie.

Reena go z czymś przysłała? Mało prawdopodobne. Odkąd wtargnął do mojego wozu i zemdłał pijany pod drzwiami, stał się bardziej potulny. Może nawet zawstydzony.

Wręczył mi koszyk, w którym były trzy chrupiące pierogi.

– Z dzikimi jabłkami – oznajmił.

Już miałam wyjąć jednego, gdy koń, który pał się nieopodal, nagle zaatakował drugiego konia. Kaden złapał mnie i ściągnął z drogi zwierzęcia. Przewróciliśmy się na ziemię. Przeturlał się na mnie, tak jakby chciał mnie chronić, ale zwierzę już dawno pobiegło.

Świat wokół nas zamarł. Wysoka trawa szumiała nad nami, ukrywając nas przed wzrokiem postronnych osób. Spojrzał na mnie, opierając łokcie obok moich żeber, przyciskając klatkę piersiową do mnie. Jego twarz znajdowała się kilka centymetrów od mojej.

I wtedy spojrzał na mnie w ten sposób. Moje serce zaczęło szaleć.

– Wszystko w porządku? – spytał niskim, zachrypniętym głosem.

– Tak – szepnęłam.

Jeszcze bardziej przybliżył twarz. Już miałam go odepchnąć, spojrzeć w bok, zrobić cokolwiek, ale tego nie uczyniłam, i zanim się zorientowałam, przestrzeń między naszymi ustami zniknęła. Jego wargi były ciepłe i delikatne, słyszałam jego oddech. Poczulałam falę gorąca. Tak właśnie wyobrażałam to sobie tamtej nocy, gdy opowiadałam o tym Pauline jeszcze w Terravinie. Zanim...

Odepchnęłam go.

– Lio...

Wstałam, dysząc ciężko. Zaczęłam zapinać odpięty guzik koszuli.

– Kadenie, zapomnijmy o tym, co się wydarzyło.

On również zerwał się na równe nogi. Złapał mnie za rękę w taki sposób, że musiałam na niego spojrzeć.

– Chciałaś mnie pocałować.

Pokręciłam głową, wiedziałam jednak, że mówi prawdę. Chciałam go pocałować. Co ja zrobiłam? Wyrwałam mu się i odeszłam, zostawiając go na łące. Czując na sobie jego wzrok, wróciłam do mojego wozu.



Rozdział 59

Siedzieliśmy przy obozowym ognisku pod księżycem w pełni. Było ciepło, sosny i trawa na łące pachniały intensywniej niż zwykle. Gospodarze wynieśli na zewnątrz koce i poduszki, żebyśmy mogli zjeść kolację wokół trzaskającego ognia. Skończyłam jeść ciasto szałwiowe i bez wahania oblizałam palce. Włóczędzy lubili dobrze się posilić.

Spojrzałam na siedzącego naprzeciwko mnie Kadena. W blasku ognia jego włosy miały odcień czystego złota. Całując go, popełniłam straszliwy błąd. Nadal nie wiedziałam, dlaczego w ogóle to uczyniłam. Czegoś mi brakowało. Może po prostu tego, żeby ktoś mnie przytulił, poczucia bezpieczeństwa – nie chciałam być aż tak samotna. Może przez chwilę chciałam poudawać. Ale co poudawać? Że wszystko jest dobrze? Nie jest.

Może tylko się zastanawiałam. Musiałam wiedzieć.

Cienie podkreślały jego mocno zarysowaną szczękę i nabrzmiąłą żyłę na skroni. Był wyraźnie sfrustrowany. Spojrzał na mnie wściekle, badawczo. Odwróciłam wzrok.

– Aniołku, pora spać – powiedziała jedna z młodych matek do swojego synka o imieniu Tevio.

Większość dzieci już spała. Tevio zaczął protestować i przekonywać, że wcale nie jest zmęczony, a Selena, odrobinę starsza, dołączyła do niego, bo wiedziała, że będzie następna w kolejce do pójścia do łóżka. Uśmiechnęłam się. Dzieciaki przypominały mi mnie samą, kiedy byłam w ich wieku. Nigdy nie byłam na tyle zmęczona, żeby iść do swej sypialni – może dlatego, że tak często mnie tam wysyłano.

– A jeśli opowiem ci historię, to pójdziesz grzecznie do łóżka? – zaproponowałam.

Chłopiec pokiwał entuzjastycznie głową, zauważyłam, że Natiya usiadła bliżej, żeby też posłuchać.

– Dawno, dawno temu – zaczęłam – w krainie olbrzymów, bogów i smoków żyli sobie mały książę i mała księżniczka, którzy byli bardzo podobni do was. – Trochę zmieniłam opowieść, tak jak robili to dla mnie moi bracia, ciotka i matka, i opowiedziałam im historię o Morrighan, młodej dzielnej dziewczynie, wybranej przez bogów, która jechała swoim fioletowym carvachi przez dzikie tereny

i doprowadziła świętych Ocalałych w bezpieczne miejsce. Była to bardziej wersja moich braci, opowiedziałam o smokach, które pokonała dziewczyna, o olbrzymach, których wykiwała, o bogach, których odwiedziła, i burzach, które uciszyła, zdjęła ręką z nieba i zdmuchnęła. Gdy tak opowiadałam, zauważyłam, że słuchają mnie również wszyscy dorośli, ale najuważniej Eben. Zapomniał chyba, że powinien się zachowywać jak brutalny awanturnik, i stał się dzieckiem z szeroko otwartymi oczami – tak jak reszta. Czyżby nikt nigdy nie opowiadał mu bajki?

Dodałam kilka przygód, których nie wymyślili nawet moi bracia, tak że gdy Morrighan dotarła do krainy odrodzenia, jej carvachi ciągnęła grupa ogrów, a ona umieściła gwiazdy zniszczenia z powrotem na niebie.

– I gwiazdy obiecały, że zostaną tam już na zawsze – zakończyłam łagodnie.

Tevio uśmiechnął się i ziewnął, a kiedy matka wzięła go na ręce, już nie protestował. Selena też poszła do łóżka, szepcząc, że jest księżniczką.

Zapadła cisza. Patrzyłam, jak pozostali wpatrują się w ogień, tak jakby moja opowieść zapadła im w pamięć. A potem ciszę przerwał głos.

Poczekaj.

Nabrałam powietrza i zerknęłam przez ramię na czarny las. Czekałam na więcej, ale już nic nie usłyszałam. Powoli odwróciłam się z powrotem do ognia. Wtedy dostrzegłam ostre spojrzenie Kadena.

– Znowu?

Tym razem jednak to było *coś*. Tylko nie rozumiałam co. Opuściłam głowę, nie chcąc dać po sobie poznać, że tym razem wcale nie udaję.

– To nic – odparłam.

– Zawsze mówisz, że to nic – parsknął Malich.

– Ale nie w Mieście Ciemnej Magii – zauważył Finch. – Wtedy zobaczyła, że nadjeżdżają.

– *Osa lo besadad avat e chadaro* – zgodził się Griz.

Starsi włóczędzy, siedzący po obu jego stronach, pokiwali głowami i zaczęli robić znaki dla bogów.

– *Grati te deos.*

Nagle Kaden burknął:

– Ty naprawdę wierzysz w tę historyjkę czy po prostu bajasz na potrzeby dzieciaków?

Najeżyłam się. Historyjkę? Nie musiał się czepiać opowieści, która najwyraźniej spodobała się maluchom, tylko dlatego że był na mnie wściekły.

– Tak, Kadenie, wierzę w smoki i ogry. Cztery z nich widziałam na własne oczy, chociaż są o wiele brzydsze i głupsze niż te, które opisałam. Po prostu nie chciałam przestraszyć dzieci.

Malich się naburmuszył, ale na twarzy Kadena pojawił się uśmiech – lubił patrzeć, jak się wściekam. Finch najpierw śmiał się z Morrighan, a potem on

i Malich opowiedzieli własną, wulgarną wersję tej opowieści.

Wstałam, zdegowana, żeby odejść. Zmrużyłam oczy i spojrzałam na Kadena. Doskonale wiedział, co zrobił.

– Czy zabójcy naprawdę muszą otaczać się taką prostacką eskortą? – spytałam. – Czy ich obecność jest konieczna? A może po prostu potrzebujesz prymitywnej rozrywki?

– Przez Cam Lanteux wiedzie długa droga...

– Nie jesteśmy eskortą! – zaczął Eben i wypiął pierś, jakbym go śmiertelnie obraziła. – Mieliliśmy własne zadanie do wykonania!

– Co masz na myśli? – spytałam.

Kaden się wyprostował.

– Eben, zamknij się.

Griz ryknął, powtarzając słowa Kadena, ale Malich machnął ręką.

– Eben ma rację – rzekł. – Niech mówi. My przynajmniej wykonaliśmy nasze zadanie, czego nie możesz powiedzieć o sobie.

Zanim Kaden zdołał go powstrzymać, Eben zaczął opisywać, co zrobili w Morrighan. Opowiedział, jak blokowali drogi, robiąc osuwiska, zanieczyszczali kanały i zbiorniki, wyburzali mosty.

Zrobiłam krok do przodu.

– Co wyburzaliście?

– Mosty – powtórzył Finch i uśmiechnął się. – Dzięki temu wróg ma zajęcie.

– Książniczko, do niektórych zadań nawet my się nadajemy – zadrwił Malich.

Ręce mi się trzęsły, poczułam, jak zaciska mi się gardło. Krew napłynęła mi do skroni z takim impetem, że zakręciło mi się w głowie.

– Co z nią? – spytał Eben.

Obeszłam ognisko i stanęłam przed nimi.

– Czy zburzyliście most w Chetsworth?

– To była łatwizna – rzucił Finch.

Ledwo mogłam mówić.

– A co z powozem, który akurat tamtędy przejeżdżał?

Malich zaczął się śmiać.

– Ja się nim zająłem. To też było łatwe.

Usłyszałam zwierzęce wrzaski, poczułam skórę pod moimi paznokciami, ciepłą krew na rękach, pasma włosów pomiędzy palcami. Rzuciłam się na niego od nowa i od nowa, próbując wydhubać mu oczy, kopiąc go w nogi, w żebra, waląc pięściami w twarz. Nagle ktoś złapał mnie w pól i ściągnął z niego, ale ja cały czas krzyczałam, kopałam i wbijałam paznokcie we wszystko, co znajdowało się w zasięgu moich rąk.

Griz przycisnął mi ręce do boków. Kaden trzymał Malicha. Po jego twarzy

ściekała krew, z nosa lał się niemal strumień.

– Puszczaj! Zabiję tę sukę! – ryczał.

– Bezwartościowi, dzicy dranie! – Potem nie wiedziałam już, co krzyczałam. Jedno słowo wychodziło z drugiego, walczyłam z groźbami, które w moim kierunku rzucał Malich, Kaden darł się, że wszyscy natychmiast mają się zamknąć, a ja zaczęłam się dławić i musiałam się uspokoić. Przełknęłam ślinę, czując smak ciepłej krwi z wewnętrznej strony policzka, którą przegryzłam. Drżałam i zniżyłam głos. Moje kolejne słowa były złowrogie, ale spokojne: – Zamordowałeś żonę mego brata. Miała tylko dziewiętnaście lat. Była brzemienna, a wy, żalosne tchórze, przebiliście strzałą jej krtań. – Patrzyłam na nich wściekle, huczało mi w głowie. Widziałam, że właśnie zaczęli składać moje słowa w całość. Czułam do siebie taką odrazę jak do nich. Jadałam z zabójcami Grety, opowiadałam im historie.

Wszyscy, którzy poszli już spać do swoich namiotów i wozów, teraz wyszli na zewnątrz. Zebrali się cicho, już w koszulach nocnych, próbując zrozumieć, co się stało. Twarz Fincha również była podrapana do krwi, Kaden miał rany na szyi. Eben się cofnął, miał szeroko otwarte oczy, tak jakby patrzył na oszalałego demona.

– *Ved mika ara te carvachi!* – ryknął Griz.

Finch i jeden z wędrowców trzymali Malicha, który nadal starał się mnie dorwać, a Kaden brutalnie złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę mego wozu. Po prostu wrzucił mnie do środka, a następnie zatrzasnął drzwi.

– Co się z tobą dzieje?! – wrzeszczał.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Spodziewałeś się, że pogratuluję im zamordowania żony mego brata?

Jego pierś zafalowała, jednak zmusił się do spokoju. Nabrał powietrza i zwinął dłonie w pięści. Zaczął mówić cicho:

– Lio, to nie było ich zamiarem.

– Myślisz, że obchodzi mnie to, jakie mieli zamiary? Ona nie żyje!

– Lio, wojna to coś strasznego.

– Wojna? Jaka wojna, Kadenie? Ta w twojej wyobraźni? Ta, w której Greta nie brała udziału? Nie była żołnierzem. Była niewinna!

– Na wojnie ginie mnóstwo niewinnych osób. W większości Vendańczyków. Niezliczona ich ilość zginęła, próbując osiąść w Cam Lanteux.

Jak on śmiał porównywać Gretę do tych przestępców!

– Przecież setki lat temu zawarto układ, który tego zabrania!

Mięśnie jego szczęki napięły się.

– Może powiedz to Ebenowi? Miał tylko pięć lat, gdy patrzył na śmierć swoich rodziców, próbujących obronić dom przez żołnierzami, którzy chcieli go podpalić. Matce wbito siekierę w pierś, ojca spalono razem z domem.

Nadal szumiało mi w uszach z wściekłości.

– Na pewno nie uczynili tego żołnierze z Morrighan!

Podszedł bliżej i uśmiechnął się złośliwie.

– Naprawdę? Był zbyt mały, żeby rozpoznać, jacy to byli żołnierze, pamięta jednak mnóstwo czerwieni – barwy Morrighan.

– Bardzo wygodnie jest obwiniać żołnierzy Morrighan, gdy nie ma świadków, a jedynie wspomnienie dziecka o kolorze, prawda? Popatrz lepiej na swoich cholernych dzikusów i na krew, którą rozlewają wokół!

– Lio, niewinni giną. Po obu stronach! – krzyknął. – Wyciągnij wreszcie swoją królewską głowę z tyłka i przyzwyczaj się do tego!

Gapiałam się na niego, nie mogąc wydobyć słowa.

Przełknął ślinę, pokręcił głową i przeczesał palcami włosy.

– Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć. – Wbił wzrok w podłogę, a potem znów we mnie. Wściekłość zaczął zastępować wyćwiczony spokój, który tak mnie denerwował. – Ale jeszcze bardziej utrudniłaś sprawę. Teraz będzie ciężiej obronić cię przed Malichem.

Nabrałam gwałtownie powietrza. Byłam zszokowana jego słowami.

– Jestem ci winna tysiącokrotne przeprosiny! Nie chciałabym ci niczego utrudniać, bo dla mnie wszystko jest szalenie proste! To jak wakacje, prawda? – Mój głos zadrżał, zaczęłam widzieć podwójnie.

Westchnął i podszedł do mnie.

– Pokaż mi swoje dłonie.

Spojrzałam na nie. Były zakrwawione i nadal się trzęsły. Miałam trzy naderwane paznokcie, a dwa palce w lewej ręce zaczęły puchnąć – podejrzewałam, że są złamane. Rzuciłam się na Malicha, tak jakby moje palce były ze stali. To jedyna broń, jaką miałam.

Popatrzyłam czujnie na Kadena. Od samego początku wiedział, że to oni zabili Gretę.

– Ile krwi masz na rękach, Kadenie? Ile osób zabiłeś? – Nie mogłam uwierzyć, że nie zadałam tego pytania wcześniej. Przecież był zabójcą. Zabijanie było jego zawodem, ale świetnie to ukrywał.

Nie odpowiedział, zobaczyłam jednak, jak zaciska zęby.

– Ile? – spytałam ponownie.

– Za dużo.

– Tyle, że straciłeś rachubę.

Zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły.

Chciał złapać mnie za rękę, ale go odepchnęłam.

– Wyjdź stąd. Mogę być twoim jeńcem, ale nie jestem twoją dziwką.

Wiedziałam, że moje słowa pozostawiły po sobie głębszą ranę niż ta na jego szyi.

W jego oczach błysnęła wściekłość, wyćwiczony spokój zniknął. Odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Jedyne, czego teraz pragnęłam, to zwinąć się w kłębek na podłodze, ale kilka sekund później usłyszałam ciche pukanie do drzwi. To była Dihara. Przyniosła mi mały kubek wody z pływającymi w niej liśćmi.

– To na twoje dłonie. Palce szybko zaczynają ropieć.

Przygryzłam wargę i kiwnęłam głową. Posadziła mnie na jedynym krześle w carvachi, a dla siebie przyciągnęła niski stółek. Zanurzyła moje dłonie w wodzie, a po chwili delikatnie wytarła je miękką szmatką.

– Przepraszam, jeśli przestraszyłam dzieci – rzekłam.

– Straciłaś kogoś bliskiego.

– Dwoje ludzi – szepnęłam, ponieważ nie wiedziałam, czy kiedykolwiek odzyskam Walthera, którego znałam. Stąd nie mogłam nic dla niego uczynić. Nie mogłam uczynić nic dla nikogo. Jak małą wartość miało teraz własne ulotne szczęście. Nawet barbarzyńcy mieliby na tyle rozumu, żeby wycofać się z walki między dwoma armiami. Ta wizja przeraziła ich na tyle, że woleliby się mnie pozbyć. Czy tak właśnie Kaden planował mnie zlikwidować? Przeszyć moje gardło strzałą, tak jak zrobili z Gretą? Czy to tego tak bardzo żałował tego wieczora, gdy tańczyliśmy? Żałował, że będzie musiał mnie zabić? Wróciły do mnie jego słowa, żeby nie rozwodzić się nad przypuszczeniami.

Skrzywiłam się z bólu, gdy Dihara oderwała fragment zwisającego paznokcia. Włożyła moje dłonie z powrotem do kubeczka, zmywając krew.

– Złamane palce będzie trzeba obandażować – oznajmiła. – Ale z pewnością szybko się wygoją. Niedługo będziesz mogła zrobić to, co musisz.

Patrzyłam na pływające po wodzie zioła.

– Sama już nie wiem, co mam robić.

– Dowiesz się.

Wyjęła moje dłonie z kubeczka i ostrożnie wytarła je do sucha, a potem tłustym śmierdzącym balsamem posmarowała miejsca, w których rosły paznokcie. Ból natychmiast zelżał. Koniuszki trzech palców owinęła tkaniną.

– Nabierz powietrza – powiedziała i pociągnęła za dwa sinoniebieskie już palce. Krzyknęłam z bólu. – Chyba chcesz, żeby były proste? – Owinęła je kolejną warstwą materiału, aż wreszcie były sztywne i nie mogłam ich zgiąć. Spojrzałam na swoją dłoń, próbując wyobrazić sobie, jak siodłam konia albo trzymam uzdę.

– Jak długo to potrwa? – spytałam.

– Pod tym względem natura jest niezawodna. Z reguły trwa to kilka tygodni. Czasami jednak pojawia się magia, jeszcze wspanialsza niż sama natura.

Kaden ostrzegwał mnie przed nią i teraz zaczęłam się zastanawiać, czy którekolwiek ze słów tej staruszki są prawdziwe – a może po prostu łapałam się fałszywych nadziei, gdy nie pozostało mi już nic innego?

– Tak, magia zawsze istnieje – odparłam cynicznie.

Położyła moje zabandażowane dłonie z powrotem na moich kolanach.

– Wszystkie dary należą do tego świata. A co, jeśli coś jest magią, a my jeszcze tego nie rozumiemy? Na przykład symbol przedstawiający winorośl i lwa, który masz na plecach?

– Wiesz o tym?

– Natiya mi powiedziała.

Westchnęłam i pokręciłam głową.

– To nie magia, tylko dzieło nieostrożnych rękodzielników, zbyt silne barwniki i mój niekończący się pech.

Na jej starej twarzy pojawił się uśmiech.

– Być może. – Wzięła kubek z wodą i wstała. – Pamiętaj jednak, dziecko, że każdy ma własną historię i przeznaczenie, a czasem to, co zdaje się pechem, jest częścią czegoś o wiele wspanialszego. Historii, która przerasta glebę, wiatr, czas... a nawet nasze łzy. – Otarła kciukiem moją łzę. – Wspanialsze historie z pewnością nadejdą.



Rozdział 60

Wstałam wczesnym rankiem z nadzieją, że uda mi się wypić kubek gorącej kawy z cykorią, zanim Malich wyjdzie ze swego namiotu. Źle spałam, ale wcale mnie to nie zaskoczyło. Kilka razy gwałtownie się budziłam, na przykład wtedy, gdy przez sen zobaczyłam zakrwawioną lalkę z szeroko otwartymi oczami, która zmieniła się w Grebę.

Potem koszmary zastąpiły mrzonki o pierwszym spotkaniu z Rafem – jego twarz rozmywała się niczym duch w ruinach, lesie, ogniu i wodzie. A później ponownie usłyszałam głos, ten sam, który słyszałam w Terravinie – gdy myślałam, że to tylko kolejne wspomnienie. *Odnajdę cię w najodleglejszym zakątku*. Tyle że tym razem wiedziałam, iż ten głos należał do Rafe’a. Najgorsze jednak były sny o Ebenie. Szedł w moją stronę, miał zakrwawioną twarz, a w jego piersi tkwiła siekiera. Budził mnie mój własny krzyk, wciągałam głośno powietrze, cały czas czując na języku słowo „niewinni”. Przyzwyczaj się do tego. Nigdy się do tego nie przyzwyczajaję. Czyżby Kaden próbował nakarmić mnie kolejnymi kłamstwami? Najwyraźniej fałsz był jedynym, co znał. Rano miałam wrażenie, że przez całą noc walczyłam z demonami.

Gdy wyszłam z carvachi, leśne ptaki rozpoczęły swoje poranne pieśni. Było jeszcze ciemno, z zaskoczeniem stwierdziłam więc, że moi zdemoralizowani vendańscy towarzysze siedzą już wokół ognia. Na ich widok z trudem powstrzymałam jęk – wszyscy wyglądali, jakby zeszłej nocy walczyli z lwem. Przez noc zadrapania pociemniały i teraz mieli na twarzach i szyjach ciemne ślady zaschniętej krwi. Malich wyglądał najgorzej – miał pokiereszowaną twarz, a skóra pod jego lewym okiem była niebiesko-czerwona w miejscu, w które udało mi się wyprowadzić cios. Nawet Griz miał rozcięty nos, a Finch – mocno podrapaną rękę. Gdy podeszłam, Malich spojrzał na mnie spode łba. Kaden wyprostował się, gotowy do ewentualnej interwencji.

Nikt się nie odezwał, miałam jednak świadomość, że wszyscy patrzą, jak próbuję utrzymać kubek zabandażowanymi palcami i nalać sobie kawy. Chciałam pójść do dużego namiotu, żeby uniknąć ich towarzystwa, jednak gdy dostrzegłam wściekłe spojrzenie Malicha, wpadłam na lepszy pomysł. Jeśli teraz się wycofam, pomyśli, że się go boję, a to tylko napędzi go do działania. Poza tym miałam w kubku gorącą kawę z cykorią, którą w razie czego mogłam chlusnąć w jego

pokierszowaną twarz.

– Zakładam, że wszyscy dobrze spaliście – rzekłam lekko. Na spojrzenie Malicha zareagowałam delikatnym uśmiechem.

– Owszem – odparł szybko Kaden.

– Przykro mi to słyszeć. – Upiłam łyk i dopiero teraz zauważyłam, że nie ma z nimi Ebena. – Eben jeszcze śpi?

– Nie – odparł Kaden. – Szykuje konie.

– Szykuje konie? Dlaczego?

– Bo dziś wyjeżdżamy.

Kawa zachlupotała w moim kubku, niemal wylałam ją na ziemię.

– Mówiłeś, że wyruszymy dopiero za trzy dni.

Finch zaczął się śmiać i potarł podrapaną rękę.

– Myślisz, że powiedziałaby ci, kiedy naprawdę wyjeżdżamy? – spytał. – Tak żebyś zdążyła się wcześniej wymknąć?

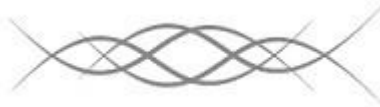
– To księżniczka – dorzucił Malich. – A my jesteśmy tylko głupimi ogami. Tak właśnie o nas myśli.

Spojrzałam na Kadena.

– Zjedz coś i spakuj swoje rzeczy – powiedział. – Za godzinę wyjeżdżamy.

Malich się uśmiechnął.

– Czy takie wieści cię zadowolają, księżniczko?



Kaden pilnował mnie, nie odzywając się ani słowem, nie przejmując się też tym, że trudno mi zbierać moje rzeczy zabandażowanymi palcami. Doskonale wiedział, gdzie trzymałam torbę z jedzeniem, które przyszykowałam do ucieczki – kawałki ciasta z szałwią, kulki koziego sera w soli i gazie, ziemniaki i rzepy, podprowadzone z zapasów włóczęgów. Bez słowa wyciągnął tę torbę spod łóżka Reeny i poszedł załadować ją na konie razem z resztą jedzenia. Zostawił mnie samą, żebym zapakowała resztę moich rzeczy do sakwy.

Po chwili przyszła Dihara. Przyniosła mi mały flakonik balsamu na moje palce i trochę ziół chiga na wypadek, gdyby pojawił się ból.

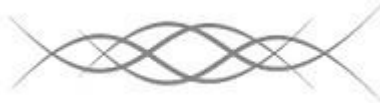
– Poczekaj – rzekłam, gdy odwróciła się do wyjścia. Otworzyłam sakwę i wyjęłam złotą, wysadzaną klejnotami skrzynkę, którą ukradłam Mędrcowi. Wyciągnęłam książki i schowałam do sakwy, a potem podałam jej szkatułkę. – Zimą, gdy pojedziecie na południe, dojdziecie do miast w Królestwach Mniejszych, w których można kupić książki i nająć nauczycieli. Za to wynajmiesz ich na długie godziny. Nigdy nie jest za późno na naukę innego daru. Przynajmniej dla dobra dzieci. – Wcisnęłam szkatułkę w jej dłonie. – Tak jak powiedziałaś, dobrze jest mieć dużo mocnych stron.

Pokiwała głową i położyła skrzynkę na łóżku. Delikatnie objęła dłońmi moją twarz.

– *Ascente cha ores ri ve breazza.* – Pochyliła się, przycisnęła policzek do mojego i szepnęła: – *Zsu viktara.*

Gdy się cofnęła, pokręciłam głową. Nadal nie nauczyłam się ich języka.

– Zwracaj swoje ucho do wiatru – przetłumaczyła. – Bądź silna.



Natiya patrzyła groźnie na Kadena, który pomagał mi wsiąść na konia. Malich uparł się, żeby przed odjazdem obciąć albo przynajmniej związać mi ręce. Jeszcze tydzień temu Kaden nie zgodziłby się na to, jednak dziś moje ręce zostały spętane. Natiya i inne kobiety szybko zebrały dla mnie jakąś odzież na podróż, ponieważ resztę moich ubrań spaliły. Najwyraźniej moje towarzyszki również nie wiedziały o naszym wyjeździe. Znalazły dla mnie długą i szeroką spódnicę jeździecką i białą koszulę. Dały mi też starą pelerynę na wypadek, gdyby pogoda się popsowała. Spakowałam ją do śpiwora. Reena podarowała mi szarfę na głowę.

Griz pożegnał się głośno i serdecznie, ale żaden z włóczęgów mu nie odpowiedział. Może żegnanie się nie było w ich stylu, a może – tak jak ja – czuli, że to nie w porządku. Żegnanie się było związane z wyborem, a przecież wszyscy wiedzieli, że to nie był mój wybór. W ostatniej chwili Reena i Natiya pobiegły za naszymi końmi. Kaden zatrzymał się, żeby na nie poczekać.

Tak jak Dihara i one pożegnały nas we własnym języku, może dlatego że było to dla nich bardziej naturalne. Czulałam jednak, że ich słowa są skierowane wyłącznie do mnie. Stały po obu stronach mojego konia.

– *Revas jate en meteux* – rzekła cicho Reena. – Bądź dzielna i prawdziwa – szepnęła i popatrzyła na mnie ze zmartwieniem i nadzieją w oczach. Dotknęła swojej brody, podniosła ją i dała mi znak, że mam uczynić to samo.

Kiwnęłam głową i schyliłam się, żeby dotknąć moimi związanymi dłońmi jej rąk.

Stojąca z drugiej strony Natiya dotknęła mojej nogi. Miała ogniste spojrzenie.

– *Kev cha veon bika reodes li cha scavanges beestra!* – W jej głosie nie było ani łagodności, ani nadziei. Ponownie spojrzała wściekle na Kadena i przekrzywiła głowę, jakby prowokując go, żeby przetłumaczył jej słowa.

Zmarszczył czoło i powiedział beznamiętnie: – Niech twój koń kopie kamienie prosto w zęby twego wroga.

Spojrzałam na nią i poczułam klucie pod powiekami. Pocałowałam palce i uniosłam je ku niebiosom.

– Z twego szlachetnego serca do uszu bogów.

Odjechaliśmy po ostatnim błogosławieństwie. Kaden cały czas trzymał się blisko mnie, tak jakby się bał, że nawet ze związanymi rękami mogę spróbować ucieczki. Nie wiedziałam, czy jestem taka wyczerpana, zubożnięta czy załamana, ale jakaś część mnie zachowywała spokój. Może słowa Dihary, Reeny i Natiy dodały mi otuchy. Uniosłam brodę. Przechytrzone mnie, ale nie pokonano. Jeszcze nie.

Gdy przejechaliśmy jakąś milę, Kaden spytał:

– Nadal planujesz uciec, prawda?

Popatrzyłam na swoje spętane ręce, położone na łąku siodła. Ledwo mogłam pociągnąć za lejce. Powoli spojrzałam mu w oczy.

– Czy mam skłamać i powiedzieć, że nie, skoro oboje doskonale znamy odpowiedź?

– Zginęłabyś sama w tej dziczy. Nie miałabyś dokąd pojechać.

– Kadenie, mam dom.

– Bardzo daleko stąd. Venda będzie twoim nowym domem.

– Wciąż jeszcze możesz mnie wypuścić. Nie wrócę do Civica, żeby zawrzeć sojusz. Daję ci przyrzeczenie.

– Nie umiesz kłamać, Lio.

Spojrzałam na niego z ukosa.

– Umieję, ale nad niektórymi kłamstwami trzeba popracować trochę dłużej. Powinieneś o tym wiedzieć. Przecież doskonale opanowałeś tę umiejętność.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał, potem jednak wydukał:

– Przepraszam. Nie mogłem ci powiedzieć, kiedy wyjeżdżamy.

– A o moście?

– Po co miałbym to robić? Byłoby ci jeszcze trudniej.

– Chciałeś powiedzieć, że tobie byłoby jeszcze trudniej.

Pociągnął za lejce i zatrzymał również mojego konia. W jego oczach widziałam frustrację.

– Tak – przyznał. – Byłoby mi trudniej. To właśnie chciałaś usłyszeć? Nie mam takich wyborów, jak ci się wydaje, Lio. Gdy powiedziałem ci, że próbuję ocalić twoje życie, nie kłamałem.

Byłam zaskoczona. Wiedziałałam, że wierzy w to, co mówi, ale to jeszcze nie oznaczało, że mówił prawdę. Zawsze jest jakiś wybór. Tyle że niektóre z nich przychodzą trudniej. Patrzyliśmy na siebie, aż w końcu burknął coś, poirytowany, poruszył lejcami i pojechaliśmy dalej.

Wąska droga ciągnęła się jeszcze przez kilka mil, a potem zaczął się długi, męczący zjazd w dół góry. W pewnej chwili dostrzegłam płaski teren, rozpościerający się przed nami jakby aż do końca ziemi, tym razem jednak zamiast pustyni była trawa – jak okiem sięgnąć zielone i złote źdźbła połyskiwały w mieniących się falach.

Na północnym horyzoncie zobaczyłam jeszcze inny błysk – białą lśniąca linię, przypominającą popołudniowe słońce nad morzem.

– To pustkowia – wyjaśnił Kaden. – Głównie białe nieurodzajne skały.

Infernaterr. Piekło na ziemi. Słyszałam o tym. Z oddali wcale nie wyglądał tak strasznie.

– Byłeś tam kiedyś?

Kiwnął głową w stronę pozostałych.

– Nie z nimi. Oni nie zbliżą się do tego miejsca bardziej niż teraz. Mówi się, że na pustkowiach przebywają tylko duchy tysięcy udręczonych Starożytnych, którzy nie wiedzą, że nie żyją, i stada głodnych bestii, które ogryzają ich kości.

– Czy obejmuje całą północną część tej krainy?

– Prawie. Nie ma tam nawet zimy. Na pustkowiach słychać tylko szum pary. Powiadają, że bierze się ona ze zniszczenia.

– Czyli barbarzyńcy również wierzą w historie o zniszczeniu?

– Książniczko, nie tylko twoje królestwo chce znać swoje początki. Vendańczycy również mają swoje opowieści.

Powiedział to urażonym tonem, nie lubił być nazywany barbarzyńcą. Skoro jednak potrafił wyrażać się tak ostro o członkach rodziny królewskiej i rzucać mi w twarz najgorsze obelgi, dlaczego miałabym zachowywać się inaczej?

Kiedy już zeszliśmy z gór, powietrze stało się cieplejsze, ale na równinie nadal czuć było powiew wiatru. Na takiej wielkiej powierzchni natrafiliśmy na zaledwie kilka ruin, tak jakby reszta została zmieciona przez siłę potężniejszą niż czas.

Gdy tego wieczora rozbiliśmy obóz, dałam im wybór: albo rozwiążą moje ręce, tak bym mogła pójść za potrzebą, albo do końca podróży będą jechali w smrodzie, bo będę miała mokre ubranie. A ponieważ nawet barbarzyńcy mają wyznaczone granice, Griz mnie rozwiązał. Później już mnie nie związali. Dali mi do zrozumienia, że jestem tylko podrzędnym jeńcem, a nie gościem, i że mam trzymać ręce przy sobie.

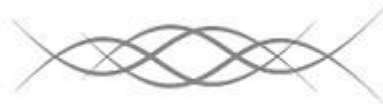
Przez następnych kilka dni podróży otaczał nas ten sam krajobraz, pomijając fakt, że minęliśmy obszar, na którym trawa została wypalona, a ziemia wyglądała, jakby wielka stopa odcisnęła na niej swój ślad. Zostało tylko kilka niespalonych kępek trawy i jakieś nieokreślone resztki.

Wśród wypalonej trawy pojawiły się już nowe zielone źdźbła, które próbowały zasłonić bliznę.

Nikt się nie odezwał, zobaczyłam jednak, że Eben odwrócił wzrok. To chyba niemożliwe żeby tutaj, na środku tego pustkowia, istniała jakaś osada. Dlaczego ktoś miałby zbudować tu dom? Pewnie był to ślad po błyskawicy albo zaniedbanym obozie włóczęgów, zastanawiało mnie jednak kilka gnijących grudek, które przybrały czarną barwę.

Barbarzyńcy.

Nagle poczułam w ustach niesmak tego słowa.



Po kilku dniach dotarliśmy do wielkich ruin olbrzymiego miasta – a przynajmniej do tego, co z niego pozostało. Ciągnęło się niemal po horyzont. Z trawy wystawały dziwne fundamenty starożytnego miasta, wszystkie jednak sięgały co najwyżej do pasa, tak jakby jeden z olbrzymów z mojej opowieści zrównał wszystko kosą. Nadal widziałam miejsca, w których ulice przebiegały wśród budynków, teraz jednak były one zarośnięte trawą, a nie wybrukowane. Na środku jednej z dróg wybił płytki strumień.

Jeszcze dziwniejsze były biegające zwierzęta. Przypominały jelenie, ale miały delikatniejsze okrycie. Ich eleganckie żebrowane rogi były dłuższe niż moje ręce. Gdy nas dostrzegły, rzuciły się do ucieczki, przeskakując z gracją niskie mury.

– Na szczęście są płochliwe – rzekł Kaden. – Ich rogi mogą być śmiercionośne.

– Co to za zwierzęta? – spytałam.

– Nazywamy je *miazadel* – istoty z włóczniami. Widziałem je tylko tutaj i jeszcze trochę na południe, ale na całej sawannie możesz spotkać istoty, których nie zobaczysz nigdzie indziej.

– Są groźne?

– Niektóre tak. Mówi się, że przybywają z odległych światów, Starożytni sprowadzili je tu jako swoje zwierzątka. Po zniszczeniu zostały uwolnione, niektóre populacje się rozwinęły. Tak przynajmniej głoszą pieśni Vendy.

– To stąd wzięłeś swoją historię? Mówiłeś chyba, że Venda była szalona.

– Może nie pod każdym względem.

Nie wyobrażałam sobie, że ktoś mógłby traktować któreś z tych egzotycznych zwierząt jako domowego pupilka. Może Starożytni rzeczywiście byli niemal równi bogom.

Podczas podróży dużo rozmyślałam o bogach. Tak jakby wymuszało to na mnie krajobraz. Na tym niekończącym się bezludziu zdawali się mieszkać jeszcze potężniejsi bogowie niż ci opisani w Świętym Tekście i w surowym świecie Civica. Tutaj byli jeszcze silniejsi. A jednocześnie nierozpoznawalni nawet dla królewskiego Mędrca i jego armii gryzpiórków. Odległe światy? Miałam wrażenie, że już się w takim znajduję. Czy było ich jeszcze więcej? Jakie inne światy stworzyli – albo porzucili, tak jak ten?

Podniosłam dwa palce, bo takie myśli były profanacją – religijne zwyczaje tkwiły we mnie głęboko zakorzenione, choć nieszczerze, a przecież bogowie

z pewnością wymagali szczerości. Po raz pierwszy od kilku dni się uśmiechnęłam – pomyślałam o Pauline. Miałam nadzieję, że nie martwi się o mnie. Teraz musiała myśleć o swoim dziecku, ale oczywiście wiedziałam, że się zamartwia. Pewnie codziennie chodziła do Sacristy, żeby się za mnie modlić. Miałam nadzieję, że bogowie jej słuchali.

Rozbiliśmy obóz w tym niegdyś wspaniałym, a teraz zapomnianym mieście. Podczas gdy Kaden i Finch poszli na poszukiwania jakiejś małej zwierzyny na kolację, Griz, Eben i Malich rozsiodłali konie i zajęli się nimi. Powiedziałam, że idę zbierać drewno na opał, chociaż było tu bardzo mało drewna. Przy strumieniu widziałam zagajnik z wysokimi krzakami. Może uda mi się znaleźć tam jakieś suche gałęzie. Idąc, czesałam włosy. Przysięgłam sobie, że nie dopuszczę do tego, bym znów wyglądała jak brudne, zaniedbane zwierzę, tak jak wtedy, gdy dotarliśmy do obozu wędrowców.

Zatrzymałam się, moje palce zaczęły rozczesywać kołtun. Pomyślałam o tym, jak po raz ostatni matka rozczesywała mi włosy. Miałam wtedy dwanaście lat. Od tego czasu sama zajmowałam się swoimi włosami, pomijając specjalne okazje, gdy czesała mnie służąca, jednak tego ranka matka powiedziała, że to ona się tym zajmie. Doskonale pamiętałam ten dzień, styczniowy brzask, gdy słońce było ciepłe i jasne, a dzień nie miał prawa być taki radosny. Była delikatna, powoli rozczesywała włosy, nuciła sobie coś pod nosem niczym wiatr wśród drzew, dzięki czemu zapomniałam, dlaczego to ona mnie czesze. Po chwili położyła dłoń na moim policzku i szepnęła mi do ucha: „Jeśli chcesz, zamknij oczy. Nikt się o tym nie dowie”. Ale ja ich nie zamknęłam, bo miałam tylko dwanaście lat i po raz pierwszy brałam udział w publicznej egzekucji.

Gdy stanęłam między braćmi, pełniąc rolę świadka, byłam spokojna i wyprostowana niczym struna. Miałam idealnie rozczesane i upięte włosy. Patrzyłam przez cały czas: na każdym etapie, podczas ogłoszenia wyroku, zawiązywania liny, błagania i łez, płynących z oczu dorosłego mężczyzny, szlochów, ostatecznego wezwania i szybkiego zapadnięcia się podłogi, gdy rozlegał się niski, upokarzający odgłos, wydawany przez kogoś, kto znajduje się między życiem a śmiercią – ostatni odgłos, jaki ten ktoś usłyszał.

Po powrocie do pokoju spaliłam wszystkie ubrania, jakie na sobie miałam, i wyciągnęłam wsuwki z włosów. Czesalam je i czesałam, aż wreszcie przyszła matka i przycisnęła mnie do piersi. A ja płakałam i mówiłam, że żałuję, że nie pomogłam temu człowiekowi w ucieczce. „Odbieranie życia innym, nawet tym winnym, nigdy nie powinno być proste. Gdyby takie było, byłibyśmy niczym więcej niż tylko zwierzętami”, szepnęła.

Czy Kadenowi trudno było odebrać komuś życie? Znałam odpowiedź na to pytanie. Mimo wściekłości i rozpaczyny zauważyłam, że tej nocy, gdy spytałam, ile osób zabił, w jego oczach pojawił się ogromny smutek. Bardzo dużo go to

kosztowało. Kim mógłby zostać, gdyby nie urodził się w Vendzie?

Cały czas szłam i rozplątywałam włosy. Kiedy dotarłam nad strumień, zdjęłam buty i postawiłam je na niskim murku. Pomachałam palcami u stóp, rozkoszując się tą małą wolnością i chłodnym piaskiem, który przesypywał się między nimi. Weszłam do wody, z trudem nabrałam jej trochę w opatrzone dłonie i zmyłam kurz z twarzy. *To, co jest ważne.* Co za ironia losu. Jedyłą przyjemnością, jaka pozostała w tym wspaniałym niegdyś mieście, było chlapanie się w strumieniu. Ruiny i ożywcze uczucie współistniały od zawsze.

– Odświeżasz się?

Zamarłam, a potem błyskawicznie się odwróciłam. To był Malich. Patrzył na mnie złośliwie.

– Tak – rzekłam. – Skończyliście już z końmi?

– Mogą poczekać.

Podszedł bliżej i wtedy się zorientowałam, że nikt nas nie widzi. Odpiał klamrę u spodni.

– Może do ciebie dołączę.

Wysłałam z wody, żeby wrócić do obozu.

– Ja już skończyłam. Będziesz musiał radzić sobie sam.

Złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Potrzebuję towarzystwa i tym razem masz nie wymachiwać pazurami, jak ostatnio. – Jedną ręką unieruchomił z tyłu moje dłonie tak mocno, że się skrzywiłam. – Przepraszam, księżniczko, czyżbym był zbyt brutalny? – Przycisnął swoje usta do moich, drugą dłonią zaczął szarpać materiał mojej spódnicy.

Przyciskał się do mnie tak mocno, że nie mogłam podnieść nogi, żeby go kopnąć. Wykręcił mi ręce i przez chwilę myślałam, że je połamię. Udało mi się odchylić i z całej siły ugryzłam go w wargę. Zaryczał i wypuścił mnie. Przewróciłam się na ziemię. Ruszył na mnie wściekle, klnąc na czym świat stoi, ale wtedy rozległ się krzyk:

– *Sende ena idaro! Chande le varoupa enargado!*

To był Griz.

Malich przystanął, przyciskając dłoń do krwawiącej wargi, ale po kilku chwilach odszedł.

Griz wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Ostrożnie, dziewczyno. Nigdy nie odwracaj się plecami do Malicha – powiedział płynnie po morrighańsku.

Gapiłam się na niego, bardziej zaskoczona jego słowami niż tym, że okazał mi życzliwość. Stał nade mną z wyciągniętą ręką, po chwili wahania podałam mu swoją.

– Ty mówisz po...

– Morrighańsku. Tak. Nie tylko ty masz swoje tajemnice. Ale ta pozostanie

między nami, zrozumiałaś?

Kiwnęłam niepewnie głową. Nigdy bym się nie spodziewała, że będę mieć wspólny sekret z Grizem, miałam jednak zamiar potraktować poważnie jego ostrzeżenie i nigdy nie odwracać się plecami do Malicha. Teraz jednak byłam szalenie ciekawa, dlaczego Griz ukrywał znajomość mojego języka, skoro reszta otwarcie w nim rozmawiała. Najwyraźniej nie mieli pojęcia o jego umiejętnościach. I dlaczego w ogóle zdradził mi tę tajemnicę? Przez nieuwagę? Nie miałam czasu, żeby go o to spytać, bo już szedł w stronę obozowiska.

Gdy Kaden i Finch wrócili z dwoma zajęciami na kolację, Kaden zauważył opuchniętą wargę Malicha i spytał, co się stało.

Malich zerknął tylko krótko w moją stronę i odparł, że ugryzła go osa.

I miał rację. Czasami najmniejsze zwierzę potrafi wywołać największy ból. Przez resztę wieczora był w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle, naskoczył na Ebena za to, że ten guzdrze się przy swoim koniu. Kaden spojrzął na nogę konia, której Eben cały czas się przyglądał.

– Wychowywał go od źrebięcia – wyjaśnił Kaden. – Widzę, że konia boli przednia pęcina. Może tylko nadwyreżył mięsień.

Mimo przytyków ze strony Malicha Eben cały czas doglądał swojego konia. Przypomniało mi się, jaki był w stosunku do wilków. Ten chłopiec był bardziej związany ze zwierzętami niż z ludźmi. Podeszłam, żeby zobaczyć nogę konia, i dotknęłam ramienia Ebena; chciałam go jakoś pocieszyć, zniwelować wpływ złych słów Malicha. Chłopak jednak gwałtownie się odwrócił, wyciągnął swój nóż i ryknął na mnie jak wilk:

– Nie dotykaj mnie!

Cofnęłam się, pamiętając, że choć wygląda jak dziecko, od czasu do czasu się zapomina i słucha baśni snutych przy ognisku, to nigdy nie poznał smaku beztroskiego dzieciństwa. Czy miał zostać kimś takim jak Malich, który chwalił się, że zabił woźnicę i Gretę? Ich śmierć kosztowała go jedynie kilka cienkich strzał.

Tej nocy Kaden ułożył swój śpiwór blisko mojego – nie byłam pewna, czy chce chronić mnie przed Malichem, czy Malicha przede mną. Nawet z zabandażowanymi palcami potrafiłam mu niezłe dokuczyć, chociaż Malich z pewnością żywił przekonanie, że tego popołudnia uda mu się wreszcie dopiąć swego. Gdyby nie Griz, to ja miałabym opuchniętą i posiniaczoną twarz – albo i gorzej.

Przewróciłam się na drugi bok. Nawet jeśli miałabym skończyć umierająca z głodu gdzieś na środku pustkowia, jak przepowiadał Kaden, to i tak musiałam spróbować uciec. Już sam Malich był dostatecznie niebezpieczny, a przecież miałam znaleźć się w mieście z tysiącami takich jak on.

„Nie zawsze da się czekać na odpowiednią chwilę”.

Słowa Pauline wydawały mi się teraz prawdziwsze niż kiedykolwiek.



Rozdział 61

KADEN

W południe zatrzymaliśmy się przy płytkim wodopoju, żeby napęłnić manierki i napoić konie. Lia ruszyła wyschniętym korytem rzeki, twierdząc, że chce rozprostować nogi. Przez cały poranek milczała – ale nie było to wściekłe milczenie, którego się po niej spodziewałem. To było coś innego, coś, co martwiło mnie o wiele bardziej.

Poszedłem za nią i patrzyłem, jak się zatrzymuje, podnosi jakiś kamień i obraca go w palcach. Przyglądała się mu, a potem rzuciła go, tak jakby chciała puścić kaczkę na wodzie.

– Trzy odbicia – rzekłem. – Nieźle.

– Bywało lepiej – odparła, wyciągając ku mnie obandażowane palce.

Później zdjęła buty, bo zauważyła, że w tym miejscu piasek jest złoty i połyskujący. Zmrużyła oczy.

– Mawiają, że Starożytni wyciągnęli ze środka ziemi metale o wiele cenniejsze niż złoto – takie, które przetopili w wielkie skrzydła, a potem dzięki nim latali do gwiazd i z powrotem – powiedziała.

– To właśnie zrobiłabyś ze skrzydłami? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie. Ja pofrunęłabym do gwiazd, ale nigdy bym nie wróciła. – Nabrała garść połyskującego piasku i wysypała go, jakby próbowała dostrzec ukrytą w nim magię.

– Wierzysz w fantastyczne historie, które opowiadają inni? – Podeszedłem bliżej i delikatnie zacisnąłem dłoń na jej pięści. Ciepły piasek powoli przesypywał się między naszymi palcami.

Patrzyła na moją dłoń, a potem powoli podniosła na mnie wzrok.

– Nie we wszystkie – odparła łagodnie. – Gdy Gwyneth powiedziała, że wysłano za mną zabójcę, nie uwierzyłam jej. A chyba powinnam.

Na chwilę zamknąłem oczy. Pragnąłem cofnąć swoje pytanie. Gdy je otworzyłem, ona nadal wpatrywała się we mnie. Resztki piachu spadły na ziemię.

– Lio...

– Kiedy postanowiłeś, że mnie nie zabijesz, Kadenie? – Jej głos nadal był

spokojny i łagodny. Delikatny. Naprawdę chciała to wiedzieć. No i nie zabrała ręki. Tak jakby niemal zapomniała, że ją trzymam.

Chciałem ją okłamać, powiedzieć, że nigdy nie planowałem jej zabić, przekonać, że nigdy nikogo nie zabiłem, cofnąć całe swoje życie i napisać je na nowo samymi kłamstwami, okłamać ją, tak jak to robiłem już setki razy wcześniej. Ale ona cały czas mi się przyglądała.

– W noc przed twoim wyjazdem – wyznałem. – Byłem w waszym domku, stałem nad łóżkiem i patrzyłem, jak śpisz... Obserwowałem żyłą pulsującą na twojej szyi. Cały czas trzymałem w ręku nóż. Byłem tam dłużej, niż powinienem. W końcu schowałem nóż do pochwy. To właśnie wtedy podjąłem tę decyzję.

Nie mrugała, nie zmieniła wyrazu twarzy.

– A nie wtedy, gdy opatrzyłam ci ramię? – spytała. – Nie wtedy, gdy tańczyliśmy? Nie wtedy, gdy...

– Nie. To było dokładnie w tamtej chwili.

Kiwnęła głową i powoli zabrała rękę. Zdmuchnęła z dłoni resztki piasku.

Wtedy rozległ się krzyk Fincha:

– *Sevende!* Konie są gotowe!

– Już idziemy! – odkrzyknąłem i westchnąłem ciężko. – Nie może się doczekać powrotu do domu.

– Tak jak my wszyscy, prawda? – Jej głos znów stał się ostry.

Odwróciła się i poszła do swojego konia. I chociaż tego nie powiedziała, miałem wrażenie, że może chciała, żebym tym razem ją okłamał.



iech wszyscy wiedzą,

Ukradli ją,

Moją małą.

Wyciągała do mnie ręce i krzyczała: Ama!

Teraz jest już młodą kobietą,

A ta staruszka nie mogła ich powstrzymać.

Niech wiedzą o tym bogowie i wszystkie pokolenia,

Ukradli ją od Ocalałych.

Harik, złodziej, ukradł moją Morrighan,

A potem sprzedał ją za worek ziarna

Aldridowi padlinożercy.

– Ostatnie Testamenty Gaudrel



Rozdział 62

Zwinęliśmy obóz przed wschodem słońca. Powiedzieli, że chcą dotrzeć do następnego celu jeszcze przed zachodem – niczego więcej się nie dowiedziałam. Mogłam tylko się domyślać, że niektóre ze zwierząt, o których wspominał Kaden, wcale nie są takie płochliwe. Przejechaliśmy przez najbardziej płaską część pustkowia, raz po raz napotykaliliśmy jakiś pagórek albo zarośla.

Po jakimś czasie galopowania przez trawę poczułam ścisk w klatce piersiowej. Naszło mnie złe przeczucie. Spróbowałam je zignorować, ale po dwóch milach było już nie do zniesienia. Zatrzymałam konia i zaczęłam płytko i szybko oddychać. *To kwestia zaufania*. Nie chodziło tylko o mój lęk przed tym, że ciągną mnie przez pustkowia. Rozpoznałam to – było tajemnicze, ale nie magiczne. Coś krążyło w powietrzu.

Po raz pierwszy w życiu byłam pewna, że to dar. Przyszedł niewzywany. Nie widziałam ani nie słyszałam, jak to opisywali inni. Ja wiedziałam. Zamknęłam oczy, poczułam, jak strach szaleje po mojej klatce piersiowej. Coś było nie tak.

– O co chodzi tym razem?

Otworzyłam oczy. Kaden zmarszczył brwi, jakby był już zmęczony moimi gierkami.

– Nie powinniśmy tędy jechać – odparłam.

– Lio...

– Chyba nie będziemy przyjmować od niej rozkazów? – warknął Malich. – Ani słuchać jej gadaniny? Próbuje się przysłużyć tylko sobie.

Griz i Finch popatrzyli na mnie niepewnie. Czekali, aż coś się stanie, a gdy się nie doczekali, powoli ruszyli z miejsca. Przez kolejną milę jechaliśmy wolniej, ale na piersi czułam coraz większy ciężar. Zrobiło mi się sucho w ustach, dłonie mi się pociły. Znowu się zatrzymałam. Reszta było kilka kroków przed nami i nagle Griz też się zatrzymał. Wstał w siodle, a potem ryknął:

– *Chizon!*

Skierował konia w lewo.

Eben kopnął swojego konia i ruszył za nim.

– *Stampede!* – wrzeszczał.

– Na północ! – krzyknął do mnie Kaden.

Rozpędzili konie do pełnego galopu, a ja podążyłam za nimi. Na wschodzie

pojawiła się ciemna, niezmiernie szeroka burzowa chmura. Niezależnie od tego, co nadchodziło, raczej nie mogliśmy tego wyprzedzić. Pędziło prosto na nas, wściekle i niewyobrażalnie potężne. Teraz! Pomyślałam i poczułam, jak coś wali mnie w pierś. Teraz, Lio!

Zawrócenie było samobójstwem, ale pociągnęłam za lejce. Mój koń gwałtownie się zatrzymał i zmieniłam kierunek. Nie było już odwrotu. Albo mi się uda, albo nie. Gdy Kaden zauważy moją nieobecność, będzie za późno, żeby mógł zawrócić i pojechać za mną.

– *Yah!* – wrzasnęłam. – *Yah!*

Patrzyłam, jak na horyzoncie zbiera się wielka czarna fala. Ogarnęło mnie przerażenie, bo zbliżała się bardzo szybko. Krajobraz przede mną stał się zamazany, a my pędziliśmy prosto na wielką chmurę. Dostrzegłam pagórek i skierowałam konia w jego stronę, ale znajdował się bardzo daleko. Koń też był przerażony. Strach pulsował w naszych ciałach, oślepił nas i paraliżował. *Sevende!* Szybko! Jedź! Wkrótce pędziła na nas już nie czarna masa, ale bezładna mieszanina ciał, nóg i śmiercionośnych rogów.

– *Yah!* – Przeważenie popychało nas do przodu.

Nie uda się nam, pomyślałam. Zginiemy. Ryk stał się ogłuszający, zagłuszał nawet moje krzyki. Widziałam tylko czerń, kurz i nasz okrutny koniec. Wzgórze. Podwyższenie. A potem burza huczała tuż za naszymi plecami, szycowała się na zgniatające kości kopyta i rogi przebijające ciało, ale wszystko przebiegło za nami. Udało nam się. Udało! Jechaliśmy tak długo, aż byłam pewna, że znajdujemy się w odpowiedniej odległości. Zatrzymałam się, dopiero gdy wjechaliśmy na wzgórze.

Odwrociłam się, żeby zobaczyć, czym tak naprawdę była śmiercionośna masa kopyt i rogów, bo nadal nie byłam tego pewna. Widok zaparł mi dech w piersiach. Minęło nas ogromne stado bizonów, sięgające aż po horyzont.

Olbrzymie karki, białe powykręcane rogi, bródki i wielkie łby w kształcie kowadeł. Ryczały jakąś wojenną pieśń. Przełknęłam ślinę, niepomniecznie zdumiona. W Morrighan nigdy czegoś takiego nie widziałam i prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę.

Spróbowałam dostrzec, co się dzieje po drugiej stronie stada, ale wszystko spowijał kurz. Czy pozostałym się udało? Pomyślałam o Ebenie i jego koniu. Ale skoro mnie się udało, to im na pewno też.

W krótkim czasie bizony znikną i Kaden wyruszy w pogoń za mną. Zawrociłam konia i zniknęłam za wzgórzem, zwiększając odległość między nami.



Rozdział 63

KADEN

Robiło się ciemno. Wiedziałem, że ruszyła na południe, w stronę lasów. Owszem, będzie mogła się w nich ukryć, ale to było ostatnie miejsce, do którego powinna pojechać. Zawsze okrążaliśmy gęstwinę szerokim łukiem, bo doskonale wiedzieliśmy, co w niej czyha. Jeśli nie znajdziemy Lii przed zmrokiem, nie przetrwa nocy.

Griz i Finch byli przekonani, że nie uciekła, tylko zaginęła podczas tego zamieszania. Ja jednak wiedziałem swoje. Byli również pewni, że ocalała nam życie, a jej dar był prawdziwy. Nie podzielałem ich pewności. Już tyle razy udawała, a teraz po prostu miała szczęście.

Zatrzymałem się i spojrzałem na las na południu. Stanowił coś w rodzaju muru. Przerazała mnie myśl o tym, że będzie musiała go pokonać. Miłą wcześniej straciliśmy jej ślad – mogłem tylko zgadywać, w którym miejscu wjechała w ciemną gęstwinę. Rozdzieliliśmy się i ustaliliśmy, że o zmroku spotkamy się na sawannie. Modliłem się, żeby to nie Malich ją odnalazł. Nie wiedziałem, z kim miała większe szanse – z nim czy z bestiami czyhającymi na nią w lesie.



Rozdział 64

To był dziwny las. Z czarnych drzew o bardzo szerokich pniach zwisały sznury szarego mchu. Z początku koń nie chciał tam wjechać, ale udało mi się go do tego nakłonić. Wokół słyszałam głośne krzyki, przypominające śmiech. Przyjrzałam się wierzchołkom drzew, szukając ptaków, które wydawałyby takie odgłosy, ale dostrzegłam jedynie cienie.

Nie miałam czasu się bać, myślałam tylko o tym, co dalej. Jedzenie i ogień. Nie zginę w dziczy, jak przepowiedział mi Kaden. Zatrzymałam konia w środku kręgu utworzonego przez pięć masywnych drzew i odpięłam siodło. Wyjęłam całą jego zawartość. Miałam tylko książki, flakonik z balsamem, zioło chiga, jakieś szmatki na opatrunek, szczotkę, kawałek skóry do spinania włosów, szpulę jedwabiu do czyszczenia zębów, jedną zmianę znoszonych ubrań i skrzyneczkę ze wszystkim, co było potrzebne do rozpalenia ogniska.

Ani odrobiny jedzenia. Kaden zabrał mi wszystko i załadował na swojego konia. Pewnie chciał w ten sposób wybić mi z głowy ucieczkę. Spojrzałam na krzemień i zaczęłam się zastanawiać nad rozpaleniem ogniska. Nie chciałam siedzieć tu w zupełnych ciemnościach, ale przecież w takiej dziczy ogień będzie widoczny z bardzo daleka. Przyjrzałam się zagłębieniu w ziemi. Grube pnie i las z pewnością ukryją niewielki płomień.

Na myśl o tym, że nie mam jedzenia, zaczęło mi burczeć w brzuchu. Nie mogłam dopuścić do osłabnięcia, do utraty sił, które zebrałam w obozie włóczędów, nie miałam jednak broni, która umożliwiłaby mi upolowanie choćby małej zwierzyny, więc musiałam wyruszyć na poszukiwania. Wiedziałam, co można znaleźć w leśnym poszyciu, do poszukiwań zmusiła mnie jedynie myśl o tym, że stracę energię. Natychmiast zaczęły dzwonić mi zęby, moja ślina stała się kwaśna. Znalazłam stary przewrócony pień i odwróciłam go. Roilo się pod nim od tłustych, jasnych larw.

Pewnego razu Regan wyzwał Bryna, żeby połknął taką larwę. Powiedział, że podczas treningów kadeci musieli takie zjadać. Bryn nie chciał być gorszy, więc zjadł tłustego, wijącego się robaka. Po kilku sekundach zwymiotował. Wiedziałam jednak, że takie larwy są tak samo pożywne jak pieczona kaczka.

Nabrałam powietrza, mój oddech był drżący. *Zsu viktara*. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że wracam do domu i jestem tak silna, że mogę pomóc

Waltherowi, że poślubiam księcia, którym gardzę, że mogę zapomnieć o Rafie. Jestem silna. Otworzyłam oczy i wzięłam garść wijących się robali.

– Jestem tak silna, że mogę je zjeść, wyobrażając sobie, że jem kaczkę – szepnęłam. Odrzuciłam głowę do tyłu, otworzyłam usta i wrzuciłam larwy. Przełknęłam.

Kaczka. Oślizgła kaczka.

Wzięłam kolejną garść.

Wijąca się kaczka.

Popiłam wodą z manierki. Soczysta pieczona kaczka. Jeśli będę musiała, pokocham robaki. Przełknęłam ślinę, żeby mieć pewność, że nie zwrócę.

Che-ah!

Podskoczyłam. Ponad drzewami pojawił się kolejny cień. Co tam czyhało? Zebrałam suche gałęzie i mech, a potem rozpałałam ogień. Ciszę rozcinały ostre krzyki. Zwierzę, które je wydaje, musiało być blisko.

Dorzuciłam więcej drewna i wyjęłam *Pieśń Vendy*, żeby zająć czymś myśli. Książkę, którą dostałam od Dihary, wykorzystałam do przetłumaczenia tekstu. Litery w dwóch tomach trochę się od siebie różniły. Te w książce Dihary były bardziej kwadratowe, a w *Pieśni Vendy* miały dużo zawijasów, poza tym listy łączyły się ze sobą i trudno było stwierdzić, gdzie kończy się jeden, a zaczyna następny. Wpatrywałam się w litery i myślałam, że to beznadziejne, potem jednak na moich oczach szlaczki zaczęły się poruszać, litery przestawiać i tworzyć schemat, który potrafiłam odczytać. Zamrugałam szybko. Teraz wszystko stało się oczywiste.

Pojawiły się podobieństwa, nieznane litery stały się znajome. Zakrętasy, brakujące akcenty, klucz. To miało sens. Naprawdę udało mi się to przetłumaczyć. Słowo po słowie, zdanie po zdaniu, cały czas wracałam do elementarza, a potem do vendańskiego tekstu.



stnieje jedna prawdziwa historia

I jedna prawdziwa przyszłość.

Słuchajcie uważnie,

Albowiem dziecko, które wyrosło z cierpienia,

Będzie tym, które przyniesie nadzieję.

Od najsłabszych przybędzie siła.

Od prześladowanych przybędzie wolność.

Starzy mężczyźni winni śnić,

Młode dziewczęta będą mieć wizje,

Bestyja z lasu się odwróci,

Zobaczą nadchodzące dziecię niedoli,

I oczyszczą drogę.

Z nasienia złodzieja

Zrodzi się Smok

Żarłoczny, Karmiący się krwią niemowląt,

Spijający łzy matek.

Jego ukąszenie będzie straszliwe, lecz język uwodzicielski,

jego oddech kuszący, ale uścisk śmiertelny,

Smok zna jedynie głód, nigdy się nie nasyci,

zna jedynie niezaspokojone pragnienie.

Nic dziwnego, że władca Vendy chciał zniszczyć ten szalony bełkot, to nie miało najmniejszego sensu. Jednak coś w tych tekstach musiało przeszkadzać Mędrcom. A może tylko traciłam czas? Może chodziło mu jedynie o złotą szkatułkę, wysadzaną kamieniami? Czy bycie złodziejem mogło go kosztować głowę i pozycję? Zostało mi niewiele tej ponurej pieśni do przetłumaczenia, postanowiłam więc kontynuować.



łona Morrighan,

Z końca spustoszenia,

Z intryg władców,

Z obaw królowej

Zrodzi się nadzieja.

Po drugiej stronie śmierci,

Ponad wielką przepaścią,

Gdzie głód pożera dusze,

Wyleją jeszcze więcej łez.

Smok zawiąże spisek,

Będzie mieć wiele twarzy,

Oszuka ciemionych,

Zbierze niegodziwców,

Będzie władać niczym bóg, niepowstrzymany,

Bezlitosny w osądach,

Nieustępliwy w swych rządach,

Złodziej snów,

Zabójca nadziei.

Czytałam dalej, a z każdym słowem mój oddech się spłycał. Gdy dotarłam do ostatniego wersu, moją twarz oblał zimny pot. Znowu zaczęłam przeszukiwać luźne kartki i szukać notatek. Mędrzec był pod tym względem bardzo skrupulatny. Znalazłam je i raz jeszcze przeczytałam. Te starożytne księgi trafiły do jego rąk dwanaście lat po moich narodzinach. To niemożliwe. To nie miało sensu.



z przyjdzie ta, która jest potężniejsza,

Która zrodziła się z cierpienia,

Która była słaba,

Która była prześladowana,

Naznaczona pazurem i winoroślą,

Nazwana w tajemnicy,

Nazywana Jezelią.

Nigdy nie słyszałam, żeby w Morrighan była druga dziewczyna o imieniu Jezelia. Na dworze królewskim też takiej nie spotkałam. To dlatego mój ojciec tak bardzo się sprzeciwiał temu imieniu – bo było niespotykane. Skąd matka je wzięła? Z pewnością nie z tej księgi.

Zsunęłam koszulę z ramion i spróbowałam dostrzec kawah. Na plecach nadal miałam wzór pazurów i winorośli.

Wspanialsze historie z pewnością nadejdą. Pokręciłam głową. Nie, to nie to. Miałam na to sensowne wytłumaczenie. Schowałam książki z powrotem do siodła. Byłam zmęczona i przerażona w tym dziwnym lesie, dlatego pomyliłam się podczas tłumaczenia. To wszystko. Smoki nie istnieją, a już z pewnością nie takie, które piją krew dzieci. To jakieś mrzonki. Doszukiwałam się znaczenia tam, gdzie go nie było. Jutro, w świetle dnia, zerknę na to raz jeszcze. Rozsądek z pewnością mi pomoże.

Wrzuciłam do ognia wielką gałąź i położyłam się na ściworze. Zmusiłam się do myślenia o innych rzeczach. O takich, które miały sens. O rzeczach radosnych. Wyobraziłam sobie Pauline, śliczne dziecko, jakie urodzi, Gwyneth i Berdi, które jej pomagają, i ich życie w Terravinie. Ktoś przynajmniej mógł wieść życie, o jakim sama marzyłam. Pomyślałam o tym, jak chętnie zjadłabym teraz zupę

rybną Berdi, jak bardzo chciałabym usłyszeć, jak ktoś dmie w rogi w zatoce, posłuchać gwaru w gospodzie, porykiwać Otta, poczuć zapach soli w powietrzu i patrzeć, jak Gwyneth mierzy wzrokiem kolejnego klienta.

Tak samo jak oceniała Rafe'a.

Pod pewnymi względami stawałam się silniejsza, a pod pewnymi – słabsza. *Ponieważ od pierwszego dnia, gdy tylko cię spotkałem, co noc idę spać, myśląc o tobie, a co rano moje pierwsze myśli dotyczą wyłącznie ciebie.*

Zamknęłam oczy i owinęłam się śpiworem, modląc się, by poranek nadszedł jak najszybciej.



Rozdział 65

PAULINE

Matka powiedziała, że zginął na wojnie, tak jak Mikael. Nigdy nie znałam mojego ojca, jednak zawsze wyobrażałam sobie, że przytulałby mnie, łagodnie pocieszał, kochał bezwarunkowo i chronił za wszelką cenę. Tak właśnie opiszę ojca mojemu dziecku. Wiedziałam jednak, że nie wszyscy ojcowie tacy są. Ojciec Lii był inny.

Król był człowiekiem zdystansowanym, bardziej władcą niż ojcem, z pewnością jednak nie miał serca z kamienia. Lia potrzebowała pomocy. Wyjechała wiele tygodni temu, nie otrzymałyśmy też żadnej wieści od Rafe'a. Chociaż byłam pewna, że mu na niej zależało, on i jego kompania nie wzbudzili mojego zaufania, a z każdym dniem robiłam się coraz bardziej podejrzliwa. Nie mogłam już dłużej czekać. Wiceregent zawsze lubił Lię. Teraz był naszą jedyną nadzieją. Może mógłby nakłonić króla, żeby wybaczył Lii i jej pomógł.

Berdi nie pozwoli mi podróżować samej, ale Gwyneth z pewnością zechce mi towarzyszyć podczas mojej misji. Nie wiedziałam, w jaki sposób Berdi poprowadzi tawernę jedynie z pomocą Enza, teraz jednak wszyscy zgadzaliśmy się co do tego, że najważniejsze jest bezpieczeństwo Lii. Przecież porwali ją barbarzyńcy. Z trwogą myślałam o tym, co do tej pory mogli jej zrobić.

Miałam też sny. Dręczyły mnie już od tygodnia. Widziałam w nich Lię, która pędzi na koniu. Po chwili znikała, tak jakby nigdy nie istniała. Stawała się mglistą zjawą, pozostawał tylko jej głos – wysoki lament, krzyk, wybijający się ponad szum wiatru.

Wiedziałam, że wracając tam, ryzykuję, że sama zostanę aresztowana, ponieważ to ja pomogłam jej w ucieczce, musiałam jednak zaryzykować. Bałam się więzienia, ale tak samo bałam się chodzenia ulicami Civica i odwiedzania miejsc, w których po raz ostatni byłam z Mikaelem, miejsca, w którym poczęliśmy nasze dziecko – którego on nigdy nie pozna. Znowu zaczęłam rozgrzebywać tę ranę. Jego duch będzie obecny na każdej ulicy.

Wyprawa na osłach potrwa o wiele dłużej niż nasza podróż na Ravianach, ale w moim stanie szybka jazda w ogóle nie wchodziła w grę.

– To już niedaleko – powiedziałam Gwyneth, gdy zatrzymałyśmy się, żeby

napióć osły. – Jeszcze tylko jakieś dwa dni.

Gwyneth odgarnęła z twarzy gęste, grube loki i zmrużyła oczy, patrząc na drogę.

– Tak, wiem – rzekła głucho.

– Skąd wiesz? Byłaś już w Civica?

Spojrzała na mnie i pociągnęła lejce swojego osła.

– Zgaduję – odparła. – Wydaje mi się, że gdy dotrzemy na miejsce, to ja powinnam porozmawiać z Sekretarzem. Być może mam większą siłę perswazji niż ty.

– Sekretarz nienawidzi Lii. To ostatnia osoba, z którą należy rozmawiać.

Przekrzywiła głowę i wzruszyła ramionami.

– To się okaże.



Rozdział 66

RAFE

– Przygryzaj! – rozkazałem.

Nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby krzyknął, nie tutaj, w górach, gdzie roznosi się echo. Wsunąłem mu między zęby skórzany pasek. Pot łał się po czole Svena, zebrał się nad górną wargą.

– Szybko – powiedziałem.

Travish wbił igłę w policzek Svena i przeciągnął zakrwawioną nić na drugą stronę rany, sięgającej od kości policzkowej aż do szczęki. Była zbyt rozległa, żeby wystarczył kompres. Obejmowałem Svena na wypadek, gdyby zaczął się rzucać, on jednak siedział spokojnie – tylko mrugał.

Natrafiliśmy na vendański patrol. Barbarzyńcy byli coraz zuchwalsi i lepiej zorganizowani. Po tej stronie Wielkiej Rzeki jeszcze nigdy nie widziałem vendańskiego patrolu, składającego się z więcej niż kilku ludzi. Bywało dużo grup po trzech czy czterech brutalnych i rozjuszonych ludzi, jednak nie miałem jeszcze do czynienia ze zorganizowanym patrolem w mundurach. To nie oznaczało nic dobrego dla żadnego z królestw.

Zdradliwa Wielka Rzeka zawsze była naszym sojusznikiem. Na drugą jej stronę mogli się przedostać tylko po wąskim chybotliwym moście, na którym mieścił się jeden koń. Czyżby teraz hodowali konie po tej stronie rzeki? Patrol, który spotkaliśmy, składał się ze świetnie wyszkolonych ludzi.

Wszystkich zabiliśmy, ale wcześniej Sven zdążył otrzymać cios. Jechał pierwszy i zrzucano go z konia, zanim zdołałem wyciągnąć miecz. Potem na szczęście poszło już gładko – zabiłem tego, który go zaatakował, a potem trzech kolejnych. Po kilku minutach na ziemi leżał jakiś tuzin Vendańczyków. Twarz Jeba nadal była zachlapaną krwią, a ja czułem na skórze zaschniętą maź.

Orrin przyniósł Svenowi butelkę taniej whisky – tak kazał Tavish. Wyjąłem skórzany pas spomiędzy zębów Svena i dałem mu się napić, żeby załagodzić ból.

– Nie! – zaprotestował Tavish. – To do oczyszczenia rany.

Sven zaczął się rzucać i wsunąłem mu pas z powrotem między zęby. Nie chciał patrzeć, jak cenny płyn spływa po jego policzku na ziemię. Wolałby pewnie, żeby wdała się infekcja. Tavish wbił igłę po raz ostatni i zamknął ranę. Sven jęknął,

a gdy rana zapiekła od alkoholu, zatrzęsł się z bólu.

Wypluł pas i rzekł słabo:

– A niech was diabli.

– Nie ma za co – odparł Tavish.

Znajdowaliśmy się dwie mile od Wielkiej Rzeki – na jedynej drodze prowadzącej do Vendy. Rozbiliśmy obóz wśród skał i patrzyliśmy na wschód – wiedzieliśmy, że przybędą właśnie z tej strony. Musieli minąć konkretny punkt na trasie, ale byliśmy tu już od dwóch dni, a oni wciąż nie przejeżdżali. Przecież nie mogli nas przegonić. Jechaliśmy tak długo, aż wszyscy – i my, i nasze konie – byli na skraju wytrzymałości. Dzisiaj opuściliśmy nasze miejsce obserwacji jedynie w celu znalezienia jakiegoś lepszego punktu, ale wpadliśmy na patrol. Po wrzuceniu ciał Vendańczyków do jaru zabraliśmy ich konie. Mieliśmy nadzieję, że nikt nie czeka na rychły powrót patrolu.

Tavish schował igłę i przyjrzał się swemu dziełu. Potem poklepał Svena po ramieniu.

– Zaufaj mi. Będzie dobrze.

– Powiniennem był puścić go przodem. – Sven machnął ręką w moją stronę.

– Nic ci nie będzie, staruszkule – odparłem, widząc, że nie lubi, jak tak do niego mówię. Sven zawsze zajmował pozycję przede mną. Już nigdy na to nie pozwolę.

On i pozostali poszli spać, a ja objąłem pierwszą wartę. Nie spodziewaliśmy się spotkać patrolu tutaj, wśród skał, ale przecież w ogóle nie spodziewaliśmy się patrolu. Barbarzyńcy nie przestrzegali żadnego prawa, byli nieprzewidywalni, nie szanowali życia – nawet własnego. Atakowali brutalnie, głośno krzycząc, z szałem w oczach, nawet jeśli widzieli, że nie mają szans na zwycięstwo. Jeśli mieli do wyboru śmierć albo niewolę, zawsze wybierali śmierć. Nie myślałem, że Kaden mógłby być jednym z nich. Wiedziałem, że nie mogę mu ufać, ale nigdy bym nie przypuszczał, że jest barbarzyńcą.

A teraz miał ją.

Spojrzałem na czarny zachodni horyzont – mogłem go dostrzec jedynie dzięki gwiazdom.

– Znajdę cię, Lio – szepnąłem. – Odnajdę cię w najodleglejszym zakątku.



Rozdział 67

Gwałtownie otworzyłam oczy. Nadal słyszałam ogłuszający pisk. Spojrzałam na czarną futrzastą bestię z odsłoniętymi kłami. Chciałam się cofnąć, ale byłam otoczona. Wokół mnie piszczalo stado dziwnych istot. Widziałam ich różowe dziąsła i żółte, zepsute zęby.

Gdy wreszcie udało mi się skupić na czymś innym niż te kły, stwierdziłam, że zwierzęta te przypominają małpy. Ale nie te urocze – w ubrankach, siedzące na ramieniu nadwornego błazna. Te były niemal wielkości człowieka, powoli się do mnie zbliżały, tak jakby karmiły się przerażeniem w moich oczach. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam na nie krzyżeć, machając rękami, ale tylko je rozzłościłam – zaczęły na mnie prychać i piszczec. Po tym wszystkim, co przeszłam, zostaną rozerwana na strzępy przez stado dzikich zwierząt.

Nagle powietrze wypełnił straszliwy ryk, głośniejszy niż ich piski – małpy rozpierchły się we wszystkich kierunkach. Słyszałam mój przyspieszony oddech – a potem oddech jakiejś innej istoty. Ciche, groźne sapanie.

Było tu coś jeszcze.

Ogień przygasł, na ziemi został tylko mały migoczący okrąg. Spojrzałam w ciemność za drzewami. Oddechy były powolne i głębokie. Sapnięcie. Dudnienie. Ryk. To z pewnością coś o wiele większego i silniejszego od małpy. Obserwowało mnie.

Poczułam dreszcz na kręgosłupie. Odwróciłam się. Spoglądały na mnie dwa bursztynowe ślepie. Natychmiast je rozpoznałam. Poczułam, jak zasycha mi w gardle. Nigdy nie zapomniałam tego wygłodniałego spojrzenia. Ryknął po raz kolejny i wysunął jedną łapę do przodu.

A potem drugą. Nie mogłam się ruszyć. Prychnął i splunął, tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, teraz jednak nie było nikogo, kto mógłby go odstraszyć. Na co czekał? Wiedziałam, że jeśli się odwrócę i ucieknę, nie będę miała szans. Zadziała instynkt łowcy. Ale przecież właśnie po to tu był – żeby mnie zjeść. Podeszedł bliżej, zobaczyłam jego ogon. Olbrzymi pasiasty łeb połyskiwał w świetle ogniska.

Moje serce skamieniało, tak jakbym już nie żyła. Spojrzał na mnie i zobaczyłam swoje odbicie w jego oczach. Ryknął po raz kolejny, odsłaniając olbrzymie kły. Nie mógł mnie bardziej przerazić. Otworzyłam usta, ale mój język

był tak suchy, że jedyne, co byłam w stanie zrobić, to szepnąć:

– Odejdź.

Jego wąsy zadrżały, machnął ogonem... A potem się odwrócił i zniknął w lesie.

Przez kilka sekund stałam w miejscu, nadal zbyt roztrzęsiona i przerażona, by się ruszyć – potem jednak odzyskałam siły. Rzuciłam się, by zwinąć śpiwór i siodło. Ani małpy, ani tygrys nie zwróciły uwagi na konia – może tylko ja nadawałam się na posiłek. Czy odszedł, dlatego że go o to poprosiłam? Nie miałam zamiaru wystawiać mojego szczęścia na próbę. Postanowiłam uciec, póki jeszcze mogę.

Wyjechałam tą samą drogą, którą przybyłam. Gdy wydostałam się z tego piekielnego lasu, wreszcie odetchnęłam głęboko. Gdy zobaczyłam, że horyzont robi się różowy, zmusiłam konia do pełnego galopu. Wkrótce słońce wszędzie i łatwo będzie mnie dostrzec na sawannie.

Tam, gdzie kończył się las, zaczynały się głązy. Pojechałam ścieżką, która wiła się wokół nich, wdzięczna za kryjówkę. Okazało się jednak, że była to ślepa uliczka. Ścieżka wychodziła na płaskowyż, rozdzielający dolinę na dwie części. Zobaczyłam szeroką drogę, najwyraźniej często uczęszczaną. Zsiadłam z konia i wyszłam na kamienny występ, zastanawiając się, czy uda mi się zejść na dół. Silny wiatr targał moje włosy i spódnicę. Dostrzegłam coś w oddali – kurz, jakby pędziło kolejne stado, to jednak poruszało się dużo wolniej. I wtedy zrozumiałam. Żołnierze. Nie jakiś mały patrol, ale wielki, cudowny batalion żołnierzy!

Zbliżyli się. Było ich co najmniej dwustu – nadal jednak nie widziałam ich chorągwi. A może nie mieli żadnej? Czy to było Morrighan czy Dalbreck? Zaczęłam szukać ścieżki prowadzącej w dół, ale był tu tylko spadzisty ustęp skalny. Przeszłam na drugą stronę, szukając innego zejścia, i spostrzegłam, że z drugiej strony napływają kolejni żołnierze – ale było ich niewiele, co najwyżej trzydziestu. Zmrużyłam oczy, próbując dostrzec ich barwy. Czerwień. Morrighan! Na przedzie jechał biało-orzechowy rumak. Walther. Niemal oszalałam z radości. Ale mój entuzjazm szybko opadł. Bo kim w takim razie byli...

Ci inni. Pobiegłam na drugą stronę, patrząc na liczną armię. Nie, nie było ich dwustu. Było trzystu albo i więcej. I żadnych chorągwi.

Venda.

Armie szły naprzeciwko siebie, ale pod takim kątem, że nie miały szans się zobaczyć. Musiałam ostrzec Walthera.

– Lio.

Odwróciłam się gwałtownie.

Kaden, Eben i Finch.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie teraz!

Puściłam się biegiem, ale już po chwili Kaden był za mną, próbując

pochwycić moje ręce. Złapał mnie za koszulę, podarł ją.

– Nie! – wrzeszczałam. – Muszę ich powstrzymać!

Złapał mnie, mocno objął od tyłu i przycisnął do swojej piersi.

– Nie! Tam jest mój brat! Puszczaj! Wszyscy zginą!

Vendańskie wojsko było już niemal w miejscu, w którym zaraz pojawi się druga armia. Za chwilę zaatakuje mały oddział mojego brata. Trzystu na trzydziestu. Błagałam Kadena, żeby mnie wypuścił. Kopałam. Prosiłam. Płakałam.

– Lio, nie zdążysz ich ostrzec. Zanim tam dotrzemy...

Vendańska armia znalazła się w miejscu, w którym przecinały się drogi obu oddziałów.

Zaczęłam się prężyć.

– Puszczaj! – wrzeszczałam. – Walther! – Ale wiatr wcisnął mi słowa z powrotem do ust.

Było za późno.

Nagle zobaczyłam wszystko w zwolnionym tempie. Ruch i dźwięk były przytłumione niczym we śnie. Ale to nie był sen. Patrzyłam na spotkanie królestw, obie armie były zaskoczone. Zobaczyłam, jak młody mężczyzna na biało-orzechowym koniu rusza do ataku. Wiedziałam, że jest silny i dzielny. I wciąż zakochany, chociaż żałoba zżerała go od środka. Mężczyzna o radosnym, krzywym uśmiechu, który zabierał mnie na grę w karty, szczypał w nos, bronił przed niesprawiedliwością świata i uczył rzucać nożem. Mój brat. Patrzyłam, jak wyciąga broń, żeby pomścić swoją Gretę. Jak w odpowiedzi wyciągniętych zostaje pięć innych mieczy. Jak ostrza błyskają w promieniach słońca. Jak spada z konia. A potem ostatni miecz przebija mu pierś. Patrzyłam, jak ginie Walther. Mój brat.

Padali jeden po drugim – trzech, czterech, pięciu na jednego. To nie była walka, to była masakra. Wiatr był bezlitosny, niósł w moją stronę każdy okrzyk i wrzask.

A potem nagle zapadła cisza. Miałam nogi jak z waty. Upadłam na ziemię. Zaczęłam rwać włosy z głowy, drzeć na sobie ubranie. Kaden mocno mnie trzymał, żebym nie rzuciła się z klifu.

Wreszcie spojrzałam w dolinę. Cały oddział leżał martwy. Vendańczycy nie biorą jeńców. Kaden odsunął włosy z mojej twarzy, kołysał mnie.

– Lio, tak strasznie mi przykro – szeptał. – Nie mogliśmy nic zrobić.

Patrzyłam na ciała, na nienaturalne ułożenie kończyn. Koń Walthera leżał martwy obok swego pana. Kaden powoli mnie wypuścił. Spojrzałam na swoje nagie ramiona, na porozrywany materiał, na pazury i winorośl. Poczułam gulę w gardle, ciekło mi z nosa. Wsłuchiwałam się w przerażającą ciszę. Usiadłam i wygładziłam spódnicę, poczułam, że się chwieję, tak jakby wiatr chciał porwać to, co ze mnie zostało.

Siedziałam tak przez minuty, tygodnie, lata... Wiatr przywiewał mróz, dzień

stawał się nocą, a potem znów widziałam każdy szczegół. Zamknęłam oczy, ale pod powiekami nadal wszystko widziałam, wspomnienia z całego życia zastąpił teraz jeden krwawy obraz. Potem i to zniknęło. Została obojętna, paraliżująca szarość.

Wreszcie patrzyłam, jak moje dłonie układają się na kolanach, odpychają się od nich, zmuszają moje ciało do wstania. Odwróciłam się. Eben wpatrywał się we mnie poważnie swoimi wielkimi oczami. Finch stał z otwartymi ustami.

Spojrzałam na Kadena.

– Muszę pochować mojego brata – rzekłam. – Muszę pochować ich wszystkich. Nie zostawię ich tu zwierzętom na pożarcie.

Pokręcił głową.

– Lio, nie możemy...

– Możemy zejść wschodnią ścieżką – przerwał mu Finch.

Na dnie doliny było czuć krew, która nadal wsiąkała w ziemię, smród jelit koni i ludzi, słychać było prychnięcie i kwilenie zwierząt, które jeszcze nie zdechły, ale nie miały szans na szybkie zakończenie cierpienia. W powietrzu panowała atmosfera grozy. *Ten świat wdycha ciebie, wacha, zna cię, a potem cię wydycha i dzieli się tobą.* Dzisiaj świat płakał razem z ostatnim oddechem mego brata i jego towarzyszy. Czy moja matka poszła do swej komnaty? Czy już o tym wiedziała?

Na przywitanie wyjechał nam silny mężczyzna, siedzący wysoko w siodle. Założyłam, że to dowódca tych brutalni. Miał brodę zaplecioną w dwa długie warkocze.

Po raz pierwszy widziałam prawdziwego barbarzyńcę. Kaden i reszta ubierała się tak, by się nie wyróżniać. Ci ludzie byli inni. Z ich pasków zwisały czaszki małych zwierząt, które przy każdym ruchu cicho o siebie stukały. Przy skórzanych hełmach wisały długie łańcuchy, ich twarze wyglądały przerażająco – pod oczami malowali sobie czarne pasy.

Gdy dowódca rozpoznał Kadena i resztę, opuścił miecz i przywitał się z nimi, tak jakby umówili się na piknik na łące. Zignorował bezgłowe i porzucane ciała. Dopiero po chwili wszyscy spojrzeli na mnie. Finch szybko wyjaśnił, że nie mówię w ich języku.

– Jestem tu, żeby pochować zmarłych – rzekłam.

– Nie mamy żadnych zmarłych – odparł tamten po morrighańsku. Miał wyraźny akcent, w jego głosie słyszałam odrazę, tak jakbym zasugerowała coś wulgarne.

– Tych drugich – odparłam. – Tych, których zabiliście.

Uśmiechnął się złośliwie.

– Nie chowamy ciał wrogich świń. Zostawiamy je na pożarcie.

– Nie tym razem.

Spojrzał na Kadena z niedowierzaniem.

– Co to za pyskata suka z wami jedzie?

– To nasz jeniec! – wtrącił Eben. – Księżniczka Arabella z Morrighan. Ale mówimy na nią Lia.

Na twarzy dowódcy odmalowała się pogarda. Usiadł wygodnie i poprawił hełm.

– Czyli nazywacie ją Lią – zadrwił, patrząc na mnie wrogo. – Jak już mówiłem, moi żołnierze nie chowają świń.

– Dowódcu, kiepsko słuchacie – powiedziałam. – Nie prosiłam, żeby chowali ich twoi barbarzyńcy. Nie pozwoliłabym, żeby ich brudne łapska dotknęły szlachetnych morrighańskich żołnierzy.

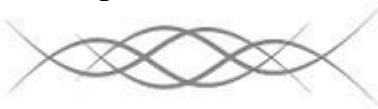
Przechylił się do przodu i już uniósł rękę, żeby mnie uderzyć, ale Kaden go powstrzymał.

– Chievdar, ona jest w żałobie. Nie bierz jej słów na poważnie. Jeden z nich to jej brat.

Podjechałam na koniu tak blisko, że moje kolano niemal dotknęło kolana dowódcy.

– Chievdar, powtórzę raz jeszcze: ja ich pochowam.

– Wszystkich? Pochowasz cały oddział mężczyzn? – Zaśmiał się. Jego ludzie też zaczęli się śmiać. – Niech ktoś przyniesie księżniczce łopatę – zarządził. – Niech kopie.



Kłęcząłem na środku pola. Moim pierwszym obowiązkiem było pobłogosławić zmarłych, gdy ich ciała były jeszcze ciepłe. Tradycja, której zawsze unikałem, teraz utrzymywała mnie przy życiu. Uniosłem dłonie w kierunku bogów, ale z moich ust popłynęły pieśni w innym języku, który zrozumieć mogli tylko bogowie i umarli, pozbawieni krwi i duszy, prawdy i czasu. Mój żałobny, rwący się głos stał się donośniejszy, przecinał wiatr, a potem stał się jego częścią, był poprządkany słowami tysięcy lat. Dolinę wypełniały teraz lamenty matek, sióstr, córek z przeszłości. Wspomnienie rozrywało odległe niebiosy i sprawiało, że ziemia zaczyna krwawić. Pieśń pogardy i miłości, zgorzknienia i litości, modlitwa utkana z gwiazd i pyłu.

– Niech i tak będzie – zakończyłam. – Na wieki.

Otworzyłam oczy. Przypatrywali mi się wszyscy żołnierze wokół. Wstałam i wzięłam łopatę. Najpierw ruszyłam w stronę Walthera. Zanim doszłam do jego ciała, Kaden mnie zatrzymał.

– Lio, śmierć nie jest elegancka ani pełna wybaczenia. Nie chcesz zapamiętać go w ten sposób.

– Zapamiętam go właśnie w ten sposób. Zapamiętam ich wszystkich. I nigdy

nie zapomnę.

Wyrwałam mu się.

– Nie mogę ci pomóc. Chowanie wrogów to u nas zdrada. Sprowadziłbym hańbę na mój naród.

Nie odpowiedziałam. Podjęłam wędrówkę wśród rozczłonkowanych ciał, aż wreszcie znalazłam brata. Upadłam na kolana obok niego i odgarnęłam włosy z jego czoła. Pocałowałam go w policzek i zamknęłam oczy. Szeptałam własną modlitwę, życząc mu szczęścia w podróży. Teraz znów tulił Gretę, a jeśli bogowie byli litościwi, kołysał też swoje dziecko. Drżącymi palcami delikatnie dotknęłam jego czoła, nie chcąc się z nim rozstać. Wiedziałam, że dotykam go po raz ostatni.

– Do widzenia, słodki książę – szepnęłam w jego skórę.

A potem wstałam i zaczęłam kopać.



Rozdział 68

KADEN

Cały obóz zamarł. Wszyscy ją obserwowali. W przeciwieństwie do mnie żaden nie widział jeszcze nikogo z rodziny królewskiej, a już na pewno nie księżniczki. Nie była delikatną osobką z ich wyobrażeń. Z kolejnymi godzinami jedni po drugich, nawet najbardziej zatwardziali wojownicy, siadali, by ją obserwować – najpierw przez jej mrozące krew w żyłach śpiewy, które wypełniły całą dolinę, a potem gdy łopata po łopacie skupiała na sobie ich uwagę.

Wykopanie pierwszego grobu zajęło jej trzy godziny. To był grób jej brata. Wyciągnęła śpiwór spod martwego konia, owinęła nim ciało mężczyzny i przeturlała do dziury. Usłyszałem pomruk zdenerwowania Fincha i Ebena, który zaczął przygryzać wargę. Żaden z nas nie współczuł przegranym, trudno jednak było patrzeć, jak Lia całuje zmarłego brata, a potem mocije się z jego ciałem.

Griz, który dojechał do nas razem z Malichem, musiał odejść; nie mógł na to patrzeć. Ja jednak nie potrafiłem odwrócić wzroku. Większość z nas nie potrafiła. Po pochowaniu brata podeszła do kolejnego martwego żołnierza. Uklęła, by go pobłogosławić, a potem zaczęła kopać grób dla niego. Żołnierz stracił rękę, patrzyłem, jak jej szuka, jak wyciąga kończynę spod jego nieżyjącego konia. Położyła mu ją na piersi, a następnie owinęła go kocem.

Jak długo da radę? Potykała się i upadała, ale potem, gdy myślałem, że już nie zdoła wstać, za każdym razem podnosiła się z kolan. Żołnierze wokół mnie stawali się niespokojni, zaczęli ze sobą rozmawiać w napięciu. Mrużyli oczy i rozcierali ręce. Tylko chievdar stał sztywno, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Skończyła kopać trzeci grób. Minęło siedem godzin. Od trzymania łopaty krwawiły jej dłonie. Uklęła przy czwartym żołnierzu.

Wstałem, podszedłem do wozu z zaopatrzeniem i wziąłem drugą łopatę.

– Wykopię kilka dziur. Jeśli będzie chciała przeturlać do nich ciała, to niech tak zrobi.

Dwóch żołnierzy stojących obok wozu spojrzało na mnie w osłupieniu, ale żaden nie próbował mnie powstrzymać. Przecież to nie była zdrada.

– Ja też – zdecydował Finch, biorąc kolejną łopatę.

Część oddziału patrzyła niepewnie to na nas, to na chievdara. Wyciągnęli

miecze, ale dowódca machnął ręką.

– Schowajcie je – rozkazał. – Jeśli ta morrighańska suka chce zedrzeć palce do kości, to dobrze, wszyscy będziemy mieć rozrywkę. Ale nie zamierzam tu siedzieć do jutra. Skoro ci głupcy chcą kopać, niech kopią. – Odwrócił wzrok. Jeśli miał już tego dość, z łatwością mógł to zakończyć. Lia była jeńcem i wrogiem Vendy. Ale może jej przerażająca pieśń obudziła w nim strach przed bogami i dlatego pozwolił dokończyć grzebanie zmarłych.

Eben i Griz poszli za naszym przykładem. Prawdopodobnie ku konsternacji chievdara do pracy zabrało się też siedmiu z jego ludzi. Złapali kilofy, topory i wszystko, co tylko zdołali znaleźć, i wspólnymi siłami zaczęliśmy kopać dziury obok zabitych.



Rozdział 69

Noc spędziliśmy w dolinie nieopodal miejsca, w którym pochowałam zabitych, a rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Do Vendy mieliśmy dojechać za trzy dni. Tym razem byliśmy otoczeni oddziałem liczącym czterystu ludzi. A może sześciuset? Liczby nie miały już dla mnie żadnego znaczenia. Patrzyłam przed siebie, moja głowa kiwała się w takt wystukiwany przez kopyta mojego konia. Przed sobą widziałam konia Ebena. Noga zwierzęcia wyglądała coraz gorzej, przez co pozostałe musiały pracować intensywniej. Wiedziałam, że nie dojedzie do Vendy.

Nadal ściekała ze mnie woda. Zaledwie godzinę wcześniej, w pełnym ubraniu, weszłam do rzeki, która płynęła wzdłuż doliny. Nie czułam prądu wody na skórze, widziałam jednak gęsią skórę na swoim ciele. Pozwoliłam, by rzeka przemyła moje zakrwawione ubranie. Krew Walthera i trzydziestu innych mężczyzn popłynęła do domu. Świat zapamięta na zawsze, nawet jeśli ludzie zapomną. Niedaleko mojego brata znalazłam Gavina leżącego twarzą do ziemi; łatwo było zauważyć jego gęste rude włosy, ale Avra i Cyrila zidentyfikowałam z ogromnym trudem – tylko po tym, że znajdowali się nieopodal Walthera. Kiedy już odpłynęła krew, twarz staje się ostra i zapadła, niczym wycięta z drewna.

Zapamiętam ich wszystkich. I nigdy nie zapomnę.

Kaden, Finch i inni pomogli mi kopać groby. Bez nich nigdy nie udało by mi się pochować wszystkich zabitych. Ale przecież to przez nich wymordowano cały patrol. Jeden z żołnierzy, którzy kopali grób, mógł równie dobrze być tym, który przebił mieczem pierś mojego brata. Albo odciął rękę Cyrilowi. Czy powinnam być im wdzięczna za pomoc? Nic nie czułam. Odpłynęły ze mnie wszelkie uczucia. Zostały w dolinie tak jak krew zarżniętych.

Miałam suche oczy. Odarte ze skóry dłonie nie bolały. Ale dwa dni po śmierci Walthera coś się we mnie poruszyło. Coś twardego i ostrego, czego nie czułam nigdy wcześniej – niczym ułamany fragment skały, który obraca się i obraca, gdy wpadnie w obręcz koła. Kręciło się bezcelowo, ale w regularnym rytmie. Może to było to samo, co poruszyło się w Waltherze, gdy tulił do siebie martwą Gretę? Byłam przekonana, że cokolwiek się oderwało, już nigdy się we mnie nie zakotwiczy.

Wśród ludzi błyskawicznie rozeszła się wieść, że mam dar, szybko jednak

się przekonałam, że nie każdy Vendańczyk ma do niego szacunek. Niektórzy śmiali się z zacofania Morrighańczyków. Najbardziej szydził chievdar. Ale wielu mężczyzn podchodziło do mnie nieufnie, bojąc się spojrzeć mi w oczy. Większość gratulowała Kadenowi i reszcie łupu, który przywieźli Komizarowi. Prawdziwa księżniczka należąca do wroga.

Nie wiedzieli, że jego prawdziwym zadaniem było podejrzenie mi gardła. Spojrzałam na niego obojętnie. Popatrzył mi w oczy. Chciał odczuwać dumę wśród swych towarzyszy. Przecież Venda zawsze była najważniejsza. Kiwał głową do tych, którzy z uznaniem klepali go po plecach. Czytałam w jego oczach jak w otwartej księdze. A przecież kiedyś skrywały przede mną tyle tajemnic.

Następnego dnia stan konia Ebena się pogorszył. Słyszałam, jak Malich i Finch mówią chłopakowi, że będzie trzeba zabić zwierzę, że ukradli dostatecznie dużo innych koni i będzie miał na czym jechać. Przeklął ich ciekim głosem niczym dziecko, wykrzyczał, że to tylko naciągnięty mięsień i że to minie.

Nie odzywałam się. Nie obchodziły mnie ich troski. Wsłuchiwałam się w kawałek skały, który cały czas we mnie grzechotał. A późno w nocy, gdy wpatrywałam się w gwiazdy, usłyszałam szept, w który bałam się uwierzyć:

Znajdę cię.

Odnajdę cię w najodleglejszym zakątku.



Rozdział 70

Rozczesywałam włosy. Dzisiaj mieliśmy wjechać do Vendy. Nie chciałam wyglądać jak dzikie zwierzę. Nadal wydawało mi się to ważne. Dla Walthera. Dla całego patrolu. Nie byłam jedną z nich i nigdy nie będę. Szarpałam kołtuny, niekiedy wyszarpywałam całe pasma, ale wreszcie włosy stały się gładkie.

Wiedziałam, że otoczona setkami żołnierzy mam małą szansę na ucieczkę. Może już nigdy nie będę jej miała, chyba że sami bogowie zdecydują cisnąć na ziemię kolejną gwiazdę i ponownie wszystko zniszczyć. W czym ci dwaj, prężący się dumnie na swoich koniach po obu moich bokach, byli lepsi od Starożytnych, których bogowie zniszczyli dawno temu? Co teraz powstrzymywało bogów?

Jechaliśmy za wozami pełnymi mieczy, siodeł, a nawet butów ofiar. Śmiertelny łup. Gdy chowałam brata, nie zauważyłam nawet, że nie było przy nim jego miecza i pięknie zdobionego skózanego pasa, który zawsze nosił na piersi. Teraz pewnie leżały gdzieś na wozie.

Słuchałam brzęku łupów i postukującej we mnie oderwanej skały.

Kaden jechał z jednej strony, Eben z drugiej, a Malich i pozostali tuż za nami. Nagle koń Ebena się potknął, ale udało mu się ruszyć dalej. Eben zeskoczył na ziemię i zaczął coś szeptać do zwierzęcia. Wplótł palce w jego grzywę i prowadził go cierpliwie. Po zaledwie kilku krokach koń potknął się po raz drugi; tym razem przeszedł chwiejnie kilkanaście jardów w poprzek drogi. Eben pobiegł za nim. Zwierzę przewróciło się na bok, nie było już w stanie utrzymać się na przednich nogach. Zrozpaczony chłopak próbował je namówić, żeby wstało.

– Zajmij się tym – powiedział Kaden do Ebena. – Już czas.

Malich zatrzymał się obok mnie.

– Zrób to teraz! – nakazał.

– Wszystkich opóźniasz. – Malich odpiął od pasa skózaną pochwę z długim nożem i rzucił ją chłopakowi. Upadła u jego stóp. Eben zamarł. Popatrzył na nas rozszerzonymi oczami. Dopiero gdy Kaden kiwnął do niego głową, powoli podniósł nóż.

– Nie może tego zrobić ktoś inny? – spytałam.

Kaden spojrzał na mnie z zaskoczeniem. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam od trzech dni.

– To jego koń. Jego zadanie – odparł.

– Musi się nauczyć. – Usłyszałam za sobą głos Fincha.

Griz wymamrotał coś na zgodę:

– *Ja tiak.*

Patrzyłam w przerażoną twarz Ebena.

– Ale on wychowywał go od źrebięcia – przypomniałam im. Nie odpowiedzieli. Odwróciłam się do Fincha i Griza. – To jeszcze dziecko. Dzięki wam i tak nauczył się zdecydowanie za dużo. Naprawdę żaden z was nie może tego dla niego zrobić?

Zapadła cisza. Zeskoczyłam na ziemię i ruszyłam przed siebie. Kaden zaczął krzyczeć, żebym wsiadła z powrotem na konia.

Splunęłam przez ramię.

– *Ena fikatande spindo keechas! Fikat ena shu! Ena mizak teevas ba betaro! Jabave!*

Spojrzałam na Ebena. Chłopiec nabrał ostro powietrza, gdy wzięłam od niego nóż. Wszyscy żołnierze unieśli łuki i wycelowali we mnie.

– Pożegnałeś się już z Duchem? – spytałam Ebena.

Jego oczy zaszkliły się łzami.

– Wiesz, jak on ma na imię?

– Słyszałam, jak szepczesz je w obozie. Oni się mylili. – Odwróciłam głowę w stronę reszty. – Nie ma nic wstydlwego w nadaniu koniowi imienia.

Przygryzł dolną wargę i pokiwał głową.

– Pożegnałem się.

– W takim razie odwróć się – nakazałam mu. – Nie musisz tego robić sam.

Gdy wstrząśnięty chłopiec zrobił to, o co go poprosiłam, podeszłam do konia. Jego tylne kopyta drżały z wysiłku – musiały jednak utrzymać ciężar całego ciała. Zwierzę było skrajnie wyczerpane, ale patrzyło na mnie szeroko otwartymi oczami. Tak jak Eben.

– Ciii... – szepnęłam. – Ciiii... – Uklękłam przy Duchu i zaczęłam szeptać o łąkach, sianie i małym chłopcu, który zawsze będzie go kochał, nawet jeśli nie zna tych słów. Głaskałam jego miękkie pysk, pod wpływem mojego dotyku koń zaczął się uspokajać. A potem zrobiłam to, co wielokrotnie robił Walther na szlaku – wbiłam nóż w miękką tkankę na szyi zwierzęcia. Przyniosłam mu ulgę.

Wytarłam ostrze o trawę, zdjęłam siodło z konia i podeszłam do Ebena.

– Już – rzekłam. Odwrócił się i podał mi siodło. – Już się nie męczy. – Dotknęłam ramienia chłopca. Spojrzał zdumiony na moją dłoń, a potem na mnie. Na chwilę znów stał się niepewnym dzieckiem. – Możesz wziąć mojego konia – dodałam. – Ja się przejdę. Mam dość dotychczasowego towarzystwa.

Wróciłam do pozostałych i oddałam Malichowi jego nóż. Wziął go ostrożnie. Wszyscy żołnierze jak na zawołanie opuścili łuki.

– A więc znasz język Vendy – zauważył Malich.

– Jak mogłabym nie znać? Przecież od wielu tygodni słyszę tylko wasze ograniczone, wulgarne słownictwo. – Zaczęłam odpinać siodło z mojego konia.

– Co ty robisz? – spytał Kaden. Po raz pierwszy od kilku dni spojrzałam mu w oczy, długo i ostro. Poczekałam, aż zrozumie, zamruga. To nie był koniec.

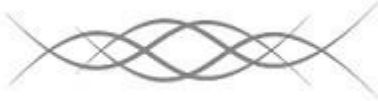
– Dalej idę na piechotę – oznajmiłam. – Na dole powietrze jest świeższe.

– Nie uczyniłaś temu chłopcu żadnej przysługi – rzekł.

Odwrociłam się i spojrzałam kolejno na Griza, Fincha i Malicha. Powoli przesuwalam wzrok po twarzach setek otaczających nas żołnierzy, którzy nadal czekali, aż ruszymy z miejsca. Potem ponownie zwróciłam się do Kadena:

– To jeszcze dziecko. Może okazanie mu współczucia to jedyna przysługa, jaką ktoś kiedykolwiek dla niego wyświadczył.

Zdjęłam siodło i wszyscy ruszyli do przodu. Po chwili znów całą moją uwagę skupiały brzęk łupów na wozie i stukot fragmentu skały, który coraz szybciej się we mnie obracał.



Kroki i mile zaczynały się zacierać. Wiał wiatr. Szarpał moją spódnicę, plątał włosy, a mimo to wokół panował dziwny spokój. W powietrzu wciąż wisiała pamięć o koniu Ebena. Ostatni oddech. Ostatnie drżenie. A potem oczy tuzina żołnierzy, gotowych mnie zabić.

Gdy we mnie celowali, przez chwilę modliłam się, żeby strzelili. Nie bałam się bólu, ale tego, że nie będę go już odczuwać – że nie będę czuć nic.

Nigdy wcześniej nie zabiłam konia, widziałam tylko, jak to się robi. Zabijanie jest czymś innym, niż myślenie o zabijaniu. Coś ci zabiera, nawet jeśli zabijasz tylko cierpiące zwierzę. Nie zrobiłam tego jedynie po to, żeby uwolnić Ebena od tego ciężaru. Uczyniłam to również dla siebie. Nie byłam gotowa na pozbycie się tego, kim niegdyś byłam. Nie mogłam stać i patrzeć, jak dziecko zarzyna własnego konia.

Kroczyłam teraz do innego świata, w którym panowały inne zasady – do świata mamroczących kobiet zrzuconych z murów, dzieci szkolonych na zabójców i czaszek zwisających z pasów. Spokój Terravinu był tylko odległym wspomnieniem. Nie byłam już beztroską dziewczką z tawerny, którą Rafe pocałował w sennej nadmorskiej wiosce. Tamta dziewczyna zniknęła na zawsze. Tamten sen został ukradziony. Teraz byłam tylko jeńcem. Tylko...

Zawahałam się.

Zawsze będziesz sobą, Lio. Nie możesz od tego uciec. Głos był tak wyraźny, że miałam wrażenie, iż Walther idzie u mego boku i ponownie wypowiada te słowa z ogromną powagą. *Lio, jesteś silna. Zawsze byłaś najsilniejsza z nas wszystkich. Króliki są smaczne, wiesz?*

Owszem. Są.

Nie byłam beztruską dziewczką z gospody. Byłam księżniczką Arabellą Celestine Idris *Jezeliq*, Pierwszą Córką Domu Morrighan.

Tą, która dostała tajemnicze imię.

I wtedy coś usłyszałam.

Cisza.

Wyrwany fragment mnie, o którym myślałam, że już nigdy się nie dopasuje, zaczął się kręcić, zawirował i wpasował się w moje ciało. Poczułam gorące ukłucie w jelitach. Ból był jak najbardziej pożądany.

W mojej głowie rozbrzmiały ostatnie wersy *Pieśni Vendy*.

Z łona Morrighan...

Skąd moja matka mogła wiedzieć? Zastanawiałam się nad tym, odkąd przeczytałam te wersy. Jedyna odpowiedź była taka, że nie wiedziała – poprowadził ją dar. To się w nią wbiło, szeptało. *Jezelia*. Ale tak jak w moim przypadku, dar nie przemówił dostatecznie jasno. „Zawsze byłaś najsilniejsza z nas wszystkich”. To właśnie najbardziej martwiło matkę. Nie wiedziała, co to oznacza – po prostu bała się własnej córki.

Aż przyjdzie ta, która jest potężniejsza,

Która zrodziła się z cierpienia,

Która była słaba,

Która była prześladowana,

Naznaczona pazurem i winoroślą.

Spojrzałam na swoje ramię. Podarta tkanina odsłaniała pazur i winorośl, tak barwne, jak opisała to Natiya. Wszyscy jesteśmy częścią czegoś wspanialszego... historii, która przerasta głębę, wiatr, czas... a nawet nasze łzy. Wspanialsze historie z pewnością nadejdą.

Jezelia. Czuję, że tylko to imię oddawało moją prawdziwą naturę, to, kim naprawdę jestem – a przecież nikt poza moimi braćmi nie chciał mnie tak nazywać. Może były to tylko mrzonki szalonej kobiety, która żyła wiele wieków temu, ale miałam zamiar sprawić, by jej słowa stały się prawdziwe.

Dla Walthera. Dla Grety. Dla wszystkich snów, które zniknęły. Złodziej snów nic już nie ukradnie, nawet jeśli będzie to oznaczało, że muszę własnoręcznie zabić Komizara. Zdradziła mnie własna matka, która starała się stłumić mój dar. Ale co do jednego miała rację – jestem żołnierzem w armii mego ojca.

Spojrzałam w górę na siedzącego w siodle Kadena.
Może nadszedł czas, żebym to ja stała się zabójczynią.



Rozdział 71

RAFE

– Co, u diabła...?

Jeb, pełniący wartę, zadał pytanie cicho i powoli. Pomyślałem więc, że zobaczył kolejne ciekawe zjawisko, na przykład stado koni ze złotymi grzywami, które widzieliśmy wczoraj.

Orrin podszedł do niego, również zaciekawiony.

– No cóż... O, w bukłak!

Teraz już wszyscy zaczęliśmy się zastanawiać, co takiego zobaczyli. Sven, Tavish i ja wybiegliśmy na punkt obserwacyjny na skale. Poczułem ogarniający mnie chłód.

– Co to jest? – spytał Tavish, choć wszyscy już doskonale wiedzieliśmy.

To nie patrol barbarzyńców. Ani nawet większy, zorganizowany pluton. To był cały oddział, szeroki na dziesięć koni i długi na co najmniej sześćdziesiąt.

Pomijając jedną osobę.

Szła sama.

– To ona? – spytał Tavish.

Pokiwałem głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Była otoczona armią. Nie mieliśmy się zmierzyć z pięcioma barbarzyńcami. Słyszałem, jak moi towarzysze powoli nabierają powietrza, jeden po drugim. To nie byli barbarzyńcy, jakich znaleźliśmy. Nie ci, których bez problemu spychaliśmy za Wielką Rzekę. Nie było szans, żebyśmy pokonali tylu ludzi w bezpośredniej konfrontacji. Zginęlibyśmy wszyscy, łącznie z Lią. Patrzyłem, jak stawia krok za krokiem. Co ona niesie? Siodło? Chyba utyka? Jak długo idzie? Sven położył dłoń na moim ramieniu, próbując mnie pocieszyć.

Odwróciłem się.

– Nie! To nie koniec.

– Nie możemy nic zrobić. Przecież to widzisz. Nie możemy...

– Nie! – powtórzyłem. – Nie przekroczysz tego mostu beze mnie. – Zacząłem chodzić do koni i z powrotem, ściskając dłoń w pięść, szukając rozwiązania. Pokręciłem głową. Na pewno nie pójdzie tam beze mnie. Popatrzyłem po ich ponurych twarzach.

– Uda nam się – rzekłem. – Posłuchajcie. – Wyłożyłem im ułożony naprędce plan. Nie było czasu na obmyślanie innego.

– Przecież to jakieś szaleństwo – mruknął Sven. – To nigdy się nie uda!

– Musi się udać – upierałem się.

– Twój ojciec mnie zabije!

Orrin parsknął śmiechem.

– Nie martwiłbym się królem. Przez plan Rafe’a i tak nie dotrzemy do niego żywi.

– Przecież już tak robiliśmy. – Tavish kiwnął głową. – Możemy to zrobić jeszcze raz.

Jeb przyprowadził już mojego konia i podał mi lejce.

– Na co czekasz? – spytał. – Jedź!

– Chyba oszalałeś! – krzyknął Sven, gdy włożyłem stopę w strzemień.

– Owszem – odparłem. – I liczę na to, że wesprzecie mnie w tym szaleństwie.



mok zawiąże spisek,

Będzie mieć wiele twarzy,

Oszuka ciemżonych, zbierze niegodziwców,

Będzie władać niczym bóg, niepowstrzymany,

Bezlitosny w swych osądach,

Nieustępliwy w swych rządach,

Złodziej snów,

Zabójca nadziei.

Aż przyjdzie ta, która jest potężniejsza.

– Pieśń Vendy



Rozdział 72

Strach to bardzo ciekawe zjawisko.

Myślałam, że już nie potrafię go odczuwać. Bo czego jeszcze mogłabym się obawiać? Kiedy jednak zobaczyłam Vendę, przerażenie przysiadło mi na karku. Otaczały ją skały, przez które przejeżdżaliśmy, wznosiła się na horyzoncie wśród szarej mgły. Nie mogłam nazwać jej miastem. Ona oddychała.

Gdy się zbliżyliśmy, zobaczyłam, jak rośnie i powiększa się niczym bezoki czarny potwór, rodzący się z płonących popiołów. Chaotyczne wieżyczki pokryte gadzim kamieniem i poskręcane mury świadczyły o tym, że jest tam labirynt i coś, co za nim czyha. To nie było tylko odległe miasto. Czułam jego puls, słyszałam jego mroczną pieśń. Mogłam zobaczyć samą Vendę, siedzącą przede mną na szarych murach, śpiewającą ostrzeżenia dla tych, którzy słuchali jej na dole.

Miałam wrażenie, że sama ześlizguję się z muru, zapominam o tym, co niegdyś miało dla mnie znaczenie. Opuściłam Civica wieki temu z czymś, co wydawało mi się prostym marzeniem, chciałam, żeby ktoś pokochał mnie taką, jaką byłam. W ciągu tych kilku krótkich dni z Rafem naiwnie myślałam, że udało mi się spełnić to marzenie. Teraz nie byłam już tamtą dziewczyną. Teraz – tak jak Walther – pragnęłam tylko sprawiedliwości.

Spojrzałam na rosnącego przede mną potwora. Tak jak w dniu mojego ślubu, tak i teraz wiedziałam, że to ostatni stopień oddzielający „tutaj” od „tam”. Nie będzie powrotu. Gdy wejdę do Vendy, już nigdy nie zobaczę domu. „Chcę cię przytulić i już nigdy nie wypuścić”. Byłam już w najodleglejszym zakątku. Nigdy nie zobaczę Rafe’a. Wkrótce będę martwa dla wszystkich poza tajemniczym Komizarem, który potrafił wymóc posłuszeństwo na armii brutali. Byłam teraz jego wojennym łupem, tak jak miecz i buty Walthera – chyba że postanowi dokończyć to, czego nie dokończył Kaden. Wcześniej może jednak odkryje, że nie jestem nagrodą, której wszyscy się spodziewali.

Pochód zatrzymał się przy rzece. To było coś więcej niż potężna rzeka. To była otchłań, rycząca i posyłająca w górę mgłę, którą widziałam z oddali. Kamienie i gleba były śliskie. Nie miałam pojęcia, jak przejdziemy na drugą stronę, ale tam tłumy wiwatowały już na naszą cześć. Ludzie kręcili się przy czarnych murach i ciągnęli za liny przywiązane do olbrzymich żelaznych kół. Wśród ryku rzeki słyszałam okrzyki rozkazodawcy, który próbował zsynchronizować ich ruchy.

Niezliczone ciała poruszały się jednocześnie, monotonicznie recytowały coś niskimi głosami, a z każdym ich pociągnięciem z mgły wyłaniał się przerażający most. Ostatnie szarpnięcie – rozległ się przeraźliwy huk i most wskoczył na swoje miejsce.

Kaden zsunął się z konia i stanął obok mnie. Patrzyliśmy, jak robotnicy zabezpieczają łańcuchy mostu.

– Rób, co mówię, a wszystko będzie dobrze – powiedział. – Jesteś gotowa?

Nie odpowiedziałam. Jak mogłabym kiedykolwiek być na to gotowa?

Odwrócił głowę i wziął mnie za rękę.

– Lio, pamiętaj, że tylko próbuję ocalić ci życie.

Patrzyłam mu w oczy.

– Kadenie, jeśli na tym ma polegać ocalenie mi życia, to wołałabym, żebyś przestał się starać.

Zobaczyłam ból w jego oczach. Tysiące przebytych wspólnie mil mnie zmieniły, ale nie w sposób, na jaki miał nadzieję. Cały czas mnie trzymał, teraz wpatrując się w moje usta. Dotknął ich, delikatnie przejechał kciukiem po dolnej wardze, jakby próbował zetrzeć słowa. Przełknął ślinę.

– Gdybym cię puścił, przysłałiby kogoś innego. Kogoś, kto dokończyłby zadanie.

– A ty zdradziłbyś Vendę. Ale przecież już to uczyniłeś, prawda? Pomogłeś mi pochować zabitych.

– Nigdy nie zdradziłbym Vendy.

– Czasami musimy robić to, czego byśmy nie chcieli.

Ścisnął moje rękę.

– Lio, urządzę ci tu życie. Obiecuję.

– Tutaj? I będę żyła tak jak ty?

Chaos, który zawsze widziałam w jego oczach, pogłębił się. Niektóre prawdy nieustannie szeptały, nie pozwalały się zignorować.

Wartownik dał znać, żebyśmy ruszali.

– Pójdziesz ze mną? – spytał Kaden.

Pokręciłam głową.

Wtedy powoli mnie puścił. Wsiadł na konia, a ja poszłam przed nim, czując na plecach jego wzrok. Już miałam wejść na most, gdy za nami rozległa się wrzawa. Odwróciłam się i usłyszałam jeszcze więcej krzyków. Kaden ściągnął brwi. Gdy podeszła do nas grupka żołnierzy, zsiadł z konia i złapał mnie za rękę. Na ziemię u jego stóp rzucili jakiegoś mężczyznę.

Moje serce stanęło.

O, bogowie...

Kaden jeszcze mocniej ścisnął moją dłoń.

– Ten pies twierdzi, że cię zna – rzekł jeden z żołnierzy.

Podjechał do nas sam chievdar, poruszony zamieszaniem.

– Kto to? – spytał ostro.

Kaden patrzył wściekle przed siebie.

– Pewien bardzo głupi opijus – wycedził. – Żałosny farmer, który na próżno przejechał taki szmat drogi.

W mojej głowie szalała burza.

Jak?

Rafe wstał. Spojrzał na mnie, nie zwracając uwagi na Kadena. Wodził wzrokiem po moich obandażowanych palcach, rozdartej koszuli, odsłaniającej ramię, zakrwawionych ubraniach i zrozpaczonej twarzy. W końcu spojrzał mi w oczy, w milczeniu zadając mi mnóstwo pytań. Martwił się, że zostałam skrzywdzona w sposób, jakiego nie widać na pierwszy rzut oka. Wiedziałam o tym. I wiedziałam, że tęsknił za mną tak bardzo, jak ja tęskniłam za nim.

„Lio, ci dobrzy nie uciekają”.

Teraz jednak, płonąc z uczucia, z całego serca żałowałam, że tego nie uczynił.

Próbowałam się wyszarpnąć, ale Kaden bardzo mocno mnie trzymał.

– Puszczaj! – ryknęłam w końcu i uwolniłam się.

Podbiegłam do Rafe’a i padłam mu w ramiona. Rozpłakałam się, gdy nasze usta się spotkały.

– Nie powinienes być tu przyjeżdżać... Nie rozumiesz...

Wypowiadałam te słowa, jednak egoistycznie cieszyłam się, że tu jest, dziko radowałam się, że wszystko, co do niego czułam, i to, co on czuł do mnie, okazało się prawdziwe. Kiedy go całowałam, po moich policzkach płynęły łzy. Ujęłam jego twarz, nie bacząc na opatrunki, i wciąż do niego mówiłam.

Objął mnie, zanurzył twarz w moich włosach i trzymał tak mocno, że niemal uwierzyłam, że już nigdy się nie rozstaniemy. Wdychałam jego zapach, chłonełam jego dotyk, głos, na ułamek sekundy wszystkie nasze problemy zniknęły – byliśmy tylko my.

– Będzie dobrze – szepnął. – Obiecuję, że nas z tego wyciągnę. Zaufaj mi, Lio.

Wtedy poczułam, jak żołnierze nas rozdzielają. Mnie ciągną za włosy, do piersi Rafe’a przykładają miecz. Czyjeś szorstkie dłonie odciągnęły mnie do tyłu.

– Zabić go i jedziemy dalej – rozkazał chievdar.

– Nie! – krzyknęłam.

– Nie bierzemy jeńców – przypomniał mi Kaden.

– A ja kim jestem? – spytałam, patrząc na żołnierza, który trzymał mnie za rękę.

Rafe siłował się z mężczyznami, próbującymi go odciągnąć.

– Mam wiadomość dla waszego Komizara! – zdążył jeszcze krzyknąć.

Żołnierze zamarli, zaskoczeni i niepewni. Rafe wykrzyczał to władcym tonem. Rozmyślałam gorączkowo. Jak mnie znalazł? Nagle cofnęłam się w czasie. Zatrzymałam się. Rafe. Parobek. Z terenów, które nie mają nazwy. Patrzyłam na niego w osłupieniu. Teraz wszystko w nim wyglądało zupełnie inaczej. Miał nawet inny głos. „Obiecuję, że nas z tego wyciągnę. Zaufaj mi, Lio”. Ziemia pod moimi stopami zadrżała, świat wokół zawirował. Wszystko zaczęło się chwiać.

– Jaka to wiadomość? – spytał chievdar.

– Jest przeznaczona wyłącznie dla uszu Komizara – odparł Rafe.

Kaden podszedł bliżej. Wszyscy czekali, aż coś powie, on jednak milczał. Przechylił głowę na bok, zmrużył oczy.

Zamarłam.

– Wiadomość przyniesiona przez parobka? – spytał w końcu.

Spojrzeli na siebie. Błękitne oczy Rafe’a były pełne nienawiści.

– Nie. Przez wysłannika księcia Dalbreck. I kto teraz jest głupim opijusem?

Jeden z żołnierzy uderzył go w głowę ręką miecza. Rafe zachwiał się, po jego skroni popłynęła krew, ale wciąż stał na nogach.

– Boisz się zwykłej wiadomości? – drwił, patrząc Kadenowi w oczy.

Kaden spoglądał na niego wściekle.

– Treść wiadomości nie ma żadnego znaczenia. Nie negocjujemy z królestwem Dalbreck, nawet z wysłannikiem samego księcia.

– Mówisz teraz w imieniu Komizara? – W głosie Rafe’a zabrzmiała groźba. – Przysięgam, że ucieszy się z tej wiadomości.

– Kadenie... – jęknęłam błagalnie.

Odwrócił się do mnie. Jego oczy płonęły gniewem.

Chievdar zbliżył się do nas.

– Jaki masz dowód na to, że jesteś jego wysłannikiem? – Uśmiechnął się szyderczo. – Pieczęć księcia? Jego pierścień? Koronkową chusteczkę?

Żołnierze zanieśli się śmiechem.

– Coś, co mógłby mieć tylko on – odparł Rafe. – Królewski list od księżniczki, napisany do niego jej charakterem pisma. – Mówiąc to, patrzył na mnie, nie na chievdara. Bezgłośnie posłał mi własną wiadomość. A ja poczułam, że miękną mi kolana.

– Jakież gryzmoły? – szydził dalej chievdar. – Każdy może coś nabazgrać na kawałku...

– Poczekaj – przerwał mu Kaden. – Daj mi to.

Żołnierze puścili ręce Rafe’a, tak by mógł wyjąć notkę. Kaden wziął ją od niego. Na kartce wciąż widniały odciski i resztki mojej czerwonej królewskiej pieczęci. Rafe wyciągnął z kieszeni drugą kartkę. Od razu ją rozpoznałam – upuścił ją łowca nagród – nigdy nie udało mi się jej odzyskać. Kaden porównał obie notki i kiwnął głową.

– Jest prawdziwa. „Książę Jaxonie z Dalbreck...” – zaczął czytać z pogardą w głosie.

– „W dzień...”

– Nie! – przerwałam mu ostro. Nie chciałam, żeby przeczytał to na swój szyderczy sposób.

Zwrócił się do mnie, wściekły, ale zamilkł w oczekiwaniu.

Spojrzałam się Rafe’a.

Oceniłam go.

Jego ramiona.

Potargane wiatrem włosy.

Surową linię jego szczęki.

Czerwień krwi, spływającej po jego policzku.

Na wpół otwarte usta.

Przełknęłam ślinę, żeby pozbyć się guli, która rosła mi w gardle.

– W dzień naszego ślubu chciałam cię najpierw ocenić.

Żołnierze wokół nas zaczęli się śmiać, ja jednak widziałam tylko twarz Rafe’a i jego niezauważalne kiwnięcie głową, gdy patrzył mi w oczy.

Miałam wrażenie, że moje ciało wiotczeje.

– Ale przecież książę zignorował mój liścik – rzekłam słabo.

– Wasza Wysokość, jestem przekonany, że głęboko tego żałuje – odparł Rafe.

Przecież osobiście podpisywałam akt ślubu...

Rafe. Przynajmniej w tej kwestii nie kłamał.

Książę Jaxon Tyrus *Rafferty* z Dalbreck.

Przypomniałam sobie, jak patrzył na mnie tego pierwszego wieczora w gospodzie, gdy podał mi swoje imię, sprawdzając, czy się zorientuję. Ale książę był ostatnim, czego wtedy szukałam.

– Związać go i zabrać – powiedział Kaden. – Jeśli kłamie, Komizar osobiście go zabije. I przeszukać okoliczne wzgórza. Na pewno nie przyjechał tu sam.

Rafe bronił się przed żołnierzami, którzy skuli jego ręce na plecach, ale nie spuścił ze mnie wzroku.

Patrzyłam na niego – nie był obcy, ale nie był też parobkiem. Od samego początku wszystko to było podszyte fałszem i podstępem.

Między nami wirował wiatr, ciskał nam piach w oczy. Szeptał.

Odnajdę cię w najodleglejszym zakątku.

Otarłam oczy, prawda zaczęła mi się zamazywać. Wiedziałam jedno. Przyjechał. Był tutaj.

I być może była to jedyna prawda, jakiej teraz potrzebowałam.

